

WALDEMAR ŁYSIAK

SZACHISTA



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1989

Opracowanie graficzne Marek Pietrzak
Redaktor Henryk Szydłowski
Redaktor techniczny Grażyna Suder
Korektor Halina Baszak
Reprodukcje i zdjęcia z Gostynia Waldemar Łysiak
Zdjęcia z Szamotuł Marian Różański
©Copyright by Waldemar Łysiak, Warszawa 1980
ISBN 83-03-02343-8



Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1989
Wyd. III. Ark. wyd. 20,347. Nakład 49650 + 350 egz. I rzut.
Drukarnia Narodowa w Krakowie — zam. nr 93/89
M-24/2751

Mojemu bratu, Henrykowi Łysiakowi

WSTĘP

W tomie I białokruczych już dzisiaj „Wspomnień Wielkopolski...”¹ na stronach 336—343 znajduje się wielce w jednym ze szczegółów intrygująca relacja oficera sztabu wojsk pruskich Ottona Pircha, który w latach dwudziestych minionego stulecia wykonał mapkę okolic Gostynia z kopuły sławnego barokowego kościoła. Zaczyna się ów cytat następująco:

„O kilka staj od miasta Gostynia na wzgórku leży klasztor XX. Filipinów, najpiękniejszy podobno gmach w całej okolicy między Poznaniem a Wrocławiem; zachwalano mi w wielu miejscach dobry byt tych księży i swobodne ich życie, pragnąłem więc ich poznać, a głowę nabitą mając romansami, w których kiedyś tyle byłem czytał o intrygach księży katolickich, o chytrłości mnichów, o zbytkach opasłych opatów, o srogich na ubogich zakonników karach, pospieszyłem do klasztoru, pragnąc naocznie się przekonać, ile też te opisy z rzeczywistością się zgadzają”.

Przerwijmy w tym miejscu nudną nieco w dalszej partii relację Pircha (nadmieniając tylko, że jak to zwykle bywa, romansowe opisy nie okazały się zgodne z rzeczywistością) i przejdźmy do najciekawszego fragmentu tekstu:

„Wśród uprzejmych księży w Gostyniu spostrzegłem jednego, którego powierzchowność mocno mnie zastanowiła. Dałbym dziś co za to, żebym go mógł odmalować. Mocne religijne przekonanie malowało się na zapadniętych rysach ciemnej jego twarzy; był to żywy obraz pustelnika z Tebaidy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Pomimo codziennych w klasztorze ze współzakonnikami swemi stosunków, szukał on widocznie osobności w celi swojej; towarzysze jego przecież wszyscy jednomyślnie przede mną wychwalali jego naukę i powiadali mi, że go duchowieństwo tej prowincji było niegdyś do Paryża wysłało, aby u cesarza Napoleona sprawę Kościoła polskiego popierał.

¹Wspomnienia Wielkopolski, to jest województw Poznańskiego, Kaliskiego i Gnieźnieńskiego, przez Edwarda hr. Raczyńskiego b. posła z powiatu Poznańskiego na Sejmach W. X. Warszawskiego, dziś deputowanego z powiatu Śremskiego na Sejmie W. X. Poznańskiego, Poznań 1842—43

Usiłowałem poznać tego księdza, a że dokładnie język francuski posiadał, zagadnąłem go w refektarzu po obiedzie i o Paryżu mówić z nim zacząłem. Widziałem, że niechętnie wdawał się ze mną i jakby z przymusem niektóre mi szczegóły o koronacji Napoleona przytoczył. W dalszym ciągu rozmowy pytałem go się, czy nie był w Rzymie, czy nie widział miasta tak niegdyś sławnego, w którym dziś głowa jego Kościoła na tronie zasiada.

— Cóż bym tam widział — odpowiedział — ludzi takich jak wszędzie, dalekich od bóstwa w niezmiernym stosunku.

— Czyliż nie byłeś ciekawy — mówiłem mu dalej — przypatrzeć się z bliska rozmaitym narodom; czyliż nie sądzisz, że wiara w każdym niemal kraju inną przybiera postać?

— Młodym jesteś — przerwał mi ksiądz — do świata należysz i dlatego tak myślisz, lecz ja inaczej.

— Wszakże i ty — odrzekłem — w Paryżu młodym byłeś.

— Byłem nim — powiedział — ale nie tak; Bóg mi swoją okazał łaskę, pozwolił mi wszystko na bok odsunąć i jemu się wyłącznie poświęcić. Pierwszym celem człowieka być powinno starać się o to, aby Zbawiciela poznać.

Mocny skurcz piersiowy, który go w tej chwili porwał, przymusił go oddalić się z refektarza”.

Z relacją tą zetknąłem się po raz pierwszy przed kilkunastu laty (w drugiej połowie lat sześćdziesiątych) i nie przypuszczałem, że przyjdzie mi kiedyś do niej powrócić. W niespełna dwa lata później przypomniałem ją sobie, dowiedziawszy się przypadkowo o krótkiej informacji opublikowanej po roku 1812 w jakiejś holenderskiej gazecie². Treścią jej było opowiadanie sierżanta Gijsberta Berntropa, który wziął udział w wyprawie rosyjskiej należąc do ułanów holenderskich i po Berezynie przedzierał się do ojczyzny przez Polskę, Prusy i państewka niemieckie. Otóż Berntrop, chory na zapalenie płuc i wątpiący w osiągnięcie celu, w styczniu 1813 roku szukał pilnie katolickiego spowiednika, z którym mógłby się porozumieć. Wskazano mu takiego „blisko Odry, w

2 Miałem w rękę francuskie odręczne tłumaczenie, jednakże bez podanego źródła, tylko z zaznaczeniem, że chodzi o holenderską gazetę. Właściciel znalazł je w książce kupionej u bukinisty. Być może gazetą ową był popularny „Opregte Donderdagsche Haarlemsche Courant”? Należałoby to sprawdzić.

klasztorze, którego świątynię wieńczyła piękna kopuła”. Spowiadał się po francusku, co jest może mało istotne, ważny jest natomiast swego rodzaju szok, jakiego doznał Holender ujrawszy spowiednika w okienku konfesjonału, które przesłaniało długie włosy, ukazując samą twarz. Była to twarz Napoleona! Pomyślałem wówczas że Berntrop, jeśli nie uległ naciskowi swej podrażnionej chorobą imaginacji, widział fizjonomię podobną do cesarskiej, być może twarz sobowtóra, co tłumaczyłoby fakt, że w kilkanaście lat później twarz nieznanego zakonnika zauroczyła Pircha, który mimo wysiłków nie mógł sobie przypomnieć, skąd jest mu znana.

Skojarzenie obydwu relacji w jeden ciąg przyczynowy było mimo wszystko dość dowolne i dopiero w maju 1971 roku przekonałem się, że słuszne. Do mojego „pokoju umeblowanego” w Rzymie przy via del Boschetto 60 (Pensione „Conca d'Oro”) zapukał człowiek, który przedstawił się jako Garcia Tejada, powiedział, że jest Hiszpanem i że prowadzi we Włoszech studia historyczne na temat epoki napoleońskiej, i poprosił o pomoc w wyjaśnieniu kilku spraw polskich. Oświadczył, że dowiedział się o mnie w redakcji miesięcznika „Historia” w Mediolanie, gdzie złożyłem artykuł o stosunkach Murata z Polakami.³ Interesowały go głównie: pobyt Napoleona w Poznaniu w roku 1806, znajdująca się w Szamotułach „wieża czarnej księżniczki” oraz... klasztor filipinów w Gostyniu!

Tejada kręcił, co szybko wyczułem, a że sprawa mnie interesowała (i to jak!), równie szybko oświadczyłem, że albo powie, o co chodzi, od A do Z, albo niech szuka pomocy gdzie indziej. Dałem mu jednocześnie do zrozumienia, że jeśli chodzi o jakąś tajną grę polityczną z roku 1806, to nie mógł lepiej trafić i na poparcie tych słów pokazałem mu swoje notatki z badań na temat sprawy Robeaud-Revard-”Wielki Joker”⁴. Zafrapował go problem sobowtóra, a także nazwisko wybitnego szpiega napoleońskiego, wiceszefa kontrwywiadu francuskiego, Schulmeistra. Doszliśmy do porozumienia.

3 Publikacja ta ukazała się w numerze grudniowym (168) z roku 1971 pod tytułem Gioacchino Murat e i Polacchi.

4 Chodzi o tajemniczą śmierć cesarskiego sobowtóra w roku 1823 w Schonbrunn i o podziemną organizację bonapartystowską, próbującą w dobie Restauracji uwolnić najpierw Napoleona, a potem Orlątka. Ustalenia te zawarłem w rozdziale Śmierć sobowtóra w książce Empirowy pasjans (IW PAX 1977).

Podczas drugiej wizyty Tejada przyniósł podniszczoną skórzaną teczkę (barokowa „dyplomątka” z XVIII wieku), opatrzoną napisem w języku angielskim „Chess-player 1806” („Szachista 1806”). Przejrzawszy jej zawartość⁵ zorientowałem się, że tytuł ten należałoby właściwie tłumaczyć: „operacja «Szachista» rok 1806”. Czytając zasadniczy dokument, Memoriał, i widząc w nim liczne dialogi i nawet cytaty z „Hamleta”, sądziłem początkowo, że jest to opowieść literacka. W rzeczywistości była to relacja z jednej z najbardziej brawurowych akcji polityczno-dywersyjnych doby napoleońskiej, akcji zorganizowanej w roku 1806 przez kilku wybitnych członków torysowskiej opozycji w takim sekrecie, że nawet londyńska Secret Service nie miała o niej pojęcia.

Przepisywanie Memoriału zajęło mi kilka dni. Robiłem to w obecności Tejady, który w tym samym czasie przepisywał sobie fragmenty wypożyczonych książek. Gdy skończyłem, wynotowałem mu w bibliotece stacji naukowej Polskiej Akademii Nauk wszystko, co znalazłem na temat Poznania, Szamotuł i Gostynia, przetłumaczyłem to na włoski i wzbogaciłem o pewne napoleońskie szczegóły znane mi wcześniej. Wręczyłem mu to wszystko wraz z kilkoma adresami źródeł dotyczących innych spraw i więcej się nie ujrzeliśmy. W ambasadzie hiszpańskiej dowiedziałem się, że o Garcii Tejada słyszą po raz pierwszy. Władze włoskie wyjaśniły mi, że nie udzielały wizy człowiekowi o takim nazwisku.

W Memoriale po raz trzeci natrafiłem na tajemniczego zakonnika z Gostynia, nazywanego w liście do d'Antraiguesa (patrz str. 24) „mnichem”, a w tekście Memoriału „mnichem Stephenem”, „polskim mnichem” lub „księdzem”. Był on jednym z czołowych aktorów operacji „Szachista”, dla Polaka o tyle interesującej, że jej decydujące etapy rozegrały się na terenie Polski, a dla historyka, bo — co stwierdziłem w czasie późniejszych żmudnych poszukiwań weryfikacyjnych — wszyscy z wyjątkiem jednego organizatorzy operacji oraz ludzie, którzy mieli z nią coś wspólnego, stali się w latach 1806—1822 ofiarami gwałtownych śmierci, których kulis historycy nigdy nie zdołali do końca wyświetlić. Memoriał, z którym miałem możliwość zapoznać się w Rzymie, rzuca bardzo ciekawe światło na cykl tych tajemniczych, nagłych zgonów.

⁵ Na zawartość tę składało się kilka listów, które cytuję w tekście książki, oraz 143-stronicowy manuskrypt w języku angielskim z tytułem: Memoriał.

Kto był autorem Memoriału i dlaczego znalazł się on w rękach Hiszpana — wyjaśnię na końcu książki. Oparłem ją o teksty, które zawierała teczką, oraz o własne ustalenia, wzbogacające lub tłumaczące pewne fragmenty, głównie w odniesieniu do ówczesnej sytuacji militarnej i politycznej, spraw polskich, detali z zakresu techniki wojskowej i cywilnej, a także osób, o których jest mowa w Memoriale.

Tekst, który zaczniecie czytać niebawem, nie jest pracą historyczną. Nie jest także powieścią. Prędzej już można nazwać go beletryzowaną opowieścią dokumentalną z roku 1806, lub raczej — wychodząc od greckiego słowa, które oznacza szersze rozwinięcie myśli jakiegoś tekstu, opisanie, omówienie, przeróbkę — beletrystyczną parafrazą Memoriału. Beletryzacja nie wynika tu z pobudek innych niż konstrukcyjne. Sąsiadujące z wyjętymi z Memoriału dialogami autentycznymi, dialogi wymyślone (zawsze w oparciu o przesłanki dokumentalne) mają za zadanie wiązać poszczególne etapy akcji w łańcuch tam, gdzie brakuje w Memoriale ogniwa lub gdzie autor Memoriału operuje skrótami, które mogłyby być dla Czytelnika niezrozumiałe. Podobną rolę, rolę mostów, pełnią niektóre sceny. Całość jest więc mozaiką z kamyków historycznych i okruchów wyobraźni. Tych drugich nie ma zbyt wiele, na szczęście, albowiem sporo racji miał Bergson mówiąc: „Ludzkość kocha dramaty rzeczywiste, a nie wymyślone”. Mniemam tedy, że mozaika ta, którą ułożyłem gwoli ukontentowania mych empirowych fascynacji i mego mieszka (choć — prawdę rzekłszy — nie przysięgłbym, że nie w odwrotnej kolejności), i was ukontentuje.

Rozdział I

PLAN

Memoriał rozpoczyna się od opisu tajnego zebrania w dniu 20 października 1806 roku. Był to rok dla Johna Bulla⁶ nader nieprzyjemny. W styczniu wiadomość o zmiążdżeniu pod Austerlitz nafaszerowanej brytyjskim złotem koalicji antynapoleońskiej posłała do grobu jej wielkiego architekta, Wiliama Pitta Młodszeo. Osieroceni torysi ustąpili miejsca wigom. Nowy gabinet, na czele którego stanął lord Grenville, zainicjował rozmowy pokojowe z Napoleonem. Orędownikiem i reżyserem porozumienia był minister spraw zagranicznych Fox. Kilkumiesięczne rokowania nic nie dały i kiedy 9 sierpnia Prusy rozpoczęły antyfrancuską mobilizację, a Francja odpowiedziała ultimatum z dnia 12 września, wiadomo już było, że pokój jest nie do osiągnięcia. W dzień później, 13 września 1806 roku, umarł Fox. Podobnie jak Pitt, nie był w stanie przeżyć krachu swej polityki. Mimo to wigowie rządili dalej — byli równie źli jak torysi, nie było więc sensu zmieniać rządu. Obie dotychczasowe koncepcje, wojna i pokój, poniosły klęskę, a jako że nie istniała trzecia, cała polityka Albionu znalazła się w dryfie.

Trzecia koncepcja nie istniała formalnie. Nieoficjalnie już Pitt widział takową i przygotowywał w Europie grunt do jej realizacji, lecz austerlitzki szok wyeliminował go z gry. Koncepcja ta polegała na obezwładnieniu Francji przez obezwładnienie samego Napoleona. Po śmierci Pitta sprawę przejął jego bliski współpracownik i przyjaciel, lord Castlereagh, liczący na poparcie dwóch innych gwiazd torysowskiej opozycji, także przyjaciół Pitta, panów Bathursta i Percevala. Każdego z nich do białej gorączki doprowadzała myśl, że wszystkie linki na kontynencie trzyma w swych dłoniach cesarz Francuzów, zaś Anglia staje się dzięki temu prowincjonalnym kibicem działań o światowym znaczeniu, i to kibicem wielce zagrożonym, gdyż na francuskich wybrzeżach kanału La Manche egzystowały w pełnej gotowości bojowej bazy wypadowe do desantowego skoku na Wyspy.

Rozdrażnienie to samo w sobie nie było czymś niezwykłym; większość Anglików,

⁶ Jan Byk — przezwisko nadawane w Anglii, analogiczne do Wuja Sama w Stanach Zjednoczonych.

Szkotów i Walijszczyków czuła podobnie. Wszelako Castlereagh, Bathurst i Perceval wyróżniali się nienawiścią do Napoleona nawet wśród rodzimego prawego skrzydła torysów. Gdyby w tym kraju, opanowanym już wówczas manią wszelakiego rodzaju pojedynków sportowych i pseudosportowych, od boksów (w tym kobiecego) począwszy, a na walkach kogutów, małą, koni i psów skończywszy, urządzono mistrzostwa w nienawiści do „Apokaliptycznej Bestii nr 666”, którą to liczbą z nie wiadomo jakich powodów obdarzono Bonapartego — ci trzej ludzie bez trudu zajęliby wszystkie miejsca na podium. W ich przypadku była to nienawiść obsesyjno-biologiczna.

Wojna Francji z Prusami powstrzymała Castlereagha od działania, liczył on bowiem (podobnie jak cała Anglia) na to, że pruskie zapowiedzi się spełnią i armia fryderycjańska odniesie zwycięstwo. Rankiem 20 października, po przeczytaniu dostarczonej mu depechy, stracił wszelkie złudzenia. Jak wiemy z podręczników, Prusacy nie pomylili się w swych przechwałkach, ich wojna z Francją okazała się prawdziwym „Blitzkriegiem”. 5 października Wielka Armia ruszyła przez Las Frankoński ku Saksonii i w dziewięć dni później, 14 października 1806 roku, w dwóch symultanicznie rozegranych bitwach, pod Jeną i pod Auerstaedt, potęga Prus rozsypała się w proch. Oficjalnie ta czarna wiadomość przyfrunęła do Londynu dopiero 27 października, lecz Castlereagh między innymi dlatego właśnie był Castlereaghiem, a nie z mumifikowanym możnowładcą w jakiejś prowincjonalnej siedzibie rodowej, że o wielu rzeczach potrafił dowiadywać się o wiele szybciej niż władza. Depesza, którą otrzymał, była przysłowiową kroplą o decydującym znaczeniu. Zdecydowała o tym, że Castlereagh zwołał tajne posiedzenie z udziałem swoim oraz Bathursta i Percevela jeszcze tego samego dnia, wyznaczając spotkanie na wieczór.

Wicehrabia Robert Stewart Castlereagh, markiz Londonderry, urodził się w roku 1769, był więc rówieśnikiem Napoleona i Wellingtona. Kariera tego bogatego Anglo-Irlandczyka przebiegała w sposób nader błyskotliwy. Zaczynał jako wig, lecz szybko zdradził kompanów, przenosząc się w szeregi partii konserwatywnej. Mając zaledwie trzydzieści sześć lat wszedł do ostatniego gabinetu Pitta jako minister wojny i kolonii. Klęska pod Austerlitz była osobistą porażką zacieklego „jastrzębia”. Ustupując stołka wigowi

Wyndhamowi, po raz pierwszy w życiu zakosztował goryczy politycznego outsiderstwa. Opozycyjna bierność, urozmaicana parlamentarnymi rozgrywkami, nie była tym, co mogło podniecać gracza o ambicji Castlereagha.

Sposób, w jaki człowiek ten znalazł się w roku 1794 w irlandzkiej Izbie Gmin, doskonale symbolizował jego metodę działania politycznego. Kosztowało to jego i jego ojca trzydzieści lub sześćdziesiąt tysięcy (różnica w źródłach) funtów szterlingów, wetkniętych w odpowiednim czasie w odpowiednie ręce. Z przekupstwa Castlereagh uczynił efektywny instrument gry politycznej i wkrótce został uznany za największego na Wyspach Brytyjskich wirtuoza w tej dziedzinie. Swój popisowy recital dał w roku 1800, kupując za milion funtów szterlingów głosy irlandzkich kolegów-parlamentarzystów na rzecz unii z Anglią. Lord Cornwallis nazwał to „sromotnym targiem”⁷, lecz Castlereagh miał w nosie takie głędzenie, liczył się cel. A cel został osiągnięty: parlament irlandzki, a wraz z nim cała Irlandia (ojczyzna Castlereagha) utraciły resztki niezawisłości na mocy stanowiącej Zjednoczone Królestwo unii z roku 1801. Nawet krytycy podziwiali jego wirtuozerię, co dowodzi słuszności twierdzeń Machiavela, zwłaszcza zaś tego, że reputacji politycznej nie buduje się na środkach, lecz na efektach.

Miejsce spotkania stanowił pewien skromny z zewnątrz, a dość wytworny w zawartości dom, położony wewnątrz nieregularnego placka, jaki tworzyła sieć uliczek między High Holborn a Oxford Street, i należący do niejkiej Ethel Gibson; pierwszy w jej życiu dom prywatny. Dwa poprzednie, w Dublinie, były — używając terminologii obecnie stosowanej — całkowicie nieprywatne. Castlereagh sprowadził ją z Irlandii wraz z jej córką i osadził we wspomnianym domu, płacąc wysoką miesięczną pensję za wyłączność praw do pięknej Phyllis. Dzięki temu nie musiał korzystać z usług niefrasobliwych dam, wyczekujących od zmroku w okolicach Strandu, Haymarket, Covent Garden i Drury Lane, i co ważniejsze, mógł czerpać satysfakcję zgodnie z własnym rytuałem, który Phyllis Gibson opanowała do perfekcji. Nie był hedonistą — gdyby nim był, nie mógłby być dobrym politykiem. Wyznawał tylko zasadę, że polityce i erotyce trzeba narzucać własne reguły, a potem przestrzegać ich skrupulatnie, dopóki są skuteczne (w pierwszym

⁷ E. Herve, Irlandia od końca wieku osiemnastego do czasów najnowszych, Warszawa 1886.

przypadku) i przyjemne (w drugim). Tego dnia drugie miał już za sobą, pierwsze przed. Był poniedziałek 20 października 1806 roku, godzina dziewiętnasta.

Kwadrans po dziewiętnastej Castlereagh, z „Timesem” pod pachą, odświeżony i najedzony, przeszedł, by oczekiwać gości, do dużego salonu, pełnego klasycznych form w stylu Roberta Adama, z wielkim kryształowym żyrandolem, którego świec nie wyparł tu jeszcze najnowszy oliwny wynalazek genewczyka Arganda. Na ścianach roiło się od obrazów i luster, a porcelana z Derby, Chelsea i Worcester oraz francuskie brązy przytłaczały swym nadmiarem meble. Właścicielki najwyraźniej pozbawione były gustu, co z pewnością drażniłoby Castlereagha, gdyby młodsza z nich pozbawiona była na dodatek urody i kilku innych równie cennych przymiotów kobiecego charakteru.

Oczekiwanie wypełniła mu lektura „personal column”, na której zdarzały się bardzo zabawne ogłoszenia.

Pierwszy, kilka minut przed godziną dwudziestą, zjawił się hrabia Henryk Bathurst, baron Apsley, przed śmiercią Pitta zarządca mennicy państwowej. Był o siedem lat starszy od Castlereagha, lecz w takim samym stopniu przebiegły, bezwzględny i reakcyjny w kwestiach społecznych, wyznaniowych i politycznych. Nawet angielski historyk napisze o nim później: „Był jednym z tych dziwnych dzieci naszego systemu politycznego, który ma w zwyczaju obsadzać najwyższe urzędy najniższą podłością”⁸.

Witając się Bathurst spytał:

— Cóż to za nagła potrzeba?

— Cierpliwości, Henryku, nie chcę się powtarzać, dlatego wyjawię przyczynę, gdy już będziemy w komplecie. Przekonasz się wówczas, że musiałem was tu zaprosić. Czas jest właściwy...

— A miejsce?

— Miejsce jest również właściwe. Prócz nas trzech, nikt nie wiedział, gdzie się spotkamy, te ściany jeszcze chyba nie mają uszu. O North Cray⁹ i o St. James Square¹⁰ nie

8 Lord Rosebery, Napoleon — the Last Phase, T Nelson & Sons Ltd.

9 North Cray Place (Kent) — wiejska siedziba Castlereagha.

10 Przy St. James Square znajdował się londyński dom Castlereagha.

mógłbym powiedzieć tego samego.

— Doprawdy, nie mówisz tego serio, Robercie.

Castlereagh ruchem ręki wskazał trzy wygodne fotele otaczające stół w pobliżu kominka, dając tym zapraszającym gestem znak, że już zbyt długo stoją, i dopiero gdy zasiedli, odpowiedział:

— Mój drogi, dziwisz się tak, jakbyś nie wiedział, że Londyn roi się od agentów Fouchego i Savary'ego¹¹, którzy udają wygnanych z Francji rojalistów. Najdowcipniejsze jest to, że my ich utrzymujemy i niańczymy.

— Przesadzasz, Robercie. Nie kosztują zbyt wiele, a w przyszłości mogą się przydać. Myślę o rojalistach. Z pewnością są wśród nich sukinsyny, które pracują dla francuskiego wywiadu, ale większość nienawidzi Korsykanina tak jak jakobinów. Gilotyny otarły się o nich, zabrano im majątki, pogwałcono córki. Kiedy wrócą do Paryża...

— To się im nie uda bez naszej pomocy — przerwał mu Castlereagh — a wierz mi, kiedy wrócą, w jednej chwili wraz z podróżnym brudem zmyją z siebie pamięć o wszystkim, co dla nich zrobiliśmy. To są Francuzi, Henryku, Francuzi z krwi i kości! Popatrz zresztą, coraz więcej ich nie czeka na zwycięstwo. Wracają do domu i wstępują w służbę Buonapartego. Myślisz, że wśród powracających nie ma takich, którym zgwałcono córki? Tylko że tych gwałtów dokonali jakobini, a Buonaparte wydusił jakobinów niczym pluskwy i oni o tym wiedzą. Ciekaw jestem, dlaczego jeszcze wszyscy nie poczołgali się do niego, i kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że są mu potrzebni tutaj, wśród nas. Jeszcze bardziej jestem ciekaw, z których pensji przekupują naszych ludzi: za to, co biorą z Paryża, czy za pieniądze, które wyciągają od nas. Niedawno odkryłem, że jeden z moich służących grzebie mi w papierach, i nawet wiem, który.

— Każ go zamknąć!

— Dlaczego miałbym robić takie głupstwo? Gdybym to uczynił, prędzej czy później przekupiono by innego, a tak mogę kontrolować grę, mogę podsuwać mu to, co zechcę, i robić durniów z jego mocodawców. A poza tym on przyrządza bajeczne poncze. Właśnie, czego się napijesz, ponczu czy wina?

¹¹ Józef Fouché (1759—1820), minister policji napoleońskiej. Jan Savary (1⁷74—1833), w roku 1806 szef francuskiego kontrwywiadu.

W momencie, gdy pokojówka ustawiła na stole porto, poncz i kielichy, Ethel Gibson wprowadziła Percevala. Była dokładnie dwudziesta, czego nie musiały mówić zegary, wystarczyło stwierdzić fakt pojawienia się człowieka, który był chodzącą klepsydrą. Spencer Perceval, drugi syn księcia Egmont, urodził się w roku 1762. Był więc rówieśnikiem Bathursta, chociaż wyglądał na starszego odeń przynajmniej o dziesięć lat, co niewątpliwie było następstwem punktualnego płodzenia niezliczonej gromady dzieci. Podczas ostatniego władania torysów pełnił odpowiedzialną funkcję prokuratora generalnego, będąc wcieleniem protestanckiej bigoterii i ślepego okrucieństwa. Początkowo był zaufanym Pitta, który w perspektywie pojedynku z Tierneyem upatrywał w Percevalu swego sukcesora. Potem stosunki między nimi nieco ochłodziły, wszelako po śmierci wielkiego premiera związał się silnie z prawym, „pittowskim”, skrzydłem torysów. Kiedy we wrześniu 1806 roku, po śmierci Foxa, nieoczekiwanie lord Grenville zwrócił się do Percevala z propozycją udziału w rządzie, ten, wciągnięty już w orbitę gry Castlereagha, zdecydowanie odmówił.

I on, widząc opuszczające salon kobiety, zaczął od pytania:

— Milordzie, ufasz tym kobietom?

— Całkowicie. Są mi oddane, gdyż ich los spoczywa w moim ręku. Służąca jest niemową, a ściany tego pokoju są podwójnie izolowane i dzięki temu całkowicie dźwiękochłonne.

Bathurst uśmiechnął się w duchu. Służąca niemowa bardzo sprawnie posługiwała się piórem i za godziwą sumkę opisała jego osobistemu sekretarzowi, nie szczędząc przy tym pikantnych szczegółów, jakie to sekrety kryje rezydencja pani Gibson. Niespełna dziesięć godzin, począwszy od otrzymania zaproszenia, wystarczyło Bathurstowi, by lepiej poznać miejsce spotkania. Miał bowiem hrabia niewinny, a przedłużający życie zwyczaj nie stawiania nogi w ciemno, lubił wiedzieć, gdzie wkracza, zanim otworzą się drzwi.

Kiedy już i Perceval zasiadł w fotelu, Castlereagh wstał, podkreślając tym wagę słów, które miał powiedzieć. Powiedział krótko:

— Panowie, Prusy wyleciały z gry.

Nie nastąpił szok i nie było żadnych okrzyków, gdyż obaj jego partnerzy nie byli przekupkami. Zapanowała chwila milczenia, po czym Perceval spytał spokojnie:

— Jak?

— Bardzo dla nich nieprzyjemnie, w dwóch bitwach, pod Jena i w drugim miejscu, którego nazwy nie pamiętam.

— Kompletnie rozbici?

— Tak kompletnie, że już kompletniej nie można. Ich armie przestały istnieć.

— Kiedy?

— Kilka dni temu, 14 października.

Dopiero teraz Bathurst zaklął pod nosem:

— Damned! Wiedziałem, że te pruskie osły nie okażą się lepsze od Austriaków i Rosjan! Znowu zapanowała cisza. Castlereagh odczekał stosowną chwilę, by następnie przejść do rzeczy. Oznajmił, że w sytuacji, gdy Prusy zostały rozbite i nie ma już nadziei na zwycięstwo militarne, należy zrealizować pomysł Pitta¹², polegający na porwaniu Napoleona i podstawieniu na jego miejsce sobowtóra.

— Szalenie proste! — zadrwił Bathurst, rozdrażniony wiadomością o klęsce Prus. — Proste jak wszystkie pomysły tej zwariowanej amazonki, która opętała Williama.

— Widzisz inną możliwość miast wzięcia go za kark? — spytał Castlereagh.

— Za gardło, Robercie, za gardło. Za kark można wziąć królika, tygrysowi strzela się w łeb! Nawet to będzie niezmiernie trudne, ale i tak stokroć łatwiejsze niż porwanie.

— Za to stokroć głupsze — odparł Castlereagh — bo zupełnie bezowocne. A jeśli już zaowocuje, to jedynie świetlaną legendą i aureolą, jaka wykwita nad świętymi męczennikami. Blask takiego pośmiertnego nimbu może jeszcze bardziej scementować cesarstwo, ale rozsypie się ono, jeśli porwiemy Buonapartego.

— Milordzie — odezwał się z namysłem Perceval — wiemy przecież, że cała potęga imperium opiera się tylko i wyłącznie na zwycięstwach bitewnych Buonapartego. Jego wojska zapewne idą teraz na wschód.

12 W tekście Memoriału znajduje się na marginesie dopisek: „Pomysł Estery”. Chodzi o Esterę Łucję Stanhope (1776—1839), siostrzenicę i „szarą eminencję” Pitta, która miała spory wpływ na posunięcia wuja, tak w polityce zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

— To prawda, prą w kierunku Odry — potwierdził Castlereagh.

— Jeśli tak, to najpóźniej za kilka miesięcy zderzą się z Rosjanami. Czy mam rację?

— To prawie pewne — potwierdził raz jeszcze Castlereagh.

— Gdyby więc udało nam się zabić Buonapartego zanim dojdzie do starcia Francuzów z Rosjanami, pozbawieni swego geniusza militarnego Francuzi zostaną pobici i cel będzie osiągnięty.

— Mam na ten temat zdanie akurat odwrotne! — Castlereagh po raz pierwszy podniósł głos. — Załóżmy, że Buonaparte zginął dzisiaj. Cóż by się stało? Pojutrze na tronie siedziałby Józef¹³ a jego wojska...

— Tak, ale to idiota, a na wojnie zna się tak, jak ja na komponowaniu arietek. (Bathurst)

— No i co z tego?! On rzeczywiście nie wstanie z fotela, by sięść na konia, ale siedząc w tym fotelu będzie przyjmował parady zwycięstw! Większość francuskich marszałków to tępi zabijacy, lecz wystarczy jeden dobry, by Francuzi dalej odnosili sukcesy w polu. A oni mają kilku dobrych i jednego znakomitego, który jako strateg w niczym nie ustępuje Buonapartemu. To Davout.

W tym momencie Bathurst pomyślał, że jego przyjaciel zaczyna bredzić, gdyż pełniąc przez rok funkcję ministra wojny zbyt szybko uwierzył w swoją znajomość rzeczy i zbyt szybko zapomniał, jakimi kompromitacjami skończyło się kilka jego inicjatyw militarnych, zwłaszcza zaś niefortunny atak na francuską flotę desantową skoncentrowaną w Boulogne. Swoje myśli ubrał jednak w zdanie równie delikatne jak bezpieczne:

— Wątpię, Robercie, czy eksperci wojskowi podpisaliby się pod twoim osądem.

Castlereagh podszedł do ślicznego pianoforte, które wyszło spod ręki samego Zumpe'a, nacisnął boczną ściankę i z ukrytej szufladki, wyskakującej jak kukółka z zegara, wyjął kartkę.

— Za kilka dni każdy z ekspertów podpisze się bez wahania.

Oto depeza jednego z moich agentów¹⁴. Zawiera ona krótki opis klęski Prusaków.

13 Józef Bonaparte (1768—1844), najstarszy brat Napoleona.

14 Na marginesie Memoriału dopisek: „C. D.” Być może agentem tym był późniejszy generał Gabriel Donnadieu. Litera C może również oznaczać skrót od „captain” (kapitan) lub „colonel” (pułkownik). Donnadieu został za udział w spisku przeciw Napoleonowi (w roku 1801) osadzony w zamku Lourdes. Amnestionowany, w roku 1806, odbył kampanię niemiecką, lecz w trzy lata później

Propaganda francuska twierdzi że rozstrzygnięcie nastąpiło pod Jeną. W rzeczywistości pod Jeną Buonaparte rozbił zaledwie część Prusaków. Prawdziwego pogromu dokonał Davout w tym drugim miejscu, nie opodal, i to wyłącznie z pomocą trzech dywizji własnego korpusu przy pięciokrotnej przewadze liczebnej nieprzyjaciela!¹⁵ Czy uważacie panowie, że ten człowiek nie jest w stanie pobić Rosjan, tych samych rosyjskich generałów którzy zblażnili się pod Austerlitz? Ile razy trzeba zabić, by Francuzi przestali zwyciężać? Zabijemy Napoleona, pozostanie Davout; zabijemy Davouta, pozostanie Massena, który próbkę swych możliwości dał również na karku Rosjan¹⁶. Zabijemy Massenę, to okaże się, że Soult, Lannes czy Ney są nie gorsi, bo wyszli z tej samej szkoły. Może więc od razu pošlijmy im tort z arsenikiem z uprzejmą prośbą o gremialne skonsumowanie!

Otarł pot z czoła, choć zapomniany ogień w kominku dogorywał i w pokoju zrobiło się chłodnawo, usiadł i opróżniwszy kielich, a nie doczekawszy się reakcji ze strony Bathursta i Percevala, kontynuował:

— Wyłuszczyłem wam, panowie, powody, dla których koncepcję zabicia Buonapartego uważam za bezsensowną. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Moje stanowisko nie bierze się z idealistycznej interpretacji zasad moralnych, zapewniam was, to czysty racjonalizm. Nie uważam, by zamordowanie tego człowieka było rzeczą niemoralną. Człowiek, który tak jak on wzbija się ku słońcu, winien być przygotowany na ewentualność podzielenia losu Icara i zdawać sobie sprawę z tego że ma niewielkie szanse na uwiad starczy. Zabójstwo Buonapartego byłoby rzeczą tak samo naturalną jak śmierć starca i nie widzę powodu, dla którego jego zabójca miałby się wstydić przed potomnością. Ale nie widzę też racji, która uzasadniałaby celowość takiego kroku. Zresztą... tyle razy próbowano go wykończyć i co? Bomby, noże, strzelby, trucizna, jakobini, rojaliści, nasi agenci, austriaccy, neapolitańscy i pewnie od samego szatana —

wyrzucono go z armii za kontakty z Anglikami.

¹⁵ Castlereagh najprawdopodobniej celowo tu przesadził, by wzmocnić argumentację. W bitwie pod Auerstaedt marszałek Davout (1770—1823) odniósł zwycięstwo nad dwukrotnie silniejszym przeciwnikiem. Natomiast ocena talentów strategicznych Davouta jest prawidłowa.

¹⁶ Castlereagh miał na myśli bitwę pod Zurichem (1799), w której Andrzej Massena (1758—1817) rozniósł silne ugrupowanie Korsakowa.

wszystko na nic, chociaż wpakowaliśmy w to worki złota! Przypomnijcie sobie. W 1800 szuani wysadzili w powietrze pół paryskiej dzielnicy, krew płynęła ulicami jak po ulewie, a on, chociaż był tam, nie został nawet draśnięty!¹⁷ Mam informację, że ostatni zamach przygotowany przez Jersey¹⁸ też się nie udał¹⁹. Wszystko to jest z góry skazane na niepowodzenie! Savary strzeże go dzień i noc, mucha nie dotknie Korsykanina nie zauważona. Jak myślicie, ilu żandarmów leży pod jego łóżkiem, kiedy on wielbi tę swoją dziwkę po Barrasie?²⁰ Reasumując: nawet gdybym mógł go zabić, nie uczyniłbym tego, gdyż byłoby to sprzeczne z logiką.

— Sprzeczne z logiką wydaje mi się to — zareplikował Bathurst — że obstajesz, Robercie, przy porwaniu, twierdząc jednocześnie, że mucha nie jest w stanie dotknąć Korsykanina bez zgody jego obstawy. Jeśli tak, to czy porwanie jest możliwe?

— Jest możliwe. Ale tylko wtedy, gdy uderzy się myślą, nie tępą siłą. Siła wobec niego jest nieskuteczna, gdyż on jest silniejszy. Do wykonania operacji zaplanowanej przeze mnie potrzebna będzie grupa ludzi dzielnych, dobrze uzbrojonych i wyekwipowanych, którzy jednak nie będą musieli atakować Buonapartego, on sam wejdzie im w łapy. Ich najlepszym narzędziem będzie mój plan, ich jedynym zadaniem — przygotowanie pułapki. Nie siła, panowie, lecz myśl będzie dźwignią, która wyjmie Korsykanina z jego obstawy i to tak, że nikt nie zauważy zamiany na sobowtóra, ten zaś...

— Jeśli wolno, milordzie — wtrącił Perceval — ile czasu może potrwać taka mistyfikacja, zakładając, że uda się jej dokonać? Dobę, dwie, godzinę? Tydzień graniczyłby z cudem.

— Wystarczą dwie doby, nawet jedna. Tyle mniej więcej czasu potrzebować będą filadelfowie, by sparaliżować sztab francuski i wywołać rozprężenie w Wielkiej Armii.

— Filadelfowie? Ta nazwa obita mi się o uszy, sądziłem wszelako, że to jedna z tych

17 Chodzi o rojalistowski zamach za pomocą „machiny piekielnej” w paryskiej uliczce Saint-Nicaise w dniu 24 grudnia 1800 roku.

18 Na wyspie Jersey mieścił się jeden z dywersyjno-terrorystycznych ośrodków brytyjskiego wywiadu i rojalistów.

19 Jest to sprawa niezmiernie trudna do ustalenia ze względu na mnogość zamachów na Napoleona. Najprawdopodobniej chodzi o dwóch fałszerzy pieniędzy, Lesemplue i Bonarda, których wywiad angielski wysłał w końcu roku 1805 z poleceniem zamordowania cesarza. Bonard zdradził, informując o wszystkim policję francuską, czym jednak nie uratował głowy. Obaj terroryści zostali aresztowani w Hamburgu w roku 1806 i rozstrzelani we Francji.

20 W momencie poznania Napoleona (za Dyrektoriatu) jego małżonka, Józefina de Beaucharnais, była utrzymanką najbardziej wpływowego z dyrektorów, wicehrabiego de Barras.

falszywych konspiracji antybonapartystowskich, organizowanych przez francuski Cabinet Secret w celu wyprowadzenia nas w pole. Afera Meheego²¹ dowodzi, że udaje im się to dziwnie łatwo i zmusza do szczególnej ostrożności. (Perceval)

— Słusznie, dlatego byłem bardzo ostrożny przejmując po śmierci Williama jego kontakty z d'Antraiguesem.

— Z d'Antraiguesem?! — krzyknął Bathurst, zrywając się z miejsca. — Ależ to podwójny albo i potrójny agent! Ostatnio pracował dla Rosjan i dla Austriaków, i jeden diabeł wie, dla kogo jeszcze! Udzielić temu człowiekowi dwóch pensów pożyczki, zmuszając go do trzymania krucyfiksu w jednej ręce i podpisania drugą rewersu, to jeszcze nie miałyby się gwarancji zwrotu! Jeśli ten człowiek ma cokolwiek wspólnego z twoim planem, Robercie, mnie możesz od razu skreślić z listy udziałowców!

— Nie gorączkuj się, Henryku, pozwól, że rozważymy wszystko spokojnie. W tym przypadku mamy gwarancję niewątpliwą. D'Antraigues w ciągu kilku pierwszych miesięcy tego roku, które spędził w Saksonii i okolicach, przygotowywał na mój rozkaz grunt do operacji, na której realizację chcę was namówić. Opuścił Drezno 2 sierpnia, 3 września przybył do Londynu. Wynajął dom w Barnes Terrace, a moi ludzie nie spuszczają go z oczu. Kontaktuje się z Foreign Office²², ale to dobrze, to kryje jego robotę dla nas. Nasza gwarancja opiera się na gwarancji, którą ja mu dałem. Zagwarantowałem mu dwie rzeczy: duże pieniądze za robotę, którą wykonał w Niemczech i w Prusach, oraz pewność, że jeśli jakkolwiek informacja o moim planie przesiąknie poza krąg osób, które sam wtajemniczyłem, to nie szukając źródła przecieku każę bezzwłocznie poderżnąć mu gardło. Jak oceniasz tę gwarancję, Henryku?

Bathurst uśmiechnął się, dając głową znak, iż uważa rzecz za załatwioną.

21 Perceval wspominał o świetnie przeprowadzonej prowokacji wywiadu francuskiego, którego agent, Mehee de la Touche, zdołał w roku 1803 przekonać przedstawicieli rządu brytyjskiego, iż jest wysłannikiem „tajnego komitetu jakobinów paryskich”, planujących obalenie Napoleona. Po wyciągnięciu od Anglików dużych subwencji na rzecz „sprzysiężenia”, Francuzi opublikowali w złośliwej formie wszystkie dokumenty dotyczące afery (jeden z unikalnych egzemplarzy znajduje się w dziale rzadkich druków moskiewskiej Biblioteki Nauk Społecznych Akademii Nauk ZSRR), kompromitując kilku polityków brytyjskich. Podobny błąd, którego finał nastąpił właśnie jesienią 1806 roku, udał się Francuzom z rzekomą organizacją antybonapartystów alzackich. Po zainkasowaniu 65 tysięcy franków w złocie wywiad francuski opublikował odnośne materiały w prasie paryskiej (i tym razem nie szczędząc drwin), kładąc kres karierze sławnego dyplomaty i szpiega Francisca Drake'a.

22 Ministerstwo spraw zagranicznych, któremu podlegał wywiad.

— W porządku.

Castlereagh zrobił krótką przerwę dla opróżnienia kieliszka.

— Przejdźmy teraz do filadelfów. Organizacja ta jest poza wszelkim podejrzeniem.

Według d'Antraiguesa istnieje kilka konspiracyjnych stowarzyszeń o tej nazwie, jedno we Franche-Comte, inne w Italii i jeszcze inne, choć nie wykluczone, że powiązane z którymś z tamtych, w Wielkiej Armii²³. Ono nas interesuje, gdyż jego celem jest klęska Buonapartego. Swoista masoneria wewnątrz francuskiej armii. Żeby było dowcipniej, jak twierdzi d'Antraigues, w roku 1795, bodajże pierwszego września, Korsykanin został przyjęty podczas sekretnej ceremonii w lesie Fontainebleau do stowarzyszenia Francs-Juges, które stało się później jedną z kolebek filadelfów.

— To rzeczywiście zabawna anegdota — powiedział Perceval — lecz mnie interesuje bardziej, kto kieruje filadelfami konspiracyjnymi w Wielkiej Armii.

— Rojaliści, którzy służą Buonapartemu, lecz woleliby Ludwika XVIII²⁴. Na ich czele stoi oficer sztabowy wysokiej rangi, pułkownik lub może nawet generał z bezpośredniego otoczenia Korsykanina.

— Czyżbyś nie wiedział, milordzie, kto?

— Tego nie wiedział sam Pitt. Człowiek ten komunikował się z nami poprzez d'Antraiguesa. Łącznikiem był cywilny emisariusz. Nie ma to zresztą znaczenia. Ważne jest, że szef filadelfów podejmuje się opanować za pomocą swoich ludzi sztab generalny Wielkiej Armii i sztaby korpusów, pod jednym warunkiem, jeśli usunięci zostaną oficjalnie Davout i Savary oraz ich ludzie²⁵. Oficjalnie, to znaczy: przez Buonapartego. Dowcip polega na tym, że obaj ci panowie mają w zwyczaju stawiać pod ścianą lub wieszać za cień niesubordynacji wobec Korsykanina, i to często bez sądu. Same ich nazwiska wywołują gęsią skórę u wszystkich tych rębajłów spod Marengo i Austerlitz. Davout rozstrzeliwuje nawet kwatermistrzów, którzy nie dostarczyli w porę bandażu dla rannych! Gdyby cesarz pozbawił ich nagle stanowisk i pod pierwszym lepszym pozorem zamknął,

23 Informacje i źródła na temat filadelfów znajdzie Czytelnik na końcu tej książki.

24 Ludwik de Bourbon, hrabia Prowansji (1755—1824). Wypędzony przez rewolucję z ojczyzny, tułał się poza jej granicami, skupiając wokół swej osoby żywioły rojalistowskie.

25 Davout dysponował własną policją wewnątrzarmijną, a Savary nadzorował pracę osobistej ochrony Napoleona.

filadelfowie mogliby bez obaw przystąpić do działania. Otóż naszym zadaniem jest dać im takiego Napoleona, który to uczyni. Natychmiast po zamianie szef sprzysiężenia zgłosi się do sobowtóra i pokaże znak rozpoznawczy. Jak widzicie, nie musimy znać nazwiska tego człowieka.

— Musimy więc znać nazwisko łącznika, który powiadomi szefa filadelfów, że zamiana została dokonana. (Perceval)

— Słusznie. — Castlereagh spojrział na Percevala ze szczerym podziwem. — Znamy je. To znaczy zna je d'Antraigues i ja. Trzecią osobą z naszej strony, która pozna to nazwisko, będzie dowódca grupy operacyjnej.

— My nie jesteśmy godni? (Bathurst)

— Nie zaakceptowaliście jeszcze propozycji, to po pierwsze. A po drugie nie musicie, panowie, znać tego nazwiska. Mogę wam tylko powiedzieć, że najprawdopodobniej człowiek ten będzie obecny przy zamianie, gdyż to szaser z osobistej ochrony Buonapartego, oficer, który, by być bliżej Korsykanina, przybrał mundur prostego żołnierza. Fakt, że filadelfom udało się tak go ustawić, świadczy, iż mają spore możliwości.

Bathurst zachnął się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Możliwe, Robercie, że mają takie możliwości, ale mają też nie po kolei w głowach.

Durnie! Wierzą, że uda się im przywrócić tron Burbonowi za pomocą pistoletów! Łatwiej byłoby im zmusić Ziemię do obrotów w drugą stronę! Francuzi nie chcą restytuowania białych lilii i bez zbrojnej interwencji z zewnątrz nigdy to nie nastąpi. Gdyby nawet udało się nam przeprowadzić tę szaloną zabawę, to jak Bóg na niebie — po kilkudziesięciu godzinach wszyscy ci filadelfowie (Bathurst cedził słowa z pogardą) będą wisieć!

— Z pewnością mój drogi, ale w tym czasie nasi ludzie załadują już Korsykanina na okręt i najpóźniej w miesiąc po tym załadunku będziemy mieli przesyłkę w Londynie. Inaczej mówiąc: będziemy mieli Napoleona jako zakładnika, będziemy dyktować warunki. I to jako rząd, bo wigowie natychmiast ustąpią nam miejsca, a naród obsypie kwiatami.

Tymczasem w Paryżu zrobi się jeden wielki burdel, wszyscy tam potracą głowy, Davout i Savary będą już gryzli ziemię, a rodzina cesarska pozbawiona swego mózgu... Nie, nie

zgladzimy go, ale też nie wypuścimy. Zamkniemy go, niczym dzikie zwierzę, w jakiejś klatce i to będzie dlań gorsze od śmierci. Po czym pohandlujemy nim, zmusimy Francję do wycofania się z wielu terytoriów i w ogóle do wszystkiego, co nam przyjdzie do głowy. Ceną będzie jego głowa. Zresztą za wcześnie o tym mówić. Mając go w ręku, będziemy posiadali atutową kartę o sile łamiącej wszelkie francuskie opory, bo dla nich będzie kwestią honoru, najświętszym narodowym obowiązkiem, uwolnić go! Dlatego i oni i on zgodzą się na wszystko. Mamy tedy do wyboru: albo zdecydować się na tę, jak określiłeś, Henryku, zabawę, albo dalej ludzić się nadzieją militarnego zwycięstwa i pakować miliony w koalicje eunuchów, które on masakruje jak lis kurczęta. Krótko mówiąc: nie mamy wyboru, pozostaje porwanie.

— Szalenie proste! — powtórzył Bathurst.

— Henryku! — po raz drugi tego wieczoru Castlereagh podniósł głos. — Jak dotąd twój udział w dyskusji ograniczył się do jednej propozycji morderstwa i kilku drwin. Czy możesz zaproponować coś lepszego?

— Chwilowo nie mogę. Ale nie mogę też pojąć, że ty traktujesz na serio fantazje smarkuli, której udało się skołować chorego Williama, i roisz mrzonki, jak dzieciak bawiący się w rycerza śpiącej królowy i tłukący w marzeniach smoki! To się nigdy nie uda, jest po prostu niemożliwe!

— Mylisz się. Słowo „niemożliwe” winno być wykreślone ze słownika. Jeśli już jesteśmy przy Korsykaninie, to równo przed dziesięciu laty on sam najlepiej to udowodnił. Kiedy stanął na czele bandy wygłodniałych obdartusów, którą chyba dla żartu nazwano armią włoską, wszyscy, nawet jego rozkazodawcy, powiadali, że niemożliwe jest, by wypędził Austriaków z Włoch, i w kategoriach zdrowego rozsądku mieli rację. A on w niespełna rok przytroczył Włochy do francuskiego siodła, czyniąc z nich przedtem cmentarz kilku armii austriackich. Gdyby Kolumb uwierzył, że niemożliwe, a potem Cortez i inni... Nie, Henryku, „niemożliwe” niech idzie do diabła. Tylko ci, którzy nie tolerują tego słowa, zwyciężają!... Zresztą jest nas trzech, po to was zaprosiłem, byśmy zadecydowali... Obaj, Castlereagh i Bathurst, spojrzeli pytająco na zapomnianego przez chwilę Percevala. Ten zaś z niewzruszonym spokojem oznajmił:

— To hazard, ale hazard ma to do siebie, że można przegrać lub wygrać. Ten, kto gra, zawsze musi się liczyć z przegraną, lecz ten, kto nie gra, nie wygra nigdy. Nie wiem, ile można tu przegrać, oprócz zainwestowanych funduszy, może niewiele, a może reputację polityczną, jeśli przegrana sprawa się rozniesie. Wygrać natomiast można bardzo dużo. Żeby jednak móc wyrazić swą opinię, chciałbym poznać szczegóły planu. Wiem, że William miał w zanadrzu jakiegoś sobowtóra, lecz nie wiedział, jak dokonać zamiany. Myślę zresztą, że nie poświęcał temu zbyt wiele czasu, licząc na koalicję. Z twoich słów, milordzie, wnioskuję, że opracowałeś detale. W jaki sposób będzie można zamienić Buonapartego na sobowtóra?

— Za pomocą „Szachisty” von Kempelena — odparł Castlereagh. — Mniemam, panowie, że pamiętacie ów genialny automat?

Zapadło milczenie, podkreślane sykaniem dogasających szczap. Castlereagh, widząc osłupiałe twarze tamtych, uśmiechnął się, wstał, podszedł do kominka i dorzuciwszy szczap odwiesił pogrzebacz, a potem znowu spytał:

— Zaskoczyłem was, prawda?

Bathurst, któremu zaczęło się wydawać, iż poza dwiema możliwościami — że potomek Stewartów i Camdenów zwariował lub też kpi sobie, czyniąc z zebrania farsę dla jemu tylko znanych powodów — trzecia nie istnieje, warknął cierpko:

— O, tak! Przestałem już liczyć, po raz który dzisiejszego dnia!

Percevalowi, którego bardzo trudno było wyprowadzić z równowagi, a który jednak poczuł się zaszokowany, chwila ciszy i słowa Bathursta dały czas na opanowanie.

Odezwał się tym samym, co zawsze, monotonnym głosem, nie zdradzającym żadnych emocji:

— Przypominam sobie ów android. Nazywano go „Turkiem”. Kilkanaście lat temu wywołał w Londynie wielką sensację, wygrywał ze wszystkimi. Nie wiedziałem, milordzie, że oprócz gry w szachy posiada on umiejętność żonglowania ludźmi. To doprawdy niepojęte.

— Niepojęte jest dla nas to wszystko, czego dokładnie nie znamy, sir Spencer. Ja dzięki d'Antraiguesowi znam sekret „Szachisty” von Kempelena, sekret, który pomoże nam

wygrać naszą grę. Tylko ludzie żonglują ludźmi, automaty nigdy.

Mówiąc to Castlereagh wyjął z szufladki pianoforte i rozłożył na stole sztych z widokiem i dwoma przekrojami najslawniejszego androidu w dziejach.

„Szachista” von Kempelena należał do tego gatunku automatycznych zabawek dla dorosłych, które zwano „sztucznymi ludźmi”²⁶ i które znali już starożytni. U Greków i Rzymian mechaniczne lalki biegały dookoła stołu, poruszając głowami i rękami. Android Alberta Wielkiego, otwierający drzwi wchodzącym i witający ich dobrym słowem, został — jak mówi podanie — zniszczony przez ogarniętego zgrozą świętego Tomasza z Akwinu, co wydarło z ust Alberta słynne zdanie: „Pertiit opus triginta annorum” (przepadł owoc trzydziestoletniej pracy). Kartezjuszowi przypisywano zbudowanie automatycznej „filie Francine” (córki Franusi).

Apogeum popularności androidów nastąpiło w wieku XVIII za sprawą trzech mechaników tak genialnych, że nawet dzisiaj fachowcy nie znają wszystkich sekretów ich dzieł. Byli to: Francuz Vaucancon (twórca automatycznego flecisty i dobosza), Szwajcar Droz (autor piszącego chłopca, dziewczyny grającej na klawicymbale i dziewczyny rysującej) oraz Austriak von Kempelen.

Baron Wolfgang von Kempelen (1734—1804), radca dworu Marii Teresy, zasłynął dzięki skonstruowaniu androidu mówiącego (wymawiał on kilka zdań dzięki skomplikowanemu połączeniu za pomocą systemu drążków i kłapek miecha, który pełnił rolę płuc, z fujarką imitującą krtań), a jeszcze bardziej, gdy zbudował automat szachowy. To ostatnie dzieło, uważane za prawdziwy cud techniki, zostało zaprezentowane przez von Kempelena po raz pierwszy w roku 1769 w Bratysławie. Składało się ono z wielkiego stołu w kształcie skrzyni (na blacie szachownica) oraz z siedzącej przy nim figury dużego mężczyzny, przyodzianej w tureckie szaty, trzymającej w prawej dłoni długą wschodnią fajkę, a lewą przesuwającą figury i pionki.

„Turek”, jak go zwano, wygrywał z łatwością wszystkie partie, budząc powszechne uwielbienie. Tysiące ludzi ze zrozumiałą nieufnością starało się rozwikłać tajemnicę jego funkcjonowania, szukano człowieka ukrytego w skrzyni stołowej lub w figurze

²⁶ Nazwa „android” wywodzi się od greckich słów „aner, andros” (człowiek) i „eidos” (postać).

muzułmanina, te jednak wypełnione były niemal szczelnie maszyną. Badali „Szachistę” von Kempelena matematycy, fizycy, technicy i zegarmistrze, i każdy z nich bił w końcu brawo wynalazcy. Zachwycali się „Turkiem” monarchowie: cesarzowa Maria Teresa i cesarz Józef II, który pochwalił się wspaniałym androidem przed gościem z Rosji, wielkim księciem Pawłem. Rozpoczęty w roku 1783 rajd von Kempelena i jego automatycznego wirtuoza po Europie (Bazylea, Lipsk, Drezno, Paryż) stał się jednym pasmem niebywałych triumfów. Nie inaczej było w Londynie w roku 1784. Następnie „Turek” wylądował w Berlinie, zakupiony przez Fryderyka II. Od tego właśnie pomazańca rozpoczął swój kolejny spicz Castlereagh:

— Stary Fryc nie wiedział chyba, o co tu chodzi, i dlatego „Turek” w jego rękach nie był zbyt użyteczny. Może zresztą wiedział, nie ma to znaczenia. Dla nas istotne jest, że ja wiem, iż „Szachista” von Kempelena jest genialnym oszustwem. Ale to, że jest on fałszywym androidem, nie zmienia jego oceny: to arcydzieło!

Pogłaskał wizerunek „Szachisty” palcami z tym rodzajem czułości, z jakim głaszczce się zwierzę przed wydaniem mu rozkazu.

— ...Tak, tak. Trzeba być doprawdy fenomenem i mieć jubilerską cierpliwość, by skonstruować maszynę, w której żywy człowiek jest ukryty w taki sposób, że nie można go dostrzec zaglądając do wnętrza. A rzecz jest bardzo prosta, i na dobrą sprawę domyśleć się wszystkiego można samemu, bez informatora i grzebania w bebechach. Bo czy u licha jest możliwe, by metal i drewno reagowały jak istota obdarzona rozumem? By kłaniały się przeciwnikowi, zżymały na jego nieprawidłowe posunięcia, przewidywały pewną liczbę ruchów i posiadały zmysł kombinacyjny? Absolutna bzdura! Szachy na wysokim poziomie to wielka sztuka, a ta nie rodzi się bez ingerencji człowieka. Z dobrego instrumentu można wydobyć piękne dźwięki, ale nawet najlepszy instrument nie będzie sam komponował. Można skonstruować taki mechanizm, który napisze lub powie kilka zdań, bądź też wykona kilka rysunków lub melodii, zawsze tych samych, zde-

terminowanych odpowiednim układem dźwigni, linek i kół zębatych²⁷. Ale przecież w

²⁷ Castlereagh rozumował słusznie. Przykładowo: sławny android rysujący wykonywał tylko siedem zaprogramowanych mechanicznie scen z postaciami ludzi i zwierząt. Podobnie było ze wszystkimi (oprócz fałszywych) automatami Yaucancona, Drozów, Maillardetów, Enslena, Siegmayera, Mirala i Malzla.

szachach istnieją miliony możliwych pozycji! Ich ułożenie trwałoby nie wiem, może tysiąc lat, może dziesięć tysięcy, może wieczność, a stół, który ma teraz trzy i pół na dwie i pół stopy²⁸, nie zmieściłby się na obszarze całego Londynu. Konsultowałem to u Duboucheta²⁹ oraz z jednym mechanikiem z Nottingham... W efekcie doszedłem do wniosku, że chociaż pewne czynności można zmechanizować, to przecież w szachy nie gra się rękami, lecz mózgiem, jak zaś wiadomo von Kempelen nie był Bogiem, nie mógł więc skonstruować mózgu.

Przerwał ponownie i napił się ponczu. Mówił zbyt dużo, ale musiał mówić, by poruszyć ich wyobraźnię.

— ... To była myśl, od której zacząłem, myśl nieobca wszystkim tym, którzy zetknęli się z „Turkiem”. Każdy myślał: Niemożliwe! Lecz gdy von Kempelen otworzył drzwiczki do skrzyni stołu i pokazał wewnątrz figury, a następnie zamknąwszy je nakręcił mechanizm i mużulmanin grał, wszyscy pozbywali się wątpliwości.

— Nietrudno się domyślić, że człowiek wchodził do wnętrza skrzyni już po jej zamknięciu, przez otwór w podłodze lub w ścianie — zauważył Bathurst.

— Gdyby tak było, Henryku, dawno rozszyfrowano by tajemnicę, bo rzeczywiście nietrudno na to wpaść. Tylko że skrzynia stała zawsze w przyzwoitej odległości od ścian i poruszała się na rolkach izolujących ją od pawimentu. Zapoznałem się z dwoma opisami, angielskim i niemieckim³⁰, w których istnieje wystarczająca liczba szczegółów pozwalających wnioskować bez oglądania dzieła von Kempelena. Sądzę nawet, że bezpośrednia z nim styczność działa ogłupiająco, gdyż zafascynowane oczy zdominowują rozsądek, co nie grozi przy lekturze. Czytając wspomniane relacje natrafiłem na kilka fragmentów,

28 Biorąc pod uwagę, że różne źródła podają różne wymiary, i to najczęściej w stopach, których było kilkanaście rodzajów, trudno jest ustalić rzeczywistą wielkość. Wymiary te na pewno nie przekraczały 1,5 metra długości, 1 metra szerokości i 1 metra wysokości.

29 Chodzi o szwajcarskiego zegarmistrza i fabrykanta zegarków, który osiadł w Londynie. Jego córka, Harrietta, jedna z najgłośniejszych kurtyzan w dziejach Londynu, właścicielka najbardziej ekskluzywnego w tym mieście domu publicznego (w dobie Regencji), pojawi się w końcowych fragmentach książki.

30 W pierwszym przypadku z pewnością Filipa Thicknesse'a *The speaking figure and the automatem Chess-player exposed and detected*, London 1785. W drugim trudno dociec. Castlereagh mógł mieć w rękę K. G. von Windischa *Briefe uber den Schachspieler des Herrn von Kempelen*, Bassel 1783, lub relację opublikowaną w roku 1784 w „*Leipziger Magazin fur Naturkunde*”, bądź inną jeszcze z wielu, jakie się ukazały w latach osiemdziesiątych XVIII stulecia.

które spotęgowały moje wątpliwości. Dlaczego na przykład von Kempelen najchętniej otwierał liczne drzwiczki do skrzyni po kolei, za każdym razem zamykając uprzednio otworzone? A gdy nawet otworzył wszystkie jednocześnie, wówczas zamknięta była figura. Dlaczego po otwarciu wszystkich drzwiczek nie wszędzie był widok na wylot? Dlaczego zbliżyć się do skrzyni można było tylko przed grą? Podczas gry „Turek” stał zawsze za barierką oddzielającą tłum. Dlaczego von Kempelen podczas gry od czasu do czasu otwierał tylne drzwiczki? Dla nakręcenia mechanizmu, jak sam twierdził, czy też dla wpuszczenia do środka świeżego powietrza? Dlaczego uprzedzał partnerów swego „Szachisty” by stawiali figury dokładnie w centrum pół! Takich pytań nasunęło mi się więcej, nie chcę was wszelako zanudzać, panowie. W każdym razie doszedłem do wniosku, że za każdym razem wewnątrz musiał być ukryty doskonały szachista, a że von Kempelen produkował się ze swym dziełem prawie przez dwadzieścia lat, musiało być kilku szachistów, i to wybitnych, którzy z nim współpracowali i znają sekrety urządzenia. W marcu tego roku poleciłem d'Antraiguesowi pójść tym tropem. Mieliśmy olbrzymie szczęście. W dwa miesiące później d'Antraigues odnalazł jednego z nich w Karlsbadzie z pomocą Gimela, agenta rojalistów, pełniącego obecnie funkcję ich przedstawiciela w Altonie³¹. Moje przypuszczenia potwierdziły się, wewnątrz skrzyni rezydował zawsze żywy szachista! Podczas prezentacji wnętrza przesuwiał się na małej deseczce wyposażonej w rolki w to miejsce, które było akurat zasłonięte drzwiczkami, jeśli zaś otwarte były wszystkie drzwiczki, wsuwał się w korpus figury.

Bathurst, który od dłuższej chwili przyglądał się leżącemu na stole sztychowi, przerwał ponownie, pytając:

— Jak to możliwe? Wygląda na to, iż kot nie zmieściłby się we wnętrzu, całe jest wypełnione walcami, sprężynami, dźwigniami.

— Większa część tej maszynerii zrobiona jest z tektury i można ją składać partiami. W tym właśnie tkwi geniusz von Kempelena. Gęstość elementów utrudnia wątpięcym dokładne penetrowanie wnętrza, które po złożeniu maszynerii jest prawie puste i pozwala

31 O tajemniczych związkach hrabiego Gimela z Anglikami napomyka w swych dziesięciotomowych wspomnieniach (tomy VI i VII), wydanych w Paryżu w roku 1829, Ludwik Antoni Fauvelet (Bourienne).

szachiście na swobodę ruchów. Kieruje on grą wkładając lewą rękę w lewą rękę „Turka”. Orientować się w sytuacji na szachownicy pomaga mu system magnesów i linek. Oto cała tajemnica³².

Zamilkli wszyscy, Castlereagh wyczerpany długim wykładem, Bathurst i Perceval zafrapowani odsłonięciem tajemnicy i zastanawiający się, w jaki sposób Castlereagh zamierza wykorzystać ten sekret. Przerwał milczenie Perceval:

— Milordzie, zanim przejdziesz do wyjaśnienia nam szczegółów twego planu, chciałbym się dowiedzieć, czy ci dwaj ludzie, Gimel i odnaleziony przez niego szachista wiedzą, że zamierzamy porwać Buonapartego?

— Nie. Gimel wie tylko, że chcemy wykorzystać automat do jakiejś wielkiej gry. Będzie on pierwszym człowiekiem, z którym skontaktuje się szef grupy operacyjnej po wylądowaniu na kontynencie. Znając aktualną sytuację Gimel udzieli naszym ludziom wskazówek korygujących nieaktualne ustalenia. Szachista, którego d'Antraigues przerzucił już do Berlina i z którym Gimel pozostaje w kontakcie, ma tylko jedno zadanie: zorganizowanie Korsykaninowi gry.

— Buonaparte ma grać z muzułmaninem?! (Bathurst)

— Tego nie można wykluczyć. Buonaparte to zapalony szachista, grywał często, nawet w knajpach³³. Teraz też grywa często ze swymi dworakami. O automacie von Kempelena musiał słyszeć i zapewne wie, że znajduje się on w pałacu królewskim w Berlinie.

Perceval, który wyręczając gospodarza podszedł do kominka i poprawił ogień, zapytał w tym momencie:

— Powiedziałaś, milordzie, że gra Buonapartego z „Turkiem” jest nie do uniknięcia, przez

32 Oficjalnie przyjmuje się, że tajemnica automatu von Kempelena została ujawniona w roku 1834 przez jedno z czasopism francuskich, a następnie w Stanach Zjednoczonych przez E. A. Poego. Można się z tym zgodzić o tyle, że po raz pierwszy dowiedziała się wówczas, iż dzieło von Kempelena nie jest automatycznym androidem opinia publiczna. Memoriał, z którego korzystam, wykazuje, iż rzecz znano wcześniej, co zresztą nie może dziwić, gdyż wynalazca i jego posługujący się „Turkiem” następcy współpracowali z wieloma szachistami (m. in. Allgaier, Alexandre, Boncourt, Lewis, Williams, Mouret i Schlumberger). Nazwiska szachisty odnalezionego przez Gimela autor Memoriału nie podaje.

33 Tania złośliwość Castlereagha lub Bathursta, który zrelacjonował przebieg posiedzenia nieobecnemu na nim autorowi Memoriału. W rzeczywistości Napoleon grywał w słynnej „Cafe de la Regence”, w której spędzali czas przy szachownicy m. in. Rousseau, Robespierre, Voltaire, Diderot i największy fran-uski szachista XVIII wieku, Philidor. Przez wiele lat była ona paryskim centrum życia szachowego.

co rozumiem, że lepiej byłoby gdyby z nim nie zagrał w Berlinie. Dlaczego?

— Byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy mogli uprzedzić go, przejąć tę zabawkę, wywieźć ją i zaprezentować mu w wybranym przez nas miejscu. Ale na to jest już za późno. Francuzi wkroczą do Berlina za kilka dni, nie zdążymy. Na szczęście zdążyliśmy zainstalować w pałacu, w roli jednego ze stróżów, tego współpracownika von Kempelena, o którym wspominałem. Staruszek pomoże Francuzom, jeśli Buonaparte zapragnie gry, w uruchomieniu „Turka” i przypilnuje, by tajemnica nie wyszła na jaw.

— A co z von Kempelenem? (Bathurst)

— Nie żyje od dwóch lat. Wracając do rzeczy: jeśli Francuzi odnajdą automat, staruszek przedstawi się im, a oni niewątpliwie skorzystają z jego pomocy. Przedstawi się jako mechanik, który potrafi uruchomić „Turka”. Gdyby Buonaparte jakimś cudem odkrył sekret działania „Szachisty” von Kempelena, cały nasz plan wzięłby w łeb.

— Jeśli do wykonania tego planu niezbędny jest ów „Turek”, plan może wziąć w łeb z jeszcze innej przyczyny — zauważył Bathurst. — Wystarczy, że Buonaparte zakocha się w tej zabawce i zechce wysłać ją do Paryża jako część swego łupu wojennego.

— Przewidziałem to — odparł Castlereagh. — Wówczas nasz staruszek przedstawi się jako właściciel automatu. Buonaparte nie okrada starców.

— Ale może zmusić starucha do odsprzedania automatu.

— I to przewidziałem. Bez względu na to, w jaki sposób Francuzi zawładną automatem, i tak, zanim zdążą zapakować go do wysyłki, ulotni się on którejs nocy i tyle będą go widzieli. Musimy być przygotowani na wszystkie skrajne ewentualności, gdyż musimy zawładnąć automatem, wywieźć go z Berlina i zaprezentować jego cesarskiej mości (ta drwiąca nutka w tonie Castlereagha) w miejscu uderzenia. Istotą całego planu jest, że my, a nie ktoś inny, odkryjemy mu w owym miejscu tajemnicę cudownego androidu. Jeśli pozna ją wcześniej, możemy zwijać manatki.

Po raz pierwszy w kącikach ust Percevala pojawił się uśmiech i chociaż splął niczym kropla wody rzucona na rozpaloną blachę, ślady pozostały w oczach i w głosie:

— Zaczynam rozumieć milordzie. W momencie, kiedy zdradzimy mu tajemnicę, Buonaparte nie oprze się pokusie zagrania z drugiej strony i zechce wejść do skrzyni, jak

dziecko ciekawe wnętrza lalki... A jeśli nie zechce?

— Byłby to cud, zważywszy jego ciekawość wszystkich rzeczy i zjawisk. Uwielbia szachy i uwielbia grzebać się w mechanizmach, nie bez przyczyny jest członkiem sekcji mechaniki Instytutu Francuskiego. Jednak na wszelki wypadek trzeba się będzie postarać, aby obok był ktoś, kto w razie potrzeby nakłoni go do sprawdzenia mechanizmu od wewnątrz.

— Zmieści się? — spytał Perceval.

— Łatwiej od innych. Skrzynia obliczona jest na mężczyznę średniego wzrostu, gdyż von Kempelen wiedział, że nie znajdzie wielu karłów świetnie grających w szachy. A Buonaparte to przecież nieomal karzeł. Wejdzie bez trudu.

— A wówczas? (Bathurst)

— Wówczas pobawi się trochę we wnętrzu i wyjdzie. Ale już nie on, lecz sobowtór. Czyż nie tak, milordzie? (Perceval)

— Właśnie tak. Skrzynia będzie stała przy ścianie. Gdy za Korsykaninem zamkną się drzwiczki, otworzą się inne, od strony ściany, odsłaniając wylot do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie będą nasi ludzie i sobowtór. Buonaparte w ułamku sekundy zostanie oszołomiony i wyjęty z „Turka” jak bochenek chleba na szufli, a jego miejsce w skrzyni zajmie identycznie ubrany sobowtór. Zamiana potrwa najwyżej pół minuty. Cała trudność polegać będzie na wywiezieniu automatu z Berlina, znalezieniu odpowiedniego miejsca i technicznym przygotowaniu pułapki. Dlatego w grupie operacyjnej musi się znaleźć dobry mechanik, który przystosuje konstrukcję skrzyni do naszych celów. Mam już takiego człowieka.

— Gdzie? (Bathurst)

— W Nottingham. W każdej chwili mogę go sprowadzić do Londynu.

— Pytam, gdzie można będzie dokonać zamiany.

— Ach tak... To jeden z trudniejszych problemów. D'Antraigues przygotował kilka propozycji, gdyż nie sposób było przewidzieć, gdzie Buonaparte się zatrzyma. Kilka z nich jest już nieaktualnych, Poczdam, Drezno, Lipsk, Erfurt... Nawet gdyby zatrzymał się w każdym z tych miast, w co wątpię, do żadnego nie zdążymy. Do Berlina również;

najprawdopodobniej nasi ludzie nie zastaną go już tam. W sztabie francuskim kreślone są w tej chwili plany dalekiego marszu na wschód, wiemy to od emisariusza filadelfów. Do wyboru jest więc Poznań, w którym zatrzyma się bez wątpienia, a potem Warszawa lub Toruń, lub Gdańsk — trudno przewidzieć, najprawdopodobniej Warszawa. Z wielu względów Poznań wydaje mi się najlepszy dla nas, obawiam się jednak, że i tam możemy nie zdążyć, to zbyt blisko Berlina...

— Do pioruna! Przecież on jest jeszcze o kilkaset kilometrów od Berlina, a gdy tam zawita, rozsiądzie się na długo, by smakować swój triumf, jak przed rokiem w Wiedniu! Dlaczego więc nie mamy zdążyć do Poznania?! — krzyknął Bathurst.

Castlereagh słysząc to rozpromienił się i zamknął w serdecznym uścisku dłoń Bathursta, na moment całkowicie nieangielski i niecastlereaghowski w tym wybuchu quasi-dziecięcej radości:

— Henryku! Idziesz więc na to?! Nareszcie wierzysz, że to realne?! Piję twoje zdrowie, wasze, panowie!

— Nie wierzę ani odrobinę — odparł Bathurst podnosząc kieliszek — ale uwierzyłem Spencerowi. Niewiele ryzykuję, a jeśli jakimś diabelskim trafem rzecz się uda, wywalimy wigów za burtę i zbierzemy się jeszcze raz w tym samym gronie, by rozdzielić teczki. Piję twoje zdrowie, Robercie, będzie ci bardzo potrzebne, jeśli operacja splajtuje. Do zatuszowania sprawy. Obawiam się, że będzie to wymagało więcej wysiłku niż jej przygotowanie...

— Nie kracz.

— Nie kraczę, staram się przewidywać. A więc powinniśmy zdążyć do Poznania, bo według ciebie to miejsce idealne...

— Dokładnie nie chodzi o sam Poznań, lecz o miasteczko Szamotuły³⁴. Jest ono położone dwadzieścia mil na północny zachód od Poznania i jest o tyle lepsze, że mieszka w nim zaledwie półtora tysiąca osób, więc nasi ludzie nie zastaną tam najprawdopodobniej żadnej władzy, bo to miasto dopiero od dziesięciu lat pruskie³⁵.

34 W tekście Memoriału: Samter, co jest niemiecką nazwą Szamotuł. Większość nazw autor podaje w pisowni niemieckiej.

35 Dokładnie od trzynastu, od roku 1793.

Prusacy zwieją zeń, gdy tylko Francuzi przekroczą Odrę, a nowe urzędy i policja nie narodzą się od razu. Do takiej dziury Korsykanin nie wybierze się z całym dworem i całą obstawą, lecz najprawdopodobniej po swojemu, z kilkoma ochroniarzami, tak jak to robi...

— Wybacz, że przerywam, milordzie, ale jaką mamy gwarancję, że Buonaparte zainteresuje się tą dziurą i zawita do niej? — zapytał Perceval.

— Że zawita, żadnej, bo czy my w ogóle mamy zagwarantowany jakikolwiek jego ruch? Możemy tylko przypuszczać. Może nawet dojść do takich układów politycznych, że on z Berlina zawróci do Paryża, lecz prawdopodobieństwo takiego obrotu rzeczy jest niezmiernie małe. Prawie na pewno ruszy dalej na wschód, a gdy to uczyni, na pewno zatrzyma się w Poznaniu. Nie można przewidzieć, na jak długo, będzie to zależało od rozwoju sytuacji na froncie. Prawdopodobieństwo jego wizyty w Szamotułach jest jak osiem do dwóch przy założeniu, że zatrzyma się w Poznaniu na trzy dni. Każda następna doba zwiększa szansę do prawie stu procent. Upoważnia mnie do takich wyliczeń fakt, że on nie musi zacząć interesować się Szamotułami. Uczynił to już kiedyś i wystarczy mu przypomnieć.

Ostatnie słowa Castlereagh wypowiedział przy pianoforte, wyjmując kolejny dokument z szufladki, której skromne rozmiary klóciły się optycznie z bogactwem już wydobytej i leżącej na stole zawartości. Czytał przez chwilę i włożywszy papier z powrotem tam, skąd go wzięł, wrócił do tematu:

— To się wiąże z pochodzeniem Korsykanina. Nie z prawdziwym, lecz z królewskim, które pragnął sobie przypiąć niczym kokardę do kapelusza. Jego pochlebcy szybko się uwinęli i znaleźli coś odpowiedniego. Mam tu list na ten temat od pewnego rojalisty do Williama. Przyszedł już po śmierci premiera. Powiadam wam, panowie, tak zabawnej lektury nie miałem od dawna. Otóż te błazny udowodniły, że Buonaparte jest w prostej linii... no, zgadnijcie, panowie, kim?... Moglibyście zgadywać do końca życia. Powiem wam: Burbonem! Ha, ha, ha!

Autor Memoriału napisał: „Śmiali się do rozpuku”. Niewątpliwie. Bathurst i Perceval z zaskoczenia pointą, Castlereagh, by dać upust zmęczeniu, ukontentowany, że przeforsował swą koncepcję.

— Posłuchajcie, w czym rzecz. Znaleźli rzekomo dokumenty, które mają dowodzić, iż wbity w żelazną maskę brat Ludwika XIV miał dziecko z córką swego strażnika więziennego o nazwisku Buonaparte i że z tego związku wywodzi się korsykańska gałąź Buonapartych. Dobrze, co?... Lecz tak prymitywne, że nawet on się przestraszył kompromitacji i zakazał to publikować. Ale podnieciło go to, nie wygnał tej myśli precz, przeciwnie, uczeplił się jej i powołał tajną komisję śledczą, która szuka po całej Europie wszystkich możliwych śladów i dokumentów dotyczących „żelaznej maski”.³⁶

—Widocznie marzą mu się pewniejsze dowody jej igraszek z panną Buonaparte. (Bathurst).

— W każdym razie Korsykanin ma obsesję na punkcie „żelaznej maski” i wszystkich żelaznych masek. Każe sobie donosić o każdej, którą wygrzebią w archiwach i legendach. Na ślad jednej z nich natrafił przesłuchując po Ulmie³⁷ szkockiego kupca z Szamotuł, który zmierzał do Genewy i nie zdążył wymknąć się z twierdzy...

— Szkot z Szamotuł? — zdziwił się Bathurst.

— Tak. Nie ma w tym nic dziwnego, w tej polsko-pruskiej dziurze Szkoci mieszkają od XVI wieku. Kiedyś była tam duża ich kolonia. A co do legendy... Jest w Szamotułach wieża zamkowa, w której w XVI wieku pewien polski arystokrata trzymał pod kluczem niewierną połowicę³⁸. Podanie tamtejsze mówi, że w żelaznej masce, której nie zdjęto jej

36 Większość tego, co Castlereagh powiedział na temat „żelaznej maski”, to płody rojalistowskiej propagandy, okraszone złośliwymi przeinaczeniami i błędami. Rodzina Bonaparte wywodziła się z włoskiej szlachty. Wszelkie podsuwane mu bardziej blaskotne genealogie Napoleon ciskał w ogień i zakazywał produkowania takich bzdur.

O wspomnianej genealogii z „żelazną maską” u źródła wspomina w biografii Napoleona kilku autorów (Chateaubriand, Peyre i in.) Była to inicjatywa jakiegoś liczącego na karierę spryciarza, który próbował wmówić Bonapartemu, iż uwięziony w żelaznej masce na wyspie Świętej Małgorzaty brat Ludwika XIV ożenił się z córką naczelnika więzienia. Dzieci z tego krótkiego związku miały otrzymać nazwisko matki, Bonpart, a następnie osiąść na Korsyce, dając początek rodzinie Bonaparte. Jak można się przekonać z Memoriał de Sainte-Helene Las Casesa (pierwsze wydanie w roku 1823), Napoleon uznał to za bajkę, wyśmiał całą rzecz i odprawił natręta. Najdowcipniejsze zaś jest, że początkowo najusilniej rozpowszechniali wersję o takim pochodzeniu generała Bonaparte... rojaliści, sądząc w swej naiwności, że gdy poczuje się on Burbonem, przywróci tron Ludwikowi XVIII! Faktem jest natomiast, że specjalna komisja śledcza, działająca z rozkazu Napoleona, starała się wyświetlić tajemnicę „żelaznej maski”, i że Bonaparte interesował się wszystkimi postaciami historycznymi zakutymi w żelazne maski.

37 W październiku 1805 roku Wielka Armia Napoleona otoczyła po zaskakującym manewrze twierdzę Ulm i wzięła do niewoli znajdującą się w niej 30-tysięczną armię austriacką Macka.

38 Chodzi o Halszkę z Ostroga i jej męża, magnata Łukasza Górkę, do którego należały Szamotuły. Wspomniana wieża mieszkalna nazywana jest od dawna „basztą Halszki” lub „basztą Czarnej

nawet po śmierci. Buonaparte otrzymał na ten temat wyczerpującą relację, my na szczęście również, dzięki jednemu z szamotulskich Szkotów, który utrzymuje kontakt ze swoim krewnym, mnichem z Glasgow, Allanem Robertsonem³⁹, ten zaś to znajomy Wellesleyów, których dobrym znajomym jestem ja. Oto łańcuszek, który sprawił, że dotarła do mnie wiadomość o dziwnie rozmiłowanym w historii Francuzie, który szwendał się przed niespełna rokiem po Szamotulach. Francuz dał się spić wódką, którą Polacy pędzą z żyta, i okazał się gadatliwy... Ja zaś mniemam, że Buonaparte okaże się ciekawy i zechce zobaczyć, gdzie zmarła ta polska lady w żelaznym garnku na łbie.

— A jeśli zapomniał? (Bathurst)

— To możliwe, wreszcie ma poważniejsze sprawy na głowie. Ale wówczas znajdzie się obok ktoś, kto mu przypomni.

— A jeśli mimo to nie zechce pojechać? (Bathurst)

— To wspomni się o dodatkowej atrakcji, o drugim egzemplarzu „Szachisty” von Kempelena ukrytym w szamotulskiej wieży.

— A jeśli zatrzyma się we Frankfurcie i w drodze do Warszawy tylko przeleci przez Poznań? (Bathurst)

— To przewieziemy „Szachistę” do Warszawy. D'Antraigues znalazł pod Warszawą dwa budynki dobrze odpowiadające naszemu celowi. Lecz z kilku względów Szamotuły są lepsze. Po pierwsze, d'Antraigues nawiązał już kontakt z owym Robertsonem, który tam mieszka i w razie potrzeby pomoże naszym ludziom. Po drugie, wieża idealnie nadaje się do naszej gry, jest bowiem połączona podziemnym przejściem z pobliskim kościołem. Po trzecie, o niespełna pięćdziesiąt mil na południe od Poznania, a więc sześćdziesiąt od Szamotuł, mieszka nasz sobowtór.

— Czy to dobry sobowtór? (Bathurst).

— Wyśmienity. Jest podobny do Buonapartego jak kropla do kropli wody; prawie jego rówieśnik i tylko o cal wyższy. To, że należy do nas, jest zasługą Williama, d'Antraiguesa i

Księżniczki". Historię tej nieszczęsnej kobiety pierwszy opisał Łukasz Górnicki, po nim zaś Orzelski, Kojatowicz, Raczyński i inni.

³⁹ Najprawdopodobniej był to brat lub kuzyn innego szkockiego mnicha, Jamesa Robertsona, który pracował dla angielskiego wywiadu pod pseudonimem "Rorauer" ' któremu udało się w roku 1808 doprowadzić do zdrady współpracujący z Francuzami korpus hiszpański markiza La Romana.

jego „paryskiego przyjaciela”⁴⁰. Ten sobowtór to mnich z gostyńskiego klasztoru. Przed dwoma laty przybył do Paryża z delegacją polskich papistów, by wyłudzić jakieś obietnice od Korsykanina. Nie potraktowano ich najlepiej, zbyto, był nerwowy okres koronacji i nikt nie miał

dla nich czasu. Nikt z otoczenia Buonapartego ani on sam. Za to znalazł czas informator d'Antraigues, który zorientował się w podobieństwie mnicha do Buonapartego, mimo że ten Polak nosił długie włosy, brodę i kaptur. D'Antraigues zawiadomił o tym Pitta, który wpadł wówczas, nie bez pomocy Estery, na pomysł zamiany. Nie była to decyzja, William chciał po prostu mieć schowaną na przyszłość taką kartę atutową do gry. Przywieźć mnicha do Anglii nie było można, bo to wzbudziłoby podejrzenia. Został więc kupiony okazałym datkiem na ubogich przez „paryskiego przyjaciela” i wrócił do swojego monasteru z poleceniem zapuszczenia większego zarostu i oczekiwania na człowieka, który zgłosi się doń i zacznie rozmowę od umówionego hasła. Jest nim liczba dni spędzonych przez delegację nad Sekwaną. Człowiekowi, który zjawi się z hasłem, mnich będzie powolny.

— Czy on wie, milordzie, do czego chcemy go wykorzystać? (Perceval).

— Wie, że do gry przeciw Napoleonowi. O zamianie nikt mu nie mówił, ani on nie pytał, ale musiałby być wyjątkowo głupi, by się nie domyślać. Zostanie poinformowany dopiero w trakcie operacji. Do Paryża jechał obojętny wobec Buonapartego, wracał nienawidząc go, dowiedział się bowiem, nie bez naszej pomocy, o sposobie, w jaki Korsykanin potraktował papieża, i o kulisach konkordatu, i widział na własne oczy, jak parweniusz ośmieszył Piusa w Notre-Dame, sam sobie wkładając koronę na głowę. No i wreszcie cała ich delegacja ledwo dopchała się do jakiegoś niskiego urzędnika, Korsykanin nie chciał ich przyjąć. Nasz przyjaciel w habicie ma tę zaletę, że woli nie zdawać się na sąd ostateczny. Zrobi wszystko przeciw Buonapartemu.

— A jeśli coś mu się do tej pory odmieniło i odmówi w ostatniej chwili? Zmusić go nie będzie można, milordzie. (Perceval)

⁴⁰ Nie wiadomo, kto był agentem d'Antraiguesa podpisującym się jako „Paryski przyjaciel” („L'Ami de Paris”)- Historycy francuscy przypuszczają, że za tym pseudonimem kryli się dwaj wysocy urzędnicy francuskiej intendencji wojskowej, Noel Daru, a po jego śmierci w roku 1804 jego syn Piotr Daru, generalny intendent Wielkiej Armii.

— Nie odmieniło mu się nic. D'Antraigues skontaktował się z nim w lipcu tego roku. Jeśli zaś chodzi o zmuszanie... Zmusić można każdego, sir Spencer, trzeba tylko wiedzieć, jak. D'Antraigues, któremu udało się odnaleźć miejsce pobytu ukochanej siostrzenicy mnicha, dał mu delikatnie do zrozumienia, że gdyby coś nawaliło... To tak na wszelki wypadek, jako że nigdy za dużo zabezpieczenia w grze takiej jak nasza.

Castlereagh odchylił się na oparcie fotela i przymknąwszy oczy odpoczywał, czekając, co powiedzą. Był już bardzo zmęczony, a tyle jeszcze zostało do powiedzenia: data, fundusze, grupa operacyjna, broń, paszporty... Uniósł powieki.

— Jeśli mamy zdążyć, grupa operacyjna musi wyruszyć najpóźniej za dwa tygodnie, w pierwszych dniach listopada. Do tej pory trzeba ją będzie skompletować i wyposażyć. Mamy bardzo mało czasu, nawet biorąc pod uwagę, że ja już przygotowałem wiele niezbędnych akcesoriów, w tym oryginalny uniform szaserów gwardii francuskiej z kapeluszem, legią honorową i wstęgą, identyczny jak ten, który zawsze nosi Buonaparte, oraz...

— Poczekaj, Robercie! — Bathurst podniósł rękę, hamując potok słów Castlereagha. — Może się przecież zdarzyć, że akurat Buonaparte wdzieje inny strój.

— Tak, to możliwe. Wówczas zamiana potrwa nie kilkadziesiąt sekund, lecz około dwóch, trzech minut. Przez ten czas któryś z naszych ludzi będzie siedział w skrzyni i grał, by nie wzbudzić podejrzeń, a tymczasem reszta rozdzieje jego cesarską mość, by zakonnik mógł się przebrać. Jest to jednak mało prawdopodobne, Korsykanin bardzo rzadko ubiera się inaczej, najczęściej podczas ceremonii dworskich, poza Paryżem prawie nigdy. Jest to dla nas duże ułatwienie. Wracając do przygotowań... Od kilku już miesięcy opłacam i trzymam w pogotowiu trzech ludzi niezbędnych w grupie operacyjnej. Jeden to znakomity mechanik, zegarmistrz-rusznikarz, wszystko naraz, złota rączka. Nazywa się Heyter i pochodzi z Nottingham. W Glasgow jest ten mnich Robertson, który da nam kontakt ze Szkotami szamotulskimi, w Bristolu zaś polski oficer na naszym żołdzie⁴¹.

Będzie on w grupie drugą obok sobowtóra osobą znającą język polski, co jest niezbędne

41 W Memoriale Polak ten określany jest mianem Józef. Być może był to służący w Bristolu w obcym regimencie młody Tepper (chyba jeden z synów warszawskiego bankiera Piotra Fergussona Teppera), o którym wspomina J. U. Niemcewicz w swych Pamiętnikach, Lipsk 1868.

na terenach na wschód od Odry. Myślę, że cała grupa winna się składać z nie więcej niż dziesięciu ludzi. Ich znalezieniem zajmie się szef grupy.

— Kto nim jest? — spytał Bathurst.

— Nikt. Nie mam na razie takiego człowieka — odpowiedział Castlereagh.

— Nie masz?!

— Niestety nie, Henryku. Mogłem wcześniej wsadzić do kieszeni kilka pionków i trzymać je w pogotowiu, ale na dowódcę potrzeba kogoś z rasy dowódców, a taki nie da się kupić za kilka sztuk złota i nie będzie czekał miesiącami, aż ja raczę dać mu znak. Człowiekowi takiemu musiałbym również wyjaśnić, o co chodzi, a jak mogłem to zrobić, nie wiedząc wcześniej, czy podejmiemy akcję? Musiałem więc czekać do ostatniej chwili. Wiem, że to obecnie najtrudniejszy problem.

— Tak, milordzie, z tym będzie kłopot — zgodził się swym matowym głosem Perceval. — Nie możemy powierzyć dowództwa operacji byle komu. Musi to być człowiek niezwykle, a takich nie spotyka się co dzień na ulicy. Musi być bardzo inteligentny, zuchwały i przedsiębiorczy, nie znający skrupułów i granic wyrachowania, lecz gdy trzeba, pamiętający o granicach ryzyka, doskonały organizator o nerwach ze stali, lis i pantera w jednym ciele. Do tego powinien posiadać charyzmat wodza i być nam całkowicie oddany. Gdzie znajdziemy takiego?

— Jest taki człowiek w Londynie, Wilson⁴². Kiedy miesiąc temu wrócił z Południowej Ameryki, pomyślałem sobie, że nadawałby się jak nikt inny. Chwilowo nie ma nic do roboty i rozgląda się za jakimś zajęciem. (Castlereagh)

— Ten wigowski reformator z Bożej łaski?! — wyrzucił z siebie Bathurst. — Zapomniałeś już, Robercie, o jego herezjach?⁴³. Nie pogłaskaliśmy go wówczas, to dzięki nam wylądował za oceanem. Jest nie tylko człowiekiem wigów, lecz i przyjacielem Canninga!⁴⁴

42 Sir Robert Tomasz Wilson (1777—1849), późniejszy generał, wieloletnie „enfant terrible” angielskiej dyplomacji i wywiadu, uchodzący za jednego z najniebezpieczniejszych ludzi w Europie. Brat udział w wielu kampaniach doby napoleońskiej i w walkach na terenie czterech kontynentów; uczestniczył ponadto w niezliczonych akcjach polityczno-szpiegowskich.

43 W roku 1804 Wilson zaproponował oficjalnie reorganizację armii brytyjskiej, krytykując jej przestarzałość („Inquiry into the State of British Army, with a View to its Reorganisation”), co wzbudziło wściekłość kół rządzących.

44 Bathurst był zagorzałym nieprzyjacielem szefa liberalnego skrzydła torysów Jerzego Canninga (1770—1827), wszelako nie dorównywał pod tym względem Castlereaghowi, którego nienawiść do

I to on ma być nam oddany?

— Mnie i tobie nie. Ale jest nas trzech. Sir Spencer może kupić Wilsona w swoim imieniu, nie wyjawiając naszych. Przyjaźnie Wilsona nie mają tu nic do rzeczy, gdyż jest to człowiek całkowicie niezależny.

Spojrzeni na Percevala, który rozważał coś przez chwilę, nim zabrał głos:

— Wilson to rzeczywiście kot, który chadza własnymi drogami. Nie wiem, panowie, czy uda się go kupić.

— Każdego można kupić — odparł Castlereagh — trzeba tylko znać cenę i rodzaj waluty. Wilsona, być może, nie można kupić za pieniądze, ale można za danie mu szansy kopnięcia Korsykanina. Nienawidzi go, z każdej strony tej jego opowieści egipskiej sączy się jad⁴⁵. Byłbym szczerze zdziwiony, gdyby odmówił.

— A ja szczerze uradowany! — powiedział Bathurst. — Ten człowiek może spaprać całą akcję.

— Znajdź lepszego, Henryku.

— Może znajdę, jutro dam ci znać. W każdym razie odradzam Wilsona. To dobry żołnierz ale postrzeleniec.

—Tylko postrzeleniec może zrealizować nasz plan.

— jest związany z wywiadem, a ja wolałbym, by wywiad nie przewąchał naszej gry, bo jak sam mówiłeś, Robercie, pełno tam podwójnych agentów.

— Wilson też o tym wie, nie piśnie ani słowa. Coś jeszcze?

— Tak. Wilson jest za mało doświadczony, za młody, nie ma jeszcze trzydziestu lat.

— Świetnie, bo to znaczy, że ma w sobie dość energii. Za mało doświadczony? Henryku, nie rozśmieszaj mnie. Ten człowiek nie ma jeszcze trzydziestu lat, a jako jeden z nielicznych ludzi w Europie ma już order Marii Teresy!⁴⁶

Canninga stała się legendarną. Przez pewien czas znajdowała ona ujście w szermierkach słownych, aż w końcu, w roku 1809, obaj panowie zdecydowali się wymienić opinie za pomocą pistoletów. Podczas pojedynku polała się krew, lecz żaden z przeciwników nie postradał życia.

45 Po kampanii egipskiej Napoleona Wilson wydał w roku 1802 Historię brytyjskiej ekspedycji do Egiptu (był jej uczestnikiem), szkalując w tej książce Napoleona. Puścił m. in. w obieg kłamstwo o wytruciu chorych żołnierzy francuskich i fałszywie naświetloną sprawę tzw. rzezi w Jaffie.

46 15 kwietnia 1794 Wilson wraz z siedmioma innymi oficerami angielskimi dokonał na czele trzystu dragonów głośnej szarży pod Villiers-en-Couche, ratując odciętego przez Francuzów cesarza Austrii Franciszka II. Miał wówczas 17 lat! w cztery lata później Franciszek II kazał wybić dziewięć złotych

Jeśli Castlereagh sądził, że Bathursta trudno będzie przekonać, to się pomylił. Albowiem Bathurst, słuchając riposty przyjaciela, doznał nagle olśnienia. Zaświtał mu pomysł jak zdobyć większy kęs pieczeni z planowanej gry. Opanował się i udał spokoj.

— Dobrze, zgadzam się, pod jednym warunkiem. Chcę, żeby przy Wilsonie znajdował się nasz kontroler, który będzie mu patrzył na ręce. Ktoś całkowicie nasz, oddany nam rzeczywiście ciałem i duszą.

— Masz konkretną propozycję?

— Tak. Myślę o moim krewnym, synu biskupa, Beniaminie.

— Ależ Henryku, on chyba ledwo startł mleko spod nosa, to przecież dzieciak! Lepszy już byłby jego starszy brat, James, ten oficer.

— Oficer! — wybuchnął Bathurst. — Takich oficerów są tysiące, weź pierwszego lepszego z ulicy, będzie to samo. Dobrze musztrują, dobrze krzyczą: „God save the King”, czasami dobrze umierają, gorzej myślą. Beniamin jest inny. To wyjątkowy szczeniak, wierz mi. Ten „dzieciak” ma dwadzieścia trzy lata i zanim się ożenił, zdążył odbyć kilka pojedynków, dając przeciwnikom strzały for. Pojedynkował się o kobiety i wyniósł z tego koszulę przestreloną w kilku miejscach. To urodzony szczęściarz, a nam będzie bardzo potrzeba szczęścia. Sam nie zabijał, tylko ranił, chociaż strzela wybornie, strąca ptaki z nieba z wolnej ręki! Rok temu wybrał się do Thirtleton Gap⁴⁷ i obraził w knajpie dwóch championów, którzy wygrali tego dnia. Do obydwu trzeba było wezwać lekarza, a ojciec ledwo go uchronił przed sądem. Byłby mistrzem, gdyby boks był odpowiednim zajęciem dla dżentelmena. Poza tym zna francuski i trochę niemiecki, i gra w szachy. Czego trzeba więcej?

Castlereagh nie odpowiedział. Był zaskoczony tym, że Bathurst chce zaryzykować pomniejszenie swojej rodziny o jednego członka, i tym również, że oto jest pod ręką ktoś, kogo nie uwzględniał w swych rachubach, a kto może się okazać bardzo przydatny.

Ruchem ręki dał znać, że się zgadza, i przeszedł do ostatnich szczegółów:

— Moje wydatki, jak dotychczas, zamykają się sumą dwudziestu ośmiu tysięcy funtów.

medali i zadymał jeden dla siebie, pozostałymi obdarowując wspomnianych oficerów. Po następnych dwóch latach (1800) przyznał każdemu z nich order Marii Teresy raz z tytułem barona Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

47 Thirtleton Gap w hrabstwie Rutland — miejscowość znana z walk bokserskich.

Tu jest wykaz, który możecie skontrolować. Każdy z was będzie musiał włożyć do wspólnej puli pięćdziesiąt tysięcy funtów, co razem nie wystarczy, lecz resztę kosztów pokryje Baring⁴⁸. Finansuje on znaczną część naszych zamierzeń, nie wiedząc nawet, w czym rzecz; wystarczy mu, że działamy przeciw Buonapartemu. Ja biorę na siebie przerzut grupy operacyjnej. Za dziesięć dni w Great Yarmouth będzie oczekiwał na naszych ludzi niezwykle szybki bryg, który przewiezie ich na kontynent. Ty, Henryku...

— Gdzie wylądują, milordzie? — spytał Perceval.

— w Altonie koło Hamburga. Sądzę, że to miasto nie zostanie zajęte przez Francuzów, przynajmniej nie tak szybko. Jeśli zaś na miejscu okaże się, że lądowanie tam jest niemożliwe, wylądują gdziekolwiek na wybrzeżu.

— A powrót?

— Ten sam statek będzie ich oczekiwał w Kołobrzegu.

Naszym zaufanym jest tam piwiarz (Castlereagh musiał raz jeszcze pofatygować się do pianoforte i wspomóc swoją pamięć)

niejaki Nettelbeck⁴⁹. Kołobrzeg to silna twierdza, w razie jednak, gdyby został zdobyty lub choćby tylko oblężony, statek będzie oczekiwał na zachód od Kołobrzegu, w ustalonym punkcie wybrzeża.

— Wspomniałeś o mnie — przypomniał mu Bathurst.

— Tak. Do ciebie, Henryku, będzie należało zrealizowanie w banku Rotschilda wypłat z kredytu Baringa. Niechaj wypłacą nam równowartość sześćdziesięciu tysięcy funtów we frankach i walucie saskiej oraz pruskiej, a czterdzieści tysięcy złotem. Do Sir Spencera należy Wilson i załatwienie naszym ludziom paszportów saskich przy pomocy d'Antraiguesa. Będą się podawać za irlandzkich uchodźców, chyba że Gimel wymyśli na miejscu coś innego. Tak czy owak niejedem raz będą musieli improwizować... Za dwa dni najpóźniej chciałbym wiedzieć, czy Wilson się zgadza.

Wszystko zostało powiedziane. Teraz dopiero, pólżąc w fotelach, każdy zamknięty w

48 Franciszek Baring, żarliwy zwolennik Pitta, były dyrektor Kompanii Wschodnioindyjskiej, współzałożyciel jednego z największych domów handlowych w Anglii (Baring Brothers and Company). Obracał milionami i nazywano go „pierwszym kupcem Europy”.

49 Joachim Nettelbeck (1738—1824). Był właścicielem browaru, przyczynił się bardzo do skutecznej obrony Kołobrzegu przed Francuzami w roku 1807.

sobie, zaczęli pojmować, na co się ważą. Przez cały czas zdawali sobie z tego sprawę, lecz siła perswazji Castlereagha, nienawiść do Napoleona, wino, które rozgrzewało, i atmosfera tego spotkania, które jak każda konspiracja emanowało ową magiczną moc, czyniącą z dorosłych mężczyzn małych chłopców z rozpalonymi głowami — wszystko to głużyło wrodzony sceptycyzm i wątpliwości. Zbyt łatwo pozbywali się w czasie rozmowy tych samych myśli, które teraz tłoczyły się niczym tabun spłoszonych koni, napierając na mózgi, rodząc niepewność bliską strachu. Kominek znowu przygasł i gasły jedna po drugiej świece, pograżając komnatę w chłodnym półmroku, który przynosił otrzeźwienie.

Mijały minuty i żaden z nich nie poruszył się, wiedząc, że każdy myśli o tym samym, i czekając... Na co? Gdyby któryś z nich, Bathurst lub Perceval, krzyknął teraz: — Słuchajcie, to jest szaleństwo, dajmy sobie z tym spokój! — najprawdopodobniej tym razem nie zaprzeczyłby nawet Castlereagh i nie próbowałby, jak tyle razy przedtem, kontrargumentować. Być może i on czekał na te słowa, wiedząc, że kiedy stąd wyjdą, nie będzie już odwrotu. Lecz nikt nie przerwał milczenia i w tym bezruchu ich twarze, na które padało światło z ostatnich płonących świec, upodobiały się do twarzy upiorów, nienaturalnie wyraziste, brunatnozłote, rzeźbione głębokimi cieniami.

Perceval ocknął się pierwszy, wydobyl z kieszeni zegarek i powiedział cicho, z jakimś ledwie wyczuwalnym smutkiem w głosie:

— Minęła północ. Nikt nie odpowiedział.

— Mój stangret chyba już zamarzł na kość. Dobranoc, milordzie.

Wychodzili razem, on i Bathurst. Castlereagh postanowił przenocować na miejscu.

Pożegnał ich słowami:

— Spieszcie się, panowie. Najważniejszy jest teraz czas... Nie dokończył.

Na ulicy Perceval, podając rękę Bathurstowi, szepnął ni to do niego, ni to do siebie, w noc:

— Najważniejsza jest tajemnica. Jeśli Canning lub ktoś z naszych wrogów odkryje nasze zamiary, postara się zatruć nam naszą turecką zupę, po czym doniesie królowi i będziemy skończeni.

Bathurst wzruszył ramionami i skierował się do powozu, budząc uderzeniem w ramię śpiącego na kozle człowieka. Król? Ten pomylenieć, z którego francuscy karykaturzyści mają używanie?⁵⁰ Słuchając ostatnich słów Percevala o mało nie warknął: „Mam w d... jego królewską mość!”. Ale zdusił to w sobie. Nie tylko dlatego, że mógłby tym obrazić starego wielbiciela tronu i że mógłby go usłyszeć stangret lub jakiś zapóźniony przecho-dzień, co niewątpliwie skończyłoby się źle, zważywszy przywiązanie tłumu do majestatu. W Anglii od wieków można było tak pomyśleć, lecz mówić nie tylko nie wypadało, lecz i nie było bezpiecznie. Dzięki swoim stosunkom Bathurst nie musiał obawiać się więzienia Tower⁵¹, podobnie jak ów rosyjski arystokrata, który powiedział po pijanemu, że ma cara w d..., i miast na Sybir został skazany na grzywnę „za rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości o miejscu pobytu najjaśniejszego pana”, ale nie ubrał swojej złości w słowa. Nie tylko dlatego, że był z natury ostrożny. W chwili gdy pomyślał tamto, uświadomił sobie, że on sam jest jeszcze większym pomyleńcem i że kiedy obudzi się następnego dnia, cały ten wieczór wyda mu się głupim snem.

Powóz drgnął i potoczył się. Słyszając świst bata Bathurst podniósł głowę i zobaczył w oknie na piętrze nieruchomą sylwetkę. Castlereagh nie widział go, patrzył w rozgwież-dzone niebo. Czego wypatrywał? Konstelacji Szachisty? Nie ma takiej, a oni chcą ją stworzyć wymieniając piona na króla. W szachach nazywa się to chyba promocją piona?... Tak, tylko że wymienia się piona na skoczka lub laufra, nigdy na króla. Nie ma takiej reguły. A więc to, co chcą uczynić, to narzucenie nowej reguły starej grze... Nowa reguła... „Szachista” von Kempelena... to miasto z wieżą... jak się nazywa?... szaleństwo... spać, spać... jutro trzeba będzie zacząć od świtu i wyprzedzić Percevala, koniecznie wyprzedzić... spać...

Spał źle, dręczyły go koszmary. Obudził się, gdy zaczęło szarzeć, i przez godzinę leżał z otwartymi oczami, analizując decyzję, którą podjął minionego wieczoru — decyzję wyjęcia inicjatywy z rąk Castlereagha. Jeśli już ma wejść w tę zwariowaną grę, to na całego. Przegrają — trudno, będą razem zgrzytać zębami. Ale jeśli wygrają, on musi być

50 Król Jerzy III cierpiał na chorobę psychiczną, której nasilenie spowodowało, iż w roku 1810 przekazał władzę w dłonie regenta, księcia Walii, późniejszego (od roku 1820) Jerzego IV.

51 Londyńskie więzienie stanu (do roku 1820) w dawnym zamku królewskim.

pierwszym wygrywającym. Jeden Bathurst, członek triumwiratu organizacyjnego, to mało, to tylko jedna trzecia, a największa chwała i fotel premiera dla pomysłodawcy, Castlereagha. Ale jeden Bathurst w triumwiracie i drugi jako główny wykonawca akcji to już byłby tandem nie do przeliczowania. Gdyby rzecz się powiodła, opinia publiczna i historia, wiedząc, że Bathurstowie byli mózgiem i ręką — komu przyznają laur?

Bathurstom! Bathurstowi! Hrabiemu Henrykowi Bathurstowi!

Wstał i wzięwszy kartkę listowego papieru zasiadł do biurka, na które padały pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Rozdział II

REKRUTACJA

Gdyby ktoś z nielicznych o tej porze przechodniów zechciał poobserwować rankiem 22 października 1806 roku młodego człowieka maszerującego przez Adelphi Terrace⁵² i Strand, zdziwiłby się. To prawda, że obserwacja byłaby mocno utrudniona przez gęstą mgłę, która spadła nocą na Londyn i ustępowała opornie, trzymając się ziemi i Tamizy mackami mlecznych oparów. Gdyby jednak ktoś się uparł, szybko dostrzegłby dwóch innych upartych. Za młodzieńcem w odległości kilkunastu metrów wlokło się zakutane w długi płaszcz indywiduum, pilnie zważając, by odległość między nimi nie wzrastała i nie zmniejszała się ani o cal. Podobnie czynił zgarbiony niski osobnik, który miękkim krokiem kota podążał za właścicielem długiego płaszcza w odległości gwarantującej widzialność sylwetki. Zdawać by się mogło, że tych trzech ludzi wiąże niewidoczna we mgle lina, warunkująca szybkość poruszania się każdego z nich.

Drugim powodem do zdziwienia mógł być strój młodego człowieka, wielce jak na porę roku osobiwy. Młodzian sprawiał takie wrażenie, jakby przed chwilą opuścił swój klub zapomniawszy wierzchniego okrycia. Mimo przejmującego zimna miał na obie tylko frak, kapelusz, czarną kamizelkę i tegoż koloru spodnie oraz biały krawat, drugi obok srebrnego okucia laski jasny akcent w potopie czerni udrapowanej sposobem odbiegającym od standardów Brummela⁵³.

Najbardziej jednak musiałyby zdziwić zachowanie młodzieńca w chwili, gdy mijał go potężnie zbudowany węglarz, pijany jak bela, zataczający się, na wpół oślepy alkoholowym upojeniem i mgłą. Ujrawszy przeszkodę, pijak mruknął coś niezrozumiałego i szarpnął się w bok, by wyminąć, lecz tak niefortunnie, że zawadziwszy butem o wystający z bruku kamień, całym ciężarem swego cielska runął do przodu, twarzą w kierunku ceglanego cokołu, z którym zderzenie wydawało się nieuchronne. Lecz gdy ciało znajdowało się już w połowie paraboli, prawy nadgarstek młodzieńca wykonał ledwie dostrzegalny ruch i laska z szybkością atakującej szpady przecięła powietrze,

52 Dzisiaj Victoria Embankment.

53 Jerzy Brummel (1778—1840), sławny ówczesny dandys i londyński król mody.

wchodząc szpicem między dwa pionowe pręty wystającego z cokołu parkanu, tuż nad poprzeczką, na której spoczęła. W tym samym ułamku sekundy pierś węglarza uderzyła o drzewce, a jako że to ani drgnęło, odbiła się i już nie opadła po raz wtóry, gdyż młodzieniec lewą ręką przytrzymał pijanego i posadził go na ziemi. Nie poświęcił mu ani odrobiny uwagi więcej, wszystko, co uczynił, uczynił jakby od niechcienia i natychmiast ruszył dalej swoją drogą.

Miał cienką kibić i smukły, quasi-dziewczęcy korpus, długie nogi i także ręce, można by rzec: wątle, lecz można by tak było rzec nie widząc opisanej sceny, podczas której obie zamieniły się na moment w stalowe dźwignie.

Młodzieniec ten zmierzał do domu pani Gibson, by przedstawić się Castlereaghowi i porozumieć w sprawie dowodzenia grupą komandosów⁵⁴, mających przeprowadzić na kontynencie operację „Szachista”. Nie był to Wilson, wbrew temu, czego chciał Castlereagh, a to za sprawą Bathursta, który chciał czegoś zupełnie innego. Bathurst nie dał Percevalowi szansy na

wynajęcie Wilsona, albowiem lepiej niż Castlereagh znał walutę, za którą można było kupić tego człowieka. Nade wszystko — ponad szpiegostwem i awanturą, nad hazardem i nad walką zbrojną — była nią dyplomacja. Największym marzeniem Wilsona było odegranie wielkiej roli politycznej, wpływ na historię, nie tę małą, od strony kulis, lecz tę największą, którą się modeluje będąc ministrem, posłem pełnomocnym, ambasadorem, konsulem, charge d'affaires. Nadawał się zaś do tego jak tygrys do sprawowania rządu dusz wśród lisów, co szybko zauważono i nikt — nawet ci, którzy podziwiali w nim bezkompromisowego fightera — nie chciał uczynić dyplomaty z człowieka nie rozumiejącego, że w dyplomacji króluje lisia przebiegłość i cierpliwość, usuwając w cień strategię pięści⁵⁵. Dać temu człowiekowi udział w oficjalnej misji dyplomatycznej, znaczyło kupić go bez reszty dla tej misji i odciąć od wszelkich innych spraw tego świata.

54 Pojęcia komandos, które nie istniało w owym czasie, używam dlatego, że trudno je zastąpić trafniejszą i równie lapidarną nazwą.

55 Wilson miał już za sobą misje dyplomatyczne do Wiednia i Włoch. Angielscy dyplomaci pisali o nim: „Sir Robert to fajny facet, lecz zbyt szaloputa, by mógł być dyplomata. Jako agent militarny jest znakomity, lecz byłoby kretynstwem powierzenie mu jakiegokolwiek zadania o znaczeniu politycznym” (Jackson, „Bath Archives”, London 1873); „Wilson to łatwowierny popędliwiec” (Harris, Diaries and Correspondence, London 1844).

Najbliższą taką misją było planowane poselstwo lorda Hutchinsona do dworu pruskiego. Hutchinson, od pewnego czasu protektor Wilsona, chciał go z sobą zabrać, co jednak — ze względu na dość niezrównoważony (delikatnie to określając) charakter Wilsona — wywołało sprzeciw kilku innych wpływowych wigów. Z tego właśnie skorzystał Bathurst, mający wystarczająco dobre znajomości, by w ciągu kilku godzin zlikwidować wspomniane obiekcje Foreign Office. Już w południe 21 października Wilson otrzymał w Downing Street oficjalne potwierdzenie swojego udziału w misji Hutchinsona, toteż kiedy wkrótce przybył do niego Perceval z propozycją pokierowania antyfrancuską akcją dywersyjną na terenie Prus, oświadczył, że nie może się jej podjąć, gdyż wybiera się tam właśnie w charakterze przedstawiciela rządu jego królewskiej mości⁵⁶. Dał jedynie słowo, że nikomu nie wspomni o owej propozycji.

O godzinie piętnastej trzydzieści Castlereagh odwiedził Bathursta i poinformował go o smutnym zbiegu okoliczności. Rozmowa, podczas której zdecydowali, że na czele grupy operacyjnej stanie Benjamin Bathurst, była krótka i przebiegała dokładnie według scenariusza, jaki ułożył Henryk Bathurst. Odprowadzany przez Bathursta do drzwi Castlereagh spytał:

— Kiedy się go spodziewasz?

— Wysłałem do niego list z prośbą, by odwiedził mnie jak najrychlej. Powinien być lada chwila.

— Kiedy wyrazi zgodę, przyślij go do pani Gibson. W tym domu urządziłem punkt zborny dla grupy operacyjnej. Heyter i Polak już jutro powinni być na miejscu. Tylko... tylko czy on się zgodzi? Zaczynam mieć złe przeczucia, źle wystartowaliśmy.

— Nie jestem przesądny, Robercie, i myślę, że wcale nie jest źle — odparł Bathurst. — Wilson kiepsko włada niemieckim, co może nie jest jeszcze tak istotne, lecz o wiele gorzej od Beniamina włada swoimi nerwami. Co zaś do zgody Beniamina... to pewne.

— Nie bądź zbyt pewny, Henryku, żeby nas nie spotkało nowe rozczarowanie. Myślisz,

⁵⁶ Misja Hutchinsona wyruszyła w pierwszych dniach listopada i dotarła do Prus Wschodnich. Wilson związał się następnie z armią rosyjską, rozwijając energiczną działalność dyplomatyczną i wywiadowczą. Materiały na ten temat znajdują się w Record Office (Add. MS. 30098). Patrz również: R. Wilson, *Brief Remarks on the Character and Composition of the Russian Army and Skelch of the Campaign in Poland in the years 1806 and 1807*, London 1810.

że tak łatwo opuści świeżo poślubioną kobietę?

— Wystarczająco dobrze znam to stadło. A co do jego decyzji... Cóż, sam mówiłeś, że każdego można kupić, trzeba tylko wiedzieć, za co. Ja wiem, za co można kupić Beniamina. Wystarczy, że powiem dwa słowa.

— Jakie słowa?

— Na przykład, że jest to operacja nie do wykonania, niemożliwa, czy coś w tym rodzaju. Zostaw to mnie. Dzisiaj wieczorem lub jutro rano będzie u ciebie... To znaczy u pani Gibson.

Urodzony w roku 1784 Benjamin Bathurst, krewny znanego już czytelnikowi Henryka Bathursta i syn innego Henryka Bathursta, od roku 1805 biskupa Norwich, przybył na wezwanie tego samego dnia (21 października 1806) po południu i przez dwie godziny słuchał w miarę dokładnej relacji ze spotkania, które opisałem w poprzednim rozdziale. Potem, gdy usłyszał propozycję, spytał:

— Dlaczego Wilson się nie zgodził?

— Nie wiem, chyba dlatego, że uznał rzecz za szaleństwo. I miał trochę racji, albowiem kilkadziesiąt tysięcy funtów zapłaty i obietnica awansu to trochę za mało za dziewięćdziesiąt procent szans na utratę życia. Dlatego nie żądam, byś zdecydował od razu. Jutro dasz mi odpowiedź. Masz... dokładnie czterdzieści godzin czasu na zastanowienie się i...

— Nie trzeba, zgadzam się.

— Już? Nie chcesz nawet uzgodnić tego z ojcem i Phyllis?⁵⁷ Dlaczego?

— Zostawmy w świętym spokoju jego świątobliwość mego rodziciela i jej małżeńską świątobliwość moją żonę. Tak zaciekle się modlą, że nawet nie zauważą mojej nieobecności. Powiecie, że... wyjechałem z misją dyplomatyczną lub cokolwiek innego. Henryk Bathurst nie pomylił się mówiąc Castlereaghowi, iż rzecz jest z góry załatwiona. Posługując się własnym sprytem i znajomością charakteru Beniamina, nie dał młodemu człowiekowi szans na odmowę. Szybko jednak mógł się też przekonać, iż nie zna tego charakteru tak dokładnie, jak przypuszczał. Kończąc wspólny posiłek z Beniaminem

57 Córka Williama Prana Calla. Ożenił się z nią Benjamin w roku 1805.

powiedział:

— Jeszcze dzisiaj musisz się wybrać do Castlereagha.

— Wykluczone — padła odpowiedź. — Dzisiaj wybieram się do Covent Garden.⁵⁸

— Na miłość Boską, Beniaminie! Czy nie uważasz, że teraz winienesz zostawić wszystkie głupstwa w rodzaju teatru...

— Nie. Pójdę do Castlereagha jutro. A co do teatru, głupstwem jest uważać go za głupstwo. Znasz drugiego faceta równie sensownego jak mój przyjaciel Hamlet?

Nie nalegając dłużej Henryk Bathurst udowodnił raz jeszcze, iż jednak dość dobrze zna swego kuzyna.

Wieczorem tego dnia, już po spektaklu, Beniamin udał się za kulisy i w godzinę później opuścił gmach teatru ze znajomą młodą aktoreczką. Wyjście dla aktorów znajdowało się od strony ciemnej i uczęszczanej przez córy Koryntu Mart Street⁵⁹.

Gdy Bathurst i jego towarzyszka znaleźli się na ulicy, z oddalonej o kilkadziesiąt jardów wnęki między dwiema ruderami dobiegły ich rozpaczliwe kobiece krzyki.

— Zostań tu! — powiedział Beniamin i ruszył biegiem. Uprzedził go stary żebrak, któremu uciętą w pachwinie nogę zastępował prosty kij, zakończony drewnianą poduszką pod pachę. Żebrak krzychał:

— Zostawcie ją, zostawcie ją, potwory!... Zostawcie ją! Słowa te skierowane były do kilku osobników, którzy kopali leżącą na ziemi kobietę, próbując oderwać jej ręce od wmurowanej w ścianę klamry.

— Sp..... stąd, kuternogo! — warknął jeden z nich, rosły blondyn w marynarskiej bluzie.

— Puśćcie ją, kanalie! Precz od niej, precz!

Żebrak podskoczył ku tamtym i próbował uderzyć kula, lecz czy to straciwszy równowagę, czy też potracony (Beniamin nie dostrzegł w mroku), zwałił się z jękiem na ziemię. Blondyn pochylił się nad nim i wyjął zza cholewy nóż. Uliczka rozbrzmiała wyciem kobiety:

— Nie, nieeeee! Darujcie mu, pójdę, pójdę sama! Błagam, nieeeee!

⁵⁸ Jeden z najgłośniejszych podówczas teatrów londyńskich, późniejsza (od roku 1847) Opera.
⁵⁹ Dzisiaj Floral Street.

Opryszek sprężył ramię do ciosu i w tej samej chwili dobiegło go zza pleców ciche, uprzejme pytanie:

— Przyjacielu, nie dosłyszałeś? Ta pani o coś prosiła. Odwrócił się i dojrzał Beniamina. I chociaż był to stary wyga, a igranie z ogniem stanowiło dlań codzienne rzemiosło, przyzwyczajony do wrzasków i wyszczerzonych zębów nie wyczuł, że ma przed sobą człowieka, który szepcze, kiedy zamienia się w zwierzę.

— Chcesz i ty, lalusiu?! — ryknął, podrywając się na nogi.

— Zgadłeś, przyjacielu.

— To masz!

Z tymi słowami splótł się świst szpady, która spadła niczym bat na nadgarstek napastnika, tnąc skórę do kości, wytrącając nóż i wydzierając skowyt bólu z gardła. W następnym ułamku sekundy szpada mignęła nad głową zgiętego wpół opryszka, otwierając jego kompanowi policzek aż do dziąsła i oślepiając drugiego falą krwi lejącej się z czoła. Wąską przestrzeń między murami wypełnił chóralny jęk uciekających, podczas gdy Beniamin wycierał ostrze o łachmany żebraka i wkładał klingę do będącej pochwą laski.

Kobieta, dziewczka uliczna, wystrojona niczym papuga w tanie modności i wymalowana różem od powiek do warg, podniosła się z ziemi i podała staremu kulę. Potem zwróciła się do Bathursta:

— Panie, jakże ci się odwdzięczymy? Jeśli chcesz, panie, pójdę z tobą, nic nie wezmę, z wdzięczności jeno, panie...

— Dość! — przerwał jej. — Czego chcieli od ciebie ci ludzie?

— Chcieli zawlec do własnego zamtuza i zamknąć. Wyłapują dziewczyny już od tygodnia, a potem każą pracować dla siebie i tylko dają żreć. To lotry od Doca... znaczy od doktora, tak go nazywają.

— Zamilcz! — krzyknął żebrak. — Zamilcz, bo jutra nie dożyjesz! Peggy Jones też miała za długi ozór!⁶⁰

60 Peggy Jones — czerwonowłosa piękność, w drugiej połowie XVIII wieku ekskluzywna kurtyzana, później stoczyła się na ulice podejrzanych dzielnic Londynu, zajęła drobnym handlem i prostytutką. Była jedną z najbardziej popularnych postaci półświatka. Zniknęła tajemniczo w roku 1805.

— Nie będę milczeć? — odwrzasnęła dziewczyna. — Powiem wszystko, wyniosę się do Plymouth, i tam można zarobić na życie, a nie będę milczeć! Powiem...

— Zamilcz! — powtórzył żebrak błagalnie.

— Znasz tego człowieka? — spytał Beniamin, wskazując żebraka.

— To mój ojciec, miłościwy panie, ojciec...

— Tatusiu, przestań się wtrącać. — Bathurst powiedział to takim głosem, że żebrak skulił się jak smagnięty. — A ty mów. Kto to jest ten Doc?

— Doc?... No, doktor. Nikt nie wie, jak się nazywa, nikt go nie widział. Ale on tu rządzi... wszędzie. W Saint Gilles, w Spital Fields, przy Fleet i Storegate⁶¹ wszyscy się trzęsą ze strachu przed nim. Wszędzie ma swoich zbirów, zabierają utarg, każdy tawerniarz, każdy pawn-broker⁶², każdy złodziejaszek, wszyscy muszą się opłacać, a kto nie chce, tego biją albo... no, wie pan, ciach i nie ma człeka!

— Przecież o dwa kroki stąd macie policję. Dziewczyna gwałtownym ruchem głowy odrzuciła na plecy falę czarnych włosów i zarechotała:

— Ha, ha, ha, ha! Policja! Policja! Panie, tu nawet szczury wiedzą, że Doc żyje z policją za pan brat! Policja, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Bathurst pomyślał naraz, że ten tajemniczy Doc spadł mu jak gwiazdka z nieba, że choćby się głowił przez rok, nie znalazłby lepszej okazji do przeprowadzenia egzaminu, bez którego ani rusz.

— Ci, co cię bili, to ludzie Doca? — spytał.

— Tak, panie.

— Gdzie ich odnajdę?... Co robisz takie oczy? Pytam: gdzie?

— Blisko stąd, panie, w zaułku, który ludzie zwą Low Lane, w tawernie „Ślepy kot”. Ale tam lepiej nie wchodzić, panie.

— Wy gdzie mieszkacie?

— W tylnych slumsach⁶³.

61 Fragmenty ówczesnego Londynu, stanowiące siedliska podziemia przestępczego.

62 Pawn-brokers, lichwiarze żerujący na pożyczaniu pod wysokie zastawy.

63 „Back slums”, zwane też „ziemią świętą”, w dzielnicy Saint Gilles, w roku 1806 już tylko pozostałość po jednym z głównych w XVIII wieku siedlisk prostytutek, żebraków, nędzarzy i wszelakich mętów społecznych Londynu.

— Zmiatajcie do domu.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że zostawił swą towarzyszkę samą. Chciał już odejść, gdy zatrzymał go szept dziewczyny:

— Nic dzisiaj nie utargowałam, mały będzie głodny.

— Masz dziecko?

— Tak panie, synka.

Beniamin sięgnął do kieszeni i podał jej monetę.

— Ależ panie, to złoto!

— Wiem. Wystarczy ci na kilka dni. Przez te kilka dni siedź w domu. Nie musisz wyjeżdżać z Londynu. Do końca tego miesiąca nie będzie już Doca ani jego bandy. Obiecuję ci to.

I znowu, gdy chciał odejść, zatrzymano go. Żebrak zbliżył się doń i powiedział:

— Panie, nie wiem, kim jesteś i dlaczego czynisz tak, jak czynisz, ale wiem, że nigdy w swym życiu nie widziałem człowieka podobnego do ciebie. I wiem, że moje słowa nic dla ciebie nie znaczą, panie, ale jestem stary i znam tę część miasta od dziecka, więc posłuchaj mnie. Tutaj nigdy władza królewska nie miała nic do powiedzenia, ani żadna władza, krom władzy takich jak Doc. Przed nim, za życia mojego starego, rządził tu „Harfiarz”, przed nim Wild⁶⁴, a przed Wildem pewnie ktoś inny, podobny. Nawet cała armia, gdybyś ją sprowadził, panie, nie dałaby rady, bo tu jest więcej podziemnych lochów i piwnic niż ulic. Nie porywaj się na nich, panie, bo dopiero zaczynasz żyć.

— Skończyłeś? — spytał Beniamin.

— Tak, panie, ale...

— Dość. Nie mam czasu. Powiedziałem, za dziesięć dni. Z ciemności wyłoniła się sylwetka aktoreczki.

— Beniaminie! Długo tu będziesz sterczał? Zmarzłam! O Boże, twój płaszcz!

Pelerynowy płaszcz, który zsunął mu się z ramion w trakcie walki, zdążył już nasiąknąć

64 Jonathan Wild. Dostarczał sądom chwypanych przez siebie bandytów (mianował się sam „thief-taker general of Great Britain and Ireland” — generalnym łapaczem złodziei w Wielkiej Brytanii oraz Irlandii), lecz tylko opornych mu, w rzeczywistości bowiem stał na czele wielkiej organizacji gangsterskiej w Londynie. Stracono go w roku 1725, gdy był już bardzo sławny. Żadnych informacji o „Harfiarzu” nie udało mi się znaleźć.

wodą w kałuży i upodobnić się do brudnej szmaty. Benjamin machnął ręką, wziął towarzyszkę swej nocy pod ramię i odeszli, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziewczynę i starca.

Dziewczyna, zaciskając w dłoni złoty pieniądz, wpatrywała się w ich plecy, w koronkową suknię i złote, misternie trefione loki tamtej, w jej błyszczące buciki i delikatny profil zwrócony ku twarzy mężczyzny, słyszała jej szczebiotliwy głosik coraz słabiej, aż obie sylwetki zniknęły za narożnikiem teatru. Z oczu skapywały jej łzy, ryjąc dwie cienkie bruzdy w warstwie różu.

Po tych kilku sięgających kilkanaście godzin wstecz retrospekcjach możemy już wrócić do owego ranka w środę 22 października 1806 roku, kiedy to Benjamin Bathurst maszerował do swego celu z żywym cieniem za plecami, nie wolnym od własnego cienia. Na Adelphi Terrace, przechodząc obok domu oznaczonego numerem 5, uchylił ze czcią kapelusza, co — wzięwszy pod uwagę fakt, że nikt go nie mijał i nikogo nie było w oknie — z pewnością zaskoczyłoby przybysza z kontynentu. Lecz żadnego Londyńczyka, ci bowiem wiedzieli, że w tym właśnie domu wydał ostatnie tchnienie wielki Garrick⁶⁵ i niejeden kapelusz był uchylany przed Adelphi Terrace 5.

Ze Strandu Benjamin skręcił w Southampton Street, a następnie przez Covent Garden, James Street, Long Acre i Drury Lane osiągnął High Holborn. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że po drodze lekko zboczył, by odszukać ów zaułek bez nazwy, zwany przez ludzi Low Lane. Zabrało mu to trochę czasu. W momencie, gdy zapukał do drzwi domu pani Gibson, zegar na jakiejś wieży kończył wybijać godzinę dziewiątą.

— Nie do wiary! — pomyślał Castlereagh, widząc wchodzącego Bathursta.

Niewiarygodne wydawało się jego lordowskiej wysokości to, że blondynek o dziecięcej twarzy, z rumieńcem jak u zawstydzonej panienki, z małymi czerwonymi wargami i loczkami, jakie maluje się amorkom na francuskiej porcelanie, że to wysmukłe chuchro pokiereszowało przed dziesięcioma godzinami kilku rutynowanych zbirów. Nie trzeba było nawet pięciu minut rozmowy, by zdziwienie Castlereagha ustąpiło miejsca

⁶⁵ David Garrick (1717— 1779), jeden z najwybitniejszych aktorów w dziejach angielskiej sceny, niezrównany odtwórca postaci szekspirowskich, gwiazdor i właściciel teatru Drury Lane, a także komediopisarz. Oba jego domy, londyński i wiejski (Hampton House), były przez wiele lat otaczane czcią sięgającą znamion kultu.

szacunkowi, a potem czemuś na kształt strachu przed tym chłopcem odzywającym się niemal wyłącznie monosylabami, nie wplatającym w zdania ani jednego zbędnego słowa, nie uśmiechającym się, patrzącym oczyma, których nie sposób zmusić do ucieczki w bok, zupełnie nie pasującymi do prześlicznej oprawy, zimnymi i jakby martwymi, ale tak, jak martwe są oczodoły szkieletu, które przerażają. Przywitał go z uśmiechem.

— Bardzo się cieszę, Beniaminie, siadaj.

— Witam, milordzie.

To „witam” zabrzmiało jak: „Nie życzę sobie poufałości”, ale było już za późno i Castlereagh, nie mogąc zmienić formy, zaczął tłumaczyć:

— Pamiętam cię jeszcze dzieckiem, to było chyba przed ośmiu laty w Oxfordzie... czy też, zaraz... w Durham?

— Nie wiem.

— Nie pamiętasz? To było wówczas, kiedy twój ojciec...

— Nie pamiętam!

Castlereagh poczuł złość.

— Nie ułatwiasz rozmowy, Beniaminie.

— Nie przyszedłem tu wspominać dzieciństwa.

— Dobrze, przejdźmy do rzeczy. Zdecydowałeś się?

— Tak.

— Jak wiesz, przed tobą zwróciliśmy się do Wilsona, lecz on niestety odmówił. Nie będę ukrywał, że szczerze mnie to zmartwiło, gdyż Wilson to as.

— Jestem lepszy od Wilsona.

— Jesteś tylko zarozumiały i zaczynam mieć wątpliwości, czy...

— Rozważ je sam, milordzie, i jeśli uda ci się rozproszyć je jeszcze dzisiaj, daj mi znać

— powiedział Bathurst, wstając. — Jutro może mnie już nie być w Londynie. Żegnam.

Castlereagh poczuł chętkę dzielenia zuchwalca szpicrutą, ale z kilku powodów nie uczynił tego. Po pierwsze nie miał pod ręką szpicrutę, po drugie wiedział już, że człowiek, który zamierza podnieść rękę na tego chłopca, winien przedtem napisać testament, a poza tym potrzebował na gwałt kogoś, kto mógłby zrealizować jego plan, kogoś tak

właśnie zuchwałego. Opanował się, zmusił do uśmiechu i zatrzymał Bathursta już u drzwi:

— Poczekaj, Beniaminie, proszę, wróć! Siadaj. Jesteś doprawdy w gorącej wodzie kąpany. Nie chciałem cię urazić, miałem tylko to na myśli, że jesteś mało doświadczony, podczas gdy Wilson ma za sobą kilka kampanii i misji wywiadowczych. On nie pozwoliłby, tak jak pozwoliłeś ty, śledzić się bezkarnie przez kilkanaście godzin. Znam każdy twój krok od wczoraj...

Castlereagh zawiesił głos, oczekując zdziwienia, pytania, gniewu. Nie doczekał się niczego. Bathurst ani drgnął, siedział wpatrując się w swego rozmówcę wzrokiem, w którym mieszały się obojętność ze znudzeniem.

— Oczywiście rozumiesz, Beniaminie, że nie chodzi tu o brak zaufania i właściwie nie było to śledzenie, raczej ochrona. Od wczoraj stałeś się dla nas bardzo cenny, a że włóczysz się po miejscach, w których łatwo można dostać nożem w plecy, desygnowałem jednego z moich ludzi, by cię strzegł. W nocy złożył mi meldunek o twoim szlachetnym postępku na Mart Street i powrócił pod dom tej ślicznej komediantki, by rano towarzyszyć ci tutaj... Wierz mi, to dobry spec, przyda ci się...

— Nie.

— Dlaczego nie? Sam nie wykonasz zadania, potrzebujesz kilku dobrych fachowców.

— Potrzebuję bardzo dobrych. Ten nawet nie jest dobry, jest zły. Zawołaj go, milordzie.

Castlereagh podszedł do okna, otworzył je i spojrzał w dół. W rzedniejcej mgle majaczyła u podnóża schodków, pod parkanem, sylwetka stojącego człowieka.

— Stapleton!

Głowa stojącego drgnęła i natychmiast znieruchomiała.

— Stapleton, do mnie! — powtórzył głośniejszym głosem Castlereagh. Odpowiedziało mu milczenie z zewnątrz, a zza pleców Bathurst:

— On się nie ruszy, milordzie.

— Dlaczego, do diabła?

— Nie chce, by mu ramię wyskoczyło ze stawu. Ten drugi, który stoi za nim, wykręcił mu je.

— Drugi? Nie widzę w tej mgle. Kim jest ten drugi?

— Azjata, pół-Chińczyk, pół Bóg wie kto. Przywiózł go przed laty z Chin Barrow, sekretarz ambasady Macartneya⁶⁶. Gdy się zaczął starzeć, wyrzucono go na bruk, a ja go przygarnąłem. To niemowa, japońscy piraci wyrwali mu język gdzieś w Korei, i do tego już niemłody, ale wciąż jeszcze nieco sprawniejszy od kilkunastu razem takich zuchów jak ten, którego desygnowałeś, milordzie, do ochrony mej osoby. Potrafi robić rzeczy, o których nie śniło się żadnym Wilsonom i im podobnym, na przykład przeciąć kantem dłoni dwie cegły, framugę okna lub kręgosłup. Trochę mnie tego uczył. Nazywa się to po chińsku jakoś na k..⁶⁷.

Mówiąc to Bathurst podszedł do okna i krzyknął:

— Sij!... Puść go i chodź tutaj.

Castlereagh opadł na fotel. Czuł się upokorzony: młodzik, którego miał zamiar pouczać, powoli zyskiwał nad nim przewagę.

W chwilę później do komnaty wkroczył bezszelestnie śniadocery niski człowiek o twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka, siwych włosach i przygarbionej sylwetce. Za nim widniała przerażona twarz pani Gibson. Castlereagh odesłał ją ruchem ręki.

— Odpocznij — powiedział Bathurst do sługi. Mieszaniec usiadł w kucki koło kominka i przymknąwszy oczy znieruchomiał z twarzą między kolanami i z dłońmi złożonymi niczym do modlitwy. Castlereagh zauważył ze zgrozą, że kanty tych dłoni są nienaturalnie wielkie, sine i opuchnięte, a skóra na nich przypomina zrogowaciały wrzód. Przeniósł wzrok na ręce Beniamina i dopiero teraz spostrzegł, że jego delikatne, kobiece dłonie, noszą już na krawędziach zaczątki podobnej narośli.

— Milordzie — odezwał się Bathurst — radzę już więcej nie nasyłać na mnie szpiegów, chyba że pragniesz się któregoś pozbyć na zawsze. Czy mogę zobaczyć „Szachistę”?

Castlereagh otworzył skrzynkę w pianoforte i bez słowa położył na stole sztych obrazujący automat von Kempelena. Po chwili milczenia, w czasie której Benjamin

⁶⁶ Chodzi o nieudaną misję ambasadora brytyjskiego Macartneya do Pekinu w roku 1793.

⁶⁷ Bathurst miał na myśli albo wynalezione w Indiach przed trzema tysiącami lat i przeniesione przez mnichów buddyjskich do Chin kempo, albo (co bardziej prawdopodobne) kung-fu, najbrutalniejszą i najbardziej skuteczną walkę gołymi rękami i nogami, która potem w Japonii uległa złagodzeniu i zyskała nazwę karate.

studiował rysunek, spytał:

— Jak oceniasz mój plan, Beniaminie? Wydaje mi się, że przewidziałem wszystkie ewentualności i wszystko wzięłem pod uwagę, oczywiście w zakresie ogólnym. Szczegóły będziesz koncyptował sam, na miejscu, masz całkowicie wolną rękę.

— Potrzebny mi jest przede wszystkim kod Napoleona, milordzie. Myślę o jego charakterystycznych odruchach, powiedzonkach, przyzwyczajeniach, potrawach, ewentualnie tikach. Muszę to wszystko mieć przed odjazdem. To już pańska sprawa, milordzie, jak pan to zdobędzie, byleby pan zdobył, bo nie jestem pewien, czy uda mi się wkręcić tego polskiego mnicha na dwór cesarski, a przecież musi przywoicie udawać cesarza, nawet jeśli ma to robić tylko przez godzinę lub dwie. Sama twarz, sylwetka i strój, to jeszcze nie wszystko. Nie wszystko pan też przewidział, bo wystarczy, że mnich będzie miał jakąś widoczną krostę na twarzy lub znamię na ręce, a cały interes się rozleci!

Castlereagh ponownie oniemiał. Rzeczywiście, nie pomyśleli o tym. Coraz bardziej imponował mu ten chłopiec i coraz bardziej przerażał, tak jak przeraża człowieka niezawodna maszyna, której zasady funkcjonowania wydają się być paranormalne.

— W porządku, Beniaminie. Tutaj masz piętnaście tysięcy funtów na pierwsze wydatki. Będziesz mi się z nich wyliczał. Gdy ci zabraknie, otrzymasz następne. Ile czasu będziesz potrzebował na skompletowanie grupy operacyjnej?

— To pytanie winno brzmieć inaczej, milordzie: Ilu bardzo dobrych ludzi uda się zebrać w czasie, jaki jest do dyspozycji, czyli mniej więcej w tydzień? Odpowiedź brzmi: Nie wiem. Będzie to zależało od szczęścia. Na razie jest nas dwóch, ja i Sij.

— Jeszcze dzisiaj, najpóźniej jutro, będzie was pięciu. Nie zapominaj, Beniaminie, że trzech już nająłem.

— Nie zapominaj, milordzie, że nie ty, lecz ja będę nadstawiał gardła, dlatego ja i tylko ja będę decydował, kto ze mną pojedzie. Nie obchodzi mnie, że Polak mówi po polsku, a Robertson ma kontakty ze Szkotami w Szamotułach. Jeśli mam mieć dziesięciu ludzi, musi to być dziesięć moich palców. Wolę mieć o trzy palce mniej niż wszystkie dziesięć z jednym sztucznym, bo w decydującym momencie proteza może zawieść. Tydzień starczy

na znalezienie kilku, ale tydzień to o wiele za mało, aby przekonać się, ile są warci. Dlatego przed wyjazdem urządzę im taki egzamin w Storegate i w okolicy, że, ci którzy go wytrzymają, będą godni każdego zaufania.

— O czym myślisz, Beniaminie? Jeśli o jakiejś awanturze, to odradzam. Z awantur w Storegate wychodzi się na czworakach albo w ogóle się nie wychodzi. Zabierzesz na statek kaleki?

— Kaleki i trupy zostawię, będę miał za to pewność, że ci, których wezmę, to dzieci szczęścia, a tacy będą mi potrzebni najbardziej. Bo wbrew temu, co przypuszczasz, milordzie, nie twój pomysł — nie przeczę, że bardzo sprytny — ale zwykle szczęście będzie atutem w tej grze. Gdy go zabraknie, sto genialnych pomysłów nie pomoże nam zmienić biegu historii, bo jak inaczej nazwać porwanie cesarza?

— Cesarza, cesarza! — wycedził Castlereagh. — To samozwaniec, korsykański parweniusz! Mówisz o nim tonem Francuza.

— Zawsze mówię takim tonem, milordzie, jakim chcę mówić, i jeśli komuś to nie odpowiada, nie musi ze mną rozmawiać. Będę szczery i proszę dobrze zrozumieć to, co powiem. Ja nie nienawidzę Napoleona. W przeciwieństwie do was wszystkich — szanuję go. To wielki człowiek. Gdyby nie był taki, rozproszalby teraz warty w jakimś prowincjonalnym garnizonie, a nie trząsł połową Europy. Macie go za gnojka, to wasza sprawa. Gdyby był gnojkiem, nie kupiłby mnie pan do walki z nim za milion funtów. Nie interesują mnie wasze motywy, ale sama gra, bo zapowiada się ciekawie. Myślę, że to już wszystko na dzisiaj. Wpadnę jutro, by zobaczyć tych pańskich orłów, milordzie. Aha, i jeszcze jedno. Gdzie mam lokować ludzi, których najmę?

— W tym domu. Niech się zgłaszają z hasłem „szach królowi”, ono jest przepustką.

Przygotowałem osobny pokój dla ciebie, Beniaminie, a dla nich kilkanaście posłań w tym dużym. Mogą tu spać, jeść, niczego im nie zabraknie. Obsługiwać ich będzie Stapleton.

— Doskonale, on nadaje się na lokaja. Do widzenia, milordzie. Sij, idziemy!

Wstali, on i jego sługa, i w tym samym momencie wstał Castlereagh, mówiąc:

— Odprowadzę cię, Beniaminie. Przyznam, że nie bardzo cię rozumiem. Nie nienawidzisz Buonapartego, dobrze, ale przecież ta gra ma ścisły związek z polityką, i to

wielką. Nie powiesz mi przecież, że nie interesuje cię polityka.

— Chwilowo nic a nic, jest mi obojętna.

— A Anglia?

— Dla każdego Anglia to zupełnie coś innego. Dla ciebie, milordzie, Anglia to twój stołek ministerialny, dla którego wymyśliłeś to wszystko. Bez tego Anglia obchodzi cię tyle co nędzarza, który widzi Anglię w kawałku wołowiny. Co zostaje? Frazes.

— Nie drażnijmy się nawzajem, Beniaminie, tak będzie lepiej dla nas obydwu. Jeśli pytam, to dlatego, że nie pojmuję twoich pobudek. Wreszcie, mówiąc szczerze, w tej grze jest szansa jedna na sto. Więc dlaczego? Dla pieniędzy? A może bawi cię rozgrywka intelektualna, może interesuje sława, marzysz o piedestale? Powiedz mi prawdę, chcę to wiedzieć, proszę!

Znajdowali się w połowie schodów. Bathurst stanął i odwróciwszy twarz, spojrzał Castlereaghowi w oczy. I odpowiedział tonem całkowicie odmiennym od tego, którego używał dotychczas, tak że gdyby Castlereagh nie był zbyt zaszokowany wrażeniem, jakie odniósł z zetknięcia z tym człowiekiem, wychwyciłby śpiewną nutę melancholii:

— Milordzie, powiedziałem ci już prawdę, tylko puściłeś ją mimo uszu. Gra, ze swoim ruchem w przestrzeni, drżeniem serca, napięciem i przymusem nieomylności, poza którą gubi się nic — ona sama mnie podnieca. Jest w niej wszystko najpiękniejsze, co można otrzymać od natury. Dlatego chcę zagrać tę partię szachów żywymi figurami. Czy rozumiesz mnie, milordzie? To jest jak religia. Życie można spożywać przy biurku i we własnym domu, i na okręcie, i w kuźni, i na tronie, ale to są więzienne cele, jeśli nie ma w nich radości życia, która tkwi wewnątrz człowieka, a tylko jego zewnętrzne przejawy. Zupę i befsztyk też można zjeść bez soli. Polityka, mądrość, racje, przyczyny, skutki... Milordzie, cóż to jest warte? Płomień świecy, ciepło kobiecego ciała, moja dłoń na kolbie i myśl: zdążę czy nie, psia wierność Sija — dzięki nim życie jest warte życia. Intelkt i wasze światowe cele to pustynia, na której ziarno piasku czuje obok siebie tylko takie same ziarna, suche i spalone. Nie ma mnie wśród nich i nie będzie... To już cała prawda, milordzie. Proszę się nie obawiać. Nie wiem, czy się uda, ale zrobię wszystko, co tylko będę mógł, by wygrać i przywieźć go panu. Do widzenia.

Zamknęły się drzwi i Castlereagh został sam. Przez okna wpadały promienie słońca zwyciężającego mgłę i hali rozświetlił się, lecz on tego nie dostrzegał, ślepy z otwartymi oczami. To, co czuł, było dziwną mieszaniną nienawiści i radości. Pojął, że oto znalazł człowieka, który jak żaden inny na świecie nadawał się do zrealizowania jego planu. I ciesząc się, nienawidził i zazdrościł jak ten, kto chociaż nie wierzy w Boga, zazdrości wierzącym posiadania ołtarzy.

Tymczasem Benjamin Bathurst zmierzał do domu, w którym spodziewał się zastać Roberta Wilsona⁶⁸. Zastał go i po krótkiej wymianie zdań odkrył podstęp swego krewnego. Pomyślał wówczas, że trzeba być ostrożniejszym w tym stadzie lisów, które wzajemnie się oszukują, bo nie wykluczone, że któryś z nich okaże się prowokatorem, obcym szpiegiem lub Bóg wie kim, kimś pragnącym fiaska operacji.

— Czy wiesz, panie — spytał Wilsona — jakie zadanie chciał ci powierzyć sir Perceval?

— Wiem tylko, że chodzi o jakąś antyfrancuską akcję na terenie Prus — odparł Wilson.

— Do jej wykonania — kontynuował Benjamin — potrzeba kilku sprawnych ludzi. Mam tylko tydzień czasu na ich znalezienie. Zająłem miejsce, które było przeznaczone dla ciebie, panie.

Wilson nie zdziwił się, że zadanie tak ważne, iż sam Spencer Perceval pełnił funkcję najmującego, powierzono młodzikowi o wyglądzie panienki z dobrego domu. Wilson bowiem był zaledwie o sześć lat starszy od Bathursta. Urodził się w roku 1777 i zaczynał swój życiowy hazard wstępując do armii w szesnastym roku życia, a wielokrotne zagładanie śmierci w oczy nauczyło go czytać w oczach ludzi. W oczach siedzącego przed nim dandysa Wilson dostrzegł coś, co największym zawadiakom (jeśli tylko posiadają odrobinę oleju w głowie) każe unikać zadzierania z podobnymi ludźmi gwoli oszczędzenia sobie kosztów długotrwałego leczenia. W jednej chwili wytworzył się między nimi ów magiczny, instynktowny fluid, który zbliża do siebie dwie podobne natury niczym dwa zwierzęta tej samej rasy, kiedy natrafiają na siebie w dżungli zapełnionej tłumem pospolitych przedstawicieli fauny. Różniły ich właściwie tylko dwie rzeczy: Wilson

⁶⁸ Adres tego domu nie jest podany w Memoriale, napisane jest tam wszelako: „bardzo blisko”, być może więc chodziło o dom rodzinny Wilsona, położony przy Great Russel Street, rzeczywiście bardzo blisko rezydencji pani Gibson.

był klasycznym pasjonatem typu „a foolish Englishman”⁶⁹ i bardzo interesował się polityką. Poza tym wszystko było identyczne: stonowana ekstrawagancja, karkołomna brawura nie pozbawiona zimnej przytomności umysłu w największym ogniu, szczerze reakcje serca, wirtuozeria w posługiwaniu się bronią. Każdy z nich należał do rodziny pojawiających się w każdej epoce szaleńców Bożych, dziedziczących bądź antycypujących geny Cyrano de Bergeraca i d'Artagnana, Bayarda i Du Guesclina, Corteza i Cooka, i wszystkich im podobnych od stworzenia świata.

— Gdzie konkretnie ma się odbyć ta akcja i o co tu chodzi? — spytał Wilson.

— O co tu chodzi, mogłeś się dowiedzieć, panie, przyjmując propozycję. Gdzie dokładnie, tego sam jeszcze nie wiem, będzie to zależało od rozwoju sytuacji na froncie. Jak sądzisz, panie, czy Francuzi dojdą do Wisły?

— Z łatwością, tak jakby maszerowali przez Pola Elizejskie. Rosjanie nie stawiają im oporu wcześniej, jak za linią Wisły. A Prusacy? Jeśli nawet stworzą nową armię, w co wątpię, to tylko po to, by historia odnotowała jeszcze jedną Jenę.

— Wiesz już, panie, o klęsce pruskiej? — zdziwił się Beniamin.

— Wiem od sir Percevala i nie powiem nikomu, będę czekał grzecznie ze wszystkimi na oficjalne wiadomości. To, że jestem związany z innym niż wy stronnictwem politycznym, nie ograbiło mnie jeszcze talentu dotrzymywania powierzonych mi sekretów, panie Bathurst.

— Gdybym w to wątpił, panie Wilson, nie przyszedłbym tu i nie rozmawiałbym z panem o moich sekretach. A więc twierdzi pan, że Prusacy już wylecieli z gry, nawet gdyby udało im się utworzyć jeszcze jedną armię?

— Tak. Armia, w której siedemdziesiąt procent oficerów, nawet niższych stopni, ma ponad pięćdziesiąt lat, wodzowie dziedziczą stanowiska wraz z folwarkami, połowa żołnierzy to cudzoziemskie szumowiny, a druga połowa to chłopci katowani podczas musztry jak bydłeta podczas pracy w polu, taka armia nie może wygrać z watahą głodnych wilków, którym przewodzi genialny wilkołak. Nie ma się co łudzić, Prusy już długo nie pociągną.

69 Powiedzonko anglosaskie, dosłownie: zwariowany Anglik.

- Ile czasu będzie potrzeba Francuzom na dojście do Wisły?
- Któż to może wiedzieć? Miesiąc, może dwa, może trzy, na pewno nie więcej. Teraz poświęcą trochę czasu na zdobywanie twierdz, by oczyścić sobie tyły, i tylko to opóźni ich marsz. Nie zatrzymasz ich, panie Bathurst, z kilkoma ludźmi.
- To się jeszcze okaże.
- Doskonale, wreszcie mam odpowiedź. Chcecie zabić małego „Boneya”⁷⁰, bo tylko w ten sposób kilku ludzi może wstrzymać jego armię. Nie podjąłbym się tego.
- Ja również, z tych samych powodów, panie Wilson. Nie jestem skrytobójcą.
- To mnie cieszy.
- Jak pan widzi, panie Wilson, nie każda odpowiedź oparta na logicznych przesłankach musi być trafna. Dajmy temu spokój, nie mogę wyjawiać tajemnicy. A teraz do rzeczy. Przyszedłem do pana dlatego, że potrzebuję kilku zuchów. Czy mogę liczyć na pańską pomoc? Jakiś kontakt, adres...
- Wilson milczał przez chwilę, zastanawiał się. W końcu rzekł:
- Znam pewnego marynarza. Związał z okrętu⁷¹. Ukrywa się teraz w Blackwall⁷². Nie chce wrócić na pokład, bo zakosztował „kota”⁷³. Kombinuje z rzeczonymi opryszkami⁷⁴ albo z lumpersami⁷⁵, sam nie wiem, ale marzy mu się coś innego. To ptak, który lubi fruwać. Jeśli uda się panu kupić go, będzie pan miał pożytek.
- Co potrafi?
- Zabijać, a takich pan szuka. Potrafi też ratować życie, tak jak mnie w La Płacie⁷⁶.
- Kiepsko strzela i fatalnie trzyma się na koniu, dobrze rzuca nożem, bardzo dobrze pływa,

70 Little Boney — złośliwe przezwisko nadane Bonapartemu przez Anglików.

71 W owym czasie na ulicach miast urządzano regularne łapanki mężczyzn dla zasilenia załóg okrętowych. Dezercja była zjawiskiem nagminnym, chociaż groziła za nią śmierć.

72 Dzisiaj Blackwall jest częścią Londynu przy ujściu rzeczki Lea do Tamizy. W początkach XIX wieku była to jeszcze przystań okrętowa Londynu, zastąpiona później przez doki.

73 „Kot” (cat o'five tails) — w żargonie marynarskim pięciopalczysta dyscyplina, którą wymierzano kary na okrętach.

74 „River pirates” (rzeczni piraci), zwani też „night plunderers” (nocni rabusie), byli plagą Tamizy. Grabili towary transportowane z okrętów kotwiczących w Blackwall do Londynu.

75 „The lumpers” — dokerzy, będący także rabusiami.

76 Wilson wziął w roku 1806 udział w wyprawie komodora Pophama do La Płaty (chodziło o zdobycie Buenos Aires). Dowodził kawalerią. Możliwe, że wspomniane przezeń uratowanie mu życia związane było z wypadkiem, jakiego doznał w czerwcu, gdy odpływał do Anglii. Przechodząc z okrętu na okręt wpadł do morza i niewiele brakowało, by już w nim na zawsze pozostał.

fantastycznie posługuje się liną i genialnie pije.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że potrafi zrobić z liny wszystko. Pętlę, którą zarzuci panu na szyję szybciej, niż pan naciśnie spust, drabinkę sznurową, sieć, zna tysiące węzłów. I nie można go upić, choćby nie wiem ile się w niego wlało. Pomyślałem o nim, bo zna niemiecki...

— Gdzie go znajdę?

— W Blackwall. Każdego wieczoru pije w knajpie nad Tamizą. Wystarczy wejść i krzyknąć: Tom „Rope”!⁷⁷ Tak go nazywają.

— Jak się nazywa ta knajpa?

— W ogóle się nie nazywa. Znajdzie ją pan łatwo, bo jej ściana frontowa służy do nalepiania ogłoszeń naborowych Royal Navy⁷⁸. Tom to jedyny facet, którego mogę panu polecić. Gdybym był na pańskim miejscu, wziąłbym go... Mogę panu jeszcze poradzić, by porozmawiał pan z jednym gościem z Bow Street, którego znam. To bardzo zdolny facet i chyba ma kilku asów, ale czy ich sprzeda? Nie mam pojęcia. Proszę w każdym razie powołać się na mnie.

W dwie godziny później, około trzynastej, Benjamin Bathurst po raz trzeci już w ciągu doby minął teatr Covent Garden. Tak się bowiem składało, że gmach teatru dotykał ulicy Bow, przy której mieściła się centrala policyjna ówczesnego Londynu. Cała zresztą policja londyńska, utworzona w połowie XVIII wieku przez sędziego pokoju Jonathana Fieldinga, brała swą nazwę od tej ulicy, a jej funkcjonariusze nosili chwalebne miano „Bow Street runners”⁷⁹.

Policjant, którego polecił mu Wilson, przyjął Beniamina w obskurnym pokoiku o gołych ścianach, których jedyną ozdobę stanowił kiczowaty wizerunek jakiejś bitwy. Biurko, przy którym siedział, tonęło w stosie papierów, których mnóstwo wałało się także na podłodze. Nie było tam nawet drugiego krzesła i Benjamin musiał stać, obserwowany przez czujne ślepie leżącego przy drzwiach buldoga. Wysłuchawszy prośby policjant rozłożył ręce i

⁷⁷ Rope — ang. lina, powróż, stryczek.

⁷⁸ Królewska Marynarka Wojenna.

⁷⁹ Gońcy z Bow Street. Scotland Yard (nazwa również wzięta od ulicy) powstał dopiero w roku 1829.

powiedział:

— Człowieku! Mnie samemu brak ludzi. Gdybym miał środki, nająłbym ich kilkuset, wyszkolił i oczyścił z bandziorów Storegate, Saint Gilles i inne gnojowiska. Nie starczyłoby miejsca w Newgate⁸⁰. Jest nas mało, zbyt mało, mój panie, a co gorsza tylko kilku, jak Townsend⁸¹, czy Birnie⁸², zna się na robocie. Psiakrew, całymi dzielnicami rządzą łotry, których nazwisk nawet nie znamy, bo brak ludzi do inwigilacji i do prostego walenia w mordę, a pan przychodzisz ot tak, jak na bazar, żeby kupić kilku chłopaków i to najlepszych! Idź pan do diabła, Wilson miał zawsze bzika, po co on zawraca mi głowę? Najlepszych! Właśnie straciłem najlepszego strzelca, sierżanta, na sto jardów trafił człowieka tam, gdzie pan chciał, w głowę, to w głowę, w nogę, to w nogę, chciał pan w lewą, to w lewą, chciał pan w d..., też nie spudłował. No i nie spudłował tydzień temu, ale był wieczór i słaba widoczność, pomyliłem się i wskazałem mu nie tego, którego chciałem. Zabił Bogu ducha winnego sklepikarza. Na nic tłumaczenia. Perswadowaliśmy mu wszyscy, że to nie jego wina, lecz moja, na próżno. Coś mu wlało do środka, uparł się, rzucił służbę, teraz modli się całymi dniami, śpiewa psalmy i nawet zmywa posadzki przed mszą, kretyn! Jeszcze klechę zostanie, a niech to! Głowię się, kim go zastąpić, a pan mi tu...

— Gdzie go znajdę?

— U Świętej Marii na Strandzie. Ale wierz mi pan, szkoda fatygi. Byłem tam już dwa razy i tylko straciłem czas.

Dowiedział się już o snajperze wszystkiego, czego chciał, zanotował to sobie w pamięci i przerwał policjantowi pytaniem:

— Słyszał pan o Docu?

— Słyszałem, i co z tego?

— Wiem, że macie z nim kłopoty, a ja, gdyby mi pan sprzedał ze dwóch dobrych ludzi, mógłbym...

80 Old Newgate Prison, londyńskie więzienie, w którym wykonywano wyroki śmierci.

81 Sławny Bow Street runner, Piotr Townsend, późniejszy tajny strażnik króla Jerzego IV.

82 Równie głośny Bow Street runner owej doby, Ryszard Birnie (~ 1760— 1832).

— Powiedziałem już, nie dam ani jednego! Doc mnie nie obchodzi, to nie nasza sprawa, ale tych z rzecznej⁸³. Doca rozpracowuje Littleford. Oni mają swoje biuro przy Wapping New Stairs, ale lepiej żeby pan z nim porozmawiał w jego domu, przy Petticoat Lane. Nie znam numeru, ale to dokładnie naprzeciwko wylotu takiej małej uliczki, która biegnie od Wentworth Street. Niech pan idzie, ale stawiam pięć gwinei przeciwko jednej, że nic pan nie załatwi.

— A ja pięćset — odparł Bathurst.

Dźwięk tych słów podniósł policjanta z krzesła.

— Co?! Powiedział pan: pięćset?

— Nie, powiedziałem: tysiąc. Tysiąc gwinei, płatne w przeciągu tygodnia, za każdego faceta, który ma kilka lat praktyki w łażeniu przez życie po linie i nic do stracenia, tak bym mógł go wziąć z sobą, powiedzmy, do Kanady.

Teraz obaj stali, jeden zimny jak kamień, drugi drżący z podniecenia.

— Pan to mówił serio? — wykrztusił policjant.

— Najzupełniej. Ale zapłacę tylko za pierwszy gatunek, rozumiemy się?

— Tak, tak, tylko że... Ci, których ja mam teraz, nie nadają się. Kilku jest niezłych, ale mają rodziny, a poza tym... pan szuka asów... Zaraz! Mam coś dla pana. Przed dwoma miesiącami ująłem Rufusa Browna. Słyszał pan o nim?

— Nie.

— To stary żołnierz, ostatnio był w Syrii ze Smithem⁸⁴. Nie w armii lecz w specjalnym oddziale dywersyjnym. W 1804 odrąbał głowę swemu przełożonemu, jakiemuś kapitanowi, który uwiódł mu córkę. Dziewczyna popełniła samobójstwo. Ścigaliśmy go przez dwa lata i w końcu wpadł, przez przypadek. Na dyliżans, w którym jechał, napadli bandyci, a on wystrzelał ich jak kaczkę. Potem zjawili się żołnierze, dziękowali mu i o mało nie dostał nagrody, ale ktoś go rozpoznał, wezwano mnie i teraz mieszka przy Newgate Street⁸⁵. Za dodatkowe tysiąc gwinei mogę sprawić, że ucieknie, wiem, z kim to

83 Chodzi o utworzoną w roku 1798 przez Patryka Colquhouna Marino Police (dzisiejsza Thames Division) — Policje Tamizy, pilnującą porządku na rzece i na jej brzegach.

84 William Sidney Smith (1764—1840), późniejszy admirał. W roku 1799 uniemożliwił Napoleonowi zdobycie Akki.

85 Tzn. w więzieniu.

należy załatwić, ale ten ktoś nie robi takich rzeczy za darmo. No?

— Nie.

— Brown to skarb! Grozi mu stryk, z chęcią więc wyfrunie z panem poza Wyspy.

Osiemset gwinei, zgoda?

— Pięćset, jeśli to rzeczywiście skarb, i ani farthinga⁸⁶ więcej! Kiedy i gdzie go odbiorę?

— U mnie, za dwa tygodnie.

— Za pięć dni albo wcale. Zgłoszę się po niego w poniedziałek. Bathurst opuszczał budynek przy Bow Street utwierdzony w powszechnym przekonaniu, że policja jest przekupna, i bogatszy o to przekonanie, iż jej przekupność może być nader użyteczna⁸⁷. Bow Street prowadziła wprost do Strandu, ale sztuka nie udała się po raz trzeci. Tym razem nie zastał człowieka, którego pragnął zobaczyć. Kościół Świętej Marii nie był zupełnie pusty, ale żadna ze znajdujących się w nim osób nie przypominała swoim wyglądem pokutnika, zważywszy, że były to same kobiety.

Do wieczora Beniamin załatwił jeszcze jedną sprawę: by nie korzystać ze stage coachów⁸⁸, wynajął niewielki jednokonny powozik w tym typie, który rozpowszechnił się dopiero od roku 1814. Główne siedzenie mieściło dwie osoby, trzecia powoziła.

Pierwszym właścicielem siedzenia na koźle stał się Sij.

Następnego dnia (był to czwartek 23 października 1806 roku) Beniamin zjawił się przed południem w domu pani Gibson, gdzie zastał Castlereagha, Polaka i Heytera.

Castlereagh przedstawił go słowami:

— To wasz dowódca. Będziecie mu ślepo posłuszni.

— Wasze imiona? — spytał Bathurst.

— Józef.

— Brian.

Podszedł do Polaka.

— Masz przy sobie broń?

86 Najdrobniejsza podówczas moneta będąca w użyciu w Anglii.

87 Jeden z najsłynniejszych „Bow Street runnersów”, Towson, uciułał kilkadziesiąt tysięcy funtów i wszyscy wiedzieli, że nie z pensji.

88 Sześciuosobowe dyliżanse, obsługujące centrum Londynu i komunikujące go z przedmieściami.

— Tak.

— Tak, s i r!

— Tak, sir, mam. Dwa pistolety.

— Daj.

Bathurst wziął je do ręki, chwilę ważył i podał Heyterowi.

— Jesteś mechanikiem i rusznikarzem, czy tak?

— Tak, sir.

— Są złe. Możesz powiedzieć dlaczego?

Heyter zważył pistolety w dłoniach, zmieniając kilka razy uchwyt.

— Za ciężkie, sir. Kolba za szeroka. Środek ciężkości przesunąłbym o cal do przodu.

— Dobrze, zwróć.

Bathurst włożył jeden z pistoletów w zanadrze, drugi położył na górnym blacie pianoforte, po czym stanął o trzy kroki przed Polakiem i powiedział:

— Kiedy Brian doliczy do trzech, złapiesz za swój, ten, który tam leży, a ja za swój.

Zobaczmy, kto strzeli pierwszy.

Castlereagh, który do tej pory obserwował sprawdzian z ukontentowaniem, teraz nie wytrzymał i krzyknął:

— Ależ to niesprawiedliwe! Ty masz pistolet przy sobie, a on za plecami! Nie dajesz mu szansy, Beniaminie!

— Na wojnie nie wybiera się szans. Zechciej się nie wtrącać, milordzie. Brian, zaczynaj.

— Raz, dwa, trzy!

Bathurst sięgnął w zanadrze i nie wyjmując broni, bo na to nie było czasu, odchylił się gwałtownie, by uniknąć uderzenia w pierś, lecz nie zdołał się odchylić wystarczająco i ramię szybującego w powietrzu Polaka zawadziło go, zwalając na ziemię. Podnieśli się równocześnie, dysząc, mimo że wszystko trwało ułamki sekund.

— Dobrze — powiedział Bathurst — tak trzeba. Jesteś na razie wolny.

— Przepraszam, sir, czy mogę coś zaproponować? — spytał Polak.

— Słucham.

— Znam mego rodaka, sir, to prosty żołnierz, służy w polskim batalionie⁸⁹. Myślę, że nadawałby się.

— Myślisz czy wiesz?

— Wiem, sir. To dzielny człowiek. Bathurst zwrócił się do Castlereagha:

— Milordzie, czy możesz wyciągnąć tego człowieka z munduru w trzy dni?

— Spróbuję.

Castlereagh i Polak wyszli do sąsiedniego pokoju. Beniamin odczekał, aż zamkną za sobą drzwi.

— Słuchaj, Brian, potrzebna nam będzie dobra broń.

— Wiem o tym, sir, trzy miesiące temu jego lordowska mość polecił mi ją przygotować. Spreparowałem kilka zabaweczek. prawdę mówiąc, sir, żadna nie jest moim wynalazkiem, no bo, jakby to powiedzieć... mnie nie interesuje przechodzenie do historii, wolę, żeby za życia pieniądze przechodziły do mojej kieszeni. Lord Castlereagh dobrze mi płaci, więc pracuję dla niego.

— Od tej chwili, Heyter, pracujesz tylko dla mnie, gdyż tylko ode mnie będzie zależało, jaką otrzymasz zapłatę. Wbij to sobie dobrze do głowy i przestań myśleć o lordzie Castlereaghu. No więc co tam masz?

— Cacuszka, sir, prawdziwe cacuszka. Słyszał pan, sir, o zamku butelkowym?

— Nie.

— Zamek butelkowy, sir, to całkiem nowa rzecz. Wymyślił to jeden szkocki klecha, Forsyth⁹⁰. Od kilku miesięcy próbuje biedak przekonać rząd, żeby armia rzuciła karabiny skałkowe i wzięła się za butelkowe, ale to mu się nie uda, bo w naszej kochanej Starej Anglii nie tak łatwo stare zastąpić nowym⁹¹. A trzeba panu wiedzieć, sir, że Forsyth....

89 W armii angielskiej czasów napoleońskich znajdowało się kilka batalionów złożonych z polskich żołnierzy. Najdawniejsze zaciągi Polaków datowały się z roku 1801 z Niemiec (najprawdopodobniej z Legii Naddunajskiej Kniaziewiczza), z roku 1802—3 z Malty oraz z roku 1806 z Messyny (z Legii Dąbrowskiego). Patrz M. Haiman: Ślady polskie w Ameryce, Chicago 1938.

Polscy zbiegowie z szeregów angielskich w roku 1811 w Hiszpanii opowiadali, że w brytyjskim korpusie ekspedycyjnym jest batalion zwany niegdyś francuskim, składający się z samych Polaków. Patrz: Z. L. Sulima {W. Przyborowski), Polacy w Hiszpanii 1808—1812, Warszawa 1888.

90 Pastor Aleksander Jan Forsyth (1769—1843), wynalazca zamka perkusyjnego (kapiszonowego). Pierwsze egzemplarze prezentował lordowi Moirze wiosną 1806 roku w Londynie.

91 Wynalazek Forsytha został przyjęty w armii dopiero na krótko przed jego śmiercią.

— Do rzeczy, Brian, co z tą bronią?!

— Tak jest, sir, właśnie o tym mówię. No więc chociaż Forsyth strzegł swej tajemnicy, wyniuchałem, że rtęć kupuje, a potem to już wszystko było proste. Otóż z rtęci robi się mieszaninę wybuchową⁹², wkłada się ją do miedzianej tulejki, która sąsiaduje z pociskiem, a kiedy...

— Streszczaj się, człowieku!

— Tak jest, sir, cały czas to robię. Zawsze uważałem, że jak się krótko powie, to się dobrze powie. Mój szwagier pewnego razu rozgadał się, no i...

— Heyter!

— Tak, tak, już mówię, sir. No więc jak już mówiłem, wymyślił to Forsyth, a ja mam taki talencik udoskonalania tego, co inni wymyślą, bo to idzie szybciej. Zresztą Forsyth uczepił się karabinu ze swoim zamkiem butelkowym, a ja wymyśliłem kapsleki siedzący zaraz za pociskiem w broni krótkiej. No bo nam niepotrzebne karabiny, wielkie toto, rzuca się w oczy, nam będzie trzeba pistolecików, co się je w kieszonkach skryje.

— Słusznie, ale nie gładź już o tym, czego nam trzeba, pokaż co masz.

— Tak jest, sir, już się robi...

Heyter otworzył najmniejszą z trzech skrzynek stojących w kącie komnaty.

— Oto sześć pistolecików, sir. Malutkie dzieciny, lekkie. Bathurst wziął jeden do ręki.

— Proszę uważać, sir! Są nabite — krzyknął Heyter. — Każdy ma bębenek, a w nim pięć komór z pociskami i kapslami. Można strzelić pięć razy bez nabijania, wystarczy odciągnąć kurek i nacisnąć spust, a po każdym strzale drugą rączką przekręcić bębenek o jeden skok, tak żeby nie odpalona jeszcze komora znalazła się na wprost lufy⁹³. To też nie mój wynalazek, bo taki karabin z bębenkiem znali już przed stu laty, widziałem rysunki⁹⁴. No i połączyłem ten wynalazek z tym Forsytha, bo jak już mówiłem...

W tym momencie rozległ się strzał i zaraz potem cztery następne. Komnatę wypełnił swąd spalonego prochu.

92 Piorunian rtęci, Hg (CNO),.

93 Był to więc nieco prymitywny rewolwer kapiszonowy.

94 W rzeczywistości karabin rewolwerowy znano już w XVII wieku. Rewolwery krótkie zaczęły się rodzić w początkach XIX wieku.

— Dwadzieścia jeden sekund — powiedział do siebie Bathurst.

— Można szybciej, sir, jak się dojdzie do wprawy. W drzwiach ukazał się przerażony Castlereagh.

— Co tu się dzieje, na Boga? Chcecie ściągnąć tu ciekawskich?

— Słyszałem, że ten pokój jest dźwiękochłonny, milordzie — odparł ze spokojem Benjamin. — Nic się nie stało, roztrzaskałem tylko kawałek ściany, o tu, przy posadzce. Raptem pięć cali, głupstwo. Za to mam już pewność, że nająłeś, milordzie, dobrego fachowca. Ta broń jest niezła.

— Cieszę się, Beniaminie, ale do licha, bądźcie łaskawi wypróbować broń gdzie indziej i nie masakrować tego domu! Wychodzę teraz w sprawie tego Polaka. Znowu zostali sami.

— Co masz jeszcze? — spytał Bathurst.

Heyter otworzył największą skrzynię.

— Granaty, sir. Oto one. Proszę uważać, trzeba z nimi ostrożnie.

— Ile czasu spala się ten lont? — zapytał Benjamin, oglądając uważnie metalowe pudełko z wystającą linką.

— To nie lont, sir, to zwykły sznurek. Z zapaleniem lontu zawsze są kłopoty, a tu żadnych. Trzeba tyło mocno szarpnąć, wówczas odblokuje się wewnątrz otwór, przez który woda dociera do mieszaninki wybuchowej... Proszę tego nie robić, bo zostaną z nas buty, sir!

— Woda?

— Tak jest, sir. Mówiłem, sir, że ja ulepszam to, co wymyślili inni, już w starożytności znano mieszaninę, która wybuchala w zetknięciu z wodą, tylko że więcej paliła, niż rozrywała wybuchem⁹⁵. Ja zmieniłem nieco jej skład, żeby było na odwrót. Dałem trochę saletry, trochę...

— Heyter!

— Tak jest, sir, już kończę. Wybuch następuje po czterech, najwyżej pięciu sekundach.

⁹⁵ Mieszanina wybuchowa Heytera musiała mieć coś wspólnego z tzw. ogniem greckim (wapno palone, siarka, węgiel, smoła, żywica, nafta, saletra), wynalezionym przez Kallinikosa z Heliopolis około roku 665 i stosowanym m. in. w czasie wypraw krzyżowych. Heyter niewątpliwie dodał proch jako składnik główny, redukując ilość środków zapalających do skali inicjującej wybuch.

Mam tego dwie skrzynki, czterdzieści sztuk, więcej nie zdążyłem zrobić.

Bathurst odłożył granat na miejsce i wskazał na trzecią skrzynkę.

— Co tam masz?

— Wiatrówkę, sir. Też nie moja robota, kupiłem od jednego oficera, który ją przywiózł z Tyrolu, i udoskonałem. Cicho strzela i jest składana. Zapas sprężonego powietrza starcza na kilka dalekich i kilka krótkich strzałów. Gdybym miał czas, sir, to bym zrobił ze dwa pistoleciki pneumatyczne, bo czasami może się zdarzyć konieczność sprzątnięcia kogoś bez hałasu, ale to trudna sprawa, bo w kolbie pistoletu nie można zmieścić tyle powietrza, żeby...

— Ten problem, Brianie, jest już rozwiązany. Patrz. Sij! Mieszaniec podniósł się ruchem sprężyny z podłogi, na której siedział do tej pory niczym buddyjski posąg, nieczuły nawet na strzały. Wsadził prawą rękę do głębokiej kieszeni, a kiedy ją wyjął, z dłoni wystawał pęk srebrzystych ostrzy, każde kilkucalowej długości. Stał pod ścianą, mając przed sobą, pod przeciwległą ścianą, swego pana, który podniósł dłoń nad głowę i rozca-pierwszy palce przylepił ją do ściany. Ramię Sija wykonało sześć zamachów i tyleż skoków do przodu z regularnością maszyny, sześć razy rozległ się świst tnącego powietrze ostrza, sześć razy słońce zza okna pocałowało metal w locie i sześć ostrzy wbiło się w sekundowych odstępach w listwę boazerii — cztery między palcami, dwa na krawędziach dłoni.

— Cudowne, sir, cudowne! — Heyter bił brawo z całej siły, podczas gdy Sij wyjmował ostrza ze ściany i zasiadał pod nią w kucki.

— To azjatyckie nożyki, Brianie, Sij nauczył się miotać nimi w Korei. Ostrzem można się ogolić. Są lepsze niż najcichszy pistolet, Sij przebija nimi pancerze z odległości dwudziestu jardów. Strzelba się przyda, mam na oku kogoś dla niej... Aha, właśnie.... pancerz! Brianie, potrzeba będzie kilka koszulek pancernych...

— Tak jest, sir.

— I jeszcze jedno zadanie dla ciebie, już ostatnie. Obejrzyj tę laskę.

Heyter wziął laskę do ręki, zważył, pomanipulował przy rękojeści i wyjął szpadę.

— Ładna zabaweczka, sir.

- Ale nie strzela. Możesz jej pomóc?
- Nie wiem, sir, może... ale musiałbym mieć ze dwadzieścia dni czasu.
- Masz kilka dni.
- Niemożliwe, sir. Gdybym miał kogoś do pomocy, kogoś o złotych rączkach...
- Sam masz złote ręce, Brianie.
- Wiem, sir, ale tu są potrzebne najmniej dwie pary takich rączek...
- Znasz drugą taką parę?
- Tak, sir, znam jednego rusznikarza z Edynburga, to staruszek ale...
- Za daleko i za stary. Nikt więcej?
- Jest w Londynie jeden Cygan, sir. Kiedyś pracował u zegarmistrza, potem włóczył się po jarmarkach i pokazywał sztuczki magiczne, potem...
- Heyter!
- Tak jest, sir, już się streszczam, chciałem tylko rzec, iż ten Cygan ma rączuchny, daj mi Boże takie same, ale wołał nimi sięgać do cudzych kieszeni i wpadł.
- Gdzie siedzi?
- Nie wiem, sir. Dowiedziałem się tylko, że jutro w południe wsadzą go w dyby na Charing Cross i potem będzie już do niczego, może bez oka albo palca, to zależy od kociaków. Rzucają nań sporo, bo nakradł a nakradł, hurma ludzi się zwali, by mu odpłacić. Tak, sir, odgrzeją dla niego stary zwyczaj⁹⁶.
- Pomyślę o tym, jak mu pomóc. Bądźcie z Józefem gotowi na jutro. Zabieram strzelbę i jeden pistolet, zostawiam ci laskę. Poglów się. Sij, idziemy!
- Schodząc po schodach Bathurst dostrzegł Stapletona gotowego podać mu płaszcz i kapelusz, i przypomniał sobie, co mu kuzyn Henryk powiedział o „literackich” zdolnościach służącej niemowy.
- Przyrowadź pokojówkę — rozkazał.
- Gdy dziewczyna pojawiła się w hallu, Beniamin podszedł do niej, objął ramieniem i wskazując Sija szepnął jej do ucha:
- Widzisz tego obrzydliwca, kochanie?

⁹⁶ Na Charing Cross pakowano przestępców w dyby, a gawiedz kultywowała zwyczaj ciskania kotów na unieruchomione twarze i dłonie skazańców.

Kiwnęła głową potakująco.

— Musisz wiedzieć, że to straszny człowiek. Niemowa, tak jak i ty, i tak jak ty doskonale posługuje się rękami. Tylko że ty lubisz pisać, a on dusić młode dziewczątka, zwłaszcza takie, co za dużo piszą i sprzedają to swoje pisanie ludziom spoza tego domu. Spójrz na jego ręce. Potworne, prawda? Zapamiętaj sobie dobrze, bo drugi raz nie powtórzę, że jeśli przekażesz komukolwiek, na migi lub na piśmie, lub jakkolwiek inaczej, jedną tylko informację na temat tego, co tu widzisz, ten człowiek odnajdzie cię choćby na końcu świata i ukręci ci tę małą główkę jak kurze! Na mój rozkaz, kochanie.

Dziewczyna wydała nieartykułowany krzyk i wyrwawszy się z objęcia, z oczami wychodzącymi z orbit, uciekła.

Popołudnie tego dnia spędził Beniamin za miastem, oswajając się ze strzelbą. Oddał trzy strzały do gałęzi drzew, dwa ostatnie ścięły cele niczym nóż. Wieczorem wynajął przy Charing Cross pokoik na drugim piętrze, z oknem, przez które widać było konną statuetkę Karola I.

W piątek (24 października 1806) rano zastał w domu pani Gibson kolejnego lokatora, odzianego w habit i rozweselającego dowcipami swych rozmówców, Polaka i Heytera.

— Jesteś Robertson? — spytał Beniamin.

— Akuratnie tak, moje dziecko. A ty jeśli się nie mylę, jesteś... Śmiech, którym wybuchnęli Heyter i Polak, zamarł im na wargach pod spojrzeniem Bathursta.

— Jestem ten, który zrobi z ciebie męczennika, mnichu, jeśli zaraz nie nauczysz się odpowiadać: tak, s i r!

— Jeśli spytasz, panie, czy teraz jest noc albo czy wilk żywi się trawą, albo też czy grzesznik pójdzie do nieba, to na świętego Patryka, odpowiem akuratnie: nie, s i r!

Beniamin z trudem sam powstrzymał śmiech, dalej jednak przemawiał surowo:

— Jeśli spytam, masz prawo tak odpowiedzieć. Ale jeśli powiem, że w południe jest noc i że wilk żywi się wyłącznie bezczelnymi mnichami, odpowiesz...

— Odpowiem akuratnie: tak, sir!

— Dobrze, i niech cię pamięć nie skrzywdzi. Jeszcze jedno. Dziwny z ciebie Szkot, gdyż jak wiem, święty Patryk czczony jest tylko przez irlandzkich katolików.

— Moja matka była akuratnie Irlandką, a święty Patryk wiele jej pomógł w życiu.

— Rozumiem... Teraz słuchajcie. Za dwie godziny wykonacie pierwszą robotę. Będzie to wasz sprawdzian. Trzeba poturbować kilku ludzi, wywołać zamieszanie i zniknąć, gdy usłyszycie...

Dmuchnął w mały gwizdek, wydobywając zeń dźwięk tak donośny, że pozatykali uszy.

— Czy trzeba będzie strzelać? — spytał Heyter.

— Tylko w ostateczności, wolałbym uniknąć trupów.

— Święty Patryku, ratuj mnie akuratnie! — jęknął Robertson — Sir, czy ja też będę musiał uczestniczyć w tym krwawym dziele?!

— Nie będziesz musiał, jeśli w tej chwili wyniesiesz się do diabła. Ale jeśli chcesz zostać i zapracować na pieniądze, które obiecał ci lord Castlereagh, musisz wykonać wszystko, co ci rozkażę! Akuratnie, rozumiesz, mnichu?

— Rozumiem akuratnie, sir, ale święty Patryk mi świadkiem, że nie umiem się bić.

— Nie posługujesz się żadną bronią?

— Tego nie powiedziałem, sir. Słowo Boże jest bronią akuratnie najmocniejszą.

— Dobrze, już dobrze — przerwał mu Beniamin, rozważając pewien pomysł. — Dobrze, pojedziesz z nami, ale nie będziesz się musiał bić. Teraz posłuchajcie, o co chodzi...

O dwunastej w południe tłumek wypełniający Charing Cross zafalował, gwar spotężniał, a liczne ręce sięgnęły do trzęsących się worków, z których dochodziły gniewne parskania i mruczenia.

Szeryf i dwaj konstable prowadzili wysokiego człowieka w średnich latach, ubranego w cudaczny kolorowy kabat. Wepchnęli go po schodkach na półtorajardowej wysokości podium, z którego wyrastał słup zwieńczony dwiema deskami. Deski były na siebie nałożone i szczipione zawiasą, która pozwalała rozwierać je nożycowo. Na ich styku znajdowały się trzy okrągłe otwory. Jeden z konstabli otworzył dyby i zmusił skazańca do włożenia szyi w duży otwór, a przegubów rąk w mniejsze, po czym złożył deski i zamknął je na łańcuszek z kłódką. W tejże chwili pierwszy kot frunął w powietrzu ciśnięty celną ręką i miauczając przeraźliwie uderzył w twarz zakutego, zsuwając się po niej pazurami.

Drugi rozminął się z celem, wyrrywając z licznych gardeł jęk zawodu. Zgniłe owoce i jarzyny rozbijały się o deski i o dłonie nieszczęśnika, po którego policzkach zaczęła płynąć krew. Szeryf i konstable śmiali się, nie przeszkadzając gawiedzi.

Jeszcze jeden kot zafurkotał w powietrzu, zdzierając skórę z unieruchomionej dłoni, lecz następnych nie zdążono cisnąć. Kilkunastoletni chłopiec, wyrwawszy długą wełnianą skarpetę z ręki zapatrzonego w spektakl sprzedawcy skarpet⁹⁷, błyskawicznie wrzucił do niej brukowy kamień i chwyciwszy za drugi koniec, rozkołysał nad głową. Skarpeta zawirowała w powietrzu i musnęła kilka łbów, których właściciele zwalili się na ziemię. Kręcąc nad głową młynka chłopiec szedł przez wyjący z wściekłości tłum, czyniąc wokół siebie pustkę. Wyglądało to tak, jakby poruszał się w pęcherzyku powietrza wędrującym przez głębinę. Koty rozbiegły się na wszystkie strony, przekleństwa i jęki utworzyły gryzącą słuch kakofonię.

Wszystko to trwało kilkanaście sekund i zaskoczyło stojącego w oknie i mierzącego ze strzelby Bathursta. Odważny chłopiec, który sam uczynił to, co mieli uczynić Polak, Sij i Heyter, swoją inicjatywą opóźnił naciśnięcie spustu. Beniamin zgiął palec dopiero w momencie, gdy ktoś długim kijem wytrącił chłopcu osobliwą maczugę. Strzałów nie było słyhać, a wrzask tłumy zagłuszył uderzenia kul, które przecięły łańcuch dybów.

Skazaniec bez zwłoki wypchnął górną deskę karkiem, zeskoczył z rusztowania, dobiegł do chłopca i osłonił go przed kilkunastoma pięściami. Stali obaj, oparci o parkanik otaczający piedestał, który dźwigał Karola I i jego rumaka, i czekali na atak. Szeryf zbliżył się do nich z pistoletem w dłoni i krzyknął:

— Oddaj się w ręce sprawiedliwości, kanalio, bo zastrzelę jak psa!

I w tym momencie runął na ziemię. Najbliżej stojący, którzy widzieli ruch czyjejś ręki uderzającej w potylicę urzędnika, nie zdołali już nic więcej zobaczyć, gdyż Sij rozpuścił obie dłonie jak młoty, szerząc spustoszenie. Rzucili się ku niemu trzej żołnierze, lecz trudno im było dotrzeć przez kłębiące się na ziemi ciała. Heyter i Józef ogłuszyli ich kolbami ciężkich pistoletów, i tak jak Sij tłukli na oślep, gdzie popadło. Między pomnikiem a rusztowaniem rozszalał się tajfun. Po chwili tłum zaczął rozpraszać się w ucieczce,

⁹⁷ Stocking-sellers, uliczni sprzedawcy skarpet. Byli oni charakterystycznym elementem pejzażu Charing Cross.

tarasując wyloty ulic, przez co nadciągający oddział wojska nie mógł się przedrzeć. Gdy Bathurst ujrzał, że przy wyrostku i skazańcu pojawił się człowiek w habicie, dał sygnał gwizdkiem. Dźwięk ten zdominował wszystkie hałasy w promieniu kilkudziesięciu jardów. W minutę później oficer, który przedostał się wreszcie ze swoim oddziałem do pomnika, mógł już tylko cucić szeryfa i innych poturbowanych. Skazaniec i ci, którzy pobili żołnierzy, urzędników i właścicieli kotów, ulotnili się bez śladu.

— Pięknie pan strzela, sir — powiedział Heyter, smarując jakąś cuchnącą mazią twarz uwolnionego z dybów.

— Strzelba jest niezła, Brianie. Masz, dołożysz powietrza, bo wystrzelałem prawie wszystko. Dobrze się spisaliście. Jak się nazywasz? — spytał podrapanego mężczyznę o długich jak u kobiety czarnych włosach, spod których błyskały dwa okrągłe żółte kolczyki.

— Manuel Diaz, señor.

— Jesteś Hiszpanem?

— Jestem Cyganem, señor. Mój ojciec urodził się w Andaluzji.

— Robertson powiedział ci, o co chodzi?

— Robertson? Aaa, ksiądz! Tak, señor.

— No i?

— Pójdę z panem na kraniec świata, señor!

Stojący obok chłopiec krzyknął coś rozpaczliwie w dziwnym języku, który nie był hiszpańskim i nie był także angielskim, szkockim czy jakimś celtyckim narzeczem, chociaż wszystkie po trochu przypominał, a Diaz odpowiedział mu w tym samym języku.

— Kim jest ten mały? — spytał Bathurst. — Podobny do ciebie, czyżby...

— Tak, señor, to mój pal.

— Co to znaczy, do czorta!

— To mój młodszy brat, señor. Po naszymu, w jibb romany, pal⁹⁸.

98 Diaz posługiwał się mieszaniną języka cygańskiego oraz cantu czyli szwargotu (grypsery) przestępców angielskich, w której znajdowało się wiele wyrazów cygańskich o zmienionym znaczeniu. I tak „romany” (po cy-gańsku: słowo) znaczyło w cancie: język cygański, a „pal” (po cygańsku: brat), w cancie: ojciec. Pierwszy słownik cantu ułożył już za panowania królowej Elżbiety Tomasz Herman, lecz w XIX wieku oba te języki wymieszały się.

— Słuchaj, Diaz — wycedził ze złością Bathurst — w mojej obecności masz mówić językiem zrozumiałym dla mnie!

— Tak jest, seńor, proszę mi wybaczyć.

— Czego chce twój brat?

— Chce, żeby i jego zabrać, seńor.

— Wykluczone, zostawisz go w domu.

— Jego dom, seńor, to ja. Nasz tabor jest teraz gdzieś daleko na północy.

— Nie mogę brać dzieci! Zrozum, człowieku, tam, gdzie pojedziemy, śmierć będzie czekała na nas na każdym kroku! Nie mogę go narażać!

— Seńor, czyż on sam nie naraził się dzisiaj? Gdyby nie pan i pańscy ludzie, wisielibyśmy obaj⁹⁹. Jeżeli pan go nie weźmie, ja również nie pojedę.

Bathurst odwrócił się w kierunku patrzącego błagalnie chłopca i przypomniawszy sobie wirującą skarpetę z kamieniem w środku, spytał:

— Jak ci na imię?

— Juan... Juan Diaz, seńor.

— Ile masz lat, Juan?

— Osiemnaście, seńor.

— Ile?

— Prawie osiemnaście, seńor.

— Nie łżyj! No, ile!? Chłopiec spuścił głowę.

— Szesnaście, seńor... szesnaście skończę za kilka miesięcy. Proszę mnie wziąć, seńor, ja... ja...

— Tylko mi się nie rozbecz! Co potrafisz?

— Gotować, seńor, i mogę czyścić noże, i umiem stawiać sidła na ptaki...

Wybuchnęli śmiechem, wszyscy z wyjątkiem Diazów i Bathursta, który roześmiał się w duchu i po chwili rzekł:

— Dobrze, jesteś z nami. Lubię pieczone kuropatwy.

— Dziękuję, dziękuję, seńor!!!

⁹⁹ Wieszanie nawet dwunastoletnich dzieci za kradzież bułki było w owym czasie w Anglii rzeczą pospolitą.

Chłopak przyskoczył mu do ręki, lecz Beniamin, położywszy małemu dłonie na ramionach, powiedział cicho:

— Nigdy nie całuj mężczyzny w rękę, Juan, nawet gdyby to był sam król. Nigdy, zapamiętaj!

I nie zwracając uwagi na wytrzeszczone ze zdziwienia oczy chłopca¹⁰⁰, zwrócił się do jego brata:

— Razem z Brianem popracujesz przy mojej lasce.

— Tak, señor. Mam już nawet pewien pomysł.

— Świetnie. I jeszcze jedno. Słyszałem, że lubisz sięgać do cudzych kieszeni. Nie rób tego. Jeśli wykonamy zadanie będziesz bogaty. Jeśli w trakcie operacji okradniesz mnie lub któregoś z nas, okradniesz się z życia.

— Señor! Okradam tylko obcych!

— Na świętego Patryka — wybuchnął Robertson — a to hultaj! Już ja cię, bratku, akuratnie oduczę łajdactwa!

Wieczorem tego dnia Beniamin zawitał na Patticoat Lane, do owego wysokiego funkcjonariusza Marine Police, którego polecił mu „Bow Street runner”. Littleford miał wygląd rasowego konia. Wąska wysoka głowa, orli nos, długie zęby, do tego piękny strój i dostojne ruchy — wszystko to, w połączeniu ze szlachetnym wyrazem twarzy, budziło szacunek i zaufanie, a zarazem zdziwienie, że ten człowiek o wyglądzie przewodniczącego Izby Lordów jest po prostu „gliną”.

Littleford, wysłuchawszy, z czym przyszedł do niego młody człowiek, uśmiechnął się smętnie i powiedział:

— Mój panie, od ośmiu lat walczę z hersztem o przezwisku Doc i dzisiaj już jestem prawie pewien, że walczę z cieniem. Ten człowiek nie istnieje, to mit. Myślę, że banda, jeśli to tylko jedna banda, rządzi grupa drani, która wymyśliła sobie pseudo Doc, żeby wyprowadzić nas wszystkich w pole. Chce się pan porwać na nich, pańska rzecz. Ale pan chce także ludzi ode mnie, i to asów, i jeszcze chce pan ich potem zabrać nie wiadomo na jak długo poza Wyspy. Nie mam takich ludzi, wykruszyli mi się, co tydzień

¹⁰⁰ Bathurst najwyraźniej nie znalazł praw panujących u Cyganów, którzy szefów klanu całowali w rękę.

ktoś ginie, służba u nas to balansowanie nad grobem. A poza tym kto mający rodzinę zechce szukać guza po świecie?

Bathurst wstał.

— Chwileczkę, niech pan nie odchodzi! — zatrzymał go Littleford i mówił dalej swoim zmęczonym, smutnym głosem: — Widzi pan, rzadko spotykam ludzi takich jak pan, młodych i dzielnych, którzy nie myślą wyłącznie o własnym brzuchu. Nie darowałbym sobie, gdybym panu nie pomógł. Dam panu najlepszego człowieka, jakiego mam. To kawaler i trochę nygus, ale chwyt.

— Za ile?

— Niech pan da spokój! Nie robię tego dla pieniędzy. Jeśli pan choć trochę przetrzepie skórę bandzirom, będzie to dla mnie najlepsza zapłata. Przyślę go panu jutro. Gdzie ma się zgłosić?

Beniamin podał adres i hasło, które tamten zanotował. Wychodząc usłyszał:

— Niech cię Bóg wspiera, młodzieńcze, oby ci się powiodło!

W poniedziałek 27 października 1806 roku Bathurst wiedział już, że powiodło mu się z zebraniem grupy, przynajmniej pod względem ilościowym, gdyż prawdziwą wartość tych ludzi znał niedostatecznie. W dniu tym, w domu pani Gibson, która wraz z córką wyniosła się do tylnego skrzydła rezydencji, znalazło się już (nie licząc jego i chłopca) dziewięciu kandydatów na komandosów, o jakich marzyli on, jego kuzyn, Castlereagh i Perceval. A przecież nie byli to wszyscy, pod uwagę można było brać jeszcze dwóch ludzi...

Rankiem tego dnia Castlereagh przywiózł z sobą drugiego Polaka, na którego nazwisku można było sobie język połamać¹⁰¹. Zwracał się doń Beniamin po imieniu, jak zresztą do większości. On sam był tego ranka na Bow Street i zabrał stamtąd Rufusa Browna, wypłaciwszy część obiecanych pieniędzy (resztę miał wypłacić po sprawdzeniu Browna). Stary żołdak o ponurej twarzy i złych oczach, w których mieszkała ogromna nienawiść do świata, od razu mu się spodobał. Ani słowem nie podziękował za uwolnienie, odzywał się mało i jakby z trudem, wyłącznie odpowiadając na pytania, krótko, po wojskowemu, zgadzał się na wszystko. Trzeba go było nakarmić, gdyż od dawna przyzwyczajony nie jadł.

¹⁰¹ W Memoriale Matthew Querstel. Chyba nie Kerstel, bo wówczas Bathurst nie "łamałby" sobie języka. Może Chruściel?

Po południu zasiedli do dużego stołu, na który Stapleton i służąca znosili potrawy. Zasiedli wszyscy oprócz Sija, który nie dał się namówić na krzesło i celebrował jedzenie siedząc pod ścianą. Beniamin przyglądał się im i oceniał w myśli. Robertson, tłuścioch z policzkami chomika i małymi jak perły oczkami, pełnymi sprytu i wesołości, cwaniak. Polak Józef, oficer, średniego wzrostu, dobrze zbudowany szatyn, spokojny, lecz gdy trzeba — szybki, silny i zdecydowany, błyskawiczny refleks i odpowiedzialność. Drugi Polak, Mateusz — płowe długie włosy, trochę matołkowaty, łapy jak bochny chleba z żyłami grubości postronków, nie ma chyba jeszcze trzydziestu lat, ciekawe, jak się sprawdzi. Brian Heyter — tak samo jak Józef, dobry w bójce, trochę za bardzo gadatliwy, ale za to jaki mechanik, istny skarb, czego ten człowiek nie potrafi zrobić z bronią i wszelaką maszyną! Manuel Diaz, złota rączka, wpatruje się z uwielbieniem, będzie wierny do końca, dobrze, że jest drugi taki obok Sija, tylko ubiera się jak cyrkowa małpa, trzeba to będzie zmienić. Juan Diaz, gówniarz, też będzie wierny, dzielny smark, trzeba zrobić wszystko, by wyszedł z tego cało. Parvis — trzeci Cygan, którego Manuel sprowadził przed dwoma dniami i za którego poręczył, krzykliwy i zuchwały, ciekawe, czy tylko przy stole. Brown — ponurak skrzywdzony przez społeczeństwo, będzie zabijał bez mrugnięcia powieką, musi dobrze władać pistoletami, jeśli wystrzelał całą bandę z okna dyliżansu, i w ogóle jest chyba niezły, był przecież w oddziale dywersyjnym u Smitha. Wreszcie Jimmy Lipton, piegowaty rudzielec, policjant z Thames Police od Littleforda, zgłosił się w niedzielę wieczorem.

Gdy skończyli jeść, Bathurst kilkakrotnie uderzył nożem w talerz, każąc zamilknąć rozmawiającym.

— Macie trzy godziny czasu na załatwienie swoich spraw w mieście, jeśli ktoś musi. O osiemnastej wszyscy mają być z powrotem. Jeśli któryś z was chce się dowiedzieć, co będzie, gdyby się spóźnił o pół minuty, to niech się spóźni i niech ma żal do siebie. Jutro wieczorem idziemy na akcję, to będzie wasz egzamin. Porozbijamy się trochę w Storegate. Są pytania?

— Tak, sir. Kiedy odpływamy? — spytał Parvis.

— Dowiedcie się we właściwym czasie.

— Sir, czy jutro wszyscy pójdą? — zapytał Lipton, patrząc na Juana

— Nie. Zostanie mały, zostaną też Brian i Allan. Brian ma pracę na miejscu i musi zdążyć, a Robertson będzie zdawał inny egzamin. Jesteście wolni. Robertson, zostań na chwilę.

Kiedy za ostatnim zamknęły się drzwi, Beniamin przesiadł się na krzesło obok Robertsona i opowiedział mu o policjancie z Bow Street, który rzucił fach, by umartwiać się w kościele Świętej Marii.

— Byłem tam w sobotę i dowiedziałem się wreszcie, że zawsze można go zastać rano, między piątą a siódmą, kiedy szoruje posadzki. Słuchaj, Robertson, musisz go skaptować! Rozumiesz?

Musisz! Poproś świętego Patryka, by ci pomógł, zrób co chcesz, ale przekonaj i przyprowadź mi tutaj tego faceta.

— Nie żartuj sobie, sir, ze świętego Patryka, bo on wiele może i jak się włączy do sprawy, to rzecz się uda akuratnie!

— Jeśli dokonasz tej sztuki, natychmiast dostaniesz sto gwinei, no i będziesz miał zdany egzamin.

— Właśnie poczułem, sir, że święty Patryk jest z nami. Jutro w południe przyprowadzę akuratnie tego bratka.

O osiemnastej Bathurst urządził odprawę i wyjaśnił niektóre szczegóły planowanej eskapady do Storegate.

— Od tej chwili — powiedział na zakończenie — nikt z was nie ma prawa opuścić domu bez mojego zezwolenia. Żadnych pijatyk i awantur! Kto złamie ten nakaz, to jakby złamał sobie kręgosłup. Zrozumiano?

— Tak jest, sir! — usłyszał chóralną odpowiedź. Tylko Brown i Sij nie otworzyli ust.

W godzinę później Beniamin wraz z Józefem i Sijem jechali ku Blackwall. Było już ciemno, gdy mijali dok Zachodnioindyjski i zbliżyli się do terenu budowy doku

Wschodnioindyjskiego. Z odległości ponad stu jardów dobiegł ich pijacki gwar i dzikie śpiewy z tawern. Bathurst poznał właściwą po nalepionym plakacie, na który padało światło z lampy nad drzwiami i który pod wielkim napisem OCHOTNICZY i herbem

królewskim z dewizą BOŻE CHROŃ KRÓLA wzywał wszystkich „szlachetnych, nienawidzących Francuzów i papieża, do obrony Króla i Kraju przed zakusami republikanów i radykałów i nieczystymi zamiarami naszych Przyrodzonych Wrogów, zamierzających dokonać inwazji na naszą szczęśliwą ojczyznę, Starą Anglię, i zamordować naszego łaskawego Monarchę, tak jak to uczynili już ze swoim, zrobić ladacznice z naszych żon i córek, zagrabić naszą własność i nie nauczyć nas niczego innego, jak tylko tej przeklętej sztuki wzajemnego mordowania się”. Pod spodem było dodane, że lieutenant W. J. Stephens czeka na ochotników do Royal Navy i figurowały stawki dla żeglarzy, zwykłych żeglarzy i szczurów lądowych.

Beniamin roześmiał się w duchu z tych frazesów, których patos był akurat odwrotnie proporcjonalny do efektów, wysiadł z powozu i kazał Polakowi pilnować go, Sija zaś posłał do tawerny. Sam wkroczył do wnętrza w trzy minuty później.

Była to ohydna spelunka, nie mająca nic ze swoistej elegancji sławnych nadtamizańskich tawern, takich jak „Old George Inn” czy „Prospect of Whitby”, naprędce sklecona szopa, spróchniała i podszyta wiatrem. Oderwany w wielu miejscach tynk ukazywał bebechy ścian równie bezwstydne jak dziewczki rozparte na kolanach marynarskiej braci, na stosach starych worków i na słomie zalegającej podłogę. Marynarze, dezterterzy, podejrzani kupcy, kontrabandziści i wszystkie gatunki „mud larksów”¹⁰² uprawiali tu handel, miłość i przede wszystkim to, co Anglicy zowią „the battle against the bottle”¹⁰³. W kątach cwani „press masterzy”¹⁰⁴ spijali kogo się dało, by zapełnić pokłady liniowców jego królewskiej mości. Smród niósł w sobie wszystkie możliwe zapachy rynsztoka, od podłego oleju do moczu, a stężenie dymu z fajek i świec stojących na beczkach było takie, że przysłowiowa siekiera nie spadłaby na imitujące pokład deski podłogi.

Beniamin, zgodnie z radą Wilsona, krzyknął od progu:

— Tom „Rope”!... Hej, jest tu Tom „Rope”?! Pojawienie się elegancika w tej dziupli plugastwa samo nie wywołałoby zdziwienia ni rozdrażnienia, jako że londyńska arystokracja płci męskiej przepadała za kilkugodzinnym od czasu do czasu szlajaniem

102 Mud larks (dosłownie: ubłocone słowiki) — niebieskie ptaki.

103 Schlewanie się (dosłownie: walka przeciwko butelce).

104 Press masters — werbownicy, którzy spijali naiwnych, by ich następnie zawlec półprzytomnych na okręt. Stąd to upijanie nosiło nazwę „impress”

się po marynarskich tawernach i zdążyła już przyzwyczać rezydujące tam kompanie do swej obecności. Wszystko byłoby więc w porządku, gdyby Wilson udzielił Bathurstowi jeszcze jednej rady, a mianowicie tej, że nie należy przerywać wilkom morskim popisów wokalnych. A Benjamin, odczekawszy, aż przebrzmi zdanie: „When the wine is in, the wit is out!”¹⁰⁵ uprzedził krzykiem następne i zasiał złą ciszę. Powtórzył w tej ciszy:

— Jest tu Tom „Rope”?

— Czego tu szukasz, maminsynku, czego przerywasz przyzwoitym żeglarzom odpoczynek! — zawarczał obok ochryłym głosem brodacz w pasiastej koszulce.

— Ty jesteś Tom? — spytał Benjamin.

— Nie, ale mleczone ząbki wybijam tak samo dobrze jak on.

— Zejdź mi z drogi — poprosił Bathurst.

Brodacz chwycił pustą butelkę, dwóch jego kompanów uczyniło to samo, zrywając się z miejsc. Oczy Bathursta zwęziły się.

— Przyjacielu, zejdź mi z drogi, bo pożałujesz — szepnął.

Powitano te słowa takim wybuchem śmiechu, że się tynk posypał z sufitu. Brodacz zrobił krok do przodu, uniósł butelkę i chciał uderzyć, lecz powstrzymał go głos innego brodacza, którego olbrzymi tors opinała identyczna marynarska koszulka.

— Nie radzę, Jeff.

— Co?! A to dlaczego?!

— Ten chłopczyk musi być dobry, jeśli nie przestraszył się waszych ryków. Lepiej uważaj, Jeff. I jeszcze to, że nie lubię widzieć trzech przeciw jednemu.

— Co?! Co mi tu będziesz... Nie słyszałeś, jak ten salonowy śmierdziel...

Ręka Bathursta z rozpostartą dłonią wystrzeliła do przodu jak sprężyna, palce uderzyły w czoło awanturnika, który padł nieprzytomny na ziemię.

— Siadać! — krzyknął olbrzym do zrywających się z miejsc kumpli, po czym zbliżył się do Beniamina.

— To ja jestem Tom „Rope” — powiedział. — Nieźle dałeś sobie radę, chłopcze, ale źle się ustawiasz. Stajesz za daleko od ściany, odsłaniasz plecy.

105 Kiedy wino jest wewnątrz, rozumek na zewnątrz.

— Za plecami mam swojego człowieka, przebija taką ścianę dłonią. Moje bicie przy jego biciu to głaskanie.

— Ooo! To ładnie, nie jesteś taki zielony, jak myślałem. Czego chcesz?

— Polecił mi ciebie Wilson. Podobno łakniesz świeżego powietrza. Za kilka dni wyjeżdżam na kontynent poigrać z Francuzami. Wziąłbym cię.

— Tak za dobre słowo?

— Nie. Zarobiłbyś tyle, że miałbyś za co pić do końca życia. Pierwszą robotę miałbym już jutro, chcę się policzyć z oprychami ze Storegate.

— To mi się nie podoba — mruknął marynarz. — Lubię Storegate. Nie licz na mnie, nie idę na to.

Beniamin chciał już wyjść, gdy naraz przypomniał sobie słowa starego żebraka.

— Znałeś Peggy Jones? ¹⁰⁶ — spytał.

— Jeszcze jak! Kto tu jej nie znał, cudowna dziewczka, ale co ty...

— Dowiedziałem się, że wykończył ją Doc. Jeśli chcesz mu za to zapłacić przy mojej pomocy, czekaj jutro o osiemnastej na rogu Mart Street i James Street. Z tym, że jeśli zdecydujesz się przyjść, naucz się przedtem mówić do mnie „sir”. Bywaj.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z tawerny, czując za sobą oddech Sija. Tamiza falowała refleksami księżycy i gwiazd. Czuć było słony wiatr od morza. Zza pleców dobiegł go chóralny śpiew:

„When the wine is in...”

106 Patrz przypis 60.

Rozdział III

SZCZĘŚLIWY GŁUPIEC

Kościół Świętej Marii wyrastał nieomal pośrodku ulicy, przecinając szeroki trakt Strandu na dwa nierówne odgałęzienia. Stojąc przed klasycystyczną dwukondygnacyjną fasadą, zwieńczoną od frontu okrągłym portykiem pokrytym kopułą tak płaską jak pokrywa wazy do zup, a od góry pięcioczlonową dzwonnica, której każdy człon wyższy był klockiem mniejszym, aż do malucha dźwigającego krzyż — miało się po obu bokach rzędy dwupiętrowych kamienic mieszkalnych o prawie identycznym gabarycie. Tylko po prawej Somerset House, bogaty korynckimi kolumnami piętra i grupą muz u szczytu, łamał swą majestatyczną bryłą egalitaryzm ulicy. Rzekłbyś — rzeźbiony słup w rzędzie sztachet. Ażeby znaleźć się tam, nim zegar osadzony nad tympanonem w najniższym, cokołowym członie kościelnej wieży wybije piątą, Robertson musiał pobić swój rekord stosowania porzekadła „Kto rano wstaje...”. Nie była to jego ulubiona maksyma, zazwyczaj wstawał około dziewiątej, rzadko wcześniej. Ale też rzadko otrzymywał polecenia od ludzi takich jak młody Bathurst.

Znalazł się na miejscu o godzinie czwartej czterdzieści, tak Przynajmniej podał później „akuratnie” Bathurstowi. Na przed-kościelnym placu, w dzień gwarny, pełnym manewrujących w tłoku powozów i wozów kupieckich, było teraz pusto i cicho. Pierwszy raz widział taki Londyn, śpiący, szary w rzadkiej mgie Przedświt, z lampami, które wisiały nad sklepowymi parterami,

7 - ..Szachista- 97

malując żółcią wypukłe, drobno kratkowane witryny, i ten Londyn spodobał mu się. Miał nadzwyczaj czysty, orzeźwiający zapach i dostojną senność, gdyż sen mamuta zawsze jest dostojny. Jego mowę słyhać było teraz lepiej niż w zagłuszającym mrowisku dnia. Z odległości kilku jardów od bramy wypchniętej przed portyk z żelaznym ogrodzeniem Robertson dostrzegł, iż nie jest tu sam, i uradował się, czując, że to jego zwierzyna czeka. Pod bramą przycupnięty trwał w bezruchu człowiek jeszcze nie stary i nawet nie podstarzały, ale już nie młody, jeden z tych, którym daje się albo dwadzieścia osiem lat,

albo o dwadzieścia więcej, nie mając pojęcia, która diagnoza jest słuszna. Przerażliwie chudy, niczym zjedzony gruźlicą młody poeta z nuworyszowskiej plotki lub noweli pozytywisty, o woskowej, rysowanej sinymi żyłkami skórze, przepaścistych jamach oczu i odrobinę wyższym lewym ramieniu, które zdradzało, że jest mańkutem i że ramię to kochało się przez wiele godzin z kolbą. Tego ostatniego Robertson nie mógł zauważyć, gdyż ledwo odróżniał kolbę od lufy, zauważył natomiast, że twarz mężczyzny pokrywa smutek tak głęboki, tak rozpaczliwy, jakby to była twarz mahometańskiego anioła grobów Azraela.

Zbliżywszy się do bramy, usiłował pchnąć furtę, ta jednak nie ustąpiła.

— Cóż to, jeszcze zamknięte? — spytał

— Tak, ojciec — padła odpowiedź — za wcześnie...

— Za wcześnie, za wcześnie! — zachnął się mnich. — Na modlitwę nigdy nie jest za wcześnie, synu. Nie mogłem spać, tedy pomyślałem sobie, że miast w pościeli czas mitrzyć, lepiej się pomodlić akuratnie do świętego Patryka, który jest patronem grzeszników, a tu, masz ci los, za wcześnie! Kiedyż to otworzą przybytek, he?

— Rychło, mój ojciec, za kilkanaście minut, ale to dla mnie jeno, bo ja tu sprzątam, nawę chędożę i posadzki myję, a dla wiernych później nieco. Ale wam jako osobie duchownej przeszkód chyba czynić nie będą, to i pewne... Wybaczcie mi, ojciec, powiedzieliście, że święty Patryk...

— Co święty Patryk?

— Że to patron grzeszników...

— A tak, mój synu, ma się rozumieć, że tak. Ale tych tylko, których akuratna chęć oczyszczenia przepelnia i którzy przed pokutą jako lisy pieskami ścigane nie umykają. Tym święty Patryk patronuje akuratnie, ku odpuszczeniu grzechów wiodąc. Zatwardzialcy mają innego patrona. Czemu zaś pytasz, synu?

— Czemu ja... bo widzi ojciec, ja... ja...

— Nie bąkaj, tylko mów całą prawdę akuratnie, synu! Zgrzeszyłeś?

— Tak, ojciec, ale...

— Ale jeśli pragniesz poprawy, święty Patryk wydobędzie cię akuratnie z łap szatańskich

plugawych a sprośnych. Chyba żeś zatwardzialec?!

— Nie! Nie... Mój ojciec, ja... ja pragnę... pokutuję co dzień, tutaj właśnie...

— Jak pokutujesz?

— No... mówiłem już, sprzątam, myję...

— A cóżeś to uczynił, hę?

— Ja? Zabiłem niewinnego człowieka, ojciec.

— Zabiłeś?! Niewinnego?! Nieszczęsny!! Za cóż to odebrałeś życie?! Na świętego Patryka!

— Ojciec, litości! Ja... to była pomyłka, ja nie chciałem! Służyłem w policji, dostałem rozkaz i...

— Zamilcz, bratku! Sądzisz, że grzech i występki takie zmażesz akuratnie szorowaniem posadzek?! O, nieszczęsny!

Robertson wznosił oczy ku niebu, a dokładniej ku tarczy zegara na wieży, mężczyzna zaś rozplakał się. Po chwili mnich przerwał tę kaskadę szlochu, dotykając dłonią ramienia chudzielca.

— Uspokój się, synu. Łzy twoje dowodem są widocznym, że pragniesz odpokutować akuratnie, tylko że szczotką i ścierką takiej przewiny nie zmażesz, o, nie!

— Cóż mi... cóż mi tedy czynić, oj... ojczeee? — wychlipał mężczyzna.

— Okazać musisz wolę akuratną ku prawdziwej pokucie, to po pierwsze. Właśnie myślałem, jak ci pomóc, i z pomocą świętego Patryka wymyśliłem akuratnie, ale czy też sił w sobie znajdziesz dosyć?

— Ojciec, uczynię wszystko, co każesz, jeno pomóż mi, bo mnie już taka żalność dusi, że nijak mi wytrzymać z tym kamieniem w piersi.

— No dobrze, synu, słuchaj tedy akuratnie. Zły uczynek dobrym zmyć można, a bardzo zły bardzo dobrym. Pozbawiłeś swój kraj człowieka, a to strata spora, w chwili gdy kraj u wrót wojny stoi i obrońców potrzebuje. Tej przez ciebie zabitej pary rąk w potrzebie akuratnej zabraknąć może, ciężkie bowiem idą na Brytanię terminy, a to, jak ci jest wiadomym, za sprawą onego korsykańskiego smoka, oby mu święty Patryk akuratnie poprzetrzącał piszczelę! Przypadkiem czystym wiem, że się wyprawa dzielnych ludzi

przeciw temu zbójowi szykuje. Weź w niej udział, gardło swoje połóż na szali, a czyn ten grzech twój przeważy i świętemu Patrykowi przyczynę da, by cię ocalić akuratnie.

— Wyprawa? Nie wiem, ojcze, do kogo iść...

— A pójdziesz?

— Pójdę z ochotą. Każdą pokutę odprawię, choćby życiem przyplacić przyszło, bo mi już takie życie z grzechem za nic.

— Ja cię zaprowadzę, synu, bo widzę, żeś szczerzy pokutnik. W tej samej chwili zegar nad nimi zabrzmiał pięciokrotnie i usłyszeli kroki po drugiej stronie furty. Zgrzytnął zamek i ukazał się stary służka kościelny.

— Wchodź, Wawrzyńcze, sporo dziś roboty po wczorajszej ceremonii, a i ołtarz ochędożyć trzeba, bo...

— Wejdzimy — przerwał staruszkowi Robertson — ale na modły, nie na szczotkowanie! Szczeciną nie otwiera się wrót do Królestwa Bożego, tylko modlitwą i pokutą akuratną. Chodźmy.

W kilkanaście minut później szli obok siebie przez drzemiące, coraz jaśniejsze ulice.

Naraz chudzina stanął i odwrócił się ku Szkotowi.

— Ojcze, przecież ten kościół nie należy do świętego Patryka! Powiedzcie mi, co to za wyprawa, czy to...

A mnich, wyczuwając nutkę wahania i niepokoju, objął go ramieniem i pociągając za sobą powiedział:

— Dowiesz się o wszystkim akuratnie, gdy przyjdziemy na miejsce. Co zaś do świętego Patryka, to na mocy bulli królewskiej jest on uprawniony do opieki nad każdym kościołem, którego wieża ma więcej niż sto stóp wysokości. No, nie turbuj się synu. Tak mnie ujęła twoja szczerza chęć poprawy i tak wzruszyła, że na świętego Patryka, niech się dzieje wola Boska, chyba i ja wyruszę, by nad przebiegiem pokuty twojej czuwać akuratnie. Pojedziemy razem, to jest, chciałem rzec, razem ze świętym Patrykiem.

Przed szóstą dotarli do domu pani Gibson. Otworzył im Stapleton. W dużej komnacie sypialnej leżeli obok siebie na siennikach wybrańcy Bathursta, chrapiąc niemiłosiernie.

Robertson wskazał chudzielcowi jedno z dwóch wolnych posłań i rzekł:

— Prześpij się teraz akuratnie, bratku, boś od dawna nie zaznał krzyny spokojnego snu. Sam zaś udał się do pokoju Beniamina. Nie wiedział, czy szef śpi, czy też nie, i co należy uczynić. Zapukać? A jeśli się obudzi i wścieknie, że mu przerwano sen? Podszedł na palcach i przyłożył ucho do drzwi. Martwa cisza. Nacisnął klamkę i delikatnie uchylił jedno skrzydło na tyle, by w szparze zmieściło się oko. Zmieściło się i zajrzało prosto w coś okrągłego, co było wylotem lufy pistoletu.

— Ach, to ty, Allan. Znudziło ci się żyć?

— O święty Patryku, ratuj! — pisnął, Robertson. — Proszę odsunąć to narzędzie śmierci, sir! Chciałem tylko zobaczyć...

— Nigdy nie podchodź do mnie na palcach, człowieku, bo ten co się skrada, rzadko ma czyste zamiary. A ja nie zawsze odróżniam przyjaciela od wroga. Wejdz

— A czy nigdy nie śpisz o tej porze, sir?

— Mam trochę pracy. Siadaj. Cóż to, piłeś, mnichu? Zalatuje od ciebie!

— Ociupinkę, na rozgrzewkę, sir, bo rano taki ziębisty...

— Zabraniam ci pić w czasie naszej współpracy. Ani kropli, zrozumiano?! Teraz gadaj, rozmawiałeś z nim?

— Rozmawiałem akuratnie, sir.

— I co?

Robertson opowiedział mu o spotkaniu ze snajperem i zakończył:

— Tak to wzbogaciłem się o sto gwinei, sir, a wasza miłość o chłopca dzielnego, jeno trochę nie nazbyt mocarnego na umyśle, wszelako mniemam, że nie głową przyjdzie mu dobro czynić, lecz strzelbą, tedy nada się akuratnie.

— Kiedy przyjdzie?

— Już jest, sir. Kazałem mu pospać krzynę.

— Dobrze. Gdy się obudzi, przyprowadź go do mnie. Nie później niż za trzy godziny... Jestem z ciebie zadowolony, Robertson, zdałeś swój egzamin.

— Cieszę się, sir, a święty Patryk ze mną. Kiedy otrzymam certyfikat egzaminu, sir?

Po raz pierwszy ujrzał Robertson błysk rozbawienia w oczach Bathurst, sięgającego do szuflady i podającego mu sakiewkę ze słowami:

— Sam też krzyknę pośpij, Allan.

W niespełna trzy godziny później mnich wbiegł do pokoju Bathursta w takim pędzie, że chciałoby się rzec: z rozwianą łysiną.

— Sir! — wykrztusił — sir, ten bratek odchodzi! Uparł się i już! Nie możemy go powstrzymać, ani ja, ani święty Patryk, którego wezwałem na pomoc. Tłumaczyłem mu jeszcze raz akuratnie, ale on nie chce słuchać, mówi, że go oszukałem!

— Co mu się stało?

— Nie wiem, sir, nic nie rozumiem! Heyter mówi, że ten Cygan, który spał obok niego, jak mu tam... Parus, Pavus... No, że chudzielec mu wszystko akuratnie wyśpiewał, a ten czarny diabeł wyśmiał go i powiedział mu, że wcale nie chodziło o pokutę... Święty Patryku, co mam robić?!

— Zamknij się i nie trzęś jak galareta. A teraz przyprowadź mi go.

— Kogo, sir? Cygana?

— Nie, tego z kościoła.

Brakowało kilku minut do dziewiątej, gdy eks-snajper z Bow Street stanął przed biurkiem Beniamina, pouczony po drodze przez zakonnika, jak się należy „akuratnie” zachowywać przed szefem.

— Nazwisko?

— Rigby. Wawrzyniec Rigby, sir.

— Podobno służyłeś w policji?

— Tak, sir.

— Co robiłeś?

— Strzelałem na długi dystans, sir.

— Najmę cię na kilka tygodni do tego samego, za pieniądze, których nie zarobiłbyś przez dwadzieścia lat.

— Nie zależy mi na pieniądzach, sir.

— A na czym?

— Chcę odpokutować za morderstwo, które popełniłem.

— Tam, gdzie się wybieram, będziesz miał do tego najlepszą okazję.

— Nieprawda, sir! Oszukano mnie! Teraz już wiem, że potrzebowaliście strzelca wyborowego i dlatego ojciec Allan przyprowadził mnie tutaj. Chcę wracać do kościoła i to zaraz! Obiecałem sobie, że w życiu nie wezmę broni do ręki.

— Nikt cię nie zatrzymuje i nie zmusza, to twoja sprawa. Masz rację, oszukano cię. Ale to nie ojciec Allan cię oszukał, gdyż wyruszamy przeciwko Francuzom, bezbożnikom i jakobinom, którzy obalają ołtarze i zagrażają naszemu królowi, gdzież więc znalazłbyś lepszą okazję, by zasłużyć na odpuszczenie grzechów, niż wśród nas? Oszukał cię Cygan i to tylko dlatego, że jest prawdziwym Cyganem. Czy słyszałeś o Cyganie, który powiedział w życiu słowo prawdy? No, powiedz...

Rigby, zaskoczony tym pytaniem, począł się zastanawiać.

— Nie, sir, nie słyszałem. To prawda, mój stryj Lorimer zawsze mówił, że Cygan, jak w dzień nie skłamię albo nie ukradnie, to w nocy źle śpi, bo...

— No widzisz. W ustach Cygana słowa prawdy są rzadsze niż magnolie na Saharze. Powiedział ci, że potrzebuję strzelca wyborowego? To nędzne kłamstwo. Po co mi kilku snajperów? Heyter wybornie strzela i Brown też, a ja jestem najlepszym strzelcem w całym Królestwie. Jest nas więc trzech, a dobrą strzelbę mamy jedną. Bo musisz wiedzieć, że mamy strzelbę, o jakiej się śni. Miałeś kiedyś w ręku broń pneumatyczną? Mówiąc to Bathurst otworzył drewniany futerał, wyjął z niego tyrolkę Heytera, złożył obie części jednym ruchem i podszedł do okna. Rigby nie odpowiedział na pytanie, ale na widok strzelby jego oczy napęłniły się zachwytem, co było odpowiedzią na pytanie o wiele ważniejsze. W jednej chwili ten zachwyt zdmuchnął mu z oblicza smutek. Chudzielec pieścił głodnym wzrokiem kolbę, zamek i lufę, przełykając ślinę, która, podrażniony wysuszone gardło, wydarła zeń kaszel. Tymczasem Beniamin otworzył okno i przez chwilę szukał. Rigby zrobił dwa kroki do przodu jak automat...

— Patrz — powiedział Bathurst — za tym domem, w głębi ulicy, stoi drzewo. Widzisz tę gałązkę wystającą zza komina? Zetnę ją w połowie.

W pięć sekund później zza komina wystawał już ucięty kikut.

— Zauważyłeś, jak cichutko bije? Dobra broń, bardzo dobra. Jak widzisz nie potrzebuję do niej nikogo. Zresztą... założę się, że nie trafiłbyś tak jak ja. Stawiam dziesięć gwinei

przeciw pensowi, że nie zetniesz jej u podstawy, tuż nad kominem. No?

Rigby zawahał się, ale pracujący mu już pod czaszką projektorek, który wyświetlał pożądlive obrazki, zmusił go do ruchu. Wyciągnął ręce i wziął strzelbę w dłonie. Przez chwilę wpatrywał się w nią z bliska, potem przytknął strzelbę do ramienia miękkim ruchem kochanka, który przytula ciało kobiety, przesunął lufę...

— Weź poprawkę na znoszenie w prawo — szepnął Bathurst — z tej odległości zniesie o cal, najwyżej o półtora...

Rozległ się cichy szcęk i zaraz po nim słowa Beniamina:

— Śliczny strzał! Trzymaj, oto twoje dziesięć gwinei. Świetnie strzelasz, no, no! Gdyby nie to, że nie chcesz jechać, może i oddałbym ci tę wiatrówkę do wyłącznego użytku. No cóż, niestety... Oddaj ją i żegnaj.

Rigby stał nieruchomo, zamieniony w posąg, patrząc na broń i nie mogąc oderwać od niej oczu. Trwało to długo. W końcu powiedział drżącym głosem:

— Tak myślę, sir, czy ojciec Allan i pan macie rację...

— Oczywiście, że mamy, a Cygan łgał. Zaraz się o tym przekonasz. Bathurst otworzył drzwi i krzyknął w głąb korytarza:

— Parvis, do mnie!

Na twarzy Cygana, który przybiegł w mgnieniu oka, malował się strach. Wiedział już, co się święci, od Robertsona.

— Słucham... słucham, sir.

— Coś ty naopowiadał Wawrzyńcowi?

— Ja? Co ja naopowiadałem, sir?... Aaaa, to rano... a tak, he, he, żartowałem sobie, ot tak, a on we wszystko uwierzył, sir... Jak Boga Kocham! Ja tylko tak, dla zabawy...

— Źle zrobiłeś, Parvis, bo Wawrzyniec wziął to za dobrą monetę i miał żal do Allana. Nie wygłupiaj się na drugi raz, a teraz zmiataj, łobuzie!

Beniamin mówił to głosem łagodnym, wręcz miłym, niczym ojciec do ukochanego dziecka, które zbroiło. Gdy za Cyganem zamknęły się drzwi, zwrócił się do Rigby'ego:

— Sam widzisz. A teraz idź już, bo mam sporo roboty i jeszcze nie jadłem śniadania.

Strzelbę połóż tu.

— Sir...

— Słucham.

— Sir, myślę, że pojedę z panem.

— Nie, dziękuję. Nie jest mi potrzebny człowiek, który co chwila zmienia zdanie na skutek cygańskiego wygłupu. Gdybyś już był członkiem grupy, drogo by cię to kosztowało. Moi ludzie muszą ślepo mnie słuchać. Są do wykonywania rozkazów, od decyzji jestem ja.

— Sir!

— Czego chcesz?

— Sir, będę posłuszny, wykonam każdy rozkaz. Przysięgam! Rigby stał w miejscu nie wypuszczając broni z rąk i patrzył psim wzrokiem. Bathurst udał, że się zastanawia.

— No dobrze, wierzę ci, Rigby. Od tej chwili jesteś mój, twoja zaś jest strzelba. Idź do ojca Allana, niech ci pokaże Heytera, lub po prostu zapytaj o mechanika, a ten cię zapozna z tajnikami i sposobem konserwowania strzelby.

— Dziękuję, sir! — krzyknął snajper, wychodząc i nie zaszczycając spojrzeniem tego, do którego mówił, gdyż jego oczy istniały w tej chwili tylko dla cudownej wiatrówki.

Każdy zakochany ślepnie i widzi tylko ją — pomyślał Beniamin — a ci najszcześliwsi, jak ten boskostrzelny maniak, którzy zakochują się w przedmiotach, milczących, wiernych, nie pyskujących i nie kapryszących. Będzie mu dawała rozkosz za każdym naciśnięciem spustu. Taki był potrzebny.

W chwilę później ponownie wezwał Parvisa.

— Słucham, sir.

— Manuel i Juan mówią do mnie: señor. Ty mówisz inaczej, z innym akcentem.

— Bo oni są z Andaluzji, sir, a ja urodziłem się w Anglii. Moja rodzina żyła tu od dawna. Z Manuelem poznaliśmy się w ciupie i od tej pory trzymamy się razem.

— A jak rozmawiacie między sobą?

— W romany, sir.

— A po jakimu myślisz?

— Myślę? Nie rozumiem, sir.

— To proste. — Mówiąc to Bathurst zbliżył się do Cygana. — Człowiek myśli w jakimś języku. W tym, który mu jest najbliższy. Ty w jakim?

— No... w romany, sir

Teraz już stali twarzą w twarz. Bathurst szeptał, a każde kolejne słowo bardziej jeżyło Cyganowi zmierzwione kudły i napełniało drżeniem skronie.

— Więc pomyśl sobie, Parvis, w romany tak: gdybym jeszcze raz zrobił to, co zrobiłem rano, lub coś innego, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić akcji, ten człowiek, przed którym teraz stoję, połamie mi wszystkie gnaty po kolei i rozwali łeb jak wściekłemu psu. Dlatego przez wzgląd na własne dobro nigdy już, póki jestem pod jego komendą, nie pozwolę sobie na podobny wyglup... Pomyśl to sobie i naucz się tego na pamięć. A teraz wracaj i jeśli przypadkiem nie zapomniałeś angielskiego, spytaj Sija, czy ja kiedyś nie dotrzymałem słowa... I niech tu przyjdzie Robertson.

Mnich zjawił się z ustami pełnymi jedzenia.

— Stapleton podał śniadanie, sir. Trzeba im oddać sprawiedliwość, gotują akuratnie...

— Oddaj najpierw połowę twego certyfikatu, Allan!

Zaskoczony Robertson o mało się nie udławił. Nie protestował jednak i wyjąwszy sakiewkę odliczył pięćdziesiąt gwinei.

— Wiesz za co? — spytał Bathurst.

— Tak, sir. Nie udało mi się samemu skaptować Wawrzyńca. Ja zacząłem, a wasza miłość dokończyłaś akuratnie, tedy wspólne to dzieło.

— Czyli nic nie rozumiesz. Miałeś go przyprowadzić i zrobiłeś to, więcej nie było trzeba. Ale nie trzeba też było wcześniej mleć ozorem o zadaniu, jakie otrzymałeś! Skąd Parvis wiedział, kim jest Rigby? Pochwaliłeś się, durniu, i to cię kosztuje grzywnę. Równą połowę. Następnym razem może to być połowa języka i sam święty Patryk ci nie pomoże. Jesteś mi potrzebny, Robertson, to prawda, ale i bez ciebie dam sobie radę. Skończ z paplaniem. I z piciem! Idź dalej żreć i powiedz Stapletonowi, żeby przyniósł mi śniadanie tutaj. Za pół godziny przyjdę do was, niech wszyscy będą gotowi.

W trakcie jedzenia zastał go Castlereagh.

— Dzień dobry, Beniaminie, smacznego.

— Witaj, milordzie, zjesz ze mną?

— Dziękuję, już jadłem. Ale nawet gdybym był głodny, widok tej bandy odebrałby mi apetyt. Co za typy! Skąd ich wzięłeś, z Newgate czy z nadbrzeżnych spelun? Jeden wygląda na komedianta, istny przebieraniec, kolorowy jak dziewczka uliczna!

— Z wielu miejsc, z więzień też.

— I co, ufasz im? Przecież to stado wilków! Dajesz sobie radę?

— Na razie tak.

— Nie boisz się, że zaczną brykać podczas operacji?

— Ten, który zacznie, już nie skończy. Oni wiedzą o tym. To zresztą w większości porządne chłopaki, ale i tak trzymam ich za pyski od początku i wybijam kły, gdy tylko któryś je pokazuje. Na sam mój widok dostają drżączki, a o to mi chodziło. Wezmą sobie odwet na tych, których im wskażę. To jest prawo biologiczne, milordzie, każdy szuka słabszego, by zemścić się za to, że istnieją silniejsi. Ojciec wrzeszczy na dziecko, bo na niego wrzeszczy przełożony, z kolei dziecko poniewiera pluszowym misiem. Ciekawe, na kogo drze gębę miś, jak myślisz, milordzie? Więc jak mówiłem, za to, że ich terroryzuję, dadzą lanie innym. Pierwszym z tych innych dzisiaj wieczorem, podczas egzaminu.

— Mówiłem ci już, Beniaminie, że nie pochwalam tego pomysłu. A jeśli zginiesz?

— To cała zabawa przestanie mnie obchodzić, milordzie. Nie dowiem się nawet, czy bardziej mnie żałowałaś, czy przeklinałaś. Aha, byłbym zapomniał... Co z kodem cesarza?

— Niewielką część, którą udało mi się zebrać na miejscu, otrzymasz przed wyjazdem.

Resztę od Gimela, wysyłam do niego jego znajomka z szyfrowanym listem w tej sprawie¹⁰⁷... No to do zobaczenia jutro rano.

O godzinie dziesiątej trzydzieści rozpoczęła się kolejna, przedostatnia odprawa w pokoju

107 Dwie informacje, jedna z Memoriału (patrz przypis 155), druga z Pamiętników Bourrienne'a (patrz przypis 125), pozwalają przypuszczać, że tajemniczym „znajomkiem”, który przewiózł list Castlereagha do Gimela, był dobrze znany policji Fouchego agent rojalistowski Piotr Ludwik August Ferron hrabia de la Ferronnays (1777—1842), adiutant księcia de Berry, późniejszy (od roku 1827) minister spraw zagranicznych Francji. Jak podaje Bourrienne, w końcu października 1806 roku Ferronnays przybył z Londynu do Altony, w której rezydował Gimel. O kontaktach Ferronnaysa z Anglikami świadczy fakt, że wymknął się on z Hamburga przez Altonę do Londynu (zagrożony przez policję cesarską) jako sekretarz lorda Kinnairda.

komandosów.

— Zadanie w zarysie już znacie — powiedział Bathurst — ale od wczoraj rano co nieco się zmieniło. Po pierwsze, zmieniam podział na grupy. Pierwszą grupę stanowimy ja i Sij. Drugą Józef, Mateusz, Jimmy, Rufus i Parvis. Dowódcą drugiej grupy, gdy będzie ona działać osobno, jest Józef. Jego rozkaz ma wówczas taką samą wartość jak mój.

Niewykonanie oznacza śmierć! Rigby będzie zdawał egzamin wcześniej i wróci do domu wieczorem, podczas naszej nieobecności. Każdy z członków drugiej grupy otrzyma za chwilę szybkostrzelny pistolet bębnekowy, z którego można wystrzelić pięciokrotnie bez ładowania. To wasza podstawowa broń, bardzo skuteczna i bardzo łatwa w obsłudze. Józef już umie posługiwać się nią, pozostali rozpoczną za chwilę ćwiczenia w piwnicy pod kierunkiem Briana.

Powtarzam jeszcze raz to, co najważniejsze: zadaniem drugiej grupy jest sterroryzowanie kilkudziesięciu osób w knajpianej sali. Żadna z tych osób nie może opuścić sali bez mojego lub Józefa zezwolenia, aż do momentu zakończenia akcji. W razie oporu unikać zabijania, to ostateczność, używajcie raczej pięści. To wszystko. Są pytania?

— Co robić, sir, jeśli ci w knajpie zaczną strzelać? — spytał Polak Mateusz.

— Strzelać szybciej i celniej od nich, zabijać. Co jeszcze?

— O której ruszamy, sir? — spytał Lipton.

— Między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Aha, kolacji nie będzie, a obiad, bardzo skromny, po piętnastej. To dlatego, że strzał w pełny brzuch znaczy tyle samo co strzał w skroń: rana jest śmiertelna, gdyż nieuchronnie gnije. Co jeszcze?... W porządku. Manuel i Brian nie wezmą udziału w akcji, muszą zostać w domu i dokończyć pilną robotę rusznikarską. Ty, Manuelu, możesz się już za to brać, a ty — wskazał Heytera — rozdaj pistolety i zaczynajcie ćwiczenia. Józefie, pozwól ze mną.

Zaprowadził Polaka do swego gabinetu.

— Napijesz się czegoś?

— Tak, sir, jeśli można.

Bathurst napełnił kieliszki winem.

— Za powodzenie!

— Za powodzenie, sir.

— Przejdźmy do rzeczy. Patrz — Bathurst położył na stole rysunek z siatką kilku ulic — tu jest Fleet Street, a tutaj uliczka...

— Przepraszam, sir, a Low Lane?

— To już nieaktualne. Początkowo chciałem wyłowić z pewnej knajpy na Low Lane jednego z bandziorów Doca i wydusić zeń, gdzie szukać jego szefa. Teraz to już niepotrzebne. Domyślam się już, kim jest Doc, i wiem, gdzie go szukać. Uważaj, na tej uliczce, w miejscu, gdzie postawiłem krzyżyk, jest knajpa o nazwie „Old Wine House”. Nad nią jeszcze piętro, za nią długi budynek zaplecza, a dalej pewnie dziedziniec i budynek od drugiej ulicy. Pod knajpą najprawdopodobniej piwnice. Gdzieś tam ma swoją jamę Doc. Knajpa jest tylko dla zaufanych i nie każdy ma do niej wstęp. Twoim zadaniem jest wzięcie za gardło dwóch zbirów, którzy pilnują wejścia, błyskawiczne przedarcie się w głąb i sterroryzowanie sali. Ja i Sij dopadniemy barmana, a on wskaże nam drogę na zaplecze. Tam poszukamy Doca.

— A jeśli akurat go nie będzie?

— Będzie na pewno. Wie już, że zaatakujemy dzisiaj. Myśli, że nie wiemy, gdzie jest jego baza, i tu się myli. Sądzi, że dopadniemy któregoś z jego ludzi i wydusimy z niego adres, po czym po nitce dojdziemy do kłębka. Tak czy owak zdaje sobie sprawę, że trafimy do jego bazy, a że nie chce, byśmy ją zniszczyli, musiał wybrać jedyne możliwe rozwiązanie. Przygotował na nas pułapkę, by wykończyć nas wszystkich, część tam, resztę zaraz potem tutaj. Nigdy w życiu nie groziło mu tak wielkie niebezpieczeństwo i dlatego jestem pewien, że sam pokieruje akcją. Jest dla niego zbyt ważna, by mógł powierzyć ją komukolwiek. Najwyżej włoży maskę. Naszym największym atutem w pierwszej fazie jest jego przekonanie, że nie mamy pojęcia o pułapce, nie wiemy, kim jest, szukamy go zupełnie w ciemno. Sądzę, że będzie nas nawet naprowadzał, w każdym razie barman z pewnością bez oporu pokaże nam drogę do niego, gdzieś na zaplecze knajpy.

— I co wówczas?

— To już moja rzecz. Twoim zadaniem jest trzymać salę pod lufami. Dopiero, gdy dam

znać, wycofacie się.

— A jeśli pan zginie, sir?

— Sądzę, że przeżyję, Józefie. A jeśli usłyszysz strzały i zorientujesz się, że ze mną krucho, zrób masakrę granatami i wycofuj się do domu. Z kolei ty przygotuj mu tutaj pułapkę. Zresztą Brian wie, co ma robić, gdyby tutaj przyszli. Po mojej śmierci lord Castlereagh zadecyduje, co dalej. I jeszcze jedno. Gdybym rzeczywiście zginął, bardziej niż na wykończeniu Doca zależy mi na...

— Wiem, sir. Nie daruję mu. Jeśli wyjdę żywy z tej gry i jeśli nie załatwię go tam, na miejscu, poszukamy go razem z Mateuszem i Brianem. A jeśli i ja zginę, inni go poszukają. Nie wywinie się! On się chyba nie domyśla, że wiemy?

— Nie jest jasnowidzem, a Sij potrafi śledzić ludzi tak, że choćby mieli oczy na plecach, nie zauważą. On jest pewien, że knajpa, o której wspomniałem na odprawie, to ta na Low Lane, w której mieliśmy szukać ludzi Doca, by wycisnąć z nich informacje... To by było wszystko. Zbierzemy się tu razem ponownie o dwudziestą i wówczas dam ci ostatnie instrukcje. Liczę jeszcze na jednego faceta, marynarza, ale nie jestem pewien, czy przyjdzie. Jeśli nie przyjdzie, któryś z twoich chłopców dostanie osobne zadanie i będzie musiał je wykonać z Manuelem. O siedemnastej, w czasie, gdy Heyter po raz ostatni sprawdzał w piwnicy strzeleckie umiejętności komandosów, Bathurst, Rigby i Manuel Diaz wsiedli do koczka (powoził Beniamin) i ruszyli w stronę Newgate, by na wysokości Blackfriars Bridge skręcić w prawo, we Fleet Market. Zatrzymali się w małej uliczce, ciemnej nawet w słoneczny dzień. Diaz został przy powozie, a Bathurst poprowadził Rigby'ego przez kilka podwórek na tyły obskurnego budynku, oplakującego plamami brudnej zieleni swą zielonoelewacyjną młodość. Wspięli się po skrzypiących schodach na poddasze i weszli do pokoju, w którym Beniamin musiał pochylić głowę, by nie grzmotnąć nią o belkę skośnego stropu.

— Patrz! — pokazał Rigby'emu, uchylając nieznacznie okno — to jest wejście do tej knajpy. Cofnij się, bo nas ktoś zobaczy. Obserwuj zza kotary. Od chwili, kiedy zobaczysz, jak wchodzimy, będzie to około dwudziestej pierwszej, nie wolno ci wypuścić stamtąd jednego żywego człowieka, zanim nie wyjdę. Ja albo Józef, rozumiesz? Każdego innego,

kto przestąpi próg lub wyskoczy oknem, natychmiast zastrzelisz. Nie będziesz miał kłopotów z widocznością, nad wejściem będą się paliły lampy.

— Przepraszam, sir, ale jeśli zastrzelę kogoś, zrobi się zbiegowisko i...

— Nic podobnego. Strzelba bije prawie bezgłośnie, a nocą leży tu pełno pijanych i zadźganych. Nie ma wieczoru, by nie zakłuto na tej ulicy przynajmniej jednego człowieka. Nie robi to tutaj żadnego wrażenia. No, trzymaj się i nie nawał! Odkąd wejdziemy, nie wolno ci odwrócić oczu, a palec cały czas na spuście. Tylko nie strzelaj do mnie albo do Józefa, gdy wychylimy nos. Zapamiętaj, każdego innego z naszych, który wyjdzie przed nami, musisz zastrzelić tak samo jak obcych.

Następnie Benjamin i Manuel pojechali uliczką równoległą do tamtej, przy której pozostał snajper (to tutaj! — krzyknął w pewnym momencie Bathurst, wskazując jeden z domów) i skierowali się do Covent Garden. Brakowało minuty do osiemnastej, gdy powóz zbliżył się do gmachu teatru. Benjamin wypatrywał w napięciu pełnym nadziei. Odetchnął z ulgą, ujrawszy na rogu brodatego olbrzyma w błękitnej marynarskiej kurcie. Obok stał z rękami w kieszeniach drugi, trochę młodszy i niższy, z gębą tak samo zrogowaciałą od wiatru i z nosem identycznie sinym od alkoholu. Podjechali i Bathurst powiedział:

— Manuel, wysiądź i przejdź się. A wy wsiadajcie, porozmawiamy gdzie indziej, tutaj zwracalibyśmy uwagę.

Pojechali w okolice Hyde Parku. Bathurst zatrzymał powóz i odwrócił się do nich.

Pierwsze słowa skierował do znajomego brodacza:

— Zdecydowałeś się?

— Powiedzmy, że tak.

— Zapomniałeś, jak się do mnie mówi?! Masz kiepską pamięć. Kiepskich nie potrzebuję, zjeżdżaj.

Brodacz wstał i zacisnął pięści. Przez chwilę Benjamin oczekiwał ataku, patrząc stojącemu w oczu, gotów kopnąć przy najdrobniejszym agresywnym ruchu tamtego. Ale marynarz opadł z powrotem na siedzenie i mruknął:

— Zdecydowałem się, sir.

— Dlaczego?

— Rozpytałem tu i tam. Chłopaki mówią, że rzeczywiście Doc załatwił Peggy. Ale on nie przegrywa i nikt go nie zna.

— Ze mną przegra, bo ja go znam. Masz na imię Tom, a nazwisko?

— Mówią na mnie „Rope”, sir, więcej nie trzeba.

— A on? — Beniamin wskazał drugiego marynarza.

— To Larry Brighton, sir, czyli „Żabie Oko”, mój kumpel. Przez kilkanaście minut Bathurst tłumaczył im, w czym rzecz.

Potem wyjął z zanadru ten sam plan, który pokazywał Polakowi.

— Patrzcie, tu jest Fleet Ditch. A tu wejście do tawerny. My wejdziemy tędy. Kiedy już Doc będzie mnie miał w ręku, zmuszę go, by wysłał do mego domu człowieka. Będzie to na pewno ten, którego wam opisałem. Zresztą mój człowiek, Manuel, który będzie z wami, zna go. Doc nie wyśle go frontowym wejściem, ale jakimś ukrytym, od tyłu.

Odnalezienie tego tajnego wejścia to jest wasze zadanie. Sala i front będą obstawione przez moich ludzi, wy obstawicie tę uliczkę z drugiej strony. Kiedy go dopadniecie, musicie jak najszybciej zmusić go do wskazania wam drogi i drzwi lub klapy do pomieszczenia, w którym będę ja i Doc. Dokładnie w dziesięć minut po przechwyceniu wysłannika uderzycie w te drzwi. Ani sekundy później lub wcześniej!

— A kto nam policzy czas, sir?

— Manuel. On ma zegarek, a może i dwa lub trzy. Do tej pory zdobywanie zegarków było jego zawodem. Wszystko jasne?

Brodacz podrapał się w głowę i odpowiedział po namyśle:

— Tak, sir, tylko co robić, jak nas opadną w tym przejściu? We trzech możemy nie dać rady...

— Nie macie broni?

— Noże i sznur, sir.

— Wystarczy. Manuel ma granaty, dacie sobie radę. On wam pokaże miejsce, w którym się zaczaicie. Pojedziemy teraz do niego i zostawię was. Posiedźcie w jakiejś tawernie, tylko nie pijcie za dużo! Punktualnie o dwudziestej pierwszej musicie być na miejscu.

— Aye-Aye, sir!¹⁰⁸ — odpowiedzieli jednogłośnie. Wróciwszy do domu pani Gibson Benjamin położył się na

godzinę. Był już trochę zmęczony, a najtrudniejsze było dopiero przed nim. Za pięć dwudziesta Sij obudził go. O dwudziestej odbyła się ostatnia odprawa.

— Za chwilę wyjdę z Sijem, by dopaść jednego typa, który musi mi wyśpiewać, gdzie się gnieździ Doc. Wyruszycie w trzy kwadransy później pod dowództwem Józefa. Spotkamy się na Low Lane.

Tylko tyle powiedział i wyszedł. O dwudziestej pięćdziesiąt pięć byli już wszyscy razem w Storegate.

— Idziemy na Fleet Ditch — rozkazał Bathurst.

Po niespełna kwadransie osiągnęli cel. Fleet Ditch. Ta ulica, później, po poszerzeniu, zwana Fleet Street, dość przestronna, cuchnąca i obmierzła, była królową najbardziej parszywych ulic Londynu. Stare opisy owej dzielnicy i jej arterii takich jak Fleet, Chick Lane, Field Lane¹⁰⁹ i innych, oplecionych gęstą siecią zaułków, budzą wątpliwości czytelnika, albowiem rodzą obraz czarniejszy i bardziej haniebnym od opisów Dziedzińca Cudów¹¹⁰ w średniowiecznym Paryżu. Niełatwo uwierzyć, że w XIX wieku w Londynie były takie terytoria, na których w biały (choć często zamglony) dzień rzezano mieszki lub gardła, nocą wyprawiano dzikie orgie, w których sprośność, hazard i zbrodnia toczyły wyścig, a rankiem trzeba było deszczu, by zmył potoki krwi. Żaden konstabl, żaden „Charley”¹¹¹, żaden „Czerwony”¹¹², żaden urzędnik nie ośmielił się po zmroku zapuścić w tę cywilizację bezprawia. Dezerterzy z armii i floty, szulerzy i ścigani mordercy, prostytutki i kradzione dzieci, przekupnie, złodzieje, żebracy-naciągacze, łotry wszelkiej maści, płci, wieku, rasy i narodowości wymościły tu sobie kloaczną norę na ziemi i pod nią, gdyż pod

108 Marynarskie: tak jest!

109 Fragmenty Fleet Ditch jeszcze istnieją w Londynie (Fleet Street). Field Lane i Chick Lane zostały wyburzone w roku 1844. Na ich miejscu znajdują się obecnie New Bridge Street, King Edward Street i inne.

110 Dziedziniec Cudów (Cour des Miracles) — paryski matecznik mętów społecznych, średniowieczne królestwo żebraków i przestępców.

111 Przydomek ówczesnych watchmanów, strażników nocnych, których obowiązkiem było patrolowanie ulic Londynu.

112 Redbreats — konni policjanci działający w Londynie od roku 1805 w ramach „Bow Street Horse Patrol” (Konnego Patrolu z Bow Street)

Fleet Ditch i jej otoczeniem rozciągało się podziemne miasto, istne piekło piwnic i lochów, w których ukrywano łupy, gwałcono i chowano ciała, i pito na umór.

Tylko jedno miejsce w tym królestwie łajdactwa otaczającego Fleet cieszyło się nienaruszonym respektem: „Old Wine House” — winiarnia, zwana przez wtajemniczonych „pokładem Doca”. Gwarantem tego poszanowania był strach. Spelunka owa miała własną klientelę i nie lubiła obcych, toteż byli i tacy, którzy mieszkali w okolicach Fleet Ditch od urodzenia i codziennie mijali wejście pod oblatłym szyldem, a nigdy nie ujrzeli wnętrza. Okna tawerny zasłaniały gęste story, których nie tykano nawet w południe, więc i słońce należało do tych mieszkańców dzielnicy, którzy nie dostąpili zaszczytu obejrzenia tajemniczego „pokładu Doca”. Bathurst był zaiste bezczelny — porwał się na to, co wzbronione było słońcu samemu.

W rozdwojonym kręgu światła lamp spod ceglanej elewacji, kryjącej drewnianą strukturę, pojawili się nagle niczym widma Polak Mateusz i Brown. Unieruchomili cerberów lufami wsadzonymi w brzuchy i wepchnęli ich do wnętrza dopiero wówczas, gdy już Józef, Jimmy Lipton, Parvis, Sij i Bathurst runęli w środek. Trzej pierwsi skoczyli na stoły i Polak krzyknął:

— Śmierć każdemu, kto sięgnie po broń! Łapy w górę i pod ściany! Już!

I w tejże chwili nacisnął spust, raz i drugi, a Brown zrobił to samo. Nie udało się tak, jak chcieli. Kilku zaskoczonych próbowało dobyć broni — wystrzelali ich w mgnieniu oka.

Ktoś, osłaniając rękami głowę, skoczył w okno, przebił je, przeturlał się po ziemi, wstał, nagle zawirował w pionie i zwałił w kałużę jak ścięty kosą. To Rigby wykazał czujność.

Wszystko trwało ułamki sekund¹¹³. Gdy Józef ustawiał dwudziestu kilku oprychów pod ścianami, a Mateusz i Parvis obszukiwali ich, zabierając broń, Bathursta już nie było w sali. Zanim padł pierwszy strzał, on już przykładał barmanowi lufę do skroni, sycząc:

— Mów, gdzie Doc, albo giń!

Ruch ręką w kierunku długiej kotary zasłaniającej drzwi, cios kolbą w łeb i skok wraz z Sijem ku drzwiom, w huku wystrzałów za plecami.

Druga komnata była pusta. Wysoko pod sufitem obiegała ściany galeria, na którą

113 Autor Memoriału napisał: „Jedno zdanie kaligrafuję dtużej, niż trwało to wszystko”.

prowadziły wąskie schody. W przeciwległej ścianie była para drzwi, po prawej, i po lewej stronie. Które z nich? Bathurst stanął niezdecydowany i zaraz usłyszał z tyłu, tuż za sobą, słowa Liptona, na które czekał:

— Rzuć broń, sir! Obaj łapy w górę. Szybko, bo strzelę! Benjamin rzucił rewolwer na podłogę. Podnieśli ręce, on i Sij.

— W porządku, Jimmy! — krzyknął z galerii mężczyzna z karabinem wycelowanym w dół. — Obszukaj ich i zaprowadź do szefa.

Lipton wyjął Sijowi nóż zza koszuli. U Bathursta nie znalazł nic więcej. Pchnęli ich ku drzwiom po lewej stronie. Za tymi drzwiami wstąpili na kolejne schody prowadzące w dół. Szli prawie po omacku. Kolejne drzwi, długi sklepiony korytarz, jeszcze jedne drzwi i znaleźli się w dużej komnacie, tak wytwornej, jakby mieściła się w Buckingham Palace, a nie przy Fleet Ditch. Na ścianach wisiały piękne obrazy i sztychy, wschodnie kobierce, miniatury i broń, podłogę zaścielał dywan uginający się pod stopami. Ten pokój na zapleczu „Old Wine House” był jak perła w stercie gnoju.

Za rzeźbionym mahoniowym biurkiem, na którym królowała podtrzymywana przez brązowe nimfy lampa, siedział rozparty w fotelu inspektor Littleford¹¹⁴. Bawił się maleńkim kościanym nożykiem do otwierania listów. Po obu stronach biurka stali dwaj rośli mężczyźni z pistoletami wycelowanymi w Bathursta i jego sługę, Littleford wskazał jednemu z nich Sija.

— Wyprowadź go i zamknij w komorze.

Przez długą chwilę przypatrywał się Bathurstowi z ciekawością uczonego, który obserwuje rzadki okaz robaka. Uśmiechnął się i powiedział:

— Witaj, młodzieńcze, znowu się spotykamy. Harry, podaj mu krzesło.

Bathurst usiadł.

— Nie róbcie krzywdy Sijowi, ostrzegam! — rzekł zwracając się do Littleforda.

Littleford dał ledwo dostrzegalny znak oczami i pięść Liptona spadła na twarz siedzącego. Benjamin runął z krzesłem na ziemię.

¹¹⁴ Dla wygody używam pojęcia inspektor, zamiast znajdującego się w Memoriale określenia: „wpływowy oficer policji rzecznej”. Być może Littleford (ciekawe, czy to nazwisko prawdziwe?) był po prostu „headborough”, komisarzem dzielnicy?

Podnosząc się otrzymał drugi cios, w brzuch. Ukłął, zgięty w pół. Bał się, że zaczną kopać, ale nie zrobili tego. Usłyszał głos Doca:

— Pomóż mu wstać, Jimmy. Z ostrzeżeniami jesteśmy na remis, młodzieńcze. W ten właśnie sposób ostrzegłem cię, byś nie otwierał ust nie proszony. W tym pokoju się milczy albo odpowiada na pytania, które ja zadaję. Masz przy sobie chustkę? Otrzyj wargi, nie lubię widoku krwi. O tak, teraz lepiej. Ile masz lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Wyglądasz na mniej, lecz oceniałem cię na więcej. Szybko znudziło ci się życie. W istocie bowiem, mój drogi, jesteś samobójcą. Swoją dzisiejszą śmiercią nie możesz mnie obarczać, tylko siebie samego, a ściślej swoją głupotę. Oczywiście głupota jest też sposobem używania mózgu, jak każdy inny, tylko że to jest akurat sposób najmniej fortunny, bo rzadko profituje siwizną. Zwłaszcza gdy jest to głupota ożeniona z zuchwalstwem. Gdybyś...

W otwartych drzwiach ukazał się osilek, który wyprowadził Sija.

— Szefie! Tamci wciąż trzymają chłopców pod lufami. Co robić? Jak pójdziemy na siłę, wielu z naszych zginie...

— Uspokój się, Mike, i przestań mi ubliżać — powiedział Littleford. — Działanie na siłę jest przywilejem takich jak ty lub takich jak ten oto chłopczyzna, ale dlaczego mnie posądzasz o taką nierozwagę?...

Popatrzył na osilka z łagodnym wyrzutem i dokończył:

— Nasz młody gość za chwilę sam każe złożyć broń swoim żołnierzynom, prawda?...

Dziwisz się pewnie, młodzieńcze, że pozwoliłem wam sterroryzować tyłu moich ludzi, ale gdybym ich uprzedził, broniliby się lepiej i mógłbyś mi się wymknąć z rąk.

Skinął na Liptona i Mike'a.

— Weźcie go teraz na górę, niech każe im poddać się, a potem... Żegnaj, młodzieńcze, i zachowuj się grzecznie. Nie kupisz tym życia, ale uchronisz się od cierpień. Bo gdybyś nie był posłuszny, wówczas oddam cię w ręce Mike'a, który, jak słyszałeś, nie ma nic przeciwko działaniu siłą. Bądź więc grzeczny, a obiecuję ci, że nie będziesz męczony i umrzesz szybko. Jeśli istnieje piekło, poczekaj tam na mnie. Zjawię się tam za jakieś

trzydzieści lat, nie wcześniej.

— Zjawisz się tam za trzydzieści godzin, nie później — wycedził Beniamin przez rozbite wargi.

Lipton podskoczył ku niemu, by uderzyć, lecz ręka Littleforda zatrzymała go w pół kroku.

— Jesteś niepoprawny, młody człowieku. Czemu mnie drażnisz? Obiecałem ci szybką śmierć, to mało? Jeśli zmienię zdanie, będziesz przez godzinę albo dwie przeklinał w mękach swą matkę, że cię wydała na świat. A właściwie co miałeś na myśli?

— List, który zostawiłem w domu. Jeśli nie wrócę do północy, ten list dostanie się w ręce lorda Castlereagha.

— Można spytać, co jest w tym liście?

— Jedna bardzo ciekawa informacja.

— Jaka informacja? Że Doc to inspektor Littleford?

— Zgadłeś, rzeczywiście jesteś inteligentny — zadrwił Beniamin. Rysy Littleforda stężały i zmieniło się spojrzenie. Oczy stały się węższe i czujne. Zapanowało milczenie, które przerwał po chwili głosem już zupełnie innym niż uprzednio:

— Nieudolnie kłamiesz. Dowiedziałeś się, gdzie mnie szukać, przed godziną w „Ślepym Kocie” na Low Lane, od któregoś z moich ludzi. Nie mogłeś wiedzieć wcześniej, kim jest Doc!

— Wiedziałem już od wczoraj — odparł Bathurst — i przypuszczałem, że masz kryjówkę gdzieś tutaj. Nie przypuszczałem tylko, że dam się tak głupio złapać, sądziłem, że wystrzelam was... Nie udało się, trudno, proponuję ugodę.

— Powoli, chłopcze, powoli. Potrafisz udowodnić to, co mówisz?

— Potrafię. Pierwsze podejrzenia wyniosłem już z naszej poprzedniej rozmowy. Zastanowiło mnie, jakim cudem policjant, nawet na wysokim stanowisku, może utrzymywać dom na tak wysokiej stopie. Ale to można było uzasadnić łapówkami albo haraczami, albo bogatym ożenkiem lub spadkiem, nie miałem czasu sprawdzać. Trudniej byłoby znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego człowiek, który już osiem lat walczy z bandą Doca, a tak przecież powiedziałeś, jeszcze żyje, zwłaszcza — i to są również twoje słowa — że co tydzień któryś z was ginie. Nie trzeba było tego mówić, to był błąd.

Ale jeżeli już to powiedziałaś, trzeba było dać mi więcej ludzi i samemu przyłączyć się do akcji, trzeba było wypytać mnie o szczegóły, wówczas może bym i uwierzył, że zależy ci na wykończeniu Doca. Wreszcie błąd największy: jeśli już dałaś mi tylko jednego człowieka, to trzeba było zgrywać się na chciwca i żądać za to pieniędzy.

Bezinteresowność to jest to, czego nie cierpię i co natychmiast budzi we mnie podejrzenia. Zdążyłem się już nauczyć, że tylko ci, którzy biorą pieniądze, są względnie uczciwi. Reszta, ci od ideałów, obietnic i dobrych chęci, to szulerzy!

Littleford pokiwał głową z uznaniem.

— Brawo. Zaimponowałaś mi, mój chłopcze. Za nisko cię oceniałem, przyznaję. Śledziłeś wczoraj Liptona?

— Śledził go jeden z moich ludzi. Najpierw jego, potem was obu, jak jechaliście ze Strandu w kierunku Fleet. Zniknęliście mu z oczu, ale obaj byliście przebrani i to pozwoliło mi zrozumieć.

Littleford zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Proponujesz ugodę... Nie mogę się zgodzić, zbyt wielkie ryzyko. Podtrzymuję swoją propozycję, śmierć bez cierpień to i tak bardzo dużo. Jimmy zna drogę do twego domu, pójdzie tam i odbierze list, ale przedtem musisz powiedzieć, na jaki znak lub hasło wydadzą mu dokument...

— Szefie — krzyknął Lipton — przecież ja tam jestem spalony! Ukręcają mi łeb!

— Nie obawiaj się, Jimmy, zaraz to załatwimy, nic ci nie będzie groziło.

Zwrócił się do Bathursta, podsuwając mu papier i kałamarz z piórem.

— Napisz, mój chłopcze, to, co ci podyktuję.

— Niczego nie napiszę.

— Owszem, napiszesz. I to natychmiast, albo każę cię amputować, zaczynając od nóg.

Nie stawiaj się, nie masz szans, bądź rozsądny. Powiedz mi, kto ma ten list?

Beniamin opuścił głowę na piersi i zamknął oczy. Rozpacz, jaka emanowała z jego oblicza, była tak widoczna, że Littleford nie miał już żadnych wątpliwości.

— No! — podniósł głos jeden ze zbirów — szef czeka! Chcesz, żeby ci wyrwać paluszki u nóg szczypcami z kominka? Wówczas zaśpiewasz!

Bathurst wziął pióro do ręki i szepnął drżącym głosem:

— List ma Heyter.

— Imię?

— Brian.

— Więc pisz: „Brianie; oddaj list Liptonowi i nie obawiaj się. Wszystko w porządku, dogadałem się z nimi. Czekaj na mnie, wrócę przed północą... przed północą...” Tak, dobrze. Teraz podpisz się. W porządku. A znak?

— To jest... ten... znak — wydusił z siebie Bathurst, wyjmując z kieszeni złoty pierścień z szafirem.

— Jimmy — powiedział Littleford — weź to cacko i idź po list. Bądź ostrożny. Gdy już będziesz go miał, wystrzelaj wszystkich, których tam zastaniesz.

— Tak jest szefie!

Lipton podszedł do wysokiej szafki bibliotecznej, nacisnął głowę drewnianego amorka, odsunął bibliotekę i zniknął w otworze prowadzącym w ciemną czeluść. Zbir o imieniu Harry zasunął bibliotekę z powrotem na miejsce.

— Jak ci się to podoba, chłopcze? — spytał Littleford. — Widzisz, jestem zabezpieczony na wiele sposobów, a to wyjście gwarantuje mi w razie potrzeby odwrót. Harry, idź z nim teraz, niech rozbroi swoich ludzi.

— Chwileczkę! — krzyknął Benjamin. — Jedno słowo! Ja... proszę pana... ja...

— Nie trać czasu na zebranie, chłopcze, niczego więcej nie wyblagasz. Niepotrzebnie się upadłasz. Nie daruję ci życia, wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to zabić cię bez zadawania cierpień. Będziesz grzeczny, zaoszczędzisz ich sobie. Ruszaj!

— Zaraz! — krzyknął ponownie Benjamin. — Ja... ja chcę kupić sobie życie!

Littleford odchylił głowę na oparcie fotela i wybuchnął śmiechem.

— Ile płacisz, synu?

— Kilka milionów w złocie!

— No, no, to prawdziwy majątek! Ile dokładnie?

— Nie wiem. To kasa sztabowa armii pruskiej. Francuzi będą ją przewozić z Turyngii do Paryża.

— Aha, to ta akcja na kontynencie, do której się szykowałeś i przed którą ja miałem być przyrządem egzaminacyjnym dla twoich zuchów. Rzeczywiście, duży skok. Myślę, że dobrze go przygotowaliście, ale myślę też, że chcesz mnie wykiwać. Nie masz na razie tego złota i co gorsza nie masz żadnej gwarancji, że uda ci się wydrzeć je Francuzom. Zresztą nawet gdybyś miał taką gwarancję, to niczego by nie zmieniło. Cała Tamiza złota jest dla mnie mniej warta od mojego życia, jakże więc mógłbym ci zaufać i puścić cię wolno? Ale twój plan mnie interesuje. Opowiedz mi o nim, ze szczegółami, synu, ze wszystkimi szczegółami.

Opuśćmy teraz na kilka minut tych dwóch gawędzących dżentelmenów i przenieśmy się w wąską uliczkę, na skraju której Tom „Rope”, Larry „Żabie Oko” i Manuel Diaz czekali na Liptona. Nie było tam oświetlenia i gdyby nie blade światelko z kilku okien, mieliby w ciemności małą szansę przychwycenia go. Na wszelki wypadek rozstawili się co kilkanaście kroków. Pierwszy dojrzał go Larry.

— Hej ty, rudy, gdzie się tak spieszysz?

— Z drogi! — warknął Lipton, próbując wyminąć Larry'ego.

— Spokojnie, mam interes! — Larry nie ustępował.

— Precz, nie znam cię!

— Mnie też nie znasz? — rozległo się za jego plecami.

Lipton odwrócił się gwałtownie, ujrzawszy Manuela, wyszarpnął rewolwer i nacisnął spust. Rozległo się się dźwięczne: klang! Przesunął bębenek i znowu zamiast strzału: klang! Sięgnął po drugi rewolwer, odebrany Bathurstowi, nacisnął spust i po raz trzeci usłyszał: klang!

— Nie wysilaj się, spluwa szefa też nie była nabita — wyjaśnił rnu Manuel, szczerząc zęby. — Tom, bierz się za niego!

Rozległ się krótki świst i na szyję Liptona spadła pętla, którą „Rope” dociągnął, aż oczy wyszły rudzielcowi z orbit. Potem lekko rozluźnił i spytał:

— Ilu waszych pilnuje wyjścia? Tylko nie lżyj, ruda mordo, nie kłamie się ze strykiem na szyi!

— Jeden człowiek — wycharczał Lipton.

— Jak się nazywa ten pan?

— Ben.

— Bardzo ładnie się nazywa — ucieszył się Tom. — No to teraz prowadź nas do Bena. Jak dojdziemy, zawołasz go. Jak skrewisz, umrzesz.

Po drodze Diaz zaczął majstrować przy rewolwerze Bathursta, mrując:

— No i mamy dwie spluwy w prezencie od rudego.

— Przecież nie nabite — zauważył Larry.

— Jak dla kogo. Po pierwsze, nabite ślepakami. Po drugie, mój kumpel, Brian, zrobił im blokadę, o której ten rudy palant nie wiedział. Gdyby jednak udało mu się je odblokować, i tak ślepakiem trudno zabić mysz. A dobre naboje ja mam w kieszeni i zaraz obie pukawki będą naładowane, hi, hi, hi!

Przeszli przez sień rudery, weszli na podwórko i w drzwi do oficyny, potem korytarzem dotarli do kolejnych drzwi, w które Lipton zapukał w umówiony sposób. Drzwi otwały się i ukazała się w nich twarz strażnika.

— Kto?

— To ja, Jimmy. Chodź no tu, Ben, mam coś dla szefa.

— Idę. Aaaaaa!

Manuel ponowił uderzenie nożem, tym razem w szyję, otarł klingę o kurtkę Liptona i pchnął go dalej:

— Ile jeszcze czasu? — spytał Tom.

— Zaraz... — Cygan odwrócił się w kierunku wejścia. — Ależ tu ciemno, do diabła! Dwie i pół minuty. Idziemy!

Tymczasem Bathurst opowiadał swoją bajkę, patrząc na barokowy zegar, który stał na komodzie, w narożu komnaty. Brakowało dwóch minut do ustalonego czasu, kiedy powiedział:

— ... te dwa miejsca są niezłe do ataku, ale najlepsze w Reims. Tam będzie ostatni postój etapowy, a złoto zostanie złożone w prefekturze. Posiadamy od naszego człowieka w kwatermistrzostwie francuskim dokładny plan podziemi prefektury i starego średniowiecznego lochu, który do nich prowadzi.

— Coraz bardziej mi się to podoba, chłopcze — powiedział Littleford. — Taki plan to skarb! Gdzie go trzymasz, w domu?

— Nie, przy sobie.

— Tak sobie pomyślałem. Pokaż mi go.

— Przeprowadźcie tu Sija.

— Kogo?

— Mojego służącego, którego zamknęliście.

— On ma ten plan?

— Tak, na skórze. Wytatuowany.

— Wspaniale! — krzyknął Littleford. — Zaczynam cię lubić, chłopcze. Dajcie no tu tego pariasa.

Czekali. Littleford rozluźniony, Bathurst w straszliwym napięciu. Brakowało jeszcze niespełna minuty, a ten z Sijem wciąż nie wracał... Chryste, jeśli się spóźnią, sam nie dam rady — pomyślał. A jeśli Manuel nie wzięł Liptona? To samo. Ile jeszcze sekund? Ten przeklęty zegar może się spieszyć albo spóźniać. Ile jeszcze? Może pół minuty... A jeśli mniej? Nic z tego, przejechałem się! Wszystko od początku było nonsensowne, wydumana kombinacja z kilkoma przewidzianymi ruchami, których następstw nie sposób zagwarantować... Boże, on miał rację, jakież jestem głupi! Tylu ludzi skazałem na śmierć przez własną głupotę! Koniec, Bathurst! Koniec, koniec, koniec! Co z Sijem?!

Wszedł Sij.

— Rozbierz się i pokaż plan — rozkazał Beniamin.

Sij zaczął zdejmować swój przedziwny kabat. Na zewnątrz cisza, jeszcze ich nie ma, ile sekund?!... Wskazówka już równo, minęło dziesięć minut, koniec! Ale zaraz!

Umawialiśmy się, że dziesięć minut od momentu przechwycenia Liptona! Może Lipton zatrzymał się po drodze, więc wszystko się przesuwają. O ile?!

Wolniej, Sij, wolniej! — błagał sługę oczami. Nie, to się nie mogło udać. Tak się kończy życie, Bathurst! Rzeczywiście, jestem samobójcą! Jestem cholernym, głupim, przeklętym samobójcą!

Nagle ścianą wstrząsnął potężny wybuch. Poleciały szyby biblioteki i ona sama

zakolysała się, a potem oderwała od ściany i zwała na dywan. Wszyscy trzej, Littleford i jego zbiry, odwrócili się w tamtym kierunku, a wówczas Sij zamachnął się dwukrotnie i dwa małe stalowe ostrza przeszły ciała goryli Doca. On sam nie wykonał żadnego ruchu i dlatego ramię Sija zawisło w powietrzu z trzecim nożykiem. Ale tylko na moment, gdyż w drzwiach ukazał się człowiek z karabinem. Kolejny rzut i ostrze wbiło się w czaszkę. Do pokoju wkroczył przez wyrwę w ścianie Manuel Diaz, prowadząc na pętli Liptona.

— Oddaj go Sijowi i sprawdź, czy od frontu wszystko w porządku — rozkazał Bathurst wstając.

Następnie podszedł do otworu, z którego jeszcze sączył się dym, i krzyknął:

— Tom, gdzie jesteście?!

Z ciemności wychynęła twarz brodacza.

— Czemu beczysz? — spytał Bathurst.

— Larry! Larry... nie żyje! Kiedy uskakiwaliśmy, potknął się i rozerwało go. Larry!

„Rope” trząsał się od płaczu. Nagle ujrzał Littleforda i stanął jak wryty.

— To jest Doc?! Ty s.....u!

— Zostaw! — zabronił Benjamin. — Zabierzcie z Sijem tę kanałkę!

Wskazał na Liptona, którego twarz umierała ze strachu.

— Co z nim zrobić? — spytał Tom.

— Powieście go na galerii.

Kiedy zostali z Littlefordem sami, Bathurst podniósł z ziemi jeden z pistoletów i usiadł na tym samym krześle, na którym siedział do tej pory. Littleford, cały czas nieruchomy, patrzył mu w twarz wciąż z tym samym zaciekawieniem uczonego, który obserwuje robaka. Nie było w nim strachu. Przez minutę milczeli.

Dopiero gdy dochodzące gdzieś z daleka, spoza drzwi, przez korytarz, błagalne skomlenie Liptona utonęło w charkocie śmierci, krótkim, uciętym nagle jak nożem, Benjamin otworzył usta.

— Teraz rozumiesz, chłopcze?

— Tak, ale nie drwij, nie kopie się trupa. Ja miałem prawo tak do ciebie mówić, bo jestem dwukrotnie starszy. Dlaczego mnie wybrałeś?

— Przez przypadek. Uwolniłem dziewczynę, którą twoi ludzie wlekli do zamtuza, i obiecałem jej, że uwolnię miasto od ciebie.

Uczony spojrział na robaka z takim zdziwieniem, jakby robak ożył mu w spirytusie.

— Obiecałeś! Dobry uczynek, prawda? Czy naprawdę nie rozumiesz, że to jest bez sensu? Po mnie przyjdzie ktoś inny, może jeszcze gorszy, na to nie ma siły. Obala się królów, ale królestwa rzadziej, a ci, którzy znoszą berła, na ogół zastępują je pałkami. Tyle krwi, żeby czarne zamienić na czarne! A ty obiecałeś! Dziewce! Nie cofam tego, co powiedziałem. Jesteś głupcem! Szczęśliwym głupcem! Miałeś jedną szansę na tysiąc. Głupcy mają szczęście, to twój atut. Bądź ostrożniejszy w czasie tej wyprawy po złote runo i nie obstawiaj tak nikłej możliwości jak dzisiaj. Jestem zmęczony, kończ. Czy pozwolisz, że napiję się wina? Podaj mi tę butelkę, tę szeroką. Dziękuję.

Bathurst spełnił prośbę. Musiał kończyć, nie można było przedłużać sceny w knajpianej sali, a coś go powstrzymywało. Ciekawość tego człowieka, któremu zwycięstwo przeobrażone w klęskę nie odebrało stoickiego spokoju i jakiegś, nie umiał tego zdefiniować, pogody ducha?...

— Nie czujesz żalu, że już nie przeżyjesz tych trzydziestu lat? — spytał Littleforda.

— Nie. Żyłem ponad czterdzieści lat, ale przeżyłem w tym czasie tyle, ile większość z was nie przeżyłaby przez dwieście lat. Wszyscy macie kogoś nad sobą, nawet monarcha ma Boga, a ja nie miałem nikogo, gdyż w Boga nie wierzę. Byłem władcą absolutnym bardziej niż Henryk VIII i Ludwik XIV. Miałem najstarsze wina, najlepsze konie i najpiękniejsze kobiety. Ja po prostu żyłem szybciej, synu. Władza taka jak moja eliminuje czekanie, moje rozkazy spełniano od razu. Każdy z was ubiega się o kobiety, które mu się podobają, nie zawsze ze skutkiem, prawda?

Cały smak w tym ubieganiu się — pomyślał Bathurst, lecz nic nie odpowiedział, zaś Littleford kontynuował:

— A ja po prostu wskazywałem palcem i przynoszono mi je. Poszukiwana do dzisiaj córka pewnego arystokraty włoskiego mieszkała ze mną w tym pokoju przez trzy miesiące.

— Co z nią zrobiłeś? — spytał Beniamin.

— Zabiłem, gdy mi się znudziła. Wybuch, który spowodowaliście, musiał dobrze wstrząsnąć jej truchłem.

Bathurst poczuł, jak cała jego ciekawość zmienia się w okrucieństwo.

— Nie trzeba mi było o ty mówić!

— Dlaczego? — wyszeptał Littleford z trudem, osuwając się w głąb fotela.

— Bo chciałem cię zastrzelić, ale teraz wybiorę ci inną śmierć. Wstawaj! — ryknął Bathurst.

Littleford odpowiedział mu ledwie słyszalnym głosem:

— Nie wybierzesz, synu, nic nie... wybierzesz... jesteś... szczę... szczęśliwym głupcem, szczęśliwym, ale... ale przecież głupcem... ona też... ona też wypła... to wino i też nie... nie cierpiała... więc czemu... czemu chceesz...

Głowa opadła mu na piersi i znieruchomiał. Bathurst przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, wylał wino na dywan, w który wsiąkło, i wyszedł.

W tawernie panowało napięte milczenie. Józef, Tom, Par-vis i Manuel stali na stołach z rewolwerami w dłoniach, Mateusz przy drzwiach wejściowych, Brown na kontuarze, wśród butelek z arakiem, irlandzkim porterem, szkocką whisky i brytyjskim dżinem, kładącym na ziemię szybciej od najmocniejszej wódki i tak wówczas popularnym jak we Francji absynt. Pod bocznymi ścianami sterczeli ludzie Doca z rękami wysoko w górze.

— W porządku, chłopcy, wychodzimy! — zakomenderował Beniamin. — A wy...

Chciał powiedzieć kilka słów do sterroryzowanych, lecz odwracając się zauważył kątem oka otwierające się drzwi i plecy Mateusza. Rozdarł gardło:

— Wróóóó!!!

Było już za późno. Polak przestąpił próg, stanął raptownie, jakby natrafił piersią na niewidoczną barierę i padł na wznak z przestrzelonym czołem. Rigby znowu nie spudłował.

— Nie podchodzić do drzwi! — wrzasnął Bathurst z furią w oczach. — Mówiłem, że nikt nie może wyjść przede mną lub Józefem! Przekleństwo! Dlaczego ten dureń nie posłuchał?!

Był wściekły. Nie tylko przez niepotrzebną śmierć Polaka, ale z obawy, że gdy Rigby się

dowie, iż znowu przez przypadek zastrzelił niewinnego, ucieknie, by szorować posadzki w kościele. Przeklęty pech!

Wskazał ręką tylne wyjście.

— Tędy, Józefie! Wyciągnijcie ciało Mateusza, zabierzemy je i pochowamy.

Nim zamknęli za sobą drzwi, Polak spytał:

— A co z tą zgrają, sir? To łotry spod ciemnej gwiazdy, nie można ich tak zostawić!

Rzucą się za nami albo zaatakują na ulicy.

Bathurst spojrział na salę i błysnęła mu pod czaszką straszna myśl. Chciał ją odepchnąć, lecz powracała natrętnie. Wahał się, wciąż niezdecydowany, zatrwożony jej okropnością, a czas uciekał i domagał się decyzji... Tak, tak zrobi, nie można inaczej. Pamięć, jak czuła kochanka, podsunęła mu w porę fragment monologu duńskiego księcia:

*Jest właśnie ta złowroga pora nocy,
gdy poziewają cmentarze i piekło
Zarazę rozpościera. Oto mógłbym
Chłęptać dymiącą krew i spełnić czyny,
Których dzień nie zniósłby...*¹¹⁵

Odwrócił się do Polaka i z całym okrutnym spokojem, jakim napełniły go słowa Hamleta, powiedział:

— Przecież nie będziemy im strzelać po kolei w łby. Niech zadecyduje los. Wrzucicie z Rufusem wszystkie granaty do środka. Jeśli któremuś Opatrzność pozwoli wyjść z tej jatki tylko kaleką, będzie to znaczyło, że nie była mu pisana śmierć.

Gdy minąwszy pokój ze śpiącym na zawsze Littlefordem zagłębili się w podziemne przejście i podnieśli ciało marynarza, z oddali dobiegł ich odgłos kilku wybuchów. Ściany zatrzęsły się i wszystko ucichło.

Zanim wrócili do domu, Bathurst posłał Manuela po Rigby'ego i zapowiedział wszystkim, że jeśli któryś z nich wypaple, iż śmierć Mateusza była spowodowana jego

¹¹⁵ Wszystkie wzięte z Memoriału fragmenty „Hamleta” podaje w tłumaczeniu Witolda Chwalewika.

nieostrożnością, to... Nie dokończył, a oni wiedzieli. Więcej, niż zdążyli się nauczyć o nim przedtem, nauczył ich widok nieżywego króla podziemia.

I każdy z nich czuł obok strachu uwielbienie dla tego młodzika, który rządził nimi, z którym wszystko musi się udać i dzięki któremu staną się bogaci, gdy wrócą. Nawet kamiennolicy Brown patrzył na Bathursta inaczej niż przedtem.

Rigby'emu powiedział, że Mateusz zdradził i próbował umknąć.

Następnego dnia, 29 października (środa) wczesnym rankiem przybyli do domu pani Gibson dwaj członkowie triumwiratu organizacyjnego, Castlereagh i Perceval.

— Jak ci się powiodło, Beniaminie? — spytał Castlereagh.

— Dobrze, milordzie. Moi chłopcy zdali egzamin.

— Wszyscy?

— Oprócz tych, którzy zginęli. Zginęło dwóch.

— Słyszałem, że zginęło wiele osób — odezwał się Perceval. — Doniesiono mi, że ulica plotkuje o wielkiej operacji policyjnej w okolicach Fleet Ditch. Podobno zlikwidowano jedną z szajek bandyckich, ale podczas operacji zginął wysoki urzędnik Marine Police. Nie wiem, dlaczego cała sprawa jest tuszowana i nie będzie o niej ani słowa w gazetach...

— Ja wiem, dlaczego — powiedział Bathurst. — Policja woli, by nie grzebano się w tej sprawie zbyt dokładnie, ale szkoda czasu na gadanie o tym. Jak wygląda sprawa paszportów?

— Mam je przy sobie, proszę.

Perceval wyjął z teczki dwa dokumenty i podał je Beniaminowi, mówiąc:

— Jeden z nich jest autentyczny, przywieziony przez d'Antraiguesa z Drezna, drugi sfalszowany według tego wzoru. Potrafi pan wskazać autentyczny?

— Nie — odpowiedział Bathurst ze zniecierpliwieniem w głosie — nie znam się na tym.

— Ja również, mój panie — powiedział Perceval — i gdyby nie to, że wyjąłem je z osobnych przegródek teczki, nie miałbym pojęcia, że autentyczny trzyma pan w lewej ręce. D'Antraigues twierdzi, że fałszywe są bardziej autentyczne od autentycznych. Będą one w większości zawierały dane przygarniętych przez Francję irlandzkich uchodźców z

1798 roku, którzy następnie emigrowali do Saksonii.¹¹⁶

— Bardzo zręcznie — mruknął Bathurst.

— Prawda? W ten sposób będziecie absolutnie czyści. Francuzi, zamiast czepiać się was, będą wam współczuć. Prusacy również nie będą wobec was wrogo nastawieni. Dla jednych i drugich będziecie uchodzić za sprzymierzeńców, gdyż przed Francuzami będziecie udawać irlandzkich rebeliantów, a przed Prusakami ofiary paryskiego Terroru. Nikt was nie tknie, a poza tym takie paszporty rozwiązują trudności językowe. Możecie bez obaw porozumiewać się po angielsku, chociaż uważam, że publicznie winniście tego unikać. Pan i jeszcze trzech, czterech pańskich ludzi będziecie mieli nazwiska czysto irlandzkie. Reszta może mieć wpisane własne, to jest bez znaczenia, gdyż będą uchodzić za waszą służbę.

— Tak — powiedział Bathurst. — To prawda, że moi Cyganie... Nie dokończył, a zaciekawiony Castlereagh spytał:

— Co z tymi Cyganami?

— Nic. Chciałem tylko powiedzieć, że są trochę mało podobni do Irlandczyków — zadzwiał Benjamin.

— Oczywiście — przytaknął Perceval — lecz po pierwsze będą, tak jak powiedziałem, grali rolę służących, a poza tym... Panowie, Francuzi i Prusacy nie tak łatwo rozpoznają nacje. Odróżniliby Anglika od Irokeza, ale Szkota od Irlandczyka? Przenigdy. Na tej samej zasadzie dla mnie Murzyni różnią się tylko wzrostem. Członkowie pekińskiej ambasady Macartneya opowiadali po powrocie, że wszyscy Chińczycy są podobni do siebie jak para bliźniaków i nie sposób ich rozróżnić po twarzach. Na Irlandczyków niech pan wybierze tych z jaśniejszymi włosami, wymyśli im nazwiska i wpisze, ale dopiero na miejscu w Altonie, po uzgodnieniu dat i innych szczegółów z Gimelem.

— Ja mam wypełniać paszporty?! — zdziwił się Bathurst.

— Tak, tylko pan może to zrobić, w żadnym wypadku Gimel! W drodze może się zdarzyć, że pan kogoś skaptuje i będzie pan musiał spreparować mu paszport, a wszystkie

¹¹⁶ W roku 1798 wybuchło w Irlandii powstanie antybrytyjskie. Zostało ono stłumione po kilku miesiącach niezwykle krwawych walk. Francja wysiała powstańcom dwie słabe ekspedycje posiłkowe, które zostały pobite przez armię i flotę angielską, a następnie udzieliła gościny nielicznym uciekinierom.

paszporty muszą być wypełnione ręką tego samego urzędnika. Pan będzie tym urzędnikiem lub któryś z pańskich ludzi, wszystko jedno, byle to była zawsze ta sama ręka. Chyba że ... chyba że Gimel z ważnych przyczyn postanowi inaczej. Oto piętnaście czystych paszportów, powinno panu wystarczyć... To wszystko, co miałem do przekazania, pozwólcie, panowie, że się pożegnám. Do zobaczenia, milordzie, panu zaś życzę szczęścia na kontynencie.

Po wyjściu Percevala Castlereagh spytał:

— Kiedy będziecie gotowi, Beniaminie?

— Już jesteśmy gotowi, jutro możemy wypłynąć. Co ze statkiem?

— Dzisiaj zawinie do Yarmouth i będzie na was czekał. Nazywa się „Mewa”, kapitan nosi nazwisko Storman, hasło: Great Mouth¹¹⁷. W ładowni są skrzynie ze wszystkim, co obiecałem, w tym uniform pułkownika szaserów gwardii francuskiej z insygniami. Teraz posłuchaj uważnie, Beniaminie. W Altonie odszukasz dom Trautmana i spytasz o doktora Borga, od którego otrzymasz kontakt z Gimelem. Tu masz mały plan. Zaszzyfruj sobie po swojemu, a tę kartkę zniszcz. Pieniądze otrzymasz przy pożegnaniu. Są z nimi kłopoty, bo Baring...

— To mnie nie interesuje, milordzie, to pańska sprawa.

— Na bieżące wydatki masz dość?

— Aż za dużo.

— Wieczorem, kiedy przyjdę się pożegnać, przyniosę ci całą potrzebną sumę.

W godzinę po wyjściu Castlereagha Beniamin odesłał Józefa i Toma do Great Yarmouth z granatami i częścią wyposażenia. Reszcie dał ostatni czas wolny i nakazał wrócić do północy. Robertsonowi polecił zająć się Rigbym i nie dopuścić go w pobliże kościoła na Strandzie. Heyter poszedł odebrać z zakładu snycerskiego trzy zaprojektowane przez siebie koszulki pancerne. Około południa on i starszy Diaz oddali Bathurstowi jego laskę.

— Proszę popatrzeć, sir — zademonstrował Heyter, manipulując srebrną głową lwa, zdobiącą rączkę — teraz zabezpieczona. Kiedy obróci się tę główkę o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, wówczas jest odbezpieczona. A teraz wystarczy nacisnąć w dół ramię

¹¹⁷ Greath Mouth w dosłownym tłumaczeniu: Wielkie Usta lub Wielkie Wejście do Portu. Najwyraźniej Castlereagh stworzył hasło od nazwy portu Great Yarmouth.

rączki, a sprężyna zwolni się, kóleczek uderzy w kapslesek i spowoduje strzał przez buzię zwierzaka.

— Piękna robota! — pochwalił Bathurst. — Dziękuję wam.

— Robótka wspólna, sir, ale pomysł Manuela. Mówiłem, że on...

— Jak mocno bije? — przerwał mu Beniamin pytaniem.

— Słabiuteńko, sir, ale przy tej wielkości... Dobrze, że w ogóle strzela. To bardziej zabawka niż broń. Z odległości dwudziestu jardów zrobi siniaka na brzuchu.

— A z odległości trzech jardów?

— Zabije lub zrani, zależy, w co się trafi. Ma też inne wady. Ładuje się długo i skomplikowanie, a gdy jest naładowana, nie można jej używać jako pałki, bo przy mocnym uderzeniu w czyjś czerep może nastąpić rozbitcie kapselka, rączka zostanie rozsadzona i nie dość, że po zabawce, jeszcze samemu można dostać odłamkiem.

— Kiedy ruszamy, seńor? — spytał Manuel ziewając.

— Mam nadzieję, że jutro. Teraz wyśpijcie się, nie spaliście kilka nocy, ledwo stoicie na nogach. Za tę robotę dostaniecie po grubej sakiewce. Teraz moja laseczka jest wielofunkcyjna. Wieczorem naładujecie mi ją ponownie, bo zaraz wystrzelę sobie na próbę.

Krótko po czternastej wbiegł do jego gabinetu zdyszany Stapleton.

— Proszę pana!... Proszę pana! Jakiś człowiek chce koniecznie z panem mówić. Nie zna hasła i widzę go po raz pierwszy na oczy. Ale on się upiera. Mówi, że nazywa się Wilson, ale pewnikiem łże, toć w Londynie co piąty człek to Wilson.

— Wprowadź go natychmiast!

Wilson zjawił się w stroju do konnej jazdy, w ubłoconych butach i cały zakurzony.

— Witaj, panie Bathurst, i oszczędź mi pytań, jak cię znalazłem, bo nie ma chwili do stracenia. Dowiedziałem się przed godziną, że za kilka dni wyląduje we Francji grupa brytyjskich dywersantów z misją specjalną. Informację tę zawiera list przejęty wczoraj w nocy przez nasz kontrwywiad. Dopadli francuskiego kuriera na wybrzeżu między Ramsgate a Dover. Najlepsi spece z Secret Service złamali szyfr w sześć godzin. Odczytali to, co powiedziałem, i jeszcze różne strzępy zdań, w tym fragment rysopisu,

który jest pańskim rysopisem! Osaczony kurier porwał list i cisnął w morze, wyłowiono tylko kawałki. Pan jest urodzonym szczęściarzem, Bathurst.

— Słyszałem to już przed kilkunastoma godzinami, podobno głupi zawsze mają szczęście. Na czym ono polega w tym przypadku?

— Na tym — wyjaśnił mu Wilson — że kurier został złapany, że ja dowiedziałem się o sprawie i przede wszystkim na tym, że nasz kontrwywiad odczytał niewystarczającą ilość danych, by wmieszać się panu w interes. Pańskiego nazwiska tam nie było, nie wyłowili nawet połowy listu. Tylko ja, znając pana i wiedząc wcześniej o pańskiej wyprawie, zorientowałem się, o kogo chodzi. Zdradzono pana, Bathurst... Czy dużo ludzi wie o tej ekspedycji?

— Zbyt dużo. A co do szczęścia, to nie jestem przekonany, czy złapanie jednego kuriera jest na nie dowodem, bo czy można mieć pewność, że wysłali z tym meldunkiem tylko jednego człowieka?

— Niestety, nie. Ma pan rację.

— Czy może mnie pan poinformować, panie Wilson, dlaczego kontrwywiad natychmiast poinformował pana?

— Ponieważ na jednym ze strzępów listu odczytano: „... z Great” i skojarzono to z Great Yarmouth, a że właśnie z tego portu wyruszamy wkrótce z lordem Hutchinsonem na fregacie „Astrea”¹¹⁸, pomyślano, że być może chodzi o naszą wyprawę, i wezwano mnie.

— Widział pan kuriera?

— Tak, zimnego. Cały czas go torturowano, a już przedtem był ranny. Wsiadł na dwie godziny przed moim przybyciem. Francuski emigrant, rzekomy rojalista.

— Co wyśpiewał?

— Właściwie nic, co mogłoby pana interesować. Treści listu nie znał. Wiadomość, którą zawierał list i którą on miał przewieźć do Calais, dostarczono wczoraj lub przedwczoraj na Cheyne Walk¹¹⁹. Tylko tyle zdołał wybełkotać i zdechł. Gdyby przyciskali go mniej brutalnie, zdążyłby wyśpiewać dokładny adres. Rzeźnicy!

— Szukają tego adresu?

118 Wilson dołączył do sztabu Hutchinsona w dniu 3 listopada 1806 roku. Patrz przypis 56.

119 Ulica wzdłuż brzegów Tamizy w dzielnicy Chelsea.

— Niech pan nie żartuje, musieliby przetrząsnąć kilkadziesiąt domów. Do tego potrzeba kilku oddziałów wojska, a efekt zapewne i tak byłby żaden. Będą oczywiście obserwować Cheyne Walk, ale to beznadziejne. Przykro mi, Bathurst, nie wiem, co panu poradzić. Nie wydaje mi się, byście mogli startować teraz, lepiej odczekać... No, na mnie już czas.

— Dziękuję, sir Wilson. Nie zapomnę przysługi. Zamknęły się drzwi i dopiero teraz, gdy został sam, dobrało się doń dziwne uczucie przerażenia, wściekłości, bezwładu i czegoś jeszcze, ten rzadki stan, który mąci myśli, nie pozwalając mózgowi logicznie pracować. Poczuł, że jest cały mokry. Z najwyższym trudem wypart ten zamęt spod czaszki i zmusił się do skupienia. Co robić? Zawiadomić triumwirat? Zaczną się zastanawiać, czy nie odwołać akcji, choćby przez strach przed utratą pieniędzy. Starać się wykryć winnego? Bzdura. Musi to być ktoś, kto słyszał bicie dzwonów, lecz nie zna kościoła, inaczej nie podałyby, że szykują skok do Francji. Francuzi przypuszczają zapewne, że chodzi o dywersję w Boulogne lub w innym porcie¹²⁰. Któryś z komandosów? Chyba nie, wiadomość dostarczył ktoś, kto dobrze wiedział, gdzie ją należy dostarczyć, a więc stały agent francuski. Któryś ze służących Percevala, Castlereagha lub Henryka Bathursta? A może Littleford, który wiedział od Liptona? Co prawda Littleford grał swoją grę i chyba nie narażałby jej na wiązanie się z jakimkolwiek wywiadem, ale ... A może ten policjant z Bow Street? Poza tym Stapleton, ta sowa Gibson, jej nadobna córuchna... Zbyt wiele możliwości. Francuzi zresztą i tak mogą już wiedzieć, i to dokładniej, od d'Antraiguesa, od agentów Castlereagha w Prusach lub chociażby od Gimela... Teśli Gimel zdradził, wpadną od razu jak w wilczy dół. Mogą wpaść na każdym kroku postawionym na kontynencie. Więc o co chodzi? Decydując się, brał to pod uwagę. Wycofać się teraz dlatego, że nastąpił przeciek? Nie darowałby sobie do końca grzecznego życia, tylko raz na jedno życie przypada tak wielki hazard i to nie na każde!

O szesnastej wyszedł z domu i udał się do Covent Garden, gdzie dzięki swej młodej przyjaciółce, znanej nam już z poprzedniego rozdziału, nawiązał intymny kontakt ze

120 W Boulogne znajdowała się w okresie I Cesarstwa stała baza wyjściowa do ataku na Anglię. Skoncentrowane tam były znaczne ilości środków transportowych (głównie barki i łodzie desantowe) oraz amunicji.

stróżem składziku teatralnego. Stopień tej intymności wyrażał się ilością gotówki, którą Benjamin ofiarował magazynierowi oraz jakością rekwizytów (peruka, wąsy etc), którymi magazynier się zrewanżował.

W dwie godziny później, już ucharakteryzowany, znalazł się w Chelsea. Szedł bardzo powoli, do czego miał pełne prawo, był bowiem akurat starcem, siwowłosym, zgarbionym i odzianym w podobne łachmany jak cała zamieszkująca tu biedota.

Cheyne Walk wyginała się wzdłuż wybrzeża, flankowana od strony rzeki płotem z wysokich drzew, a od zewnątrz murem z kamienic, trzypiętrowych, a jednak niższych od drzew. Była długa, szedł więc długo i bacznie obserwował licząc na to, że jest szczęśliwym głupcem. Gdy doszedł do końca, doszedł zarazem do przekonania, że ze szczęściem tym razem coś jest nie tak i że pozostaje mu tylko drugi człon frazesu. Nie minął go żaden ponury typ oglądający się za siebie, ani żaden z ludzi, których mógłby podejrzewać, żaden z nielicznych szyldów nie nosił napisu: „Francuska Centrala Wywiadowcza”.

Zaczynało się robić ciemno, gdy zawrócił. Nieliczni przechodnie spieszyli do domów, ulica pustoszała. Zapadający zmierzch kradł drzewom cienie, czyniąc z nich śpiące, martwe słupy, podczas gdy ich ceglani i drewniani sąsiedzi vis-a-vis ożywali rozblaskującymi światłami okien.

Podszedł do drewnianej bariery, na której rybacy rozwieszali swe sieci, oparł się i zapatrzył w czarne lustro wody. Odbijała resztki ginącej czerwieni słońca, a gdy się ocknął, już tylko złote krople gwiazd. Po głowie snuły mu się twarze, zdarzenia, słowa, kobiety, drewniany konik od wuja, nie gasnąca tęsknota za Elsynorem¹²¹, jakieś ognisko, dotyk czyjejś ręki, wszystko... Tak, to nieprawda, że wszystko się widzi w chwili śmierci, bo wówczas brak na to czasu — to powraca w takich chwilach i robi się błogo, jak z rękami przy kominku po jeździe na mrozie, chciałoby się, by trwało... Dość!

Z drugiego brzegu niosło jakieś pohukiwania, zza pleców od kamienic i ogrodów, smrodek wieczornego życia, zapachy kuchenne, krzyki dzieci, płacz kobiety bitej przez męża lub kochanka, ktoś gwizdał smętną, szarpiącą serce melodię, ktoś inny droczył się

121 Zamek Hamleta. W Memoriale co krok napotyka się ślady fascynacji Bathursta Szekspirem, a zwłaszcza „Hamletem”.

z psem... Zawrócił do domu.

Rozcharakteryzował się przed wejściem. Otworzył mu Stapleton.

— Wszyscy już wrócili? — spytał Beniamin.

— Nie, sir, dopiero się schodzą.

— Od tej chwili nie ma już żadnych wyjść, chyba że komuś rozkażę.

— Tak jest, sir.

W dniu wyjazdu (czwartek 30 października 1806 roku) było zimno. Castlereagh, który pożegał się z Bathurstem poprzedniego dnia przed północą (przyniósł wówczas gotówkę) niespodziewanie przybył rano, by pożegnać się raz jeszcze.

— Realizuj dokładnie plan, Beniaminie — powiedział — a obiecuję ci, że wygrasz i że...

— Milordzie, jadam powietrze nadziane obietnicami, kapłona tak nie utuczysz — odparł Beniamin.

— Nie rozumiem, do czego pijesz, Beniaminie — wybąkał zaskoczony Castlereagh. — Co znaczą te słowa?

— Tak właśnie, milordzie, odpowiedział król Hamletowi na tamte słowa o powietrzu nadzianym obietnicami. Odpowiedział mu: „Nie rozumiem tej odpowiedzi, Hamlecie, te słowa mnie nie dotyczą”.

— Skończ już z tym teatrem, Beniaminie, jeśli łaska! Scena, na którą wyruszasz, nie ma nic z teatru, lecz...

— Ależ przeciwnie, milordzie, ma, i to więcej niż jakakolwiek inna. Gdyby tak nie było, nie najałbyś mnie, bo cóż ja innego kocham, jak nie teatr, grę? W tej grze sukces przyjdzie, jeśli twój scenariusz posiada choć setną część geniuszu Szekspira i jeśli ja stworzę kreację.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, Beniaminie, by ci ułatwić sprawę. Włożyłem w przygotowanie tej akcji mnóstwo pieniędzy i wiele pracy, bo nie należę do tych, którzy czekają z koszem pod jabłonią. Pomagam zrywać jabłka! Ale teraz już wszystko w twoich rękach. Niech ci Bóg sprzyja!

Beniamin miał ochotę odrzec, że to nie jabłko, lecz rozżarzony węgiel, który trzeba wyjąć z ognia, i że gdyby miał pewność, że w sprawę włączy się bóg Castlereagha, wolałby

zostać w domu. Powstrzymał się jednak, skinął głową i wszedł do powozu, jednego z dwóch, które wynajął dla siebie i komandosów.

Po południu ujrzeli na horyzoncie ostry szpic gotyckiego kościoła, a wkrótce potem wielką, ujętą w dwie baszty bramę miejską Great Yarmouth. Bathurst nie bez trudu odszukał wśród lasu masztów dwa należące do „Mewy”, na której rezydowali już Józef i Tom. Kapitan ulokował komandosów pod pokładem, a następnie zamknął się w swej kajucie z Bathurstem.

— Kiedy ruszamy i dokąd? — spytał.

— Dzisiaj, jeśli można, i to zaraz. Do Altony.

— Pogoda jest nie najlepsza, sir. Idzie sztorm.

— Zła pogoda jest naszym sprzymierzeńcem, kapitanie. Gorzej będzie, jeśli dostaniemy się pod ogień dział jakiejś francuskiej fregaty.

Storman roześmiał się całą gębą.

— Ja tam nie boję się dział, było nie było jestem armatnim synem, ha, ha, ha, ha, ha!¹²² Moja matka była dziewczką na okręcie jego królewskiej mości. Urodziłem się pod Quiberon, w bitwie i w sztormie, ha, ha, ha, ha, ha!¹²³ Ale dość żartów. Pozwolę sobie wyrazić opinie, sir, że nie ma powodu do obaw pod tym względem. Popłyniemy pod banderą holenderską, mam zresztą i inne w zapasie. Nazwę zaraz zdejmujemy, ot tak, na wszelki wypadek, bo po Trafalgarze Francuzi rzadko wychylają nosa z portów, a już między Kanałem a Bałtykiem ze świecą trudno byłoby ich znaleźć.

Silny wiatr z północnego zachodu gnał „Mewę” z szybkością dochodzącą momentami do dziesięciu węzłów. Kapitan bał się o maszty brygu, lecz na żądanie Bathursta nie skrócił żagli i tak pruli do celu nie tracąc ani sekundy. Sztorm dopadł ich na wysokości Wysp Zachodniofryzyjskich i odrzucił na północ, tak że Wyspę Helgoland minęli nie od strony Archipelagu Wschodniofryzyjskiego, lecz Północnofryzyjskiego i w zatokę Helgolandzką weszli nieomal prostopadle do wybrzeża, kursem południowym.

¹²² Tak nazywano ludzi urodzonych na okręcie, a to dlatego, że chcąc ułatwić matce poród kapitanowie nakazywali odpalać salwy armatnie.

¹²³ A więc w roku 1759. Brytyjska flota admirała Hawke'a pokonała wówczas w zatoce Quiberon flotę francuską.

W nocy z soboty na niedzielę (z pierwszego na drugi listopada 1806) już prawie wszyscy, z wyjątkiem Toma, Parvisa i Sija, cierpieli na chorobę morską. Bathurst zszedł do kajuty kapitana i spytał:

— Kiedy dopłyniemy? Jeszcze trochę tej huśtawki i ludzie mi się wykończą!

— Nic na to nie poradzę, sir! Przy tym wietrze powinniśmy być na miejscu za niespełna dobę, jeśli przedtem nie polecą maszty. Tylko dla was, szczurów lądowych, ten sztorm jest wielki. Przy prawdziwym musiałbym zwinąć żagle i nie miałby pan tu nic do gadania! Zresztą, na mojego nosa, już słabnie. Jeszcze kilka godzin i...

Storman raptownie zamilkł, wsłuchał się w wycie wichru i naraz ryknął, unosząc głowę ku pokładowi:

— Do stu piorunów, kto tam gwizdże? Bosman!

— O co chodzi? — spytał Bathurst.

— Nie słyszy pan, sir?

— Nie, ten przeklęty wicher! Ale o co chodzi?

— Nie wie pan, że gwizdanie na statku ściąga gniew wiatru? Zgodnie z prawem morza wyrzuca się za to za burtę! Bosman!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, skoczył ku schodkom na pokład. Beniamin podążył za nim. Ale wystarczyło wytknąć głowę z luku w pełne deszczu i przelewających się fal piekło na pokładzie, by pojąć, że to nie stąd. Pobiegli, a raczej popęzli w drugi kraniec statku, czepiając się rękami ścian, belek i podłogi.

Beniamin nagle usłyszał, dobiegło doń. I spadło nań, w jednej chwili, przypomnienie.

Dogonił Stormana, ucałował go za kurtkę i zatrzymał.

— Tam jest ten bękart, sir! — krzyknął mu w ucho kapitan, pokazując ręką.

— Ciszej! — warknął Bathurst.

— Co ciszej?! Nie pozwolę gwizdać w sztormie, to mój statek! Mój statek i ja będę...

— Zamknij się albo będziesz trupem! — padło w odpowiedzi.

Spojrzawszy Bathurstowi w oczy kapitan zamilkł. Nasłuchiwali obaj. Poprzez skrzywienie belek i desek, poprzez głuchy, izolowany burtami ryk fali, poprzez jęki wichru i sto innych dźwięków wiała się melodia nie pasująca do tego szaleństwa, lecz do zapachu łąk o

czerwonym wieczorze, do spokojnych, nie tańczących nad głową gwiazd, do ogniska i kobiecych włosów owiniętych wokół dłoni, melodia smutna i urokliwa, straszliwie piękna. Wiedział już gdzie to słyszał. Kiedy otworzyła się furtka pamięci, o mało nie zawył i wtedy właśnie Storman przestał się ciskać, gdyż zobaczył śmierć w oczach Bathursta.

Szczęśliwy głupiec! Zaiste — pomyślał Beniamin — znowu masz rację, Littleford! Niech i tak będzie, niech będzie zawsze, wówczas wygram!

— Kapitanie, niech pan wraca do kajuty, ja się tym zajmę — powiedział. — To mój człowiek. Nie zna obyczajów morskich, proszę mu wybaczyć, to się nie powtórzy.

W wąskim uskoku ściany, obok drzwi do magazynu, siedziała w zwoju zapasowych lin skulona postać. W ciemności nie sposób było dostrzec twarzy.

— Kto tu? — spytał Beniamin.

Gwizdanie, które słyszał na Cheyne Walk, umilkło, a siedzący począł gramolić się na równe nogi.

— To ja, sir.

— Parvis? Co tu robisz?

— Znalazłem wygodny kąć, sir. Ten zwój jak kołyska, buja się ze statkiem, ale trzyma i człowiek nie lata od ściany do ściany.

— Pięknie gwizdzesz. Co to za melodia?

— A bo ja wiem? Mój stary mnie nauczył.

— Lubisz ją?

— Lubię, sir.

— I pewnie często ją sobie gwizdzesz?

— Bo ją lubię, sir.

— Kapitan się wścieka o to gwizdanie, w czasie sztormu nie wolno.

— Nie wolno? Dlaczego, sir?

— Wyjaśnię ci na pokładzie, chodź.

Zatrzymali się na rufie, wczepieni pazurami w burtę.

— Sir! — ryknął Parvis przekrzykując wiatr — sir! Dlaczego tutaj?! Tutaj trudno wytrzymać! Dlaczego...

— Pomyliłeś się, przyjacielu, nie płyniemy do Francji, lecz do Prus! — odkrzyknął mu w ucho Bathurst. — Do Prus, Parvis!

— Nie rozumiem, sir.

— Rozumiesz! Gdybyś chciał teraz uciekać, droga wolna! Ale tylko teraz! No? Powiedz, Parvis, ilu kurierów poszło z twoim meldunkiem? Kto jest szefem siatki? I adres! Pomogę ci, przyjacielu! Cheyne Walk!

W tym momencie ręka Cygana wystrzeliła do przodu. Unik, cios w żołądek, poprawka w szyję, łapa wykręcona na plecy, wrzask z bólu.

— Mów! Mów!! — ryknął Bathurst, trzymając jedną ręką wykręcone ramię Parvisa, drugą zaś jego czuprynę.

— Jeden kurier! Jeden! Przysięgam! Auuu! Kontaktowałem się ze „Szwajcarem”, nazwiska nie znam. Numeru domu też nie znam. Nie... Booooo! Puść! Niiieeeeeeee! Ciemność połknęła ciało z wściekłym apetytem, mignęła rozpaczliwie otwarta dłoń, a może tylko piana, i znowu zapadła cisza wyjącego wichru.

Odwróciwszy się, Bathurst zobaczył Stormana.

— Co pan zrobił?! — krzyknął kapitan. — Pan jest szaleńcem! Z tym wyrzucaniem za burtę to., to nie jest tak! Nie mówiłem tego poważnie, tego się... tego się teraz nie robi. Boże, pan go zamordował za gwizdanie!

— Uspokój się, człowieku, nie dlatego. Nie obchodzą mnie morskie obyczaje, gram własną grę, a w mojej grze trzeba czasami pozbyć się piona, żeby wygrać. Proszę się nie wtrącać, kapitanie.

Zszedł pod pokład i zawołał Diaza.

— Manuel, niech nikt nie wychodzi na pokład. Parvisa zmyło za burtę.

— O Boże! — jęknął Cygan.

— Niestety... Dawno go znałeś

— Rok, señor, niecały rok. Poznaliśmy się w ciupie, O Boże, Boże! On tak pragnął być z nami, sam mnie o to prosił...

— Przynieś mi jego rzeczy. I pamiętaj, nikomu nie wolno wychodzić!

W dziesięć godzin później weszli w gardło Łaby i wkrótce potem zakotwiczyli w Altonie.

Port był ledwie widoczny za gęstą kotarą ulewy. Spuścili szalupę. Był dzień 2 listopada, godzina osiemnasta.

Rozdział IV

KOMEDIANCI I KOMANDOSI

Wspomniany już przeze mnie pamiętnikarz, eks-sekretarz osobisty Napoleona, a w dobie, która nas interesuje, jego ambasador pełnomocny w Brunszwiku, Meklemburgii-Szwerinie i miastach hanzeatyckich, monsieur de Bourienne¹²⁴, wspominając swój pobyt na placówce w Hamburgu napisał: „W odległości pół ćwierci mili od Hamburga leży liczące sobie czterdzieści tysięcy dusz miasto Altona, którego prezydent i szef policji są całkowicie oddani Anglikom”¹²⁵. Bourienne, będący w istocie policyjną macką Fouchego w północnych Niemczech, nie miał do Altony wstępu i ubolewał, iż dla niego Altona nie leży „zbyt blisko”¹²⁶, dodając przy tym, że miasto owo jest „azylem wszystkich bandytów, złodziei i oszustów umykających przed wymiarem sprawiedliwości swych krajów”. Może dlatego Heine nazwał Altonę „Eine Merkwurdigkeit von Hamburg”¹²⁷.

Opuścili statek razem, Bathurst i Storman, który poszedł załatwić formalności postojowe w administracji portu. Beniamin nie miał kłopotów z odszukaniem domu Trautmana.

Długo walił pięścią w dębowe drzwi i już chciał odejść, gdy za szybą błysnął płomyk świecy, okno zostało otwarte i ukazała się w nim głowa starca w szlafmocy.

— Czego?!

Podszedł do okna i powiedział cicho:

— Szukam doktora Borga.

Stary przyglądał mu się przez chwilę, po czym zamknął okno. Beniamin usłyszał kroki w sieni i otworzyły się drzwi.

— Bądź jutro w Ottensee, przy kościele, pod grobem poety¹²⁸, o jedenastej rano. Trzymaj

124 Patrz prz.ypis 31.

125 Pamiętniki Bourienne'a, Paris 1829, tom VI.

126 Nazwa Altony bierze się od „alzu-nahe” (zbyt blisko), którym to mianem Hamburgczycy określali w XVI wieku uciążliwą, położoną zbyt blisko miasta, jak na ich gust, gospodę, kolebkę przyszłej Altony. W roku 1806 Altona leżała na południowym skraju Księstwa Holsztyńskiego i była oddzielona od Hamburga właściwie tylko słupami granicznymi.

127 Osobliwość Hamburga.

128 Chodziło bez wątpienia o grobowiec stawnego poety niemieckiego zmarłego w roku 1803 w Hamburgu Friedricha Gottlieba Klopstocka.

w ręku ten egzemplarz „Korespondenta Hamburskiego”¹²⁹.

Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem.

Następnego dnia (3 listopada 1806) o wpół do jedenastej ucharakteryzowany wąsami i peruką Beniamin dotarł wraz z Sijem do małej podaltorskiej wioszczyny Ottensee i zdziwił się jej nieoczekiwanym zatłoczeniem. Przewalało się przez placyk w pobliżu kościoła mnóstwo wszelakich marynarzy, żołnierzy, przekupniów, zuchwałych kobiet wiadomego autoramentu, rybaków, wieśniaków i lichy wie kogo jeszcze. Skierował się w stronę kościoła, lecz nim zdążył dojść, usłyszał za plecami:

— Szuka pan kogoś? Mam do sprzedania włoskie karty.

Odwrócił się i ujrzał starego sierżanta w mundurze z przetartymi wyłogami, z upudrowanym harcapem oraz kaszkietem na głowie.

— Nie grywam w karty — odparł.

— A w co?

— Tylko w szachy.

— W porządku — ucieszył się sierżant i zaraz spytał o co innego: — Komu się pan tak przypatruje?

— Temu żołnierzowi, który trzyma mnie na muszce pistoletu schowanego pod płaszczem.

— To moje ubezpieczenie — wyjaśnił sierżant — proszę się nie bać.

— Nie boję się, to on się boi. Ma na plecach nóż człowieka, który mnie ubezpiecza.

Sierżant roześmiał się.

— A to dobre, trafiła kosa na kamień! No cóż, pierwsza partia dla pana. Uspokójmy ich i chodźmy, tu nie będziemy rozmawiać.

Weszli do małej, zadbanej chaty rybackiej. W niskiej izbie o bielonych ścianach, na których wisiały portrety świętych, gospodyni, olbrzymka ze strugą tłustych włosów spadających na plecy, podała im na stół gorącą kielbasę, ryby i miskę czegoś nie znanego Bathurstowi. Powąchał bojaźliwie.

— Co to jest, u licha?

¹²⁹ Tak w Memoriale. Dokładnie była to „Staats und Gelehrte Zeitung des Hamburgischen Unpartheyischen Korrespondenten”.

— Pyszna rzecz, dodaje apetytu i świetnie towarzyszy wszelkiego rodzaju mięsiwom. Do ryby może niezbyt pasuje, ale ja to uwielbiam i każę sobie podawać tak często, jak tylko można. Niech pan skosztuje. Niemiecka specjalność, nazywają ją Sauerkraut¹³⁰.

Mniemam, że i pan to polubi, panie...

— O'Leary.

— O'Leary? To irlandzkie nazwisko?

— Oczywiście, przecież mam być Irlandczykiem. Gdyby jednak miał pan coś lepszego na widoku, panie Gimel, mogę się nazywać inaczej.

— Nie jestem Gimel — powiedział sierżant. — Pan hrabia jest w Altonie przedstawicielem jego królewskiej mości Ludwika XVIII i nie może ryzykować. Z jego rozkazu ja zajmuję się sprawą.

Beniamim wstał.

— Proszę przekazać przedstawicielowi jego królewskiej mości, że albo zmieni swój stosunek do ryzyka, albo ja wracam do Londynu! Poinformuję się jeszcze dzisiaj w domu Trautmana. Żegnam!

Był już w drzwiach, gdy tamten zatrzymał go.

— Panie... O'Leary! Proszę wrócić, to ja jestem Gimel.

— Jaki mam na to dowód?

— Do diabła, mam panu pokazać listy akredytacyjne? Jestem Gimel i basta! Przebrałem się, bo w Altonie mogę być śledzony. Skądinąd wiem, że ten pupil Fouchego, Bourienne, wie już o moich kontaktach z Londynem.

— Dużo wie?

— Mówię o kontaktach dyplomatycznych¹³¹. Zresztą... Bourienne to szczwany lis.

Formalnie reprezentuje w Hamburgu interesy Buonapartego, ale po cichu... Nie uwierzy pan, zdarza się, że pomaga rojalistom!¹³² Tak, tak, on, podobnie jak jego szef Fouche,

¹³⁰ Kiszona kapusta.

¹³¹ W rzeczywistości Bourienne wiedział nie tylko o kontaktach dyplomatycznych Gimela. Latem 1806 roku ambasador pruski hrabia de Grote powiedział do Bourienne'a o Gimelu: „Może pan być pewny, że on wróci kiedyś do Hamburga w randze brytyjskiego pułkownika”.

¹³² Bourienne pomógł m. in. wymknąć się z Hamburga hrabiemu de Ferronnays (patrz przypis 107), ostrzegając go w ostatniej chwili przed aresztowaniem i wystawiając w ten sposób do wiatru agenta Fouchego, Chefneuxa (dokumenty na ten temat w paryskim Archiwum Narodowym, dossier

chce mieć kąta za piecem i u Pana Boga, i u pana diabła. Kiedy Korsykanin padnie, będzie przypominał swoje zasługi dla naszej sprawy. On sam nie wstępuje do Altony, ale jego agenci przenikają do miasta, tak jak i bezpośredni agenci Fouchego lub, co gorsza, Savary'ego¹³³... Przepraszam pana za tę maskaradę, ale muszę uważać.

— Podałem przecież hasło!

— Hasło! Niech pan nie będzie dzieckiem, O'Leary! Nawet w tej chwili nie mam pewności, czy nie jest pan prowokatorem, a pan jej nie ma w stosunku do mnie! Gra jest grą. W lipcu przyjechał do mnie z Londynu niejaki Loizeau¹³⁴, też podał hasło, od de Puisaye'a¹³⁵. I wie pan, co mi zaproponował? Że pojedzie do Paryża i zabije Buonapartego, jeśli tylko opłacę jego wydatki! Wyrzuciłem go na zbity pysk! Pomyśleć, że takie barany służą naszej sprawie, niedobrze się od tego robi! Niestety. On est souvent dans la necessite de se servir des mechants.¹³⁶ To z Fenelona... Wracając do tematu — tutaj jest dość bezpiecznie. W tłumie zawsze jest bezpieczniej niż na pustkowiu. Jeśli chcesz się ukryć, ukryj się w oku słońca. To z mądrości azjatyckich. Dzisiaj jest tu targ, zresztą zawsze kręcą się w Ottensee marynarze goniący za dziewczętami. Ta chałupa to jedna z moich kryjówek, mam tu swoją skrytkę. Ale, ale, mam tu także świetne wino, napijemy się!

Gimel wstał i wyszedł, by powrócić za chwilę z butelką omszałego wina i kielichami.

— Reńskie, rocznik trzydzieści osiem. On est savant quand on boit bien. Qui ne sait boire, ne sait rien!¹³⁷ To z Boileau. Za taką butelkę zapłaciłby pan w oberży ze cztery

Ferronnays, F-7 6458).

133 Patrz przypis 11.

134 Zmieniłem podane w Memoriale Lothee, będące niewątpliwie pomyłką autora. Rojalistowski agent, Ludwik Loizeau, dostał się w Hamburgu w ręce francuskiej policji i został przewieziony do Paryża.

135 Hrabia Józef de Puisaye (1754—1827), partyzant i szpieg rojalistowski, od roku 1803 jeden z najaktywniejszych działaczy Agencji Jersey (patrz przypis nr 18). Opublikowanie w roku 1807 przechwyconych przez wywiad francuski papierów de Puisaye'a, neglżujących bandycki charakter jego działalności, było tak kompromitujące dla rojalistów, że ci zaczęli się go wypierać. Rozwścieczony de Puisaye odpowiedział drukiem dokumentów uderzających w najbliższe otoczenie Ludwika XVIII i zwrócił się o arbitraż do Foreign Office. Przegrał tę batalię i zmarł w nędzy.

136 Nieraz jest się zmuszonym korzystać z usług łajdaków (w Memoriale podane to było w tłumaczeniu autora, ale z zaznaczeniem, iż Gimel użył oryginału, wprowadziłem więc do tekstu oryginał z Telemaka Fenelona. Podobnie w kilku innych przypadkach — patrz przypisy nr 137, 141, 143, 156).

137 Kto dobrze pije, jest mędrce, kto pić nie umie, nie wie nic. (Chanson a boire Boileau).

floriny albo więcej.

— Ile to jest w drobniejszej monecie? — spytał Bathurst.

— Cztery floriny? To sześćdziesiąt cztery grosze. Prawda, muszę pana poduczyć w detalach niemieckiego życia. Bezpłatnie, to było w umowie, za to płaci mocodawca pański i d'Antraiguesa.

— Zna pan tego mocodawcę, panie Gimel?

— Domyślam się. Nie wiem tylko, kto finansuje tę operację i nie wiem, jaki jest jej cel. Ale i tego się domyślam. Automat von Kempelena to wyborny futerał dla kogoś, kogo chce się wywieźć bezpiecznie z terenu opanowanego przez wroga. Ta maszynka była już podobno używana w tym celu¹³⁸. Człowiek, którego chcecie wywieźć, musi być znaczną figurą, sądząc po kosztach, jakie w to wkładacie. To jeniec bądź sługa Buonapartego będący agentem Secret Service. Zgadłem, prawda?

— Powiedzmy, że tak — odparł Beniamin. — Wracając do pieniędzy, używa się na tych terenach różnych monet.

— To nie wszystko, mój panie. Monety mają co krok inną wartość. W Hamburgu za milę pracy pocztowego konia płaci się dwukrotnie mniej niż w Berlinie, gdyż w związku z wojną wzrosły w Prusach ceny paszy. Wojna zmieniła wszystko. To, co dzisiaj panu mówię, jutro może być już nieaktualne. Ale idźmy dalej. Za tak zwane smarowanie kół płaci pan w Meklemburgii jedną markę. Marka ma również różne wartości. Tu w Holsztynie warta jest dziewięć i ćwierć rixdalera, a w Meklemburgii, przez którą dojedzie pan do Berlina, już dwanaście rixdalerów. Posiada pan złote monety?

— Trochę. Maxy, suwereny i pistole.

— Szkoda, że nie fryderyki, są najlepiej widziane w Berlinie i okolicy. Mogę panu część wymienić. Ale skończmy z tym, później podszkolę pana w detalach tutejszego życia.

Przejdźmy do sprawy. Załatwiłem to, co miałem załatwić i za co zostałem zapłacony, a

138 Potwierdzałyby to uważaną za legendę wieść o wywiezieniu w automatycznym szachiście von Kempelena z Polski na Zachód (przez Austrię?) w drugiej połowie XVIII wieku powstańca polskiego, któremu groziło aresztowanie. Najślawniejszy XIX-wieczny iluzjonista francuski Robert Houdin podał, iż był to młody rewolucjonista o nazwisku Worlouski, którego ściagała policja carska (zapewne w dobie konfederacji barskiej). Według innej wersji tym Polakiem był porucznik Wororiski, mający amputowane nogi.

także więcej. Zaczniemy od powinności. Najpierw musicie się dostać do Hamburga. Z tym nie będzie kłopotów, trwa teraz między Altoną a Hamburgiem, a dokładniej w odwrotną stronę, dziki, nielegalny ruch. Władzom wszystko rozłazi się w rękach, trzęsą się ze strachu, zwłaszcza od minionej środy, kiedy to przywieziono do Altony ciężko rannego księcia Brunszwiku¹³⁹. Wielki wódz wyruszył po triumf i obiecywał triumf, a teraz... Niesiony przez dziesięciu ludzi na noszach, brudny, zeszmacony, za nim tłum rozwrzeszczanych wyrostków i włóczęgów... Złożyli go w nędznej oberży, wezwali doktora Unzera... Koszmarny widok, wie pan, jak to podziało na ludzi? A jeszcze mocniej na senat Hamburga. Odkąd Berlin znalazł się w rękach Buonapartego...

— Kiedy to się stało?

— To pan nie wie?

— Nie wiem.

— Tydzień temu wjechał do Berlina. Wcześniej weszły do miasta oddziały marszałka Davouta. Wyobraża pan sobie, jaką to wywołało panikę?

— Wyobrażam sobie, ale nie traćmy czasu na mówienie o tym.

— To jest istotne, mój panie, bo dowodzi, że może pan liczyć na panujące wokół kompletne rozprężenie. Altona jest pełna pruskich dezertersów w mundurach i bez. Podobnie jest w Hamburgu. Nikt już nie rozróżnia nikogo, a władze Hamburga, chociaż karmią się nadzieją, że Buonaparte uszanuje Hanzę, liczą się z tym, że tego pokarmu może nie starczyć na długo¹⁴⁰. Wszystko to ułatwi wam poruszanie się, ale i tak dam wam przewodnika, który was zaprowadzi do oberży „Baumhaus”... Teraz powinienem panu powiedzieć, jak wypełnić paszporty, doradzić najlepszy sposób lokomocji i przebrania się, wręczyć dossier z cechami charakterystycznymi Buonapartego i podać kontakt w Berlinie.

— Myli się pan, panie Gimel. Pan nie powinien, pan musi!

— Wiem, co muszę, mój panie. Zgodnie z tym, co muszę, wygląda to następująco.

Paszporty irlandzkich uchodźców parających się aktualnie handlem tytoniem i czekoladą.

139 Naczelnym dowódcą głównej armii pruskiej, księżę Ferdynard Brunszwicki, został śmiertelnie ranny w bitwie pod Auerstaedt (14 października 1806) i zmarł w Altonie 10 listopada.

140 Francuzi (marszałek Mortier) zajęli Hamburg 19 listopada.

Towary te dostarczę wam do „Baumhausu”. Jako środek lokomocji dyliżans. I jeszcze kontakt berliński z człowiekiem von Kempelena, tym mistrzem szachów. To wszystko, co muszę, za co zostałem opłacony. Następstwa? Użeranie się na stacjach pocztowych z wagenmeistrami, na każdym kroku możliwość wpakowania się na Francuzów, no i celnicy, chociażby przy wjeździe do Berlina. Zechcą zajrzeć do bagaży, a gdy wydadcie się podejrzani, rozbiorą was do naga. I najważniejsze: w jaki sposób wywieziecie automat z Berlina? O ile wiem, musicie go wywieźć. Zapakujecie ładnie i na wózku, czy tak? Tak to sobie wyobraziliście w Londynie? Nie wiem, gdzie chcecie go zawieźć, ale przecież nie pod Berlin, lecz trochę dalej. Ciekawe, jak sobie dacie radę na trasie z takim drobiazgiem?

— Zapłacono panu, Gimel, za najlepsze z możliwych rozwiązań! — warknął Beniamin podrażniony bezczelnością tego człowieka.

— I ja takie ci przedstawiłem, mój panie. Możesz z niego skorzystać. Tak to planowaliśmy z d'Antraiguesem, a że po drodze mogą być kłopoty... Nie sądził pan chyba, że to przejażdżka wypoczynkowa? Krótko mówiąc, spełniłem swoje zadanie i mógłbym się więcej sprawą nie zajmować. Ale potem, przez przypadek, najczystszy przypadek, wpadłem na rozwiązanie tak wspaniałe, że należy ono do rzędu niemożliwych! Niemożliwych do wymyślenia, panie O'Leary, gdyż należy ono do tej kategorii gwiazdek, które spadają z nieba i rozwiązują wszystkie problemy! Naprawdę wszystkie! Będziecie mogli jeździć ze swoim „Szachistą” od Odry do Renu, ile razy zechcecie, i nikt nie tknie was palcem. Ale to musi kosztować... W złocie. Lecz opłaci się wam, bo to jest pomysł, na który nie ma ceny. Jeśli pan nie zechce, trudno, zrealizujemy pierwszą wersję. No jak, panie O'Leary, nie spyta pan, co to jest?

Bathurst nie wykonał żadnego ruchu, na jego pokerowej twarzy nie pojawił się żaden grymas, milczał.

— Proszę mi wierzyć, O'Leary — kontynuował Gimel — że nie chcę pana okraść. Po wysłuchaniu mojej propozycji zrozumie pan, że naprawdę chcę wam pomóc. W gruncie rzeczy, mój panie, co tu jest do wybierania? To nie jest wybór pomiędzy gorszym a lepszym planem, to jest wybór między porażką a zwycięstwem, śmiercią a życiem, więc

po prostu nie masz wyboru!

— Nie podziękują ci w Londynie, Gimel, za to, że podsunąłeś mi najpierw gorszy plan, a potem zacząłeś szantażować nadzieją lepszego! — rzekł ponuro Benjamin.

— A jakie mogą mieć do mnie pretensje? Powinni mi być raczej wdzięczni! Plan był już w zarysie gotowy od dawna i zaakceptowany przez d'Antraiguesa, ja tylko miałem dograć szczegóły i zrobiłem to. Ale zły to plan, którego nie można zmienić. To z Publiusza. Ja proponuję zamianę tego planu na plan, który daje stokrotnie większą szansę. Byłby pan ostatnim głupcem, gdyby się pan obraził i wrócił ze skargą do Londynu albo przez oszczędność wybrał plan pierwszy. W tym drugim przypadku, moim zdaniem, szansa jest mała. Jeśli zaczniecie oszczędzać pieniądze, lasciate ogni speranza!¹⁴¹. To z Dantego. Walczy teraz w panu wściekłość i ciekawość, O'Leary. Proponuję kompromis między nimi, rozważę. Kompromis, mój panie, nie jest w łasce u pozerów, ale rozsądni nie darzą go nienawiścią. Wilhelm Tell uczyniłby o wiele mądrzej idąc na kompromis wobec Gesslerera niż narażając życie swego dziecka. Proszę się jeszcze napić, O'Leary. Smakuje panu to wino?

— Ile? — spytał Bathurst. — Ile kosztuje ten drugi plan?

— Nie tak znowu wiele. Ten skórzany woreczek... Prawda, że niedużo? Przyniesie go pan tutaj dzisiaj po południu, o siedemnastej, wypełniony złotem. Mogą być pistole, maxy lub suwereny, nie jestem wybredny. Wówczas podam szczegóły. Na razie zaś, by wiedział pan, że nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto, powiem tylko, iż podróżować będziecie z komediantami, w wozach cyrkowych. I w jednym z nich wywieziecie automat... Aha, mam jeszcze jeden pusty woreczek, bliźniaka tamtego. Gdyby i ten wrócił do mnie napełniony złotem, wówczas mogłoby się okazać, że nie potrzebuje pan znikąd wykradać automatycznego szachisty, czyli ryzykować życiem swoim i swoich ludzi, wystarczyłoby odebrać go jak przesyłkę pocztową. Czyż nie miałem racji, O'Leary, kiedy mówiłem, że naprawdę chcę wam pomóc?

Tego samego dnia o siedemnastej Bathurst zapukał do drzwi tej samej chaty w Ottensee.

141 „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate" (Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy wstępujecie) — napis nad bramą piekła w Boskiej komedii Dantego.

Tym razem był z Sijem i Brownem. On i Brown mieli pod ubraniami koszulki pancerne¹⁴². Tom i Manuel otrzymali zadanie do wykonania poza miastem. Reszta została na statku z Józefem jako głównodowodzącym.

— Duża nieostrożność przychodzić tu z drabami, których na milę czuć zbrodnią — rzekł opryskliwie Gimel.

— Mniejsza, panie hrabio, niż nosić tyle złota w pojedynkę — odparł Bathurst.

Gimel rozpromienił się.

— Ooo! Więc jednak! Pan jest rozsądny, O'Leary, to się panu chwali.

Beniamin wyjął z sakwy woreczki ze złotem i położył je na stole. Gimel rozsuptał każdy, zajrzał do wnętrza, zagłębił dłoń i przez chwilę ruszał palcami w złotych trzewiach z niewysłowioną błogością na twarzy.

— Zaraz się pan przekona, O'Leary, że zrobił pan doskonały interes. Siadajmy... Proszę teraz uważać. Tak jak to było ustalone, paszporty wypełni pan nazwiskami irlandzkimi i będziecie się podawać za uchodźców, którzy od pewnego czasu wojażują z trupą cyrkowo-teatralną Mirela. Do tego będą potrzebne pieczęcie identyczne jak te, które mają na swoich paszportach Mirel i jego ludzie, przynajmniej za ostatnie dwa miesiące. Biorę to na siebie, mam specja od tych spraw...

— Kim jest Mirel? — spytał Bathurst.

— Włoch, przed dwoma laty przyjechał z Toskanii do Wiednia. Przez te dwa lata wojażował po Austrii, Prusach i księstwach niemieckich. Do Hamburga przyjechał z Hanoweru w początkach października tego roku. Tu zatrzymały go działania wojenne i tu wpadł mi w oko, nasuwając pomysł. To stary lis. Rozbawianie gawiedzi, wszystkie te komedianckie sztuczki służą mu za parawan. Podejrzewam, że trudni się przemytem i to na wielką skalę. Ma cztery wozy, dodamy mu piąty, dla was i dla automatu. Ten wóz załatwię do jutra. Jak pan widzi, ponoszę znaczne koszty... Mirelowi zapłaci pan sam i radzę być szczodrym. Co prawda jego trupie nie wiodło się ostatnimi czasy najlepiej, ale za byle grosze nie najmie go pan na daleką i niebezpieczną drogę. Niech pan jutro czeka na statku, Mirel powinien się tam zjawić nie później niż o dziesiątej.

¹⁴² Autor Memoriału nie opisał tych koszulek, nadmienił tylko, że były zadziwiająco lekkie i że dopiero strzał z odległości trzech jardów mógł je uszkodzić.

— Czy będzie wiedział, który to statek? Ach, prawda, śledziliście mnie przecież...

— Jakże by inaczej! Od chwili, gdy zapukał pan do domu Trautmana... No więc, gdy dogadacie się już z Mirelem, proszę stawić się w Ottensee o trzynastej. Omówimy ostatnie szczegóły, wypełnimy paszporty i pożegnamy się. On tymczasem zabierze pańskich ludzi do Altony, skąd mój człowiek przetrzuci ich do Hamburga i ulokuje w „Baumhausie”. Wyruszyście z tej oberży.

— Czy to wszystko, co ma pan dzisiaj do powiedzenia? — spytał Bathurst. — Jeśli tak, proszę zwrócić jedną sakiewkę.

— Och! Proszę mi wybaczyć, zapomniałem — Gimel uśmiechnął się czarująco. — Doprawdy, człowiek się starzeje! Rację miał stary La Rochefoucauld, la vieillese est un tyran¹⁴³. To z jego „Maksym”. Taaak. Otóż w Berlinie działa z mojego polecenia „Jean-Bart”¹⁴⁴. Nie wiem, jak on to robi, wszelako zapewnił mnie, że wydobędzie automat z pałacu. Zapewne przy pomocy byłego współpracownika von Kempelena, to jasne, ale to by nie wystarczyło. „Jean-Bart” ma swoje kontakty i możliwości, o których nic nie wiemy, ale, proszę mi wierzyć, są one ogromne, inaczej Francuzi nie polowaliby na niego tak zajadle. Według niego strona techniczna nie przedstawia wielkich trudności. Kłopot z tym, że trzeba czekać, aż Buonaparte nasyci się „Turkiem”.

— To właśnie miał załatwić szachista współpracujący z von Kempelenem.

— Tak jest, mój panie, ale czy i kiedy mu się uda? Korsykanin nie jest na jego rozkazy. Być może udało się to już i być może „Jean-Bart” już wywiózł automat z pałacu, w co jednak wątpię, gdyż miałbym o tym wiadomość. Dla pana, O'Leary, istotne jest to, że otrzyma pan automat do ręki nic nie płacąc dającemu, gdyż przed chwilą zapłacił pan mnie, a ja wcześniej innym. Niech pana nie dziwi, że wyłożyłem pieniądze z góry. Wiedziałem, że mi się zwrócą. Umiejętność przewidywania jest podstawą w każdej grze, a w szachach w szczególności, czyż nie tak?

143 Starość jest tyranem.

144 Pseudonim wzięty od sławnego XVII-wiecznego admirała francuskiego. Człowieka, który ukrywał się pod tym pseudonimem i którego nazwiska nigdy nie odkryto, policja cesarska nazywała w swych raportach „najniebezpieczniejszym awanturnikiem Europy”. Przypuszcza się, że był to eks-oficer inżynierii, który w czasie Rewolucji należał do emigracyjnej armii księcia de Conde, a następnie wszedł w służbę angielską i jako tajny agent działał w Niemczech i Austrii.

— Jaki jest kontakt z „Jean-Bartem”? — spytał Beniamin.

— Oberża „Król Portugalii”, Burgstrasse dwanaście. Właścicielem jest Herr Koch. Zapyta go pan o pieczeń z sowy. Proszę nie robić takich oczu, O'Leary, sowa z różną to specjalność niektórych restauracji w Prusach. Nawiasem mówiąc, zupełnie niezła. Koch winien wyrazić ubolewanie, iż nie dysponuje tą potrawą, i zaproponować panu w zamian pieczeń z łabędzia. Następnie skieruje pana we właściwe miejsce. To już chyba wszystko na dziś?

Niezupełnie było to wszystko. W pół godziny po odejściu Bathursta Gimel opuścił chatę i skierował się w stronę wybrzeża. Mijając dwóch pijanych, śpiewających ochryple łażików, nie przewidział, że ci, straciwszy równowagę, zwałą się na niego. Przewrócili się wszyscy trzej. Gimel zerwał się pierwszy, klnąc pod nosem. Tamci gramolili się niezdarnie, wzajemnie sobie pomagając. Jeden z nich, umorusany jak nieboskie stworzenie, z króliczymi oczkami pijaka, przeproszał wylewnie:

— Raczcie wybaczyć... oupp!... jaśnie wielmożny panie... kapitanie... oupp! bo właśnie... oupp! my z kolegą... oupp!...

Hrabia odwrócił się ze wstrętem i poszedł dalej. Dopiero w Altonie zauważył, że ma przy sobie tylko jeden skórzany worek.

W godzinę po opisanym wydarzeniu drugi worek znalazł się w ręku Bathursta.

— Nie podkusiło cię? — spytał Diaza.

— Nie, seńor, przysięgam, że nie! — Manuel rąbnął się pięścią w pierś. — Drugi mu zostawiłem, wedle rozkazu, a z tego nie tknąłem jednego kawałka, proszę sprawdzić, seńor!

Następnego dnia (4 listopada 1806), tuż po dziesiątej, zjawił się na pokładzie „Mewy” człowiek-gigant. Był gigantem nie tyle wzwyż, ile wszerek. Osobnika tak otyłego, z tyloma podbródkami, z ramionami grubości ud i palcami grubości kobiecych ramion żaden z komandosów jeszcze nie widział. Był to Mirel. Do diaska, jeden cały wóz dla niego! — pomyślał Bathurst. — Ale co tam, i tak krypa pójdzie zaraz na dno... Nie poszła, a oni zasiedli na pokładzie, bo o tym, by Mirel zmieścił się w luku, nie można było marzyć. Mirel miał cienki, piskliwy głosik kastrata.

— Jestem Mirel, signore, a po prawdzie Mirelli, bo tak nazywał się mój papa, ale przy tournée różnie, per esempio Mirellus! Adesso sono Mirel...¹⁴⁵

— Panie Mirel — przerwał mu Beniamin — proszę przestać mówić w języku ojczystym, gdyż język ten jest dla mnie równie zrozumiały jak język kota.

— Va bene, Herr O'Leary, si capisce!¹⁴⁶ Ja mówię kilkanaście języków nawet tak pięknie, że w Niemczech biorą mnie Niemiec we Francji Francuz, wszędzie... Biegły to język jest każdy u mnie! Pan mój zespół chciał dobrze mieć? Ja zgodzić, jak pan duży pieniądz da.

— Ile?

— Nie wiem ja, signore. Mirel nie zna, co pan życzyć chciał.

— Zabierzesz do Berlina mnie i dziewięciu moich ludzi. Stamtąd weźmiemy ładunek, który trzeba będzie przewieźć dość daleko, drugie tyle.

— Ile mil... niemiecka mil, signore?

— Niemieckich? — Beniamin szybko przeliczył w myśli. — Około siedemdziesięciu, może i więcej, to zależy. Może nawet sto.

— E, va bene! Wozy, konia dobry ja mieć. Mirel wie, że to ładunek tajny on jest, i pan, signore, i pański ragazzi¹⁴⁷ kryją się muszą. To będzie za ten ukrycie i niebezpieczny podróż trzy florinów jeden mila za jedna człowiek i cztery florinów jedna mila od ładunek. Va bene?

— Co! — krzyknął Bathurst. — ... Nie zapłacę tyle, to rozbój!

Grubas zrobił minę skrzywdzonego dziecka, zakręcił młynka palcami i spytał:

— Ile to zapłacić pan chce?

— Za całą drogę z Hamburga do Berlina dyliżansem płaci się osiem florinów, a to niespełna czterdzieści niemieckich mil! Dam pół florina za każdą milę od głowy i ładunku razem! To albo nic!

— To mało jest, mało pieniądz... Ale u mnie jest serce dla pana, signore. Ja mówię dziesięć florinów jeden mila razem, wszystkie głowa i ładunek! Va bene, signore?

Osiem?

¹⁴⁵ na przykład Mirellus. Teraz nazywam się Mirel.

¹⁴⁶ Dobrze, panie O'Leary, rozumiem.

¹⁴⁷ Chłopcy.

Było to straszliwe zdzierstwo. Za samą drogę do Berlina ponad trzysta florinów, nie licząc kosztów utrzymania (te Mirel policzył osobno) i okrągłej sumki w złocie za niemożność zarabiania sztuką sceniczną. Ale też wozy komediantów były rzeczywiście gwiazdką z nieba, a Mirel ryzykował bardzo wiele w razie wpadki. Bathurst wyraził zgodę.

W pół godziny później został na pokładzie z Sijem i Tomem. Pozostałych komandosów Mirel zabrał do miasta, skąd miano ich przeszmyglować do Hamburga. Żegnając Stormana Benjamin wręczył mu szyfrowany list do Castlereagha, w którym prosił o zajęcie się „Szwajcarem”¹⁴⁸ z Cheyne Walk. W liście tym narysował ulicę i zaznaczył obszar, na którym należy szukać (w promieniu kilkudziesięciu jardów od miejsca, gdzie usłyszał melodię gwizdaną przez Parvisa). Po raz trzeci spytał Stormana o to samo:

— Czy kapitan, który zawiezie list do Londynu, jest godzien zaufania?

— Tłumaczyłem już panu, sir, to mój przyjaciel. Może mu pan zaufać tak jak mnie. Jego łajba wypływa stąd pojutrze. List oddam mu jeszcze dzisiaj.

— Dobrze. Pamiętaj, Storman, najpóźniej za miesiąc masz być w Kołobrzegu.

Przywarujesz tam i będziesz czekał na mnie. W razie kłopotów z kotwiczeniem, zaprowiantowaniem lub czymś innym, zgłosisz się do piwowara Nettelbecka. Hasło: „Czarny”, odzew: „Jak orzeł”, odzew na odzew: „I jak krzyż”. Zapamiętasz? Jeśli się nie zjawię do pierwszego lutego, możesz wracać.

O trzynastej nastąpiło ostatnie spotkanie z Gimelem. Był z nim ten sam staruszek, który dał Bathurstowi gazetę w domu Trautmana i który okazał się znakomitym specem od fałszowania dokumentów, wyposażonym w cały mieszczący się w jednej walizeczce arsenał pieczęci. Pracowali nad paszportami w trójkę przez kilka godzin, w czasie których małomówny staruch zaimponował Benjaminowi swą biegłością w postarzaniu dokumentów specjalnym płynem i wywabianiu pisma za pomocą innego płynu.

148 „Szwajcara” chyba nie wykryto, w każdym razie autor Memoriału więcej o nim nie wspomina. Niewykluczone, że Parvis skłamał, wymyślając na poczekaniu pseudonim swego szefa. Żaden francuski szpieg o takim pseudonimie nie jest znany. Spekulując można tu postawić kilka hipotez dotyczących agentów Fouchego działających w Londynie. Mogli więc być „Szwajcarem”: Bayard, najpierw szpieg brytyjski, potem francuski i znowu brytyjski; Leclerc de Noisy, sekretarz jednego z ministrów angielskich; Rivoire, eks-szuan wysłany przez Fouchego nad Tamizę lub też, co najbardziej prawdopodobne, Dubouchet, który rezydując w Londynie zadenuncjował wielu rojalistów i który — jak podaje znakomity biograf Fouchego Ludwik Madelin — „spalony w Londynie, wszedł w służbę policji Niemiec i Polski”.

O osiemnastej fałszmistrz zabrał swoje przyrządy i wyniósł się bez słowa. Zostawił Bathurstowi kilka pieczęci, atrament i dwie buteleczki z cudownymi płynami. Następnie Gimel udzielił Anglikowi lekcji na temat pruskich i niemieckich obyczajów, przepisów, prawodawstwa i sposobów załatwiania wielu spraw. Miał kwaśną minę i nie kwapił się do żartów, nie częstował winem i nie cytował mędrców.

— Stało się coś złego? — spytał go na koniec Bathurst.

— Stało się — odburknął Gimel — ale proszę się nie obawiać, pana to nie dotyczy.

Obrabowano mnie wczoraj.

— Włamanie do domu?

— Nie, kieszonkowcy. Tu, w Ottensee. Cała Altona i okolice roją się od hołoty umykającej z terenu Prus. Nie uważałem, sam jestem sobie winien.

— To przykre. Dużo panu ukradli?

— Dużo.

— Współczuję panu i szczerze rad bym pomóc. Tak się składa, że mam przy sobie kilka sztuk złota...

Żrenice Gimela ożywiły się. Spojrzał baczniej w twarz Bathursta, zaskoczony, lecz czujny.

— Co pan chce kupić, O'Leary?

— Zupełny drobiazg, kilka nazwisk. Konkretnie nazwiska agentów, którzy pracowali w tej sprawie dla pana, d'Antraiguesa oraz dla moich mocodawców.

— Pan oszalał, O'Leary! Czy pan sobie kpi?

— Ale skąd, nie ośmieliłbym się kpić sobie z ambasadora jego królewskiej mości Ludwika XVIII. Po suwerenie za nazwisko, lecz uprzedzam, mam niezłe rozeznanie i jeśli zauważę, że pan fabrykuje nazwiska, nie zapłacę ani feniga!

— Pan mi ubliża, O'Leary! To... to niedopuszczalne!

— Całkowicie się z panem zgadzam, panie hrabio. Po dwa suwereny za nazwisko.

Zapadło milczenie. Było krótkie jak rumieniec na twarzy Gimela, gdyż hrabia odezwał się bardziej miękko:

— Ostatecznie... Mogę to zrobić, wreszcie ich dzieło, często zupełnie marginalne, jest

skończone. Większość opuściła Prusy po wkroczeniu Francuzów. Zresztą nie wszystkich znam, d'Antraigues był lepiej zorientowany, on trzymał nici...

— Do rzeczy, panie hrabio, do rzeczy — ponaglił go Bathurst.

— Powiedział pan, O'Leary, pięć suwerenów za nazwisko?...

— Powiedziałem: trzy.

— Excuse-moi, musiałem się przesygnąć. A więc... Thauvenay¹⁴⁹, przez którego d'Antraigues nawiązał kontakt ze mną, potem de Tilly¹⁵⁰, który będąc szambelanem Fryderyka Wilhelma i jego nadwornym kupcem, odnalazł automat. De Tilly opuścił Berlin tuż przed wkroczeniem Francuzów. Potem... de Martanges¹⁵¹, przez którego, o ile się nie mylę, d'Antraigues kontaktował się z Pittem i pańskim szefem w Londynie, Fauche-Borel¹⁵², którego berlińska księgarnia była skrzynką kontaktową, poza tym jego kuzyn Vitel¹⁵³ i kilku dawnych partyzantów Agencji¹⁵⁴, Ferronays, Martigny...

Pescatino¹⁵⁵...

— Dość — krzyknął Bathurst — bo wyjdę stąd bez grosza. Proszę, oto pieniądze.

Interesuje mnie jeszcze, kto z nich wiedział o automacie i projekcie wykradzenia go.

— O automacie de Tilly, o naszym planie żaden z nich. Być może Fauche-Borel się domyślał, no i niech pan nie zapomina o „Jean-Barcie” i jego ludziach.

— Czas się żegnać, panie Gimel!

— Tak, ale ja wyjdę stąd pierwszy. Wy poczekacie tu do całkowitego zmroku, potem mój człowiek przeprowadzi was do Hamburga.

149 Były generalny poborca finansów. W roku 1790 wyemigrował do Hamburga, gdzie przez piętnaście lat pełnił funkcję szefa siatki szpiegowskiej hrabiego Prowansji (Ludwika XVIII).

150 Aleksander de Tilly, jeden z najbardziej cynicznych i amoralnych awanturników epoki, namiętny uwodziciel (kilka kobiet popełniło przezeń samobójstwo), szantażysta, autor sztuk granych przez Comedie Francaise i oczywiście agent rojalistowski. Kilkakrotnie szukał fortuny w Hamburgu.

151 Bonnet de Martanges, eks-profesor filozofii na Sorbonie, przed Rewolucją żołnierz armii saskiej i francuskiej, potem szpieg hrabiego d'Artois i agent rojalistowski w Londynie.

152 Ludwik Fauche-Borel (1762—1829), księgarz szwajcarski, wieloletni agent Burbonów, związany z wieloma aferami epoki.

153 Edward lub Karol (różnica w źródłach) Vitel, dzięki któremu udało się Fauche-Borelowi w dobie Konsulatu uciec z paryskiego więzienia Tempie (w masce woskowej wykonanej na wzór twarzy Vitela).

154 Chodzi o tzw. Agence de Souabe, szpiegowską centralę Ludwika XVIII na terenach niemieckich, którą policja Fouchego rozbita w początkach Konsulatu.

155 O Ferronnaysie patrz przypis 107. Pozostałe nazwiska nie są znane. Najprawdopodobniej Gimel zaczął w tym momencie fantazjować, by wyłudzić więcej pieniędzy, w czym jednak Bathurst się połapał.

Wstał, zgarnął suweryny ze stołu i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się.

— Et quelle affaire ne fait point ce bienheureux metal, makre du monde, la clef des coeurs?¹⁵⁶... To z La Fontaine'a, mój drogi O'Leary. Żegnaj i nie myśl o mnie źle.

— Zbyt brudny jesteś, abym pluł na ciebie! To z Szekspira — odpowiedział Beniamin, lecz będący już w drzwiach Gimel chyba nie usłyszał.

Po nadejściu zmroku przewodnik przeprowadził ich przez granicę i sekretnym wejściem w mury Hamburga. Rozlokowali się w oberży „Baumhaus” i ustalili z Mirelem, że wyruszą wczesnym ranem.

Obudził się Bathurst bardzo wcześnie. Z okna swojego pokoju miał piękny widok na śpiący port, tak straszliwie zatłoczony, że wydawało się, iż wszystkie kadłuby, maszty i reje splotły się w jedną pajęczynę, której już żaden Neptun nie rozplacze. Bliżej widać było iglice kościelnych wież, a po bokach wiatraki górujące nad miastem. Było szaro, gdy wsiedli do dwóch wozów Mirela obwieszonych kolorowymi napisami, emblematami, plakatami, szarfami i wszelakim kuchennym naczyniem. Sam Mirel jechał w pierwszym ze swoją połowicą, która niewiele ustępowała mu tuszą (Do licha, jak oni się kochają?! — pomyślał Beniamin), z dwojgiem dzieci i dwoma członkami trupy, linoskoczkami.

Pozostałe wozy miały czekać w pobliżu Lenzen, około siedemnaście mil niemieckich za Hamburgiem.

Wyjechali z miasta bez kłopotów. Zrazu posuwali się wzdłuż pełnej wysepek i lodzi rybackich Łaby, gubiąc za sobą obraz miasta, aż tylko wieże kościoła pod wezwaniem Świętego Michała wojowały jeszcze z dystansem, ale i one zniknęły im z oczu. Rzeka zwężała się coraz bardziej i coraz rzadziej lyskała lustrem wody spomiędzy pagórków, a około południa uciekła na stałe.

Tego dnia dojechali do Eschebourga i zatrzymali się w przydrożnej oberży, pełnej zmęczonych i rannych żołnierzy nie wiadomo jakich formacji, pijących i przeklinających los, tak jak tylko potrafią go przeklinać zwyciężeni żołnierze i bankruci. Mówiono głośno, że Prusacy, którzy uszli cało spod Jeny, chcą zająć Lubekę i że na Hamburg ciągnie silny

¹⁵⁶ Czegóż nie czyni ten błogosławiony metal, władca świata, klucz do serc? (La Fontaine: Nowe bajki, księga III).

korpus pruski, by zamknąć się tam i bronić przed drepczącymi mu po piętach Francuzami. Bathurst przypomniał sobie, że mówiono o tym również w Hamburgu i że zastanawiano się, czy Prusacy złamią neutralność miasta. Wszystko to nie nastrajało optymistycznie, bo chociaż rosnący chaos był mu teoretycznie sprzymierzeńcem, mógł się równie dobrze okazać zgubny w skutkach. W przeciwieństwie do kompanów, a zwłaszcza do Robertsona, Mirela i jego kobiety, jadł niewiele i bez apetytu, wywołując tym troskliwe zainteresowanie oberżysty.

— Ein junger Mann soli tiichtig essen und trinken, sonst wird er mager, murrisch und kranklich!¹⁵⁷

— E vero, signore! — wyseplenił z pełną gębą Mirel. — Si deve mangiare molto!¹⁵⁸

Ponad siedemnaście mil do miejsca spotkania zrobili w ciągu pięciu dni. Mimo poganiań Bathursta mogli zrobić dziennie zaledwie trzy do czterech mil. Każdy wóz ciągnęły dwa potężne bulończyki¹⁵⁹, które truchtały żwawo, ale nie zmieniane, wymagające więc odpoczynków, w żaden sposób nie mogły zrobić więcej, tym bardziej, że drogom w północnych Niemczech daleko było do dróg bawarskich i hamburskich, a teraz drogi te tarasowały masy żołdactwa.

Mirel umówił się ze swoimi, że będą czekać na leśnej polanie niedaleko Lenzen.

Dojechali tam o zmierzchu 9 listopada (niedziela) i zanim ujrzeli ognisko, dobiegły ich dzikie wrzaski i płacz. Na polanie gospodarzyło kilkunastu żołnierzy. Plądrowali wozy, wyprzęgali konie, dwóch obszukiwało gromadkę kłęzących komediantów, kilku innych, ciągnąc do wnętrza wozu czarnowłosą kobietę, zdierało z niej szaty. Kobieta broniła się zajadle, drapiąc i gryząc. Otrzymała uderzenie pięścią, jedno i drugie, lecz nie zaprzestała walki. Dосkoczyła do niej mała, kilkuletnia dziewczynka, i zaczęła rozpychać napastników, krzycząc przeraźliwie głośno:

— Mamooo! Mamooo!!!

Któryś z żołnierzy kopnął dziecko, aż potoczyło się kilka metrów w bok i zamilkło.

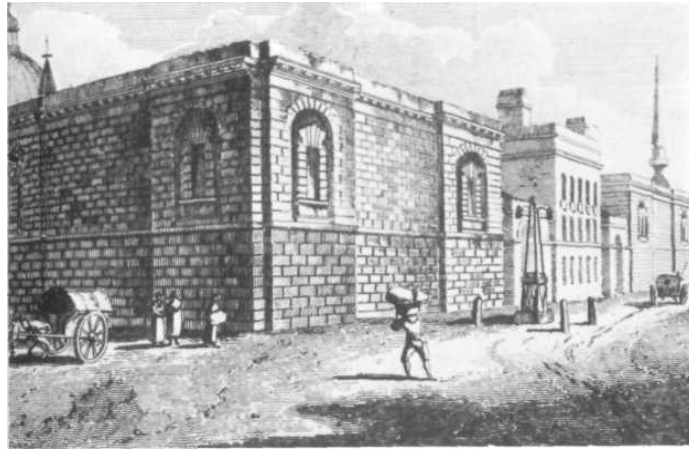
To wszystko zamknęło się w pierwszym spojrzeniu, gdy wjechali na polanę. Strzepy

¹⁵⁷ Młody człowiek winien tego pić i jeść, bo inaczej będzie chudy, markotny i słabowity.

¹⁵⁸ To prawda, panie, trzeba dużo jeść!

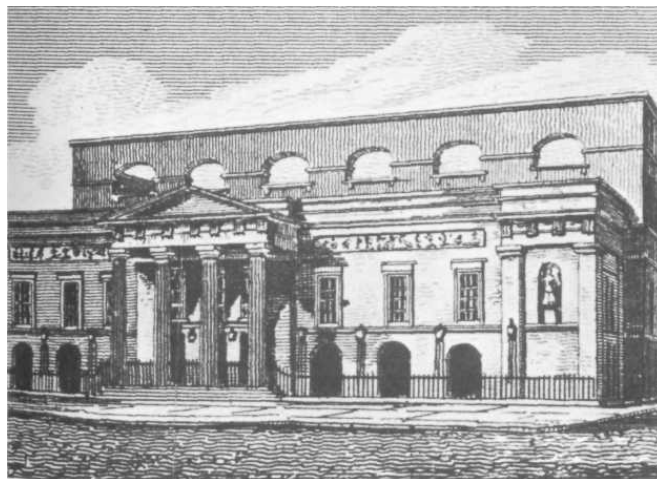
¹⁵⁹ Francuski typ ciężkiego konia pociągowego.

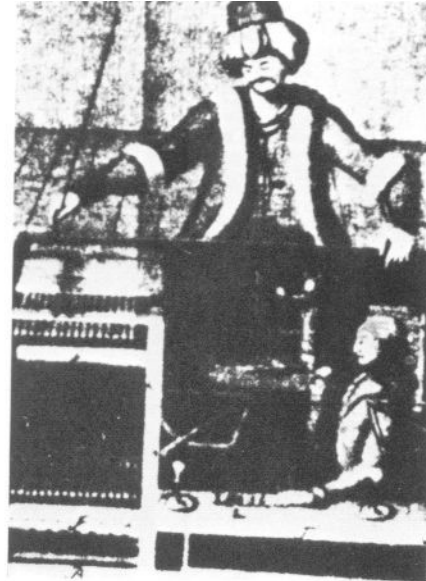
sekund. Ich pojawienie się zatrzymało ruch, jakby Bóg wyłączył kamerę zdarzeń. Wszystko zamarło, ale tylko na ułamek chwili. Mirel z zadziwiającą zręcznością zeskokczył



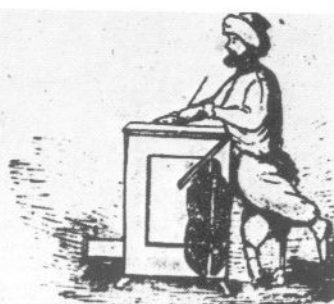
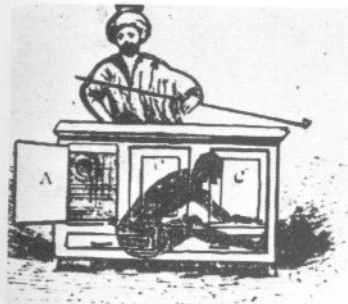
Londyn w początkach XIX wieku — legendarne więzienie Newgate.

Londyn w początkach XIX wieku — teatr Covent Garden.





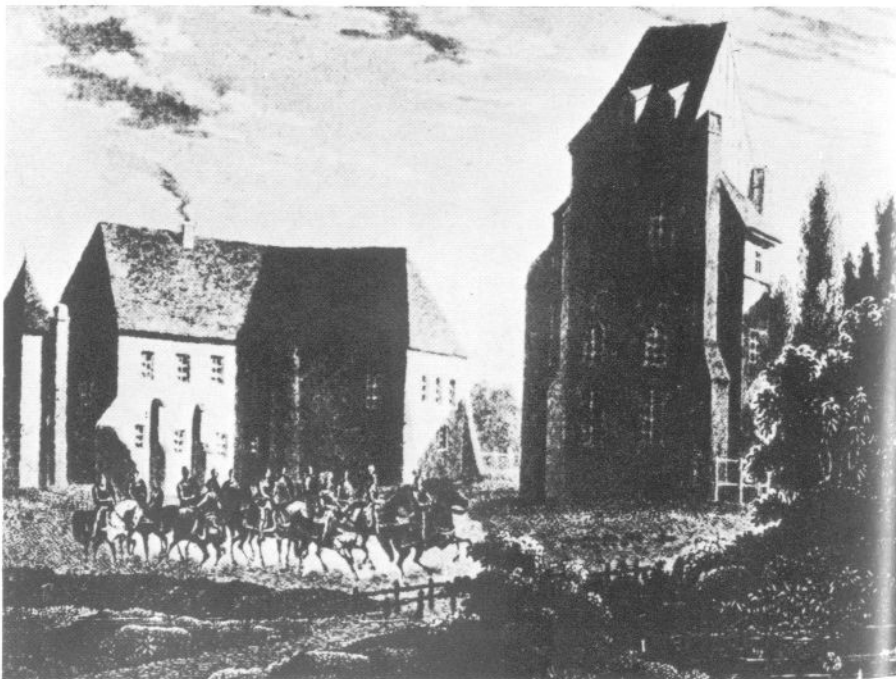
Berlin w początkach XIX wieku — St. Marienkirche (u góry po lewej); żywy gracz w „Turku” von Kempelena (u góry po prawej); system ukrywania się żywego gracza w „automatycznym szachiście” barona von Kempelena podczas prezentacji wnętrza (u dołu).





Napoleon jako figura szachowa
(rysunek Waldemara Andrzejewskiego).

Szamotulski zespół zamkowy
z Basztą Czarnej Księżniczki (ry-
sunek Konstancji Potockiej z
pierwszej połowy XIX wieku).



z wozu i w tym samym momencie stojący na środku polany ospowaty drab wybuchnął śmiechem.

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! Jeszcze jedni!!! Zapraszamy do kompanii! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!!! Czego sobie życzysz, tłuścioszku?

Mirel podbiegł do niego i składając błagalnie ręce zaskomlał:

— Panowie! Szlachetni panowie! Jaśnie wielmożni panowie! Nie zrobić może krzywdy nam, ja proszę!... Ja wszystko dam do wielmożni panowie... ja zapłata ofiarować dam... tylko nie krzywdy zrobić, wielmożni panowie! Nie zrobić!

— Słyszycie, wielmożni panowie?! — ryknął ospowaty. — On zapłatę ofiarować da! Spojrzał ku swoim, a ci, już spokojni, wtykając pistolety na powrót za pasy i odkładając karabiny, zarechotali gromadnie.

— Na świętego Patryka, sir, pomóżmy bliźnim, bo ich skrzywdzą akuratnie te psie syny!

— jęknął Robertson.

— Milczeć! — syknął Bathurst, patrząc przez okienko wozu i ruchem ręki dając znać, by zbyt wcześnie nie zdradzili swojej obecności.

Ospowaty podszedł do zmartwiałego Mirela i delikatnie popukał zgiętym palcem w opasły brzuch, tak jak się puka w drzwi.

— No, no! Żywa beczka łoju! Widzieliście kiedy takie dziwo, wielmożni panowie? Nawet Franz-lustig¹⁶⁰ dwunastego regimentu nie mógłby się z nim równać, o nie!

— Przetopmy go na rożnie, kapralu! Będzie sadła na zimę dla całej armii! — krzyknął jeden z żołnierzy, podczas gdy reszta pokładała się ze śmiechu.

Ospowaty pogroził kompanowi ręką z ostentacyjną powagą i rzekł:

— Ty, Georg, zawsze miałeś wstrętne myśli, widać nie jesteś wielmożnym panem, jak my wszyscy!

Po czym zwrócił się ponownie do Mirela.

— Nie bierz tego na serio, grubusiu, my nie jesteśmy źli ludzie, tylko ludzie uważają nas za złych, ale tacy już są ludzie, każdego obmówią. Wszystko, czego chcemy, to wózek, kilka koników i trochę gotówki, żeby żołnierzom królewskiej armii języki nie pousychały

160 Tak zwano wówczas w Niemczech pułkowego wesołka.

na wiór. No i jeszcze tę czarnulkę, bo wiesz, idzie zima i noce będą chłodne. Czy to dużo? No, powiedz sam...

Bathurst jeszcze raz zlustrował sytuację. Kobieta zniknęła gdzieś wraz z dzieckiem, Mirel odsunął się o krok, zasłaniając dłońmi kałdun... Psiakrew! Rigby, Józef i Brown są w tamtym wozie, przesiedli się na ostatnim postoju! Czy zorientują się na czas? Żołnierze rozluźnieni, ale jest ich zbyt dużo! Dobrze że przynajmniej ci, którzy chcieli zgwałcić kobietę, stoją w grupie.

— Kaprala biorę na siebie — szepnął. — Zaczniecie, gdy ja zacznę.

I zeskoczył z wozu.

Jego pojawienie się na murawie było efektem iście teatralnym. Jakby wyskoczyła spod ziemi kukielka w sznurkowej pantomimie. Wszystkie oczy spoczęły na nim, sprężyły się ciała żołnierzy, ręce sięgnęły do kolb, ale niezdecydowanie, gdyż swym widokiem nie budził grozy. W ręku trzymał tylko laskę.

Ciszę przerwał kapral, pytając głośno:

— A ty kto?

— Anioł stróż, przyjacielu.

Ospowaty popatrzył zdziwiony.

— Coś rzekł? Stróż czyj?

— Tych komediantów. Pilnuję, żeby nikt nie zrobił im krzywdy, nie zabrał wózków, koników i innych rzeczy. Odpędzam złe duchy...

Mówiąc to Bathurst powoli, krok za krokiem, szedł w kierunku kaprala. Za plecy skoczył mu jeden z żołnierzy i towarzyszył jak cień. Bliżej i bliżej. Sylwetka ospowatego rysowała się wyraziście na tle ogniska i jego aury.

— Czym odpędzasz te duchy, tym kijkiem? — spytał kapral, patrząc pogardliwie na laskę Beniamina.

— Tak, przyjacielu — Bathurst podniósł laskę, jakby chciał ją pokazać i objaśnić. — Bo widzisz, to jest magiczna różdżka, taka, która...

Jego ruch był szybszy od myśli. Koniec laski musnął tylko podbródek kaprala, ale z tak straszliwą siłą, że ten runął na wznak w ognisko, a w tym samym mgnieniu czasu

pochylony Bathurst wykonał półobrót i nacisnął rączkę, przeszywając kulą pierś stojącego za nim. Niepotrzebnie, gdyż razem z pociskiem w ciało żołnierza zagłębił się ze świstem nożyk Sija...

Wybuch potwornego wycia spomiędzy płonących polan i zaraz zagłuszający wszystko wybuch granatu miotniętego przez Heytera w grupę gwałcicieli, krwawe farfocle na gałęziach, ubraniach i ścianach wozów, seria strzałów w zaskoczonych żołnierzy, Brown rozkraczony na podnóżku kozła, oczy przymrużone, wyprostowany jak struna, wypróżniający magazynek z niehumanitarną precyzją zawodowca, walące się jedno po drugim ciała...

I już ponownie cisza przerywana z rzadka jękami i tętentem konia. Jeden z opryszków, najszczęśliwszy, skoczył na wierzchowca i popędził leśną ścieżyną.

— Rigby! — krzyknął Bathurst.

Ale Rigby, przytulony do kolby i nieruchomy niczym posąg, nie czekał na rozkaz i w tej samej chwili nacisnął spust. Niewiele było widać, z ciemności doszedł tylko urywany krzyk i stęknienie uderzonej ciałem ziemi.

— Brown! Sprawdź, czy zdechł, i sprowadź konia. Juan, weź łuczywo i pomóż Rufusowi! Zabili trzynastu ludzi: dwunastu napastników, z których kapral, okropnie poparzony, zmarł w kilka minut po walce, a jeden z żołnierzy dogorywał jeszcze przez kwadrans, oraz komedianta trafionego odłamkiem. Dwóch innych członków trupy było lekko rannych. Kobiety zaczęły ich opatrywać, popłakując i złorzecząc na przemian. Czarna piękność wyszła spomiędzy drzew i stała z dzieckiem na ręku, wpatrując się w Beniamina. On zaś patrzył na nią i poczuł coś dziwnego, czego nie czuł nigdy przedtem. Zmusił się, by odwrócić wzrok, podszedł do konającego żołnierza, uklęknął i pochylił się nad nim.

— Skąd jesteście?

— Od... od.... majora... Ameila... On po... poszedł na... Hamburg... a... my... tu... tuuuuu... Z ust konającego pociekła strużka krwi. Rozkaszał się tą krwią i zamknął oczy. Oddychał z trudem, łapiąc powietrze jak ryba.

— Na co był wam potrzebny wóz i konie?

— Naaa... złoto... wierzchowiec nie wy... nie wydoli... ooooo! Po... pomocy... księdza...

księ... dzaaaa...

Beniamin rozejrzył się.

— Robertson, zajmij się nim. Józef, do mnie! Polak wybiegł z za wozu.

— Słucham, sir.

— Weź łuczywa dla siebie i dla mnie, idziemy w las! Podszedł do kobiety z dzieckiem, które wciąż jeszcze trzęsło się ze strachu.

— Z której strony przyszli? — spytał.

Nie otworzyła ust, tylko poruszyła głową, wskazując mu kierunek.

Przeszukali z Polakiem spory kawał lasu, bezskutecznie. Gdy oddalili się od obozu na tyle, że jego odgłosy zgasły, usłyszeli nagle pisk ośki. Rzucili się w tę stronę i wpadli na ścieżkę. Przebiegli kilkanaście kroków i wówczas padł strzał. Kula bzyknęła im koło uszu. Uskoczyli za drzewa. Na skraju lasu, w bladej poświacie księżyca, zobaczyli sylwetkę człowieka ciągnącego z wysiłkiem spory dwukołowy wózek. Gdy ruszyli ku niemu, strzelił po raz drugi, lecz tym razem już ich nie powstrzymał. Jeszcze kilka kroków i tamten zastawia się karabinem. Beniamin wypalił mu w pierś z odległości tego karabinu, bagnetu i jeszcze kilku cali.

Dwiema kulami (bagnet się ułamał) przetrącili zamek w masywnej, ciężko okutej skrzyni, która znajdowała się na wózku. Była pełna złota, w monetach i sztabkach.

— Co z tym zrobimy, sir? — spytał Józef. — Przecież tego nie da się wziąć.

— Weźmiemy trochę monet, przydadzą się. Resztę zakopujemy. Zapewne ukradli kasę sztabową. Chociaż nie... Jest tego tyle, że starczyłoby na kasę armijną.

— A może napadli na kantor bankowy lub jakiś pałac, sir? To przecież dezerterzy.

— Oni teraz wszyscy dezerterzy, po Jenie — odparł Beniamin. Złote runo. Przypomniał sobie, jak opowiadał Littlefordowi bajkę o sztabowej kasie pruskiej, i słowa tamtego.

Wszystko niczym w bajce, brakuje tylko czarnoksiężnika.

Polak próbował pociągnąć wózek.

— Jezuuu, jakie to ciężkie! — jęknął.

— A jednak on — Beniamin wskazał na leżącego — ciągnął sam ponad sto jardów.

Kompani zostawili go na straży wózka, a strach pomnaża siły. No dobrze, chwytaj za

dyszal, ja popchnę. Wciągniemy w te krzewy, a potem wrócimy. I żebyś mi nie pisał słowa, nikomu!

— Ależ, sir! — oburzył się Polak.

Na skraju polany wpadł na nich Robertson.

— Wasza miłość, Manuel! Stał, stał i nagle buch na ziemię! Któryś z tych bratków zdążył strzelić akuratnie, jeno się nie usłyszało i sam Manuel nie poczuł, a teraz buch!... O święty Patryku!

Bathurst już nie słuchał, tylko pognał w stronę, z której dobiegał płacz małego Juana.

Starszy Diaz leżał na derce rozłożonej w pobliżu ogniska. Po prawej stronie piersi rosła mu na kubraku czerwona plama. Heyter i Rigby rozpięli mu koszulę i wówczas zaczęła go oglądać śmieszna staruszka w koronkowym czepku z piórkiem.

— Wyżyje młodzik, wyżyje! — zaskrzeczała po chwili. — Pinio, przynieś mój kociołek i torbę z ziołami. I czystą szmatę. I wodę!

Młody komediant pobiegł do wozu.

— Manuel, słyszysz mnie? — spytał Bathurst.

— Słyszę, señor. Ze mną będzie panu teraz trudno, señor.

— Bez ciebie byłoby trudniej. — Beniamin zmusił się do uśmiechu. — Nie mazgaj się, za tydzień będziesz tańczył. Z głodu nie zginiesz, flaków ci nie powrywało.

Starucha odsunęła go szorstko i zaczęła przemywać ranę i zakładać opatrunek.

— Nie trzeba wyjąć kuli? — spytał.

— Nie. Poszła w las, po drodze pogłaskała żeberka. Ot, tyle co nic — mruknęła stara.

— Matka Rosa zna to ona się. Uleczy ragazzo, signore — pisnął stojący obok Mirel.

Dopiero teraz przypomniał sobie o grubasie. Wstał z kolan i spytał:

— Widzisz, Mirel, co niesie wojna? Ile florinów płacisz za każdą milę pod moją opieką?

— Signore! — Mirel spojrzał na niego z wyrzutem. — Jak bym wiedział ja, co ja wiozę, kogo i ten bomba, co wybucha, to ja żądać bym chcieć musiał złota pieniądza za mila od człowieka. Si, si!... Ale ja kocham was jak syn mój własny i dlatego nie wezmę chcieć ja ani florin dużo więcej, choćby pan zmusił dawać mi, signore!

By nie tracić czasu rano, Bathurst zarządził natychmiastowe pogrzebanie zmarłych.

— Macie łopaty? — spytał Mirela.

— W domu na kołach, co porusza się na świat, wszystkie przyrząd musi być — odparł Mirel.

Obok polany wykopali grób dla komedianta, w lesie wielki dół na zwłoki żołnierzy. Pracowali przy łuczywach i zabrało im to ponad dwie godziny. W tym czasie kobiety robiły porządek w obozie, myły wozy z krwi i zebrały w wielką płachtę członki rozerwanych granatem napastników.

Podczas gdy komedianci i grupa Bathursta kopali grób dla Prusaków, on sam i Józef poszli z łopatami na miejsce, w którym zginął strażnik złota. Pochowali żołnierza, a w pobliżu zakopali skrzynię. Niewielką część złota Polak wziął do skórzanej sakwy, po czym zaniósł do obozu. Po jego odejściu Beniamin wyrznął nożem na dwóch najbliższych drzewach głębokie znaki i wciągnął wózek w głąb lasu.

Komediantowi odprawili krótką ceremonię pogrzebową, celebrowaną przez Robertsona. Dla Bathursta była ona drażniąca przez szloch kobiety i jeszcze bardziej przez przemówienie Szkota, z zapalem sławiącego „akuratne” zasługi i „akuratny” charakter zabitego, którego akuratnie zupełnie nie znał.

Położyli się spać po północy. Pierwsi stanęli na straży Tom i ów młody pomagier matki Rosy, Pinio. Zmieniano się co półtorej godziny. Beniamin nie mógł zasnąć. Siedział w wozie przez dłuższy czas, przyzwyczajając się do koncertu chrapań Browna i Robertsona, potem wstał, ubrał się cieplej i wyszedł na polanę. Przechodząc przez nią usłyszał stłumiony płacz dziecka. Podeszedł do wozu, z którego dobiegał ów płacz, i zajrzał do wnętrza.

Siedziała tam owa kobieta, która zaimponowała mu swoją walką bez błagań i jęków, urodą i czymś jeszcze, sam nie wiedział czym. Próbowwała uspić dziewczynkę, nucąc cicho jakąś melodię. Mała z głową wtuloną w poduszkę płakała zrywami, od wybuchu szlochu do cichutkiego pojękiwania, jej ciało drżało spazmatycznie, a ręce kurczowo zaciskały się na pościeli. Kobieta odwróciła głowę.

— Ach, to pan — powiedziała śpiewnym południowym akcentem, który tak bardzo nie pasuje do niemieckiego. — Przestraszyłam się...

Chwilę czekała na jego odpowiedź, a nie doczekawszy się rzekła:

— Dziękuję.

— Za co?

— Za wszystko.

Zrobiło mu się jakoś głupio. Nie wiedząc, co powiedzieć, spytał:

— To pani dziecko?

— Moje. Do mnie nie mówi się pani, tylko Julia.

— A do niej?

— Ania.

— Gdzie jej ojciec?

— Nie żyje — odpowiedziała i zaraz dodała wyzywająco: — A może to nie był ten?

Czul się coraz bardziej nieswojo pod jej spojrzeniem... jakim? Wdzięcznym, ironicznym, niewinnym? A może po prostu głupim? Zapragnął odejść, ale jakoś nie odchodził.

— Nie chce spać? — zapytał.

— Już nie zaśnie. Może w dzień uśpią ją koła. Napatrzyła się w godzinę na tyle potworności, ile może w całym życiu nie zobaczyć.

— Zobaczysz, nie ma obawy, inaczej życie nie byłoby życiem — powiedział cicho, a widząc, że dziewczynka przestała płakać i patrzy nań ze strachem, dodał głośniej: — Przecież to wszystko była bajka! Ci ludzie to były złe gnomy pozamieniane w żołnierzy. Potem zniknęły i już jest cisza, i ani śladu po nich, możesz sama zobaczyć. Jak to w bajce. Lubisz bajki?

Dziewczynka nic nie odpowiedziała. Patrzyła na Beniamina szeroko otwartymi oczami, które lśniły od łez.

— Czy ona rozumie? — zapytał Julię.

— Słabo, ale proszę mówić, ja przetłumaczę. Powtórzyła po włosku to, co powiedział, a gdy dziewczynka spytała, co to są gnomy, Beniamin zaproponował, że opowie jej bajkę o gnomach. Usiadł obok i opowiadał, a kobieta tłumaczyła każde zdanie:

— Dawno, dawno temu zły czarownik pozamieniał w karzełki rycerzy, którzy wracali przez ten las z Ziemi Świętej. Te karzełki to są właśnie gnomy. Każdy z nich jest pół

duchem, pół człowiekiem, raz go widać, a innym razem można tylko usłyszeć. Mieszkają w głębokich jaskiniach albo w jamach pod korzeniami. Żyjąc w obu światach, widzialnym i niewidzialnym, mieszają się często do spraw ludzkich. Kiedyś czyniły samo dobro, opiekowały się dziećmi, pannami, chorymi i starymi. Gdy tylko zdarzyło się wesele, chrzest lub jakieś święto, zapraszano gnomy na ucztę. W nieszczęściu pytano ich o radę. Bywało, że pożyczano od nich naczynia, płacąc sówicie. Później jednak ludzie zaczęli zapominać o karzełkach i przestali o nie dbać, aż zapomnieli zupełnie. Wówczas rozgniewane gnomy przerodziły się w złe duchy i zaczęły pracować na szkodę ludzi. Płatały tysiące złośliwych figlów, wykradały niemowlęta z kolebek, psuły ciasto piekarzom, porywały z pól snopki... Rozeźleni ludzie poprzysięgli im zemstę. Nie mogąc otwarcie ich zaatakować, czatowano na gnomy po polach, po lasach, po skałach i przy wodopojach, i gdzie tylko je zwietrzono, sieczono różgami powietrze na wszystkie strony. Ten z niewidzialnych gnomów, który przypadkiem oberwał różgą, jako zhańbiony nie mógł już być duchem i zamieniony w myszkę polną uciekał pod ziemię. Wkrótce prawie wszystkie gnomy przemieniono w ten sposób w myszy, sporo ich wyłapano i zamknięto w wielkiej, specjalnie na ten cel przyrządzonej klatce. Te, które pozostały pod ziemią, chcąc uwolnić braci, zaproponowały ludziom wykupienie aresztantów — po złotym dukacie za każdego. Przerzucono tedy przez rzekę drewniany most i postawiono na nim dużą beczkę...

Zauważył, że kobieta już nie tłumaczy, tylko patrzy na niego i słucha. Dziecko spało. Ale nie przerywał i mówił dalej tym samym głosem, głosem jego niańki, której twarzy już nie pamiętał:

— ... Przez całą noc slychać było na moście tupanie maleńkich nóżek i brzęk złota uderzającego o złoto. Nad ranem wszystko ucichło i znaleziono beczkę pełną po brzegi. Ludzie zaczęli dzielić złoto między sobą i tak się przy tym skłócili, że poczęli się bić i zabijać. Kiedy przestali, beczki już nie było. To gnomy, korzystając z zamieszania, porwały swój okup. Od tej pory krążą z nim po tym lesie i legenda mówi, że kto im odbierze to złoto, ten...

Nie dokończył, gdyż zmieniwszy zakończenie bajki, końca samego nie potrafił

przewidzieć. Popatrzył na dziecko i na nią, po czym bez słowa zeskoczył z wozu. Gdy ruszyli w poniedziałkowy rano (10 listopada 1806), zaskoczył ich widok ciągnących drogami i polami Francuzów. Drogami sunęły strumienie piechoty, polami kawaleria. Piechota była rozmemłana, bardziej podobna do maruderów niż do zwycięskiego wojska, objuczona pękami kur, kaczek i serów przywieszonych do bagnetów. Niektórzy z żołnierzy machali do nich rękami, krzycząc coś. Oficerowie zaglądali z wysokości siodeł w okienka wozów, szczerząc zęby, dowcipkując i rzucając niewybredne propozycje kobietom. Jeden nawet zawrócił i przez pewien czas, jadąc obok wozu, w którym rezydowała Julia z córką, Beniaminem, Heyterem, Robertsonem i leżącym Manuelem, zaczepiał:

— Hej, la belle! Viens chez nous!¹⁶¹

Beniamin poczuł, że ma wielką ochotę na wrzucenie w ten rozdziawiony pysk granatu, a ona, czując to, szepnęła:

— Proszę nie reagować. Niech pan nie zwraca uwagi. Przesiadła się do ich wozu, gdyż Ania zapragnęła usłyszeć z jego ust koniec bajki. Siedziała obok Bathursta na rufowym ganku wozu i opowiadała o wojażach trupy, o tym, że zimą starają się zawsze przycupnąć w jakimś większym mieście dla zaoszczędzenia pieniędzy, latem zaś koczują w wozach lub chłopskich stodołach,

O sobie, o tym, że tańczy do wtóru skrzypiec i fletu, a jej popisowy numer to taniec z zawiązanymi oczami na stole, na którym porozkładane są jajka, o towarzyszach. Manuel i Heyter spoglądali na siebie znacząco, wymieniając uśmiešky, które Beniamin czuł przez skórę grzbietu.

— Mirel to pocziwiec — mówiła — ale i chytrus, strasznie zazdrosny o żonę, Sandrę. Kłóć się potwornie, a czasami biją i ona wlewa mu ile wlezie. Chyba tylko po to ludzie się pobierają. On występuje jako siłacz, łamie sztaby i rwie łańcuchy, ale to są takie specjalne żelaza, w rzeczywistości nie wiem, czy rozerwałby sznurek. W tragedii jest królem albo sędzią. Ta blondynka to Diana, pierwsza naiwna i kobieta-waż albo kobieta-guma. Sandra jest o nią zazdrosna, ale bez powodu, bo Mirel... Diana drażni się z nią

161 Hej, ślicznotko, chodź do nas!

specjalnie. Łucja, ta mała z loczkami, to wołyżerka. Stara Eleonora pokazuje ogień sztuczne i gra stręczycielki albo przyzwoitki, a matka Rosa gotuje, leczy nas wszystkich i charakteryzuje do przedstawień. Ten chłopiec, z którym bawi się Juan, to syn Łucji i Pina. Pinio jest kłownem, arlekinem i nieszczęśliwym kochankiem, gdy gramy tragedię.

— Grywacie „Hamleta”? — przerwał pytaniem.

— Co takiego? — zdziwiła się. — Co to jest?

— Szekspir, nieważne. Mów dalej.

— ... No, jeszcze są Ricardo i Tomasz. To bracia, chodzą po linie, skaczą i żonglują talerzami, a w teatrze grają rycerzy i piratów. Szymon, ten w okularach i we fraku, grywa nauczycieli, filozofów i lekarzy, i jeszcze pokazuje sztuczki magiczne. Podkocha się we mnie. Teraz, gdy zginął Chaco, będzie musiał grać też księży.

— A ty kogo grywasz? — spytał Beniamin. Uśmiechnęła się i ukloniła jak na scenie.

— Les femmes fatales, monsieur, kobiety w czerni, te, które przynoszą pecha. Ale kiedy wróżę za pieniądze, mówię tylko o szczęściu. Wróżę z kart i z ręki, i z fusów, i nawet z oczu. Umiem jeszcze stawiać pasjansy i jestem w nich damą pik, a obok mnie pojawia się zawsze walet kier, ha, ha!

— Skąd jesteś?

— Z Sardynii, a dokładniej z wysepki San Antioco, to tuż przy brzegu Sardynii. Ale jestem Francuzką, bo moja matka nią była. Wyszła za Włocha, rybaka z San Antioco, i zamieszkała z nim w wiosce Calasetta. Ojciec zginął na morzu, kiedy jeszcze byłam mała, a matka pozostała już w Calasetta. W domu zawsze mówiliśmy po francusku, ja i mój brat Antonio. Boże, jakbym chciała tam wrócić!

Dalsze posuwanie się naprzód stało się bardzo utrudnione. Często musieli zatrzymać się albo zjeżdżać na bok dla przepuszczenia kolumny wojska i wozów taborowych.

Tempo spadło do trzech mil dziennie. Dziesiątego listopada w południe ujrzeni szczyt kościelnej wieży miasteczka.

— Co to jest, dobry człowieku? — spytał Bathurst mijanego wieśniaka.

— Jacobikirche¹⁶² — odkrzyknął tamten.

162 Kościół Świętego Jakuba.

— Pytam o miasto!

— Perleberg. Hier fangt die preussische Grenze an!¹⁶³ Proszę czytelników o zapamiętanie nazwy tego miasta.

W pierwszej połowie i przez kilkanaście pierwszych lat drugiej połowy XIX wieku było ono swego rodzaju Mekką detektywów i historyków, próbujących wyświecić tajemnicę Beniamina Bathursta. Wrócimy do Perlebergu na końcu tej książki.

W ciągu sześciu następných dni, od 11 do 16 listopada, przez Kleczke, Kyritz i Fehrbellin dotarli do przedmieść Berlina. Zbliżyli się do miasta rano od strony przedmieścia spandawskiego, zrobili skok od Invaliden Haus do Frankfurter Thor¹⁶⁴ wzdłuż łuku Spandauer Viertel-Kónigstadt i „zakotwiczyli” (słowa Toma „Rope”) blisko bramy, za Neue Welt. Bathurst, wzięwszy Sija, pożegnał trupę jeszcze przed Gmachem Inwalidów i pognął do miasta przez Oranienburger Thor.¹⁶⁵ Jego paszport wzbudził zdziwienie, a kiedy wyjaśnił, że chce załatwić pozwolenie na występy teatru, z którym podróżuje, żołnierze zaczęli się śmiać i bić brawo. Nie robiono mu trudności z wjazdem. Przez most Weidendam i jeszcze jeden mały mostek nad Sprewą dostał się na Schlossplatz i na chwilę przystanął, podziwiając wielką bryłę pałacu. Już wyjęli automat czy jeszcze nie? A Napoleon? Może już wyjechał?

Spytał o Burgstrasse. Znowu musiał przeskoczyć Sprewę. Lange Brücke¹⁶⁶ i już Burgstrasse, bulwarowa, wzdłuż rzeki. Numer dwanaście, oberża „Król Portugalii”, elegancka, pełna wystrojonych, nadętych typów, bogatých kupców, francuskich oficerów, bardzo głośna, spowita w chóralny śpiew, dym z fajek i zapach pieczystego. Chwycił za rękę przebiegającego obok posługacza i spytał o właściciela. Chłopak pokazał mu ręką. Gdy stanął przed Kochem, ten zrobił zdziwione oczy.

— Sucham pana, monsieur.

Zastanowił się, co powiedzieć, wokół było pełno ludzi. Koch, nie czekając, wziął go pod ramię.

163 Tu się zaczyna granica Prus.

164 Brama Frankfurcka.

165 Brama Oranienburska.

166 Długi Most.

— Pan pozwoli do mnie, tu nie sposób rozmawiać. Weszli do komnaty na piętrze. Koch zamknął drzwi, wskazał mu siedzenie i spytał:

— A więc słucham, o co chodzi, monsieur?

— Chodzi o... Chciałbym zjeść pieczeń z sowy. Oberżysta wpatrywał się weń wylupiastymi oczami żaby i milczał.

— Rozumie pan? Z sowy! — powtórzył Bathurst.

— Pan raczy sobie żartować, monsieur, takiej potrawy u mnie nie ma. Bardzo mi przykro.

Znowu milczenie i oczy wlepione w oczy. Do diabła, czy on tak długo będzie milczał? A może... czyżby... Nie odpowiada, może nie zna hasła?! Więc albo to nie Koch, albo Koch, który zdradził. Na jedno wychodzi, mają mnie! Ciekawe, czy obstawili tę budę. Trzeba wyskoczyć oknem na ten daszek kryjący parter, ale jeśli obstawili, to i od tyłu. Zresztą... Nie! Przecież Sij został na sali, przekleństwo! Jest tylko jedno wyjście... No, pięknie, przyjacielu, nieważne, czy jesteś Koch, czy nie, będziemy sobie wzajemnie grabarzami. Ale ty przejedziesz się na tamten świat pierwszy!

W momencie, gdy miał się poderwać, Koch otworzył usta.

— Może pan zamówi sobie coś innego, monsieur?

— Co na przykład?

— Mamy bogaty wybór ryb, kurczęta, dziczyznę...

— To wszystko?

Zerwał się z miejsca i jednym skokiem dopadł oberżysty.

— Wychodzę, a ty ze mną! Prowadź do tylnego wyjścia. Ta główka lwa — wskazał na rączkę laski — wyrzuca tylko jedną kulę, ale jedna kula to dość na jednego zdrajcę! Przypomnij to sobie, kiedy będziesz chciał dać komuś znak lub krzyknąć. Jeśli zechcą mnie aresztować, ty zginiesz pierwszy! Idziemy, Koch, prowadź! Na co czekasz?!

— Już na nic więcej, monsieur — odparł spokojnie Koch. — Czekałem, żeby się pan tak zachował, bo nie chcę wisieć. Teraz rządzi tu generał Hulin¹⁶⁷, a on ma wyjątkowo długie ręce, wszędzie swoich prowokatorów i szpicli, i nie lubi odpoczywających sądów

¹⁶⁷ Generał Piotr August Hulin (1758—1841), słynący z surowości, w listopadzie 1806 roku był z rozkazu cesarza gubernatorem Berlina.

wojskowych. Właśnie przypomniałem sobie, monsieur, że mam jeszcze pieczeń z łabędzia. Polecam ją panu.

Koch oddał mu do dyspozycji pokój na drugim piętrze i zamiast podać kontakt, zaprosił na wieczór do kasyna.

— Musimy iść tam obaj? — spytał Benjamin.

— Tak, beze mnie nie wszedłby pan, monsieur. Każdego nowego gracza musi wprowadzić i zaprotegować stały bywalec.

— Dlaczego właśnie tam?

— Bo wiemy, kim jest szpicel Hulina, który tam węszy, mamy go na oku. To dureń, hazardzista, wygrywa co dzień małą sumkę i jest szczęśliwy. Hazard oślepia, ot co.

— Mogę tam zabrać służącego?

— Nie, byłoby to niewskazane. A w ogóle ten pański służący nie jest zbyt bezpieczny, zwraca na siebie powszechną uwagę.

Jest komediantem, a ci zawsze się wyróżniają — odparł Benjamin. — A propos, nie wiem, co zrobić z trupą, czekają na mnie.

— Gdzie?

— Koło Neue Welt.

— Neue Welt? W porządku, jest tam niedaleko opuszczony dom. Wyślę człowieka, który ich zaprowadzi.

Przed południem Bathurst wałęsał się po starym Berlinie, Friedrichs Werde i Neu Cóln, wstępując do kościołów, czytając pożółkłe afisze teatralne zapowiadające „Fedrę”, „Tajemny ślub” i „Ifigenię w Taurydzie”, obserwując ludzi i zdarzenia. Stojąc w tłumie berlińczyków obejrzał rewię cesarskiej gwardii i po raz pierwszy w życiu zobaczył Napoleona. Wydał rnu się jakiś niepozorny, nie wzrostem, lecz całym wyglądem, aż zrozumiał po dłuższej chwili, że to kontrast „redingote grise”¹⁶⁸ z pawiobarwnymi strojami towarzyszącymi cesarzowi dygnitarzy. Stał zbyt daleko, by móc czytać w obliczu. Czuł się jak myśliwy, który obserwuje zwierzynę w porze ochronnej.

Po rewii wrócił do oberży i zdrzemnął się. Obudził go Sij, gdy Koch zapukał do drzwi. Pod

168 Sławny szary płaszcz Napoleona.

kasyno, na Charlottenstrasse numer 31, zajechali w kilka minut po dziewiętnastej. Wielojęzyczny ul roił się wokół stolików. Wszystkie oczy były pijane nadzieją przed lub po przegranej. Beniamin szukał takich, które wpatrują się w niego, ale nie znalazł. Koch zostawił go samego i wrócił po kilku minutach, mówiąc:

— Mamy pokoik karciany na cztery osoby. Chodźmy.

W pokoju tym zastali dwóch mężczyzn. Jeden, niski grubas w kusym wdzianku, siedział przy stole. Drugi, barczysty osobnik o nieokreślonego koloru, ni to szarych, ni to siwych włosach, przyglądał się wiszącej na ścianie rycinie i odwrócił, gdy zamknęli drzwi. Miał fascynującą twarz, jakby modelowaną dłutem rzeźbiarza, który uderza w kamień zbyt mocno, porowatą i pokrojoną głębokimi zmarszczkami, które nie postarzały.

— Pan od naszego znajomego z Altony? — spytał, podając Bathurstowi dłoń, wielką i ściskającą jak żelazo.

— Tak. To pan miał wydobyć...

— Chwileczkę — przerwał temten po angielsku — będziemy rozmawiać w pańskim ojczystym języku. Żaden z nich go nie zna. Tak, to ja obiecałem wydobyć automat z pałacu. Z reguły dotrzymuję obietnic, zawsze wtedy, gdy mi za to dobrze płacą.

— Gimel już panu zapłacił.

— Powiedziałem: dobrze. Gimel nie zapłacił dobrze. Powiedzmy, że dał zaliczkę. Pan dopłaci resztę.

— Ani mi się śni! — krzyknął Bathurst. — To szantaż!

— Nie, to rada. Żeby wszystko było jasne, muszę panu wyznać, że „Turek” jest już w moich rękach. Inaczej mówiąc jest moją własnością i można go ode mnie kupić albo nie, wedle woli. A ściślej, wedle ceny.

Schowane pod stołem dłonie Bathursta zwinęły się w pięści, aż zatrzeszczały stawy, twarz pozostała nieporuszona.

— Więc jak? — spytał tamten, zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem.

— Zastanawiam się... — odparł Beniamin.

— Co tu jest do zastanawiania się?

— Zastanawiam się, dlaczego od początku tej gry napotykam co krok na s.....synów,

którzy winni mi pomóc, a nie chcą, chociaż wzięli za to pieniądze!

— Widocznie gra jest brudna, dear gentleman — wycodził drwiąco szarowłosa — po prostu. Nie znam jej, ale jestem domyślny. I może jeszcze dlatego, że na tym pięknym świecie o wielkie stawki grają tylko s.....syny. Pozostali żrą placki na śniadanie, obiad i kolację popijając wodą. Że nie wiesz o tym, to twoja sprawa, panie, ale winienś wiedzieć, że jesteś bezsilny. Nie możesz mi przystawić pistoletu do głowy i zmusić, i to nawet nie dlatego, że nie pozwoliłbym ci na to. W obecnej sytuacji jestem twoją opatrnością, nie rozstrzeliwuje się opatrności. Jak wiesz, opatrność jest łaskawa, ofiarowuje więcej, jeśli zechce. Otóż ja, jeśli zapłacisz żadaną przeze mnie cenę, dodam do „Turka” coś więcej, coś cenniejszego od niego samego. Rozwiązanie najtrudniejszego problemu — wywozu z miasta, poza mury. Za darmo, z czystej sympatii do twojej gry, panie.

Beniamin popatrzył na niego uważnie i zastanowił się, dlaczego lubi tego człowieka, który potraktował go identycznie jak Gimel. Nie wiedział. Zwrócił się doń:

— Gdyby nie rysy twarzy, pomyślałbym, że jesteś, panie synem Gimela.

— Ach, tak... — Tamten uśmiechnął się pod wąsem. — Domyślam się, że i Gimel na panu zarobił.

— W bliźniaczy sposób. Sprzedał mi coś więcej.

— Postąpił słusznie. Wy, Anglicy, macie dużo złota, z pomocą którego mieszacie się do naszych spraw jako sprzymierzeńcy we wspólnej walce przeciw Bonapartemu. Jeśli potrafi mnie pan przekonać, że czynicie to bezinteresownie, oddam „Turka” za darmo. Była w tym znowu drwina, tylko bardziej jawna. Bathurst odpowiedział jednym zdaniem, po którym tamten spojrział inaczej i więcej już nie użył uprzedniego tonu:

— Takich gier jak moja, Francuzie, nie podejmuje się ani dla pieniędzy, ani dla idei, bo z góry wiadomo, że na ogół nie wychodzi się z nich żywym.

Teraz on nie doczekał się odpowiedzi i po chwili spytał:

— Kiedy mogę odebrać automat i gdzie?

— Nie interesuje cię, panie, za ile?

— Zapłacę, ile zażadasz, Francuzie. Kiedy i gdzie? Mam mało czasu.

— Kiedy zechcesz. Zabawka jest już poza miastem, za Śląską bramą, w młynie niedaleko folwarku wdowy Salomon. Ten oto człowiek — Francuz wskazał na siedzącego towarzysza — zaprowadzi cię tam, panie, i wyda ją po zainkasowaniu należności.

— Na którym brzegu?

— Na lewym.

— Potrzebuję mieć go na prawym.

— To gorzej. Jest tam most Ober Baum, ale to most między dwiema strzeżonymi bramami, Śląską i Młyńską, nie ma sensu ryzykować. Należy znaleźć inne wyjście.

Zwrócił się do grubasa:

— Trzeba przerzucić towar na drugi brzeg rzeki. Możesz to załatwić?

— Czemu nie? — grubas mówił tonem człowieka śpiącego, wolno i leniwie, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

— Ile czasu potrzebujesz?

— Dwa, trzy dni.

— Dwa, czy trzy?!

— Trzy. W nocy ze środy na czwartek będzie duża łódź. Ale niech on da ludzi.

— Słyszał pan? — Francuz zwrócił się do Bathursta. — Niewiele będzie to pana kosztowało, a kolejny problem poza panem.

Przez kilka następnych minut omawiali warunki finansowe i detale przerzucenia „towaru” przez Sprewę. Przed wyjściem Beniamin przypomniał sobie coś i odezwał się do Francuza:

— Gdzie jest człowiek von Kempelena? Ten mistrz szachów?

— Pracuje w pałacu. Jest nam już niepotrzebny.

— Mnie jest potrzebny i to bardzo. Chociażby dlatego, że musi moich mechaników zapoznać z konstrukcją automatu. Chcę się z nim zobaczyć jak najszybciej.

— Dobrze, proszę być pojutrze o dziesiątej w kościele Świętej Marii przy Neue Market.

On utyka na lewą nogę. My się już chyba nie zobaczymy, żegnam.

A gdy Beniamin stał już w drzwiach, Francuz powiedział głośno:

— Jedno pytanie, jeśli wolno.

— Słucham.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia trzy.

To zdziwienie i coś jeszcze w oczach, to był ostatni fragment „Jean-Barta”, który zobaczył Bathurst.

St. Marien Kirche stał na dziedzińcu, którego „ogrodzeniem” był przecięty czterema uliczkami kościelnymi trapez domów mieszkalnych. Gotycka wieża dominowała nad okolicą — najwyższe z otaczających kościoł kamienic, czteropiętrowe, nie sięgały nawet do jej podstawy wyjścia z dachu świątyni.

Beniamin miał do kościoła blisko i zaszedł tam w kilka minut. Zjawił się wcześniej, niż było trzeba. W pustej, majestatycznej nawie klutej w dół, na ukos, szpilkami barwnego słońca z wysmukłych witraży, każdy krok odbijał się echem. Zbyt masywne, urągające czystemu gotykowi kolumny dźwigały wysoko rzędy krzyżowych sklepień, podobnych skośnym żaglom wyrzuszonym przez wiatr. Ambona, porośnięta złotą roślinnością i tłustą niczym policzek szynkarza, raziła megalomanią barokiem, obcym klimatowi tego wnętrza.

Czekał prawie pół godziny, siedząc w ławie i wpatrując się w malowidła Rodego, w sunące po ścianach służki, w detale. Czekał nie odwracając się, na słuch. Od czasu do czasu ktoś wchodził, sam lub we dwoje, ale on poznawał, że to nie szachista.

Punktualnie o dziesiątej usłyszał kalekę. Pozwolił mu przykuśtykać przez całą nawę aż do głównego ołtarza, skręcić pod ścianę i zawrócić, bacznie obserwując, czy ktoś inny nie wśliznął się za starcem do kościoła. Nie dojrzał nikogo takiego, byli prawie sami, nie licząc kilku modlących się kobiet. Gdy stary człowiek mijał go, Beniamin dał znak ręką. Rozmawiali szeptem.

— Są dwie rzeczy, które musisz zrobić i za które ci zapłacono — powiedział Bathurst. — Nauczysz moich ludzi obchodzenia się z „Turkiem”, montowania go, zasad funkcjonowania i tak dalej.

— Tak, panie, ale kiedy?

— W czwartek, za miastem, w opuszczonym domu koło Neue Wek.

— Panie, mam służbę!

— Nic mnie to nie obchodzi, musisz być rano wolny. Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz razem z nami nocą ze środy na czwartek i wrócisz do Berlina w dzień. Udaj chorobę czy co chcesz. Jutro przed wieczorem zgłoś się do oberży „Król Portugalii” przy Burgstrasse i powiedz oberżyście, że czeka na ciebie komediant. Ale to nie wszystko. Widzisz ten pierścień? Oddasz go szaserowi z eskorty Napoleona o nazwisku N.....¹⁶⁹

— Panie, na Boga, to niemożliwe! Nie mam dostępu do szaserów eskorty, pracuję w antyszambrze, przy drzwiach!

— Ale w pałacu, a więc możesz spytać o tego człowieka!

— Kogo mam spytać?

— Kogokolwiek, pierwszego lepszego oficera, ten żołnierz może być przecież twoim znajomkiem. Nie wzbudzisz tym podejrzeń, nie obawiaj się. Możesz też powiedzieć, że masz mu do przekazania wiadomość od jakiejś berlińskiej ślicznotki, można wymyśleć sto takich pretekstów! Ten z dziewczyną byłby najlepszy, bo kiedy się już do niego dostaniesz, musisz mu powiedzieć, że chce się z nim widzieć Małgorzatka. Zapamiętaj dobrze, Małgorzatka! Możesz mu to powiedzieć w obecności świadków, ale wówczas zrób obłęsną minę i śmiej się. Jeśli mi go sprowadzisz, otrzymasz za to sakiewkę.

— Gdzie mam go sprowadzić, panie?

— Tutaj. Jutro będę tu na początku każdej godziny od siódmej rano. Jeśli nie będzie mógł przyjść, przyjdiesz ty i powiesz mi, co się stało i kiedy on może się ze mną zobaczyć.

Owo jutro, 19 listopada 1806 (środa), było dla Bathursta piekielnie męczące. Dla bezpieczeństwa o każdej godzinie wchodził na plac kościelny inną uliczką. Za szóstym razem, o dwunastej, zjawił się w kościele szachista i poinformował go, że szaser musi być obecny przy jakiejś uroczystości i dlatego stawi się na spotkanie dopiero między siedemnastą a osiemnastą. Tak też się stało. Szaser wszedł do kościoła i uklęknął w bocznej nawie pod małym oknem. Bathurst odczekał kilka minut, podszedł doń i dotknął jego ramienia, mówiąc:

¹⁶⁹ Tak w Memoriale.

— Jestem ten, na którego czekasz. Czy nikt cię nie śledził, panie?

— Gdyby tak było, nie wszedłbym tu — odpowiedział żołnierz wstając.

Usiedli w ławie.

— Czy cesarz stanie w Poznaniu? — spytał Bathurst.

— Tak, wkrótce przeniesiemy tam kwaterę główną.

— Kiedy?

— Tego nie wiem. Niedługo, chyba jednak nie wcześniej niż za dziesięć dni.

— Czy to pewne?

— Że pojedzie do Poznania? Najzupełniej. Dziwne, panie, że tego nie wiesz, bo już chyba wszyscy wiedzą. W początkach listopada przyjął polskich dostojników¹⁷⁰ i polecił im napisać odezwę o wkroczeniu na ziemię polskie. Wydano ją drukiem.¹⁷¹ Davout wkroczył to Poznania przed dwoma tygodniami, a od kilku dni miasto przygotowuje się na wjazd Buonapartego. Dzisiaj odbyła się audiencja deputacji polskiej¹⁷², byłem przy tym.

— A więc wszystko układa się dobrze. Czy wy jesteście gotowi? — spytał Beniamin.

— Jesteśmy.

— To dobrze. Aby rzecz się powiodła, nieodzowna mi będzie twoja pomoc, panie. Nie wiem jednak, co napotkam w Poznaniu i nie wiem, co mi się uda zorganizować. Dlatego nie mogę ci jeszcze powiedzieć, na czym będzie polegała twoja rola. Musimy mieć kontakt w Poznaniu, ale jaki?

Zastanowił się.

— ... Już wiem. Wyślę do ciebie dziewczynę, panie. Czarna, ma na imię Julia. Po wjeździe do Poznania proszę się urywać ze służby na miasto od pierwszej chwili, tak często, jak tylko będzie można, i przechwalać kolegom sukcesem z dziewczyną. Gdy ona o pana zapyta, nikt się nie zdziwi.

Późnym wieczorem tego dnia Tom „Rope”, Brian Heyter i Rufus Brown, powiadomieni przez wysłannika Kocha, zjawili się na prawym brzegu Sprewy z wozem, który miał zabrać wynalazek von Kempelena. Cała operacja trwała niespełna godzinę. Korzystając

170 Generała Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego. Ciekawostką jest, że berlińska kwatera Dąbrowskiego mieściła się w pobliżu oberży „Król Portugalii”, przy Burgstrasse 25.

171 3 listopada 1806 roku.

172 Była to deputacja szlachty wielkopolskiej.

z ciemności przerzucono ich łodzią na lewy brzeg, tam załadowali automat na łódź i wkrótce wylądował on na prawym brzegu, by zniknąć w czeluści wozu. Figura muzułmanina, stół i część wnętrza były osobno zapakowane w lniane płótno. Razem z nimi pojechał starszy szachista.

Mirel na widok Bathursta, którego nie widział przez kilka dni, uradował się.

— Oooo! Jak cieszy się Mirel! Dobrze trzeba ruszać już, signore, bo tu jest zły miejsce, żołnierze przychodzili, krzyczeli, kazali cyrk! I nic żołnierze nie płacili, niente, signore, niente! Sono i veri malandrini! I cornuti! I bastardi!¹⁷³

Beniamin przerwał ten potok wymyślań i zaprowadził Mirela do wozu z „Turkiem”.

— Patrz, Mirel — odsłonił płótno — oto nowa część wyposażenia teatralnego.

Rozumiesz? Powtórz to swoim ludziom.

— Czy on tam jest bomba? — sapnął Mirel, wpatrując się w figurę muzułmanina.

— On tam nie jest bomba — przedrzeźnił go Bathurst — ale wybuchnie pod tobą, jeśli ty i twoi ludzie będziecie się nim zbytnio interesować lub jeśli ktoś z was nie będzie pamiętał, że to wasz stary rekwizyt, z którym jeździcie już od kilku lat.

Od Józefa dowiedział się, że po drogach przewalają się bez przerwy oddziały wojskowe i że poprzedniego dnia przywlokła się do nich grupa żołnierzy, którzy rozkazali komediantom zaprezentować swoje umiejętności.

— Już myślałem, że będzie krucho, sir. Szykowaliśmy z Bria-nem granaty... Ale potem o mało nie zdechłem ze śmiechu. Ten ich magik, Szymon, maestro Siromini, pokazywał sztuczki ze znikającą tabakierką, a wtedy Manuel zwłókł się z betów, podszedł do niego i... ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... proszę sobie wyobrazić, sir, wtedy tabakierka na dobre zniknęła, ha, ha, ha! Trzeba było widzieć minę tego frajera! Manuel dał mu taką szkołę, że niech mnie kule biją! Ten Szymon będzie go teraz nienawidził.

— Zaczepiali kobiety? — spytał Bathurst.

— Trochę. Ta blondynka, Diana, wdzięczyła się do nich.

— Nie, sir, panna Julia schowała się przed nimi. Zresztą niepotrzebnie, oficer trzymał ich w karchach, a potem grzecznie podziękował za występ. Panna Julia to bardzo przyzwoita

¹⁷³ To prawdziwi rabusie, rogakze, bękart!

dziewczyna, sir, i...

— O to cię nie pytałem! — warknął Bathurst i odszedł.

Gdy już wszyscy położyli się spać, zajrzał do wozu kobiet.

— Śpi? — spytał, chociaż dobrze wiedział, że dziewczynka śpi, ale nic mądrzejszego na przywitanie nie wymyślił.

— Śpi. Tęskniła za panem.

Chciał spytać, czy tylko Ania, ale nie spytał.

— Jutro rano ruszamy dalej — powiedział.

— Gdzie?

— Za Odrę, do Poznania.

— Nigdy nie byłem tak daleko na wschodzie. Czy tam jest tak samo brzydko i zimno jak tu?

— Chyba tak.

— Boże, tak bardzo chciałabym wrócić do Calasetta!

— Więc czemu nie wracasz?

— Jeszcze nie mogę. Kiedy odłożę trochę pieniędzy, wrócę. Jeszcze rok, może dwa...

Boję się, żeby Ania nie zachorowała, tu tak zimno... Mirel mówił, że przywieźliście nowy rekwizyt teatralny. Czy to dla niego tak pan ryzykuje życiem?

— Dla niego.

— Dla tej kukły? Warto?

— Widocznie tak, inaczej nie przyjeżdżałbym tu. Ale teraz nie żałuję, że przyjechałem.

Położył dłoń na jej dłoni. Pozwoliła mu ją tak trzymać tylko przez kilka sekund. Potem cofnęła rękę, a gdy się nagle przybliżył do niej, powiedziała:

— Nie!

Zamilkli, oboje zawstydzeni. Beniamin nie pojmował, co się z nim dzieje i dlaczego czuje to wszystko, czego nigdy nie czuł w podobnych sytuacjach. Dlaczego, zachowując się jak romantyczny bałwan przy tej tancerce, która musiała już przetańczyć przez tyle rąk, daje jej przewagę nad sobą. Złościło go to i nie wiedział, co ma zrobić, żeby było inaczej.

— Po co my jedziemy do tego Poznania? — spytała. — Do czego jesteśmy panu

potrzebni? Co pan chce zrobić?

Nie odpowiedział.

— Nie ma pan do mnie zaufania?

— Nie mam zaufania do nikogo. Nauczyłem się tego, zanim nauczyłem się czytać.

Potem nauczyłem się, że przede wszystkim nie należy ufać kobietom.

Roześmiała się.

— Jakie to głupie! Każdy mężczyzna mówi to samo, chociaż wśród mężczyzn jest najwięcej zdrajców.

Znowu miała rację. Pożegnał się i odszedł.

Zbudziła go rozmowa. Był mglisty świt. Stary szachista, siedząc wewnątrz skrzyni automatu, tłumaczył pochylonym Heyterowi i Manuelowi:

— ... szacha natomiast oznajmia się trzykrotnym pochyleniem głowy „Turka”.

— A w jaki sposób siedząc zamkniętym w tym pudle można się zorientować w ruchach przeciwnika? Przecież nie widzi się wówczas szachownicy — spytał Heyter.

— Widzi się ją, panowie, tyle że od dołu i...

— Ale ruchy!

— Mówiłem już, do tego służą te linki. Z każdego pola zwisa w dół linka zakończona metalowym guzikiem. Kilku brak, musicie dorobić. Figury i piony mają nasady z silnego magnesu. W pozycji wyjściowej magnesy przyciągają trzydzieści dwa guziki, reszta guzików zwisa luźno. Wykonując ruch zwalnia się jeden guzik, a zarazem przyciąga inny, i tak guziki informują o sytuacji.

— Ale widzi się tylko przyciągnięte bądź zwisające guziki! Jak się zorientować, gdzie stoją na szachownicy figury, i jakie figury? To samo z pionami. Trzeba by pamiętać każdy ruch od początku gry, a kto ma taką pamięć! — zauważył Manuel.

— Do tego służy ta mała szachowniczka, którą się ma obok siebie i na której kopiuje się każdy ruch oznajmiony przez guziki... Aha, przeciwnika trzeba uprzedzać, by stawiał figury dokładnie w centrum pól, bo inaczej magnes może nie chwycić.

Przecież tego mu nie powiem! — mruknął Heyter.

Oczywiście, że nie. Mówi się że to dlatego, by nakręcony „Turek” nie potrafił jakiejś figury. I pamiętajcie, że przed grą trzeba mu wyjąć z prawej ręki fajkę, a pod lewą włożyć poduszkę. No i w czasie gry ten, kto stoi na zewnątrz, musi od czasu do czasu otworzyć drzwiczki i wpuścić zamkniętemu w skrzyni trochę powietrza, udając, że nakręca mechanizm. Tylko nie za często.

— Nie za często?! Człowieku, przecież tam się można udusić, siedząc w tej ciasnocie i to jeszcze ze świecą! — krzyknął Diaz.

Heyter zamknął mu usta dłonią, sycząc:

— Ciiiicho?

Wszyscy trzej obejrżeli się, by skonstatować, że szef już nie śpi. Stary człowiek, gramoląc się z wnętrza skrzyni, szepnął:

— A ja tyle lat siedziałem i jakoś żyję...

Ale jak ty żyjesz — pomyślał Beniamin — biedaku... Starzec rozprostował kości i powiedział:

— To już chyba pójdę, panie. Wy tłumaczyłem im wszystko, co trzeba, już teraz, bo muszę być wcześniej rano w pałacu. Poproszę o moją sakiewkę.

Ruszyli na wschód wczesnym przedpołudniem 20 listopada 1806 roku (czwartek).

Początkowo wozy sunęły we mgle, białe jak gęsi, skrzypiąc oškami, i ten dźwięk potęgował widmowość ciszy. Potem wzeszło słońce, trakt ożywił się mundurami, jaszczami, proporcami i wesołym pokrzykiwaniem żołnierzy. Płynęli wśród pól nakrapianych wsiami i miasteczkami, i poprzez lasy, których drzewa kiwały się smutno, zasmucone swoją nagością.

— Powróżyć ci, panie? — spytała Julia. — Daj rękę. Podał jej dłoń, zły, że za jego plecami Heyter i reszta patrzą na siebie porozumiewawczo. Julia objęła ją palcami obu rąk i przez chwilę czytała w milczeniu.

— Myślą o tobie dwie kobiety, panie.

— Tylko? — spytał buńczucznie.

— Jednej nie kochasz, drugiej nie chcesz kochać. Oooo!

— Co takiego?

- Linia życia rozdwa ja ci się, panie, jak nie widziałam u nikogo dotąd. Co to znaczy? Będziesz miał dwa życia?
- Oczywiście, że tak. Co najmniej dwa. Jestem czarnoksiężnikiem!
- Wybierz teraz kartę, panie.
- Kazała mu wybrać z kart wróżbiarskich, zdobnych tylko w numery. Wybrał.
- Trzynaście! Teraz ułożę ci pasjans, panie.
- Rozłożyła inną talię, z figurami, w skomplikowaną mozaikę.
- Ty jesteś walet karo, panie.
- A dlaczego nie ten wyżej?
- Ten wyżej to rudy walet kierowy. To twój wróg. Ty jesteś karo, panie, policz sobie, trzynasty od góry. Sam wyciągnąłeś trzynastkę, panie.
- Na szczęście czy na nieszczęście, Julio? Mówią, że trzynastka jest feralna.
- Dla jednych tak, dla innych nie.
- Wierzysz w te bzdury, które mówisz?
- Nie. Ale czasami one wierzą w nas. I dlatego nie zawsze można od nich uciec, panie.

Rozdział V

JULIA

Jechali dobrą drogą na Munchenberg, przez Bierdorf, Mahlsdorf, Dahlwitz, Vogelsdorf, Herzfelde i Lichtenow, a potem na południe, ku Frankfurtowi (Bathurst rozważał też możliwość przekroczenia Odry w Kostrzyniu, ale zdecydował się na Frankfurt) przez Heinersdorf, Petershagen, Troplin, Boossen i Cliestow¹⁷⁴. Dobrą, to znaczy taką, którą określano wówczas mianem „chaussee”, na której koła nie grzęzły po ośki w błocie ani nie łamały się w dziurach i która pozwalała utrzymać narzucone tempo.

Wjechali do Frankfurtu przez Lebuser Thor wieczorem 23 listopada (niedziela) i postanowili przenocować w oberży „Złote Słońce”. Zajęli całą boczną, mniejszą salę jadalną i raczyli się mięsiwem i winem, żartując i śpiewając. Tom „Rope” wzbudzał ogólną wesołość swymi iście pokładowymi zalecankami do złotowłosej Diany, „pierwszej naiwnej” vel „kobiety-węża”, w której więcej było z owego szlachetnego gada niż z naiwnej, lecz której nie brakowało jaskrawej urody. Diana wszelako wolała Polaka Józefa, dając mu to do zrozumienia agresywną kokieterią. Mirel, który w czasie drogi prosił Bathursta o pozwolenie urządzenia kilku przedstawień we Frankfurcie (Beniamin kategorycznie odmówił), zły jak nadeptany bąk kłócił się z żoną, co nie przeszkadzało mu opychać się swoim zwyczajem nad miarę. Bracia Ricardo i Tomasz, linoskoczkowie, zabawiali dowcipami woltyżerkę Łucję, chcąc w ten sposób odciągnąć jej uwagę od Manuela, Robertson przekonywał zielarkę, matkę Rosę, o wyższości świętego Patryka nad świętym Damianem, po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu popijając tęgo, na co Beniamin przytknął oczy. Bartolomeo, syn Pinia i Łucji, który już dawno skumał się z Juanem, rzucali w siebie ogryzkami kości.

Beniamin odprężył się w tej atmosferze, obecny-nieobecny, towarzyszący im przy stole, lecz nie uczestniczący w powszechnej wesołości, sam na sam z własnymi myślami. Po raz pierwszy od długiego czasu miał apetyt. Raz po raz zaczepiała go mała Ania siedząca między nim a matką. Gdy Julia położyła ją spać, na ławie między nimi

¹⁷⁴ Nazwy miejscowości podaję za autorem Memoriału.

pozostała luka, której nie wypełnili nie wiadomo dlaczego, chociaż wyglądało to o wiele dziwniej, niż gdyby przytulili się do siebie.

Bathurst zdawał sobie sprawę, że wszystko, co czyni w tej materii, jest śmieszne, w każdym razie budzi skrywane uśmieszki całej kompanii, i wciąż nie mógł pojąć, czemu się zachowuje jak smarkacz. Nie narzekał na brak powodzenia u kobiet, ale nie spotkał jeszcze w swym życiu kobiety, która działałaby na niego w taki sposób. Myślał o niej co noc, wściekły, że go to rozprasza w trakcie wykonywania operacji. Analizował to swym chłodnym umysłem, który naraz przestał być chłodny, i nie pojmował, że owo zauroczenie to zakochanie. A jeśli nawet gdzieś w podświadomości pojmował, to nie dopuszczał tej myśli do siebie, nie godził się na nią. Zresztą może nawet to potrafiłby zrozumieć, lecz jednego zrozumieć nie mógł całkowicie: dlaczego, bez względu na stan odurzenia, musi się zachowywać jak rozamorowany pajac! Tak bardzo nie było to w stylu, w który się ubrał, który demonstrował i narzucał ludziom, i z którym tak imponująco było mu do twarzy. Przeklęty pech! Właśnie teraz i właśnie w niej! Nawet nie była w jego ulubionym typie urody.

Właśnie we Frankfurcie wystawiono mu rachunek za to oślepienie.

Zatopiony w swoich myślach nie zauważył, że przy stole brak Szymona iluzjonisty. „Maestro Siromini” przepadł gdzieś i pojawił się na sali po godzinie, niczym królik z kapelusza w jednej z jego sztuczek, gdy już mieli się zbierać do spania. Zaraz po nim stanął w drzwiach francuski oficer. Jego widok zamknął wszystkim usta. Francuz stał przez chwilę, przyglądając się im bacznie, po czym skierował się w stronę Bathursta i bezceremonialnie zajął wolne miejsce między nim a Julią.

— Pozwolą państwo, że przyłączę się do towarzystwa — oznajmił.

W ciszy, która zapadła, Beniamin przypomniał sobie, że Manuel Diaz publicznie ośmieszył iluzjonistę, udowadniając, iż jest od niego lepszy, oraz słowa Józefa: „Teraz będzie go nienawidził”... A także słowa Julii: „Podkochuje się we mnie”. Mirel przerwał milczenie, mówiąc głośno i nerwowo:

— Ależ tak, ależ tak! Pięknie my prosimy! Siamo felici, felicissimi¹⁷⁵. Zaszczyt to mieć

175 Jesteśmy szczęśliwi, najszczęśliwsi.

wielki u nas radość pana oficera! Prosimy!

Francuz nie zaszczycił Mirela spojrzeniem. Wziął kubek do ręki i zwracając się do Bathursta, przypił.

— Pańskie zdrowie, panie...

— Przecież ten człowiek — Benjamin wskazał głową siedzącego ze spuszczoneymi oczami iluzjonistę — powiedział już panu kim jestem.

— Tak, powiedział. Tylko że ja mam kiepską pamięć, panie...

— O'Leary.

— O'Leary? A więc pan jest Anglikiem?

— Myli się pan, kapitanie. Irlandczykiem. To duża różnica. Jestem irlandzkim rewolucjonistą, uciekłem z Wyspy po klęsce powstania w roku 1798.

— Brawo! — ucieszył się oficer. — My, Francuzi, przepadamy za Irlandczykami. Walczyliśmy w dziewięćdziesiątym ósmym po jednej stronie, przeciw Londynowi¹⁷⁶, tak jak i teraz. Proponuję wypić za szczęście w sromocie króla Anglii Jerzego oraz wszystkich jego śmierdzących protestantów!

Czując zawieszony na swych ustach badawczy wzrok oficera Benjamin uśmiechnął się szeroko i wznosił kubek.

— Niech zdechną, oby rychło!

Wypili. Francuz otarł rękawem wargi, wyciągnął uzbrojoną w kubek rękę za siebie, dając tym gestem znak, by napełniono naczynie, i z oczami wbitymi w twarz Bathursta mówił dalej:

— Pan oczywiście marzy o powrocie do ojczyzny, panie O'Leary?

— Oczywiście.

— Wozem cyrkowym?

— Nie rozumiem — zdziwił się Benjamin.

— Wobec tego nie rozumiemy obaj, bo mnie nauczono, że z Hamburga do Irlandii jedzie się przez morze, i to na zachód, a nie na wschód!

— Dobrze pana nauczono, kapitanie, ale trudno wymagać, bym wracał do ojczyzny

176 Patrz przypis nr 116

okupowanej przez tych bydlaków z Londynu! Najpierw trzeba zwyciężyć.

— Słusznie. To jest bardzo trafna uwaga, panie O'Leary. No to za zwycięstwo!

Wychylili kubki ponownie. Bathurst starał się markować picie. Oficer znowu podstawił swój kubek do napełnienia i nie zmieniał tonu.

— A tak a propos, pan, panie O'Leary, w jaki sposób walczy o zwycięstwo? Na linie czy żonglując talerzami?

— Pan sobie kpi, kapitanie!

— Doprawdy, tak się panu wydaje? Ależ skąd! Jestem śmiertelnie poważny. Śmiertelnie, monsieur O'Leary!... Tylko że widzę pana z cyrkowcami...

— Korzystam po prostu z tego środka transportu, kapitanie. Chwilowo. Własne wozy zarekwirowali mi Prusacy. Jestem kupcem od kilku lat, coś przecież trzeba robić... Chciałbym teraz nawiązać kontakty handlowe na Śląsku i w Austrii. Jedziemy na południe. Głogów, Wrocław, Praga.

— Chwali się panu ta szczerłość, O'Leary. Gdyby jeszcze zechciał mi pan pokazać swoje dokumenty...

— Z przyjemnością. — Beniamin sięgnął za pazuchę. — Oto one, proszę.

Oficer przyjrzał się bacznie papierom i zwrócił.

— Są w porządku, w co zresztą nie wątpię. Inna sprawa, że najautentyczniejsze dokumenty mają zawsze Brytyjcy szpiegcy.

— To kiepski dowcip, kapitanie — zareplikował ostro Bathurst — protestuję stanowczo! W dziewięćdziesiątym ósmym walczyłem przy boku Tone'a¹⁷⁷, cudem uniknąłem śmierci! Potem pańska ojczyzna udzieliła mi gościny i opieki, stając się moją drugą ojczyzną. Niestety, nie zapewniła mi środków utrzymania, musiałem się więc wziąć za kupiectwo.

— To doprawdy smutne... — rozczulił się szyderczo oficer.

— Jeszcze smutniejsze jest, że mi pan bezpodstawnie ubliża, kapitanie! Nie jestem szpiegiem!

— Jest pan tego pewien, O'Leary?

— Powtarzam, to nonsens! Nie jestem szpiegiem!

¹⁷⁷ Adwokat Wolfe Tone, inspirator kolejnych powstań irlandzkich. Schwytyany przez Anglików w roku 1798 i skazany na powieszenie, poderżnął sobie w celi gardło.

— Wcale nie powiedziałem, że pan jest szpiegiem, skądże! A wobec tego kim pan jest, panie O'Leary?

— Mówiłem już, kupcem!

— Ach, prawda, mówił pan...

Francuz podrapał się w głowę, jakby dziwiąc się swemu roztargnieniu.

— No tak... Mówił pan też, O'Leary, że jedziecie na Śląsk i do Pragi. Na tej trasie, w czym zdążyłem się już połapać, kwitnie przemyt.

— Tego doprawdy za wiele, kapitanie! — wybuchnął Bathurst. — Nie udało się ze szpiegostwem, to na odmianę chce mi pan wmówić przemyt.

— Pan jest okropnie nerwowy, O'Leary. I do tego ma pan urojenia, bo ja pana jeszcze o nic nie oskarżyłem.

— Ale insynuuje pan raz po raz jakąś moją zbrodnię.

— O'Leary, dam panu cenną radę. Niech pan na mnie nie krzyczy, nie lubię tego.

Rozmawiam z panem grzecznie. I wbrew temu, co pan twierdzi, niczego panu nie wmawiam. Gdybym chciał coś panu wmówić, zacząłbym od tego, że kupcy z reguły kiepsko posługują się bronią, a pan wystrzelał pułk Prusaków.

— Co takiego?... Ten idiota to panu powiedział, kapitanie?! — Beniamin ponownie spojrzał w kierunku iluzjonisty. — I pan w to uwierzył?!

— Szczerze mówiąc, w pułk to nie bardzo, ale kilkunastu... Wozicie z sobą broń?

— Jakże by inaczej w takich czasach! Wszędzie pełno pruskich dezertarów i rabusiów. Proszę też nie zapominać, kapitanie, że ja i moi towarzysze przez kilka lat walczyliśmy z Anglikami o naszą wolność. Umiemy posługiwać się bronią.

— Nie wątpię w to i proszę mi wierzyć, O'Leary, że niczego nie zapominam, niczego. No to za tę pańską umiejętność! I za zdrowie cesarza!

Oficer poderwał się na baczność i ryknął:

— Vive l'empereur!... Pan nie pije, O'Leary?

— Ależ tak, z chęcią. Za zdrowie cesarza zawsze. Tylko niech to będzie już ostatni toast, nie chcę się upić.

— Za cesarza warto się upić, O'Leary! Ale powróćmy do tematu. Ten człowiek

powiedział, że przewozicie jakiś tajemniczy towar wzięty w Berlinie.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy, to po prostu nowa dekoracja teatralna. Figura muzułmanina.

— A jednak jest w tym coś dziwnego. Pan powiedział, O'Leary, że z wozów tych cyrkowców korzysta pan chwilowo i że jest pan kupcem, a nie komediantem. Dlaczego więc tę dekorację kupił pan, a nie ten grubas, który kieruje trupą?

— Po prostu pomogłem mu, działałem na jego polecenie. Zwyczajna drobna przysługa.

— To ciekawe, bo ten wasz magik twierdzi, że było akurat odwrotnie, że trupa jest na pańskie rozkazy.

— Przypuszczam, kapitanie, że ten magik nie powiedział panu, jak przed kilku dniami jeden z moich ludzi, mający złote rączki, skompromitował go w obecności francuskich żołnierzy, dla których trupa dała przedstawienie.

— Nie, nie mówił mi o tym.

— Właśnie, otóż to! Proszę go spytać czy to prawda. Francuz spojrział w kierunku iluzjonisty i nie musiał pytać, niespokojne oczy Szymona powiedziały mu wszystko.

— Więc to tak? — mruknął do siebie.

— Dokładnie tak, kapitanie. Ten nieszczęsny magik to notoryczny łgarz, którego urażona ambicja zawodowa popycha do zemsty.

— Hmm! To takie buty!... No, widzi pan, O'Leary, wszystko można spokojnie wytłumaczyć, nie trzeba się od razu denerwować i unosić gniewem. W ogóle pańska umiejętność gładkiego tłumaczenia każdej rzeczy wzbudza mój nieklamany podziw.

Powiada pan, że daliście przedstawienie dla Francuzów? Gdzie?

— W Berlinie. Gorąco oklaskiwano trupę.

— To świetnie. We Frankfurcie też jest sporo wojska spragnionego dobrej rozrywki.

— Przykro mi, kapitanie, ale spieszymy się.

— Nie pytałem o to, czy się pan spieszy, O'Leary. Trupa nie jest pańska i wystąpi.

— Chwilowo trupa jest moja, kapitanie. Nająłem jej wozy na całą podróż, a te wozy to ich dom. Panie kapitanie, bardzo pana proszę o wyrozumiałość. Mam pilne kontrakty we Wrocławiu.

— Pański pośpiech, O'Leary, zaczyna mnie interesować. Pański bagaż również. Będę go musiał przejrzeć.

— Protestuję! — oświadczył Bathurst. — Zwrócę się do żandarmerii.

— To ma pan blisko, niech pan od razu zwróci się do mnie. W tym mieście nie ma jeszcze żandarmerii, funkcje policyjne pełni wojsko. Jestem jednym z odpowiedzialnych za porządek i bezpieczeństwo we Frankfurcie. Jutro lub pojutrze będzie tu już żandarmeria¹⁷⁸, ale do jutra jest jeszcze cała noc. Dlatego też — Francuz zniżył głos do szeptu — proponuję zwrócić się do mnie. Jeśli zrobię rewizję, na pewno coś znajdę, a mogę uznać za przemyt, co zechcę. Mogę też zamknąć was przewencyjnie na kilka dni i przesłuchać za pomocą środków specjalnych. Pan mnie rozumie, O'Leary?... W czasie takich przesłuchań mówi się wszystko, nawet to, czego się nie wie, ręczę panu. Stan wojenny usprawiedliwia takie metody. No więc jak? Gdybym nie był panu życzliwy, O'Leary, przyszedłbym tu z żołnierzami, a przyszedłem sam. Powinno to coś panu mówić...

Słowa tego człowieka „coś” mówiły Bathurstowi. To mianowicie, że chce się on obłowić, po raz ostatni przed nadejściem żandarmerii, która przejmie funkcje policyjne i łapówki. Było lepiej niż myślał, a myślał już przed chwilą, że jest bardzo niedobrze. Niepokoiło go tylko, że Francuz jest coraz bardziej pijany.

— Rozumiem pana, kapitanie — szepnął — wszyscy muszą jakoś żyć. Myślę, że się dogadamy, i że będzie pan zadowolony.

— Zawsze wierzyłem w to, że Irlandczyk dogada się z Francuzem! Wypijmy za bratnią przyjaźń naszych narodów!... Oooooouup! Pardon... No to... sante!¹⁷⁹

— Ile? — spytał Beniamin, odstawiając pełny kubek. Francuz popatrzył nań przez szparki powiek, potarł czerwieniejący nos i warknął:

— Dlaczego nie pijesz, O'Leary?! Ja to widzę, sacre nom de nom!¹⁸⁰

Bathurst posłusznie wypił kilka łyków i powtórzył:

178 Brigade de Gens d'Armerie została utworzona przez Francuzów we Frankfurcie w dniu 24 listopada 1806 roku.

179 Zdrowie.

180 Przekleństwo

— Ile, kapitanie?

Tamten nic nie powiedział i zaczął rozglądać się po twarzach, milczących i napiętych, a jego spojrzenie przymykało powieki lub odwracało oczy przerażonych. Julia chciała wstać od stołu, lecz oficer brutalnym gestem szarpnął ją na miejsce, aż ława stęknęła.

— Dokąd to, ma petite?¹⁸¹

— Dziecko śpi, muszę do niego zajrzeć — odpowiedziała, patrząc w bok.

— Zdażysz! Niech śpi, nie przeszkadzaj mu. Mam rację, Irlandczyku?

— Oczywiście, kapitanie. Więc ile?

— Ty jesteś w gorącej wodzie kąpany, O'Leary, a ja... ouuppp!... Pardon... Ile? Mamy czas. Pieniądze to... oooupp! to nie wszystko, szczęścia nie dają. Nie chcecie wystąpić dla żołnierzy wielkiej armii jego cesarskiej mości, to wystąpicie dla... oooupp!.. dla przedstawiciela tej armii... dla mnie wystąpicie... Sztuczki, skoczki, łażenie po linie, to mnie nie bawi. A panienka — zwrócił się do Julii, którą już od chwili obejmował ramieniem — czym się produkuje?

— Tańczę.

— Si, si, signor capitano — wtrącił Mirel, — ona cudnie tańczy umie, a meraviglia¹⁸², na jaja ona tańczy umie! Julia, daj, per favore!¹⁸³

— Na jajach?... Oooupp! Co to znaczy? — spytał oficer, otwierając szeroko pijane oczy.

— Z zawiązanymi oczami, między jajkami rozłożonymi na stole. Żadnego nie stłucze — wyjaśnił Bathurst.

— Przestań się wtrącać, Irlandczyku, z nią rozmawiam!... Ooooupp! Jak masz na imię, ślicznotko?

— Julia.

— Mademoiselle Julie... pour moi Juliette... oooupp!... Eh bien... Toi, petite crapule!¹⁸⁴ — wskazał na Juana. — Do ciebie mówię! Skocz do oberżysty po jaja, vite!¹⁸⁵

Bathurst przetłumaczył rozkaz i Cygan wybiegł z sali.

181 ... moja mała.

182 Cudownie.

183 ... zatańcz, prosimy!

184 ... dla mnie Julka... Fajnie... Ty mały hultaju!

185 Pospiesz się.

W chwilę później Julia wirowała na stole, z którego uprzątnięto wszystko, zastępując butelki i talerze regularnie rozmieszczonymi przez Mirela jajami. Falbana jej długiej sukni wirowała unosząc się w górę, obnażając nogi do ud, muskając im twarze, wzniecając wiatr, który miotał płomieniami świec, i namiętności drażniące pożądanie. Szczękały kastaniety do wtóru obcasów krzeszących drobiny trocin z dębowego blatu i do melodii flamenco wygrywanej przez Pinia i Ricarda. Francuz zerwał się z ławy i krążył wokół stołu wykrzywiając obłeśnie wąsatą, mokrą twarz i wybijając rytm klaskaniem w dłonie. Wszystko to było głośnie i migotliwe, a zdawało się, że panuje upiorne milczenie. Było w tym coś z ponurego sabatu.

Wpatrzony w czarną falę jej włosów, która owijała oczy i policzki Julii tak szczelnie, że nie trzeba byłoby opaski na oczy, Bathurst usłyszał nagle obok głos Józefa:

— Sir!

— Co takiego?

— On chce ją mieć, sir.

— Widzę. Ale może uda się temu zapobiec, jest schlany. Pił już, zanim tu przyszedł.

— Nie uda się, sir. To żołnierz garnizonowy, głodny... Wiem coś o tym, wiele lat siedziałem w garnizonie i dlatego tak chętnie zgodziłem się iść z panem.

— Tylko dlatego? Myślałem, że chodzi ci o pieniądze.

— Też, sir, o jedno i o drugie. Ale to było przedtem, teraz idę z panem z innego powodu. Bo poznałem pana... Przecież ja nawet nie wiem, o co gramy! Ale ja pana polubiłem, sir.

— Nie mazgaj się.

— Nie mazgaję się, sir. Ale dlatego, że czuję do pana to, co czuję, i że cały się panu sprzedałem, jak grzesznik diabłu, nie za pieniądze... dlatego mam chyba prawo przypomnieć, sir, że panu pierwszemu nie wolno się mazgaić. Inaczej zdechniemy wszyscy, a wyprawę diabli wezmą!

Kosztowało Polaka wiele, by wyrzucić to z siebie, i kiedy skończył, zamilkł przerażony. A Bathurst, nie wierząc własnym uszom, zapominając na moment o torturze flamenco, odwrócił się do niego i syknął:

— Coś ty powiedział?!

— Proszę mi wybaczyć śmiałość, sir. Ja rozumiem, co jest w panu do niej, i ja błagam pana... Błagam pana, jeśli on jej zapragnie, niech pan nie próbuje oporu, niech ją pan odda! Jego łatwo sprzątnąć, ale zabijając go, zabilibyśmy i siebie, i całą akcję. Jak daleko ucieklibyśmy tymi wozami, gdzie byśmy się ukryli? Kupa osób w tamtej sali widziała, jak tu wchodził. Nie mielibyśmy żadnej szansy, żadnej, sir! Wiem, że on się nie da kupić, weźmie i złoto, i ją, i musimy mu to dać!... Jest wiele kobiet, sir, a ta nie jest przecież dziewicą, nie będzie...

Bathurst przerwał mu, piorunując wzrokiem:

— Stul mordę! Sam wiem, co mam robić! Zjeżdżaj, już! Nie miał pojęcia, co robić. Nie wiedział, jak zareaguje, wiedząc doskonale, jak powinien zareagować. Łudził się jeszcze, że wygra złotem.

Francuz wciąż biegał wokół stołu, nawołując, by nie przerywała tańca, ale gdy rzucił plugawy dowcip o jajach, między którymi wirowała, i zarechotał, on tylko, zmęczona lub zawstydzona, nadepnęła jedno z nich i poślizgnąwszy się, spadła ze stołu, prosto w jego ramiona. Zerwał jej opaskę z oczu i próbował pocałować. Wyrwała się drapiąc.

Wściekły, uderzył ją w twarz i rzucił na ziemię. Poderwał się z miejsca Brown, szczerząc zęby i sięgając za pazuchę, lecz Polak i Heyter osadzili go na miejscu.

— Nom du chien!¹⁸⁶ — ryknął oficer. — Bunt?! Opór władzy? Aresztuję tę kobietę!

Wstawaj, gamratko, idziesz ze mną!

Szarpnął ją do góry. W tym samym momencie pojawił się obok Bathurst.

— Kapitanie, dam za nią wykup.

— Wykup dasz za siebie, Irlandczyku, albo zgniotę cię jak wesz! Comprenez?!¹⁸⁷ Sto sztuk złota i to zaraz, albo wezmę swoich ludzi i przetrząsnę wam wozy, a potem, na odwachu, przetrząsnę wam flaki! Nie bój się, dziewczkę ci zwrócę — uśmiechnął się lubieżnie — jutro rano. No, pospiesz się!

Beniamin szedł po schodach do swojego pokoju, powoli, stopień za stopniem, odbierając ich skrzywienie jak ukłucia klingą. Potem schodził i czuł się tak, jakby schodził do piekła.

Nie był pijany, ale był pijany nienawiścią, w tym jej największym stężeniu, które sąsiaduje

¹⁸⁶ Przekleństwo.

¹⁸⁷ Zrozumiałeś?

z bezsilnością. Mroczyły mu wzrok krwawe obrazki. Podchodzi do kanalii i zamiast dać złoto pakuje kulę w brzuch, za mało, rżnie nożem, mało, łamie kości, pije z jego ust skowyt bólu, wywleka wnętrzności, wszystko czerwone, ściany, podłoga, sufit, ławy, krew, krew na rękach i na ubraniu! Bożeeee! Nienawidził czasami. Nienawidził Littleforda. Ale nie znał prawdziwej nienawiści, tak jak nie znał do tej pory miłości... Oddać ją, to już nie spojrzysz sobie w oczy ani w sumienie? Co to jest sumienie? Kupka retorycznego gnoju, liczy się moje-twoje! No właśnie, ona jest moja! A nie oddać, to zaprzepaścić operację. „Zdechniemy wszyscy, a wyprawę diabli wezmą... nie mielibyśmy żadnej szansy, sir! Żadnej! Błagam, sir!” Castlereagh liczył na jego opanowanie, na zimną krew. Do diabła z Castlereaghiem! I do diabła z tym Polakiem! I z całą operacją! „Błagam, sir! Panu pierwszemu nie wolno się mazgać!... Zabilibyśmy siebie i całą akcję, sir!” Niech szlag trafi akcję, nie odda jej, nie da jej tknąć, nie pozwoli, żeby ta pijana świnia... Stanął przed Francuzem i wręczył mu woreczek, unikając wzroku Julii.

— Jest sto? — spytał oficer. — Nie pomyliłeś się w rachunku, Irlandczyku?

— Jest co do sztuki.

— Jeśli skłamałeś, odwiedzę cię jeszcze raz.

Pociągnął dziewczynę do wyjścia i mijając próg odwrócił się, by powiedzieć z ukłonem:

— Adieu, mes amis! Oooup! Merci a tout le monde!¹⁸⁸ Zamknęły się drzwi i kilkanaście rąk wyciągnęło się w kierunku skulonego iluzjonisty.

— Zostawcie go! — krzyknął Bathurst. — Wszyscy spać! Już! Podszedł do Polaka.

— Pilnujcie drzwi do ich pokoju. Okien też, żeby mi się ten magik nie wymknął.

Odpowiadasz za to głową!

Julia wróciła o świcie i zamknęła się w pokoju kobiet. Dochodziły stamtąd krzyki Diany, Łucji, Eleonory, tylko jej głosu nie było słyhać.

O ósmej zameldował się u Bathursta Józef.

— Wszystko gotowe do drogi, sir. Ruszamy?

— Nie, zostajemy.

— Dlaczego?!

¹⁸⁸ Żegnajcie, przyjaciele. Dziękuję wszystkim.

Bathurst nie spał całą noc, pierwszy raz w swym życiu zamienił się na tak długo w kłębek nerwów. Słyszając pytanie, zerwał się z łóżka i schwycił Polaka za kłapy surduta.

— Za dużo pytasz! I za często się wtrącasz! Na przyszłość pohamuj język, bo nie ręczę za siebie! Ostrzegłem cię po raz ostatni! Teraz idź i powiedz Mirełowi, że ruszymy jutro, a może pojutrze, jeszcze nie wiem. Niech się nie martwi, ja płacę za oberżę.

Uspokoił się po południu, po spotkaniu z Julią. Patrzyła w ścianę i nie chciała odpowiadać na jego pytania.

— Julio — nalegał — musisz mi powiedzieć, inaczej będę bezradny... Proszę cię, tylko kilka szczegółów, jak się tam idzie, gdzie on mieszka?... Tylko to... Czemu nie odpowiadasz?!

Pochylił się nad nią.

— Powiedz, niech wiem wszystko, Abym natychmiast na skrzydle tak ściżył jak medytacja lub miłosna myśl runął ku zemście...

— Nie rozumiem, panie—odpowiedziała — to w twoim języku.

— Nie w moim, to w języku boga sceny, Julio. Proszę, powiedz mi, niech wiem!

— Dlaczego mnie dręczysz?!

— Im szybciej odpowiesz, tym prędzej przestanę. Gdzie cię zaprowadził?! Mów!

— Czy to takie ważne? — odparła pytaniem, ledwie słyszalnie.

— Ważne, inaczej nie pytałbym. Na Boga, odpowiadaj!

— Do domu, w którym ma kwaterę.

— Wspólne wejście czy osobne?

— Wspólne.

— Parter czy piętro?

— Parter.

— Okno od ulicy czy od tyłu?

— Od tyłu, od ogrodu.

— Przy jakiej ulicy, który numer?

— Nie wiem.

— Rozpoznasz?

— Tak, to blisko kościoła Świętego... chyba Świętego Mikołaja... Tak mówił. Powiedział, że jeśli chcę, mogę wrócić.

— Więc wrócisz, dzisiaj wieczorem.

— Jak chcesz, panie, jak chcesz... — szepnęła, patrząc w okno.

— Julio, to nie dlatego, ja...

— Wyjdź już! — krzyknęła.

Wyszedł. Od tej pory był już spokojny. Serce przestało mu bić jak oszalałe, a mózg pracował zimno, bez emocji. Wezwał Polaka.

— Wieczorem wyjdę z Julią, Sijem i Tomem. Jeśli nie wrócę do rana albo jeśli usłyszysz, że na mieście jest jakaś ruchawka i zorientujesz się, że to o mnie chodzi, bierz chłopców i starajcie się wymknąć z miasta. W ostateczności rozpuść ludzi.

— Więc kończymy grę, sir?

— Powiedziałem ci rano, że za dużo pytasz!

— Pamiętam, sir! Możesz mnie zabić, ale nie zamkniesz mi ust. Moim zdaniem mścić się teraz to szaleństwo!

Kiedy Bathurst podszedł doń, Polak pomyślał, że powtórzy się ranna scena albo coś gorszego. Lecz Anglik objął go ramieniem, pociągnął do okna i przez chwilę patrzyli na dachy domów i sunące po niebie obłoki. Potem Beniamin powiedział miękko:

— Posłuchaj, Józefie. Cel naszej wyprawy, chociaż chcę go osiągnąć, jest dla mnie mniej ważny od jej trwania, wynik od stawania się, od dziania, od ruchu. Ta zemsta jest częścią tego ruchu, tej akcji. Wiem, że tego nie rozumiesz, nie szkodzi... Każdy ma jakiś narkotyk, jakieś ziele, które go upaja, podnieca, jakiś głód konieczny do zaspokojenia. Dla Mirela żarcie, dużo i tłusto, dla Heytera majsterkowanie, dla Rigby'ego broń, dla Manuela kolorowe łąchy i dziewczyny. Każdy ma coś takiego, ty też, choć twojego nie znam. Ja kocham teatr, grę i kilka innych rzeczy, wśród których jest zemsta. Nie szukam jej, ale kiedy przychodzi i mówi: jestem twoja, pokochaj mnie, dokonaj, to słucham, jak słucha się kobiety, kiedy cię prosi nocą. Rozumiesz? Gdybyś nie posłuchał, wolałbyś się nie obudzić, bo słońce spaliłoby cię wstydem. Powiedz, czy mógłbym żyć po tym, co się stało, gdybym nie dokonał zemsty?

Ostatnie dwie rozmowy przed wyruszeniem odbył z Tomem. Zastał go za oberżą na małym stoku, obok wysypiska z nieczystościami. Cuchnęło zgnilizną na kilkadziesiąt jardów, ale marynarzowi jakoś to nie przeszkadzało. Juanowi też. Tom żuł prymkę tytoniu i uczył chłopca rzucać nożem. Raz po raz ostrze warczało w powietrzu wbijając się w deskę, gdy rzucał mistrz, i odbijając się od niej, kiedy rzut był dziełem ucznia.

— Zmiataj, Juan, mam z Tomem do pogadania — powiedział Bathurst.

Cygan zniknął, a Beniamin popchnął Toma w kierunku umarłego sadu, mówiąc:

— Przejdźmy się dalej, za te drzewa, bo padnę od tego smrodu! Idziemy wieczorem na skok, ja, Sij i ty. Wszyscy w koszulkach pancernych, za dwie godziny masz być ubrany. I żebyś mi nie wziął kropelki do ust, zrozumiałeś?

— Aye-aye, sir! — wymlaskał tytoniowo marynarz.

— To nie wszystko. Wyjdziemy od tyłu i wejdziemy między te drzewa. Tu się przebierzemy w lachy i peruki od Mirela i weźmiemy wózek z drewnutni. Przedtem załadujesz nań kufer, ten brązowy. I nie zapomnij o kłódce.

— Aye-aye, sir! Mam pytanie, sir.

— Mów.

— Jak nas zatrzymają na ulicy, to paszporty nie będą pasowały do peruk. Co wtedy?

— Wtedy pewnie pójdziemy na dno. Coś jeszcze? Marynarz zakołysał się lekko na nogach, jakby wiecznie miał pokład pod stopami, i mówił beznamiętnie, wciąż żując brunatne świństwo.

— Nic, sir.

— Słuchaj dalej. Chcę, żebyś zarzucił człowiekowi pętlę na szyję i ścisnął tak, żeby nie zdążył nawet mruknąć. Czy to jest możliwe?

— Jest, sir. Mam indyjską pętelkę z jedwabnego sznurka. Przywiozłem ją sobie z Bombaju. Takimi posługują się tam bandyci. Potrafią zadusić w kilka sekund ponad setkę ludzi i nikt nawet nie zipnie¹⁸⁹.

189 Tom „Rope” mówił o thagach, członkach indyjskiej sekty thagi. Było to, istniejące przynajmniej od wczesnego średniowiecza, stowarzyszenie zawodowych morderców, którzy czcili boginię zbrodni Durga vel Dewi i „na jej rozkaz” ograbiali całe karawany kupców i podróżnych, zwłaszcza w północnych Indiach, mordując za pomocą pętli (romal) w sposób mistrzowski i bezwzględny. Nie pozostawiali żywych świadków napadu. Nigdy nie atakowali Europejczyków. Rozbici zostali dopiero

— Tu nie chodzi o to, żeby zabić, Tom. Trzeba go wywlec z domu w całkowitym milczeniu, by nikt nie zauważył. Najważniejszy jest ten pierwszy moment zaskoczenia, musisz go zdusić, zanim krzyknie. Można by było zamiast tego ogłuszyć, ale to ryzyko, bo albo uderzy się za słabo i będzie krzyk, albo za mocno i wówczas weźmiemy trupa. A ja chcę go mieć żywego, żywego, Tom!

— To ten wąsaty sk....el, który wczoraj zabrał Julię?

— Ten sam.

Marynarz zakolysał się mocniej, splunął z rozmachem swoją prymką i powiedział powoli i cicho, ze straszliwą nienawiścią w głosie:

— Ay e-ay e, sir!

W godzinę później, o osiemnastej, zapukał do pokoju Bathursta.

— Wózek i kufer gotowe, sir.

— W porządku. Spotykamy się za dwie godziny u tej wiedźmy Rosy. Ucharakteryzuje nas.

— Sir, ona podobno robi to tymi samymi maściami, którymi leczy! Chłopaki, ten Ricardo i ten drugi, jak mu?... Pinio... Oni śmieją się...

— Więc nic się nie stanie, jak cię wymaluje, a może przy okazji wyleczy cię z pijaństwa. Idź, odpocznij.

— Jeszcze jedno, sir.

— Słucham.

— Rufus chce iść z nami.

— Wygadałeś się?

— Nie, sir, ale on nie jest głupi. Wyniuchał, że coś się szykuje, i domyślił się. Całą noc warczał jak ranny kaszalot i kiedy się zwłókł z betów...

— Nie ma mowy, nie zgadzam się.

— On się może przydać, sir.

— Powiedziałem: nie! Wydobylem go z paki, wiesz, za co siedział?

— Nie, sir.

w latach 1828—35 przez władze brytyjskie z inicjatywy generalnego gubernatora Williama Bentincka.

— Zarąbał przełożonego, jakiegoś oficerka, który mu uwiódł czy zgwałcił córkę. Teraz rozumiesz? Popsułyby wszystko, bez czekania rozwaliliby łeb naszemu francuskiemu przyjacielowi. Józef i Heyter ledwo go utrzymali wczoraj na dole. Trzeba powiedzieć Józefowi, żeby go przypilnował i nie dał mu iść za nami.

Wyruszyli o dwudziestej pierwszej. W wąskiej uliczce, niedaleko centrum Frankfurtu, przedostali się do ogrodu, na tyły piętrowego budynku o elewacjach z „pruskiego muru”. W jednym z okien na parterze paliło się światło, ale nie było to właściwe okno. W drugim płomyk świecy zamigotał po mniej więcej godzinie. Bathurst zajrzał przez szybę i zobaczył kapitana z drugim oficerem. Klócili się głośno, potem grali w karty i pili, i znowu klócili się. Trzeba było czekać do północy. Przybłąkał się jakiś pies i zaczął ich obszczekiwać. Sij zabił go swoim nożykiem-strzałą. Po północy kompan kapitana przegrał zegarek, pożegnał się i wyszedł, szukając rękami pomocy ścian. Odczekali jeszcze kwadrans i Julia zapukała w okno. Raz i jeszcze raz. Bez skutku.

— Damned, zasnęło bydłę! Cały dom zbudzimy, a jego nie! Och, bloody son of a b...!¹⁹⁰

— zaklął Tom.

Wreszcie, za którymś kolejnym uderzeniem, Francuz ocknął się i podniósł głowę ze stołu. Ujrawszy rękę za szybą, chwycił pistolet i uchylił okno.

— Qui vive?!¹⁹¹

— To ja, Julia, panie kapitanie.

— Aaaaa! Juliette! Wiedziałem, że wrócisz do swego Augusta, he, he, he... J'aime beaucoup ramoner une poule avant de me coucher! Viens, ma chere!¹⁹²

— Nie mogę się podciągnąć, panie kapitanie, proszę mi pomóc.

— Tout de suite, ma petite poule!¹⁹³

Odłożył pistolet, wychylił się przez okno i wyciągnął ręce. Świsnęła pętla, spadła mu na szyję i wyrwała z gardła ledwie słyszalny charkot, krótki jak błysk. Wywlekli go na zewnątrz. Bathurst przytknął mu do nosa szmatę nasyconą roztworem, który otrzymał od

190 Wulgarnie przekleństwo.

191 Wojskowe pytanie, odpowiadające w języku polskim wartowniczemu: Kto idzie? W tym przypadku: Kto tam?

192 Uwielbiam opędzlować kurkę przed spaniem! Chodź, moja droga.

193 Już, natychmiast, moje kurczątko!

matki Rosy, po czym zanieśli zdobycz do ukrytego w krzakach wózka z kufrem, zamknęli kufer na klucz i zaczęli się wycofywać. Beniamin nie zapomniał zgasić uprzednio świecy w pokoju i zabrać wszystkiego co cenne, wraz z sakwą. Zapomniał o psie.

Przypomniawszy sobie na ulicy, nazwał się w duchu głupcem i odesłał Toma po martwe zwierzę.

Psa i wszystko, co wzięli z w pokoju Francuza, zakopali w sadzie przed świtem. Było jeszcze ciemno, gdy Bathurst zbudził Mirela.

— Mirel, gdzie ukrywasz przemycane towary? — spytał. — W którym wozie?

Grubas zrobił oczy obrażonego dziecka.

— Co mówi pan? Mirel porządny jest, uczciwy attore! To potwarz jest, una calunnia, signore! Mirel nie robi przemyca towar, mai, signore, mai!¹⁹⁴

Bathurst przyciągnął go do siebie.

— Słuchaj, durniu! Nie obchodzi mnie, co, kiedy i ile przemycasz, ale jak? Muszę znać skrytkę i schować w niej człowieka. To sprawa życia lub śmierci! Jeśli mi nie powiesz, to będziemy wisieć obaj.

— Madonna! — jęknął Mirel.

— No więc? Pewnie masz podwójną podłogę w którymś wozie.

— Tak, signore.

— W którym?

— W każdym, signore. Ale to za wąski skrytka jest, signore. Tam żaden nie człowiek zmieści się może, żaden! Madonna!

Musiał sobie Bathurst radzić inaczej. Kazał zgolić śpiącemu kapitanowi wąsy i włosy na głowie, a potem zasiadł do wypełniania jeszcze jednego paszportu, na nazwisko Celotto.

Rankiem 25 listopada Beniamin Bathurst udał się na posterunek nowo utworzonej żandarmerii. Przyjął go potężnie zbudowany major, rozparty za biurkiem w wypucowanym do połysku gabinecie. Obok siedział młody porucznik.

— Panie majorze — powiedział Bathurst — nazywam się O'Leary. Oto moje dokumenty. Jestem Irlandczykiem, w dziewięćdziesiątym ósmym, po klęsce powstania, uciekłem do

¹⁹⁴ Nigdy, panie, nigdy.

Francji. Teraz podróżuję po Europie i param się handlem. Jadę do Wrocławia i Pragi.

— No i co z tego?! — burknął zniecierpliwiony oficer. — O co chodzi?

— Chodzi o to, panie majorze, że przedwczoraj wieczorem przyszedł do mnie, do oberży „Złote Słońce”, francuski kapitan, powiedział, że sprawuje władzę policyjną w mieście, po czym zagroził mi aresztem oraz torturami, jeśli się nie okupię. W rezultacie zabrał mi całą gotówkę. Był pijany i...

Major zsiniał i podniósł się z fotela.

— Co takiego?!

— Mówię, jak było, panie majorze. Jestem bez grosza, a mam kontrakty we Wrocławiu.

Błagam pana o pomoc.

— Nazwisko tego kapitana!

— Nie znam, panie majorze. Wiem, że ma na imię August.

— Jak wyglądał?

— Średniego wzrostu, wąsaty, długie włosy do ramion. Aha, miał bliznę przy lewym uchu, jakby od uderzenia szablą.

Major odwrócił się do porucznika.

— Słyszysz, Bonchamp?! To ten, co nam wczoraj zdał służbę! Natychmiast go tu przyprowadź! Zaczekaj, dostaniesz rozkaz na piśmie.

Nagryzmołił kilka zdań.

— Sprawdź jego nazwisko i wpisz je! Pospiesz się, chłopcze! Porucznik wyszedł.

— A ty, panie?...

— O'Leary. Do usług, panie majorze.

— O'Leary. Jeśli skłamałeś, to pożałujesz! Oskarżyłeś o rabunek francuskiego oficera!

— Panie majorze, proszę mi wybaczyć, ale przecież nie zrobiłem tego dla żartu. Jestem w tragicznej sytuacji.

— Zobaczmy, zobaczmy... Teraz niech pan poczeka w korytarzu.

Po trzech kwadransach major wezwał go do siebie.

— Panie O'Leary, zastanowiłem się nad pańską skargą i zdziwiło mnie, że czekał pan z nią aż trzydzieści sześć godzin.

— Zechce pan zrozumieć, panie majorze, nie jestem au cou-rant spraw administracyjnych w tym mieście, bawię tu przejazdem. Byłem przekonany, że ten człowiek to jedyna tutejsza władza, a przecież nie mogłem udać się ze skargą do niego. Dopiero dzisiaj w nocy przypadkiem się dowiedziałem, że powstała we Frankfurcie brygada żandarmerii, i dlatego przyszedłem do pana. Jest pan moją ostatnią nadzieją!

— No dobrze, dobrze — mruknął major. — Zobaczymy, co się da zrobić. Niech pan jeszcze trochę zaczeka w korytarzu.

Drzwi otwarły się gwałtownie. Stał w nich porucznik.

— Panie majorze! Nie ma gagatka!

— Jak to nie ma, oszalałeś, Bonchamp!

— Nie ma, panie majorze! Spakował manatki i wyfrunął! Powiadomiłem już sztab jego pułku. Jeden z oficerów mówi, że wczoraj ten drań wyłudził odeń złoty zegarek.

— Psiakrew! No to miał z czym wiać. To już trzecia dezercja w tym miesiącu. Te gnoje z liniowej nadają się na galery, a nie do służby!

— Ale to oni wygrali pod Jena — zauważył porucznik.

— Ta geule¹⁹⁵, Bonchamp! Nie pytałem cię. Sam dopiero co przyszedłeś do nas z liniówki i dlatego ich bronisz, ale ja wiem swoje...

Naraz przypomniał sobie, że obok stoi cudzoziemiec, który zna francuski i przy którym nie należy prać brudów. Pokrył swą konsternację grubym głosem:

— No cóż, panie O'Leary, chwilowo pańska sprawa jest beznadziejna. Ma pan od kogo pożyczyć trochę grosza?

— No... ostatecznie mogę. Wojażuję razem z trupą komediantów, bo moje wozy zrabowali mi Prusacy, ale zapożyczyć się u tych pajaców!

— Obawiam się, że nie ma pan innego wyjścia, O'Leary. Jak tylko złapiemy tego łotra, damy panu znać. Może pan podać kontakt?

— Jaki?! — zdziwił się Bathurst. — Jestem ciągle w drodze. Zresztą jeśli nawet go złapiecie, i tak po moich pieniądzech nie będzie śladu.

— Też racja — pokiwał głową major. — Współczuję panu, O'Leary, ale nic więcej nie

195 Stul pysk.

mogę dla pana zrobić. I proszę pamiętać, że to tylko czarna owca. Armia francuska jest armią rycerską!

— Rozumiem, panie majorze, trudno, taki mój przeklęty pech. Dziękuję panu za zajęcie się sprawą, do widzenia.

O dziesiątej rano wozy z komediantami dotarły do mostu na Odrze, wzdłuż brzegów której wędrowali ludzie ciągnący na linach łodzie pod prąd. Przy posterunku wojskowym wóz Mirela stanął. Młody podoficer przeszedł wraz z dwoma żołnierzami wzdłuż szeregu i doszedłszy do końca zaczął przeglądać wnętrza wozów. Od niego dowiedział się Bathurst o nowych przepisach celnych i niszczeniu zakazanych towarów, czyli o blokadzie kontynentalnej¹⁹⁶. W wozie Beniamina podoficer zwrócił uwagę na leżącego bezwładnie człowieka, kłowna o twarzy wymalowanej w jaskrawe pasy i koła, z wielkimi czerwonymi wargami od ucha do ucha.

— A ten łysy? — spytał.

— To nasz kłown, Celotto, panie sierżancie — wyjaśnił Bathurst. — Pijaczyna, schlał się wczorajszej nocy po występie i nawet się nie umył biedaczysko. Do południa armata go nie zbudzi. Juan, wyjmij mu z kieszeni paszport.

Po pół godzinie dostali pozwolenie przejazdu. Pośrodku mostu musieli się zatrzymać na kwadrans, potrzebny jednemu z przęseł do podniesienia się, przepuszczenia barki żaglowej i opadnięcia. Za rzeką jechali jeszcze kilka kilometrów na południe, a potem zjechali z ubitego traktu i zawrócili połą drogą ku północy. W lesie między Kunendorf a Drenzig Bathurst zatrzymał wóz, kazał się nań przesiąść magikowi, a Mirelowi jechać z resztą dalej i zaczekać pod lasem. Razem z Mirelem pojechali Juan, Robertson i Józef. Kiedy umilkł w oddali miarowy pisk osi, słychać już było tylko głosy ptaków i harce wiatru w koronach drzew. Słońce, którego nie zaznali już od kilku dni, nagrzewało budę wozu. Komandosi wyszli na łąkę rozprostować kości. Magik wyskoczył za nimi i Bathurst został sam z kłownem i rannym Manuelem, zamyślony, rzucający od czasu do czasu krótkie spojrzenie na twarz śpiącego.

196 Na mocy wydanego przez Napoleona w Berlinie, w dniu 21 listopada 1806 roku, dekretu o blokadzie kontynentalnej, brzegi Europy zostały zamknięte dla towarów pochodzenia angielskiego. Wszystkie takie towary znalezione na kontynencie były natychmiast palone.

Po godzinie Francuz drgnął i przewrócił się na drugi bok, a wówczas Beniamin wstał i zawołał Toma i Rufusa.

— Wynieście go i oblejcie wodą. A temu — wskazał iluzjonistę — dajcie łopatę, niech kopie grób.

Szymon-magik rozplakał się. Uderzony kilka razy w twarz przez marynarza, zabrał się do pracy, nie przestając rozpaczliwie szlochać.

Kiedy kolorowy cudak ocknął się na dobre, usiadł i rozejrzał się zdziwiony. Bathurst podszedł doń i pochylił się.

— Powiedziałeś, przyjacielu, że zgnieciesz mnie jak wesz i że przetrząsniesz nam wszystkim flaki. Powiedziałeś też, że jestem w gorącej wodzie kąpany. Udowodnię ci, że to nieprawda. Będę cierpliwie obserwował, jak zdychasz, i będzie to trwało długo.

— Co?! — ryknął oficer. — Co to ma znaczyć! Gdzie ja jestem?... Boże, gdzie moje wąsy, moje włosy! Coście ze mną zrobili, bydlaki! Co ja mam na twarzy!... Ratunku, pomocy, ratunkuuuu!... To gwałt, to gwałt na mundurze! Na pomoc, au secours, au secours!

Zerwał się, lecz Bathurst jednym uderzeniem posadził go z powrotem na ziemi.

— Gwałt, powiadasz? Ty przecież lubisz gwałcić, przyjacielu. Ramoner une poule, tak powiedziałeś.

— Zostawcie mnie, jestem oficerem francuskim!

— Jesteś kanalią, przyjacielu, niegodną żadnego munduru.

— Zapłacicie za to, drogo za to zapłacicie!

— Masz rację, przyjacielu, zapłacimy i to zaraz. Po to cię tu przywiozłem, by rzetelnie zapłacić. Chociaż, prawdę rzekłszy, zapłacić rzetelnie będzie mi trudno, bo za to, co zrobiłeś, nie ma dostatecznej kary.

Ukląkł przy Francuzie i szepnął mu do ucha:

— Już nawet nie za to, przyjacielu, że mi ją wzięłeś, ale za to, że przez ciebie płakałem po raz pierwszy w życiu. To będzie nasza tajemnica, dobrze?... Musiałem ci to powiedzieć, żebyś wiedział, za co tak przewlekle i boleśnie będziesz umierał. Długo się zastanawiałem, jaką śmierć ci wybrać, i wybrałem zwykłą pętlę na gałęzi. Zawieśniesz na

niej, ale z wolnymi rękami, będziesz mógł trzymać sznur. Tak długo będziesz trzymał, jak długo dasz radę. Kupisz sobie tymi rękami kilka minut życia. Ale przedtem...

Nie dokończył. Wstał i krzyknął:

— Brown! Chciałeś go mieć, więc masz. Oddaję ci go na dwie minuty, tylko nie zatłucz na śmierć i nie przetrąć mu rąk.

Brown umiał bić. Najpierw, dwoma ciosami w usta, wybił zęby i zmienił wargi z bezkształtną kneblującą masę, uciszając w ten sposób rozpaczliwe wycie Francuza. Potem zabrał się do żeber i przepony. Tłukł dwoma młotami, regularnie niczym maszyna, aż dudniło. Miał nieprzytomne oczy szaleńca, znęcał się, rozkoszując męką bitego. Rigby chciał skoczyć ku niemu i zapewne odciągnąć, lecz na drodze stanął mu Sij i unieruchomił jednym spojrzeniem. Francuz padał, Brown podnosił go i trzymając jedną dłonią, drugą pięścią masakrował.

Bathurst patrzył na te jatki z kamiennym spokojem i od czasu do czasu zerkał na zegarek. Minęły już dwie minuty, lecz nie przerwał bicia. Nagle usłyszał zza pleców:

— Dość tej ohydy!

Nie odwracając się warknął:

— Milczeć!

I dopiero dotarło doń, czyj to głos. Odwrócił się. Stała tuż obok, o krok od niego. Patrzyli sobie w oczy. Powiedziała z pogardą:

— Rzeźnik!

Brown, ślepy na wszystko wokół, bił dalej.

— Przerwij! — krzyknął Bathurst, a widząc, że Brown nie słyszy, skoczył ku niemu i oderwał od ofiary.

Francuz upadł obok dołu kopanego przez magika. Zastygli wszyscy, niczym kukiełki w teatrze marionetek. Kobieta zrobiła krok do przodu i spytała:

— Dla kogo ten dół?

Nie doczekała się odpowiedzi.

— Jeśli tkniesz go palcem — wskazała na Szymona, żebrzącego załzawionymi oczami pomocy — nie zamienisz już ze mną ani słowa, przestaniesz być, a dziecku powiem, że

jesteś zbrodniarzem!

Odwróciła się i zaczęła oddalać ku ścianie lasu, ścieżką, którą przyszła. Benjamin stał nieruchomo i patrzył w jej plecy jak zahipnotyzowany. Nie drgnął nawet, gdy z gardła Toma wyrwało się spóźnione ostrzeżenie:

— Sir! Uważaj!

Wpatrzeni w nią, zbyt późno zauważyli podnoszący się z ziemi strzęp ludzki. Francuz nie był już podobny do człowieka. Z zakrwawionej głowy błyskało demonicznie jedno oko i zdawało się, że ten zewłok nie utrzyma się nawet przez chwilę na nogach. A on wykrzesał z siebie jakąś nadludzką, nie zatłuczoną przez Browna siłę, wyrwał Szymonowi szpadel i uniósł go w górę. Dopiero wówczas spostrzegli. Krzyk Toma wyprzedził o ułamek sekundy świst łopaty spadającej na głowę Bathursta. Brown był szybszy. Nieomal bezwiednie, jak automat, zrobił krok i zasłonił Beniamina, biorąc cios na siebie. Ostrze wbiło mu się w czaszkę, tnąc aż do brody, i w tym samym momencie nożyk ciśnięty przez Sija przeszył ciało Francuza.

Wszystko razem trwało kilka sekund. Benjamin wciąż patrzył na jej plecy. Nie odwróciła się.

Pochowali osobno Browna i kapitana. Heyter wyciął z gałęzi dwa krzyże, a Robertson odprawił krótką mszę, w której Bathurst nie uczestniczył.

W nocy zniknął Rigby. Nawet nie próbowali go szukać, bo jak, końmi pociągowymi? Zabrał swoje rzeczy, lecz wiatrówkę zostawił¹⁹⁷. Bathurst zbeształ mnicha:

— Miałeś go pilnować, głupcze! Będzie cię to kosztowało przy wypłacie.

Robertson, inny niż zawsze, spuścił oczy i mruknął:

— Dobrze, różne koszty trzeba płacić w życiu. Byle mnie święty Patryk nie opuścił i ochraniał akuratnie, to nie będę narzekał, sir. A ten bratek miękkie miał serce i nie wytrzymał tego, co ujrzał onegdaj. Może się od innych, niebieskich kosztów chciał salwować... Widziałem, on jeden płakał, kiedy się modliłem za ich grzeszne dusze. Polak także wodził oczami po ziemi i schodził Bathurstowi z drogi. Julia, zamknięta w swym wozie, nie pokazała się przez następne dwie doby, aż do minięcia Zielentzig

¹⁹⁷ Rigby przepadł na dobre i najprawdopodobniej nie udało mu się wrócić do Londynu, gdyż autor Memoriału więcej o nim nie wspomina.

(Sulęcín)¹⁹⁸. Spędzili tam noc z 26 na 27 listopada. Rankiem Bathurst kupił od miejscowego Żyda trzy wierzchowce. Jednego oddał Józefowi, mówiąc:

— Jadę z Robertsonem do Samter (Szamotuły) rozejrzeć się w sytuacji. Mapę masz. Tak jak ustaliliśmy, pociągniecie przez Meseritz (Międzyrzecz) i Pinne (Pniewy). Utrzymaj tempo, w Szamotulach powinieneś się stawić najpóźniej za pięć dni, pierwszego grudnia.

— Sir, przecież od świtu pada. Za dwie godziny droga zamieni się w bajoro.

— Wiem, ale przynajmniej staraj się. Jeśli będą kłopoty, zostaw Mirela i popędź naszym wozem, bo będę was potrzebował. Któregoś z chłopców zostaw, by pilnował Mirela. Mnie możesz już nie zastać, bo jeśli wszystko będzie w porządku, to wyjadę z Szamotul na kilka dni. Przyjmie was Robertson i przekaże wam moje rozkazy. Wszystko jasne?

— Tak jest, sir.

Dosiedli z Robertsonem koni i ruszyli wzdłuż karawany. Gdy mijali drugi wóz od czoła, otwarło się okienko i Bathurst ujrzał dziewczynkę machającą mu dłonią na pożegnanie. Podjechał bliżej. Za twarzą dziecka widniała twarz Julii z oczami wpatrzonymi w niego. Zauważył, że te oczy są sino podkrążone.

— Schowaj się, Aniu, bo zmokniesz! — krzyknął i poderwał konia do galopu.

Zakonnik okazał się niezłym jeźdźcem, mimo że niełatwo było kłusować. Wiatr smagał im twarze biczami wody, przejmujące zimno wdzierało się pod ubranie. Pędzili skuleni, brodami dotykając zapinek kołnierzy. Mijali smutne, martwe pejzaże, coraz częściej znaczone słomianymi strzechami, które zdawały się opierać na samej ziemi i których prawie nie widzieli w Niemczech. Przez Schermeisnel (Trzemeszno Lubuskie?), Grochów¹⁹⁹ i Tempel (Templewo) dotarli do Międzyrzecza. Tuż za miastem dobiegł ich z tyłu zagłuszany wiatrem krzyk:

— Z drogi! Wolny przejazd dla Jego cesarskiej mości! Z drogi! Zjechali na pobocze.

Przeleciał obok nich szaser z gołą szablą w dłoni i w chwilę później kawalkada jeźdźców, obryzgując fontannami błota. Wewnątrz oddziału strzelców konnych sunęła karetą z cesarskimi insygniami na drzwiczkach. Mignął im przed oczami biały turban siedzącego

198 Nazwy miejscowości, z wyjątkiem podstawowych, jak Poznań, podaję za pierwszym razem w wersji niemieckiej, gdyż takiej używał autor Memoriału.

199 Miejscowość taka (Grochów?) nie figuruje na dzisiejszych mapach.

na koźle mameluka²⁰⁰, potem jeszcze kilka powozów i wszystko zniknęło za ścianą deszczu jak gromada widm. Bathurst zdążył zauważyć, że przez otwarte na ułamek sekundy okienko w cesarskiej karecie wyfrunął jakiś przedmiot. Zszedł z konia i podniósł utaplaną w błocie książkę²⁰¹. Tom ze zbiorowego wydania dzieł Machiavellego, „Opere di Nic. Machiavelli cittadino e segretario fiorentino; Discorsi sopra prima Deca di T. Livio”, wydanie haskie z roku 1726. Na marginesach dziesiątki uwag i skreśleń²⁰², roztopiających się w wodzie, zbrukanych. Beniamin schronił się pod drzewo i próbował wytrzeć strony chustą, lecz jeszcze bardziej porozmazywał zapiski. Otrzepał książkę, zawinął w chustę i schował do torby przy siodle, po czym krzyknął do Szkota:

— Robertson! Ja muszę wracać. Jedź do Szamotuł sam, odszukaj kuzyna i dowiedz się, kto mieszka w baszcie tej kobiety z legendy.

— Kiedy pan przyjedzie, sir?

— Niedługo. Czekać na nas! — odpowiedział wskakując na siodło i nie oglądając się popędził w stronę Międzyrzecza. Kilka kilometrów za Templewem dostrzegł stojące wozy. Tom, Heyter, Józef, Juan i kilku komediantów podkładali faszynę pod koła. Zeskoczył z konia przy wozie kobiet i zapukał do drzwi. Otworzyła mu Diana.

— Witam wodza! — uśmiechnęła się uwodzicielsko.

— Chcę rozmawiać z Julią.

— Ciszej, rycerzu, dziecko śpi!

Julia odsunęła Dianę i spojrzała pytająco. Poprosił, by przeszła z nim do ostatniego wozu, w którym leżał Manuel, ciągle jeszcze, z lenistwa, udający poważnie chorego. Tam spytał:

200 Był to Rustam Raza (1780—1845), Mameluk przyboczny Napoleona, przywieziony przezeń z Egiptu.

201 Wydarzenie to może dziwić, lecz nie znawców epoki. Napoleon miał w zwyczaju czytać w czasie drogi książkę za książką i przeczytane ciskał za okno powozu. Trasy jego przejazdu były usłane książkami i dokumentami.

202 Machiavelli był ulubionym autorem Bonapartego, który nawet przetłumaczył Księcia na francuski. Jak podaje ambasador cesarski w Warszawie biskup Pradt w swojej *Histoire de l'ambassade dans le Grand Duché de Varsovie en 1812* (Paris 1815), miał Napoleon powiedzieć: „Machiavelli to jedyna rzecz, którą warto czytać”. W roku 1816 wydano w Paryżu *Machiavelli commenté par Napoleon Buonaparte, Manuscrit trouvé dans le carrosse de Buonaparte après la bataille de Mont-Saint-Jean le 18 juin 1815* (Machiavelli komentowany przez Napoleona Buonaparte, rękopis znaleziony w karecie Buonapartego po bitwie pod Mont-Saint-Jean w dniu 18 czerwca 1815). Mont-Saint-Jean to pierwotna francuska nazwa bitwy pod Waterloo.

— Umiesz jeździć konno?

— Umiem — odparła.

— Słuchaj, Julio. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Poznania. Potrzebuję twojej pomocy.

— Co miałabym robić? — spytała cichym, zachrypniętym głosem

— Spotkać się z pewnym żołnierzem, Francuzem, i umówić go ze mną.

— Kiedy chcesz jechać, panie?

— Przeczekamy to oberwanie chmury. Może jutro rano. Pojedziesz?

— Nie wiem... Nie, dziecko...

— Co dziecko?

Podniosła głos:

— Twoje sprawy i wszystko, co robisz, panie, przynosi śmierć! Nie boję się śmierci, ale boję się o Anię. Co będzie, jeśli zdarzy się nieszczęście?

Milczał przez kilkanaście sekund, zanim odpowiedział:

— Nic złego się nie stanie, zobaczysz. A gdyby nawet, małą zaopiekuje się trupa.

Zostawię dla niej pieniądze, tyle, że nie będzie musiała pracować do końca życia.

Gdybym zaś sam przeżył to nieszczęście, które kraczesz, a w które nie wierzę, to... to ja adoptuję małą!

Poderwała wzrok ku górze i spojrzała mu w twarz rozszerzonymi oczami. Przerwał milczenie, gdy już stało się nieznośnie długie.

— Więc jak, pojedziesz? Bardzo mi na tym zależy, bo inaczej...

— Nic nie mów — szepnęła — pojedę. Będę gotowa rano.

Tego samego dnia późnym wieczorem dowlekli się zaledwie do Templewa. Przenocowali w chłopskich chatach. Następnego dnia (w piątek 28 listopada) przed południem, gdy przejaśniało, na wysokości jakiejś wsi, której dachy i dzwonnica wieży kościelnej majaczyły za lasem²⁰³, Bathurst i Julia ruszyli ku Poznaniowi. Dojechali przed wieczorem i stanęli w oberży przy ulicy Wro-nieckiej. Beniamin wyszedł zaraz na miasto, by rozpytać o miejsce postoju Napoleona i zameldować się w dyrektorium policji, bez czego nie wolno by mu było spędzić nawet jednej nocy w Poznaniu²⁰⁴.

203 Najprawdopodobniej Kursko (Kyrizt).

204 O obowiązku natychmiastowego meldowania wszystkich przyjezdnych informowało w Poznaniu

W sobotę przed południem zaprowadził Julię na ulicę Jezuicką.

— To tutaj. — Wyciągnął rękę w kierunku pojezuickich gmachów. — Widzisz tego szyldwacha? Podejdiesz do niego. Wiesz, co masz zrobić. Patrzył zza naroża bramy, jak rozmawiała z wartownikiem. Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu i krzyknął coś w głąb furty. Została wpuszczona i zniknęła Benjaminowi z oczu. Wróciła po kilkunastu minutach.

— I co, zastałaś go?

— Tak.

— Kiedy przyjdzie?

— Dzisiaj o dwudziestej.

— Jak było?

— Śmiali się ze mnie i z niego. Patrzyli na mnie jak na...

— Wiem, Julio, ale nie można było inaczej.

O dwudziestej spotkał się z N... w ciemnej jak jaskinia, potężnej gigantycznymi formami rozkwitającego w barok manieryzmu nawie przyklasztornego kościoła karmelitów bosych. Kościół i klasztor siadły okrakiem na szerokim wzgórku, ze schodów wejściowych widać było całą okolicę. Bathurst wybrał to miejsce właśnie dlatego. Było tu spokojniej niż w centrum miasta, które po przybyciu Napoleona zamieniło się w rojny ul i z dnia na dzień zmierzało do podwojenia liczby ludności.

W nawie było zimno i pusto, tylko służka klasztorny mył główny ołtarz. W powietrzu unosił się swąd płonących świec i wspomnienia po kadzidłach. Usiedli za opasłym filarem w rzeźbionej ławie.

— Nie spodziewałem się was tak szybko, panie — powiedział szaser.

— A ja nie spodziewałem się, że on już przedwczoraj wjedzie do miasta. Sądziłem, że za kilka dni.

— Kiepski miał wjazd. Pan Bóg wylał kubel wody na łeb jemu i tym, którzy chcieli go witać paradnie. Trzeba było odwołać wszystkie uroczystości powitalne.

— Jakoś nie zraziło to Polaków — zauważył Bathurst. — Od rana do wieczora wiwatują

obwieszczenie z dnia 13 listopada 1806 roku.

na jego cześć. Całe szczęście, że to już nie lato, bo trudno byłoby wytrzymać w komnacie przy zamkniętych oknach. Ten nieustanny wrzask tłumu... Kochają go. Szaser odwrócił twarz ku twarzy Bathursta i patrząc przenikliwie wycedził:

— To motłoch! Tłum zawsze wiwatuje na cześć zwyciężającego. Kiedy my zwyciężymy, tłum ryknie na naszą cześć. Kiedy zrzucimy go z tronu...

— Wy?! — przerwał Bathurst złym głosem.

— A kto inny, jeśli łaska?

— Kto inny?! Mnie się wydawało, panie, że to ja mam zdjąć króla na tej szachownicy i oddać wam piona na tronie. Na to czekacie. Od kiedy czekający jest zwycięzcą? A jeśli potraficie zrobić to sami, dlaczego nie zrobiliście do tej pory? Proszę bardzo, mogę się wycofać i zostawić wam pole do popisu.

Zapadło ciężkie milczenie. Bathurst zrozumiał, że zagalopował się i że zbyt zadrażnił sytuację. Powiedział pojednawczo:

— Nie kłóćmy się, nie po to się spotkaliśmy. Należy współpracować, bo każdy z nas bez pomocy drugiego nic nie zdziała. Zażądałem spotkania, gdyż nie wiem, na jak długo on się zatrzyma w Poznaniu, nie wiem więc, czy mam zorganizować uderzenie w Szamotułach, czy gnać do Warszawy.

— Ma pan przynajmniej dwa tygodnie — powiedział szaser.

— Ręczy pan za to?

— Mogę ręczyć za to, że teraz jest wieczór, a nie rano. Zdarza mu się zmienić plany w ciągu jednej nocy, nie można tego przewidzieć.

Była złośliwość w jego głosie. Beniamin ponownie stłumił gniew i spytał:

— Dlaczego więc wspomniałeś, panie, o dwóch tygodniach?

— Bo na razie nic nie wskazuje na to, żeby chciał, a nawet mógł wyjechać wcześniej.

Sytuacja na froncie zmusza do czekania. W sztabie panuje opinia, że armia podzieliła się zbyt i działa na zbyt dużym obszarze. Czekają na wzmocnienia, na zorganizowanie polskich sił zbrojnych w postaci pospolitego ruszenia. To potrwa. Z Francji maszerują nowe kontyngenty, ale maszerują bardzo opieszale, co wprawia go w zły humor.

— Czym się teraz zajmuje?

— Koncentruje wokół Poznania grupę armijną z korpusów Soulta, Ney'a, Bernadotte'a i z części jazdy odwodowej. Chce rzucić te siły przez Wisłę, ale chociaż Murat zajął wczoraj Warszawę²⁰⁵, przeprawy na rzece brak, bo most zniszczony. Trzeba go będzie odbudować, a to też potrwa. I nie będzie łatwe. Do Wisły podeszły już forpoczty rosyjskie Bennigsen'a osłaniające odwrót Prusaków. Tak to wygląda. Myślę, że ma pan co najmniej dwa tygodnie czasu. Wczoraj powiedział do Constanta²⁰⁶: „Pomieszkamy tu, mój drogi, znajdź mi coś miłego”.

— Co miłego?

— Dziewkę. Wszędzie, gdzie staje na dłużej, musi mieć świeże mięso. To zboczenie! Bathurst pomyślał o swym rozmówcy: To kretyn!, a powiedział:

— Interesujące. Nie pomyśleliście o podsunięciu mu swojej kobietki?

— Pomyśleliśmy, tylko że to nie takie proste. Po pierwsze on zmienia je jak rękawiczki, z żadną nie przesypia się więcej niż kilka razy, a poza tym Savary²⁰⁷ i Schulmeister starają się sprawdzać te ślicznotki do czwartego pokolenia wstecz. Cień podejrzania i dziewczyna nie ma szansy. Tylko raz się nam udało, w Wiedniu, ale po kilku dniach ten rudy alzacki pies wywąchał coś i zwinął hrabiankę²⁰⁸.

— O kim pan mówi? — spytał Beniamin.

— Czy to ważne? Ta kobieta...

— Nie o kobietę pytam! Kto to jest ten rudy alzacki pies?!

— Schulmeister²⁰⁹.

205 Murat rzeczywiście wkroczył paradnie do Warszawy 28 listopada, lecz francuska awangarda kawaleryjska zajęła miasto o dobę wcześniej.

206 Ludwik Wairy Constant (1778—1845), wówczas pierwszy kamerdyner Napoleona.

207 Patrz przypis 11 i 25.

208 Chodzi tu zapewne o mało znaną, jedną z najbardziej krótkotrwałych kochanek Napoleona, 28-letnią Ewę Wiktorię Kraus von Muhlfield, podsuniętą Bonapartemu w roku 1805 w zdobytym Wiedniu. Chociaż nie było przeciw niej dowodów, kontrwywiad francuski czuł się podrażniony tym, że cesarz pozwalał jej towarzyszyć sobie na manewrach w przebraniu wojskowym. Generał Gourgaud wspomina w swoich pamiętnikach, że według Savary'ego ta piękna blondynka miała odegrać przy Napoleonie tę samą rolę co Judyta przy Holofernesie. Odsunięto ją, a cesarza poinformowano o sprawie w roku 1809 (notabene Napoleon uznał rewelacje kontrwywiadu na temat Ewy Kraus za bajkę). Fakt, że uczyniono to dopiero w cztery lata po romansie, ma ścisły związek z losem konspiracji filadelfów, którego opis Czytelnik znajdzie w kończących książkę komentarzach.

209 Alzatzczyk Karol Ludwik Schulmeister (1770—1853), w roku 1805 szef policji i wywiadu w zdobytym Wiedniu, do roku 1815 zastępca szefa francuskiego Cabinet Secret, Savary'ego, uznawany przez specjalistów za najwybitniejszego szpiega i asa kontrwywiadu wszechczasów.

Szaser wymienił to nazwisko głosem, w którym sąsiadowały niezmierna nienawiść i ledwie wyczuwalny strach. Ale Bathurst miał dobre uszy i wychwycił tę drugą nutę. I przypomniał sobie waleta kierowego z pasjansu Julii.

— Kim jest ten człowiek? — zapytał.

— To agent numer jeden, prawa ręka Savary'ego, jego zastępca i praktycznie szef ochrony, chociaż formalnie zajmuje się tylko wywiadem.

— A więc wasz szef?

— Teoretycznie nie, bo strzelcy stanowią eskortę polową, on zaś nadzoruje tajną ochronę. Ale praktycznie ma prawo wydać rozkaz każdemu. Inna sprawa, że do nas raczej się nie wtrąca. Zresztą... diabli wiedzą, do czego on się wtrąca, a do czego nie. Kto to wie? To istny diabeł!

Bathurst poczuł drżenie ciała, jakby dostał gęsiej skórki. Nie ze strachu, lecz z wściekłości. Chryste Panie! O takim człowieku Castlereagh nie ma pojęcia, a organizuje porwanie Napoleona! Co za dureń! Dlaczego ten sk...syn d'Antraigues...

— Dlaczego d'Antraigues nie poinformował nas o nim?

— Bo nie wiedział. Tak myślę. Do niedawna Schulmeister działał w Austrii jako zwykły szpieg i nikt nie przypuszczał, że podskoczy tak wysoko. Ale po Ulmie Buonaparte zakochał się w nim i nazwał go „cesarzem szpiegów”. Teraz jest wielką figurą i wszyscy trzęsą się przed nim ze strachu.

— Wy też?

— My nie, nasza konspiracja jest bezbłędna!

Bathurst pomyślał: Człowieku, nie rozśmieszaj mnie! i spytał:

— Co on zrobił w tym Ulmie?

— Zdobył go. Oficjalnie rok temu Buonaparte błyskawicznym manewrem otoczył twierdzę ulmską i zmusił do kapitulacji zamkniętą w niej armię Macka²¹⁰. W rzeczywistości było to wyłącznie zwycięstwo Schulmeistra. To rude bydlę przekupiło kilku szefów wywiadu austriackiego²¹¹ i ci, niech pan sobie wyobrazi, postawili go na czele wywiadu

210 Patrz przypis 37.

211 Informacje N... nie były dokładne. Dwaj wysocy oficerowie wywiadu austriackiego, Wend i Rulzki, znajdowali się na żołdzie francuskim na długo przedtem, zanim Napoleon i Savary wysłali

sztabowego głównej armii austriackiej! Najbardziej błyskawiczne manewry Buonapartego nic by nie pomogły, bo Mack chciał wycofać swą armię na wschód i połączyć z Rosjanami. Wielka Armia była daleko, maszerowała od Boulogne, więc Mack mógłby spokojnie dokonać odwrotu. Ale Schulmeister namówił go, by obwarować się w Ulmie, a gdy oficerowie sztabowi Macka zaprotestowali, widząc, że to samobójstwo, wie pan, co zrobił Schulmeister? Posłał wiadomość do naszego sztabu, tam w ciągu jednej nocy odbito w drukarni polowej fałszywą gazetę paryską, przerzucono ją do twierdzy i on pokazał ją feldmarszałkowi. Gazeta zawierała informację, że Buonaparte został zdetronizowany przez generałów, którzy chcą zawrzeć pokój z Austrią²¹². Mack uwierzył i pozostał w Ulmie jak baran oczekujący na rzeź. W kilka dni później Wielka Armia otoczyła twierdzę i Austriacy, znalazłszy się w beznadziejnej sytuacji, poddali się bez jednego strzału. Bathurst pokiwał głową z podziwem.

— Takiego numeru nie udało się zrobić nikomu przedtem, odkąd w ogóle istnieje szpiegostwo! Wygląda na to, że ten Schulmeister to prawdziwy geniusz. Czy jest teraz w Poznaniu?

— Nie wiem, może — odpowiedział szaser.

— To niech się pan dowie! Co to znaczy: może?!

— On przybiera setki masek. Kiedyś wszedł do gabinetu Buonapartego w przebraniu żebraka. Korsykanin nie poznał go i wyrzucił za drzwi z jałmużną. Nigdy nie wiadomo, gdzie jest, może obok? Dlatego trudno go sprzątnąć. I dlatego jeśli uda się podstawić na miejsce Korsykanina sobowtóra, musi on w pierwszym rzędzie zlikwidować Schulmeistera, a dopiero potem Savary'ego i Davouta. Rudy jest najgroźniejszy.

— Myśli pan, że może być groźny dla naszej akcji?

— Nie wiem. Chyba nie. O filadelfach nic nie wie, bo inaczej już bym wisiał, a jeśli

Szulmeistera do Austrii.

212 Tutaj N... zupełnie pobrał, co jednak nie może dziwić, gdyż sprawa była wówczas supertajna, znana tylko nielicznym ludziom spoza Cabinet Secret i to w formie niedokładnych przecieków. Wspomniana gazeta, a dokładniej dodatek nadzwyczajny do gazety, zawierała informację, że w Paryżu wybuchła rewolta antybonapartystowska i że armia brytyjska wylądowała w Boulogne. Czołowy ekspert USA od spraw szpiegostwa, pułkownik Alisson Ind, szef wywiadu w sztabie generała Mac Arthura, nazwał ulmską grę Schulmeistera najznakomitszym w historii wyczynem w dziedzinie wywiadu strategicznego.

Castlereagh w Londynie i pan tutaj zachowaliście ostrożność, to nie ma podstaw do obaw.

Kretyn! — pomyślał po raz wtóry Bathurst.

Znowu zamilkli, gdyż człowiek, który czyścił ołtarz, przeszedł boczną nawą obok nich.

Poczekali, aż wejdzie w drzwi prowadzące do schodów na chór.

— Mam kilka poleceń — powiedział Beniamin. — Zbierzcie jak najwięcej informacji o Schulmeistrze. Wszystko, co będzie można. Każdy szczegół jest ważny, nawet co jada i o której wstaje z łóżka, wszystko! Poza tym rozkład dnia cesarza, sposób zachowania, ulubione powiedzonka, lista osób, które go otaczają w Poznaniu, od służby do generałów, nazwiska, cechy charakterystyczne pozwalające go rozpoznać i temu podobne szczegóły. To dla sobowtóra. I proszę powiedzieć swemu szefowi, by starał się użyć swoich wpływów w celu jak najdłuższego zatrzymania cesarza w mieście. Dwa tygodnie powinny mi wystarczyć.

— Dobrze. Kontakt przez dziewczynę? — spytał szaser.

— Nie. Proszę włożyć rękę pod pulpit, o tu, w to zagłębienie — pokazał Bathurst. — Wywiercę tu za chwilę nożem dziurę, w którą włożę wezwanie, jeśli będę pana potrzebował. Czy może pan tu być codziennie o ustalonej godzinie, by sprawdzić?

— Wykluczone! — odrzekł szaser. — Ale to nie ma znaczenia. Jest nas wielu i jeśli nie ja, przyjdzie sprawdzić ktoś inny. Nie zgadzam się na ustalenie godziny, bo wówczas mógłby pan wysledzić sprawdzającego, a tylko ja otrzymałem polecenie zdekonspirowania się przed panem, reszta filadelfów nie ma dla pana twarzy.

— Gdybym był zdrajcą... — próbował nalegać Bathurst.

— Powiedziałem: nie! — Szaser potrząsnął głową, dając znak, że nie ma o czym dyskutować.

— Więc co pan proponuje?

— Sprawdzać skrytkę będziemy o różnych porach dnia i jeśli dostrzeżemy, że jesteśmy śledzeni przez kogokolwiek, zerwiemy kontakt!

— Czy pan naprawdę nie rozumie — spytał go Bathurst — że gdybym był zdrajcą, prowokatorem, sługą Savary'ego, Davouta lub Schulmeistra, wystarczyłoby mi

aresztować pana...

— Polecenie zdekonspirowania się, które dostałem od swoich przełożonych, jest traktowane jako potencjalny wyrok śmierci. Poświęcono mnie. Inaczej mówiąc jestem jakby skazany, liczę się ze śmiercią. Ale nie wolno mi narazić na takie samo niebezpieczeństwo innego filadelfa.

— Człowieku! — Beniamin uśmiechnął się. — Są tu tylko dwie możliwości. Albo jestem twoim wrogiem, albo sprzymierzeńcem. Gdybym był wrogiem, to jest gdybym pracował dla francuskiego kontrwywiadu — wiedząc już, że jesteś filadelfem, nakazałbym po prostu całodobową inwigilację twojej osoby i w ciągu tygodnia znalazłbym wszystkich, z którymi się kontaktujesz. Natomiast jako sprzymierzeniec nie muszę cię śledzić, bo nasz cel jest wspólny. Skończmy już z tymi podejrzeniami i bądźmy znowu poważni. Spotykać się będziemy tutaj, chyba że z jakichś przyczyn trzeba będzie zmienić miejsce.

— Dobrze. Proponuję spotykać się zawsze o tej samej, ustalonej godzinie. Powiedzmy: o siódmej rano następnego dnia po otrzymaniu wezwania. Lub o siódmej kolejnego dnia, jeśli któryś z nas z jakiejś przyczyny nie będzie mógł się stawić za pierwszym razem.

— Za wcześnie — powiedział Beniamin. — Nie zdążę dojechać.

— Ja z kolei później nie będę mógł — wyjaśnił szaser. — Jesteśmy prawie cały dzień w pogotowiu do służby.

— Zgoda, niech będzie o siódmej. A więc do zobaczenia.

Wrócił do oberży późnym wieczorem. Julia czekała nań z kolacją, którą kazała przynieść do pokoju. Gdy skończył jeść, spytała:

— Czy będę ci jeszcze potrzebna? Martwię się o Anię.

— Zobaczysz ją jutro.

— Wracamy do Mirela? — ucieszyła się.

— Nie, przywiozę ci ją tutaj.

— Tutaj?! Po co?

— Powiedziałas, że to, co robię, przynosi śmierć. To prawda, ale sądziłem, że na razie nie ma niebezpieczeństwa i że będziesz jeszcze mogła mi pomóc w kontaktach z tym żołnierzem. Pomyliłem się, nie wiedziałem, z kim będę miał do czynienia. Teraz już wiem,

że jest ktoś taki, przeciwnik godzien mnie. Nie wiem nawet, gdzie jest, może o setki mil stąd, wówczas jakby go nie było, ale może za tą ścianą... Moja gra, Julio, stała się zbyt ryzykowna dla ciebie.

Patrzyła na niego oczami pełnymi niepokoju i miłości, wiedząc, że nie wyperswaduje mu niczego.

— Beniaminie, do czego ty dążysz, po coś tu przyjechał?! Wiem, że mi nie powiesz, ale wiem też, że to musi być coś strasznego. Co to za przeciwnik?

— Nie widziałem go na oczy i jeszcze wczoraj nie miałem pojęcia, że istnieje. To człowiek mądry i sprytny jak lis.

— Więc czemu nie rzucisz wszystkiego, jeśli on jest taki groźny?

— Nie mogę. Ale nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Właśnie dlatego, że jest taki groźny.

— Wiem, jesteś jak mały chłopiec, który musi prześcignąć drugiego. To szczenięca głupota!

— Zapewne.

— I nie potrafisz sobie darować tej głupoty. Wycofaj się, jeszcze czas! Błagam cię, Beniaminie!

— Nie, Julio.

— Boże mój, jacy głupi są mężczyźni! On cię zabije!

— Jeśli uda mu się zmartwychwstać, to możliwe. Bo przedtem ja mam zamiar zabić jego, gdy tylko wejdzie mi w drogę.

— I zanim go zabijesz, powiesz: przyjacielu... Dlaczego zawsze mówisz „przyjacielu” tylko do tych, których nienawidzisz i których zabijasz?

— Bo nie mam innych przyjaciół. Ci, których oddaję śmierci, to moi bracia, ponieważ jestem wobec nich ramieniem przeznaczenia. Tylko krew pieczętuje przyjaźń, jak u dzikich. Pojmujesz?

— Nie!!

— Ciszej! Nie krzycz, na miłość Boską, te ściany nie są z kamienia!

— Wszystko to jest potworne, co mówisz! Zabijasz ludzi jak zwierzęta!

Spojrzał na nią zdziwiony i wyrecytował:

Nie mam ich na sumieniu, klęskę swoją

Ściągnęli własnym wdaniem się w tę sprawę.

To niebezpieczne dla podlejszych istot

Wystawić się na sztychy rozjuszonych

Potężnych przeciwników...

— Znowu mówisz tym obcym wierszem. Nie znam twojego języka, nie rozumiem tego.

Co powiedziałaś?

— Że się mylisz, bo ci, którzy giną z mojej ręki, sami są sobie winni, stanęli mi na drodze.

To słowa Hamleta, Julio. Ale teraz to nieważne... Posłuchaj, pamiętam jak powiedziałaś, że marzysz o powrocie na swoją wyspę, z pieniędzmi. Od ilu lat już tak marzysz i obiecujesz sobie, że to za rok, za dwa? Do końca życia nie uzbierasz u Mirela więcej niż na podróż! Idzie zima i to ciężka, a dziecko...

— Dziecko przetrwało już kilka zim.

— To znaczy tylko, że miałaś szczęście. Jak dotąd...

— Po co mi to mówisz?

— Ponieważ chcę, żebyś jutro wyjechała do domu. Jest wojna, ale na południe dyliżanse kursują. Dam ci pieniądze, kupisz za nie całą wieś.

— Nie wezmę od ciebie pieniędzy! — krzyknęła. — Za co chcesz zapłacić, za wczorajszą czy za tę noc?!

— Julio! Chcę, żeby mała była szczęśliwa, żeby nie musiała włączyć się całe życie o głodzie i chłódzie, w wozach Mirełów i im podobnych. Żeby nie gwałcono jej na pierwszym lepszym postoju.

— Będzie szczęśliwa, jeśli będzie miała ciebie! Żywego! Rozumiesz? Żywego!

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

— Jeśli przeżyję, przyjadę tam, gdzie każesz, i zabiorę was ze sobą do raju... Nie płacz, proszę cię, nie płacz...

W niedzielę rano (30 listopada) wynajął lekki dwukonny powóz i wyjechał z miasta. Samo

dziecko mógłby przywieźć w siodle, lecz Julia powiedziała, że nie ruszy się bez matki Rosy. Obiecała jej to.

Dobrze wyliczył czas. Napotkał trupę koło Pniew, zabrał dziewczynkę i starą nie zważając na wrzaski Mirela i zawrócił, nakazawszy Józefowi pośpiech.

W poniedziałek przed południem odprowadził całą trójkę na stację pocztową, ucałował Anię i uśmiechnąwszy się do kochanki dosiadł konia. Podbiegła i chwyciła go za rękę.

— Nie zgiń! Obiecuj, że nie zginiesz!

— Wracaj do powozu, odjeżdżają.

— Obiecuj!

— Obiecuję.

Wyrwał rękę i uderzył konia obcasami. W kilka minut później gnał już wiejskim gościńcem przez Kiekrz i Pamiątkowo na Szamotuły. W połowie drogi zauważył, że coś mu się obija o udo. Z metalowego guza przy siodle zwisał na złotym łańcuszku medalik z Matką Boską.

Rozdział VI

MNICH

Doczytawszy Memoriał do tego momentu sądziłem — jak i ty, Czytelniku, który doczytałeś poprzedni rozdział do końca — że zakochany Bathurst oddalił Julię po prostu z obawy o nią. Naiwność, która jest jednym ze sposobów posługiwania się umysłem, tak jak mądrość i głupota. Bathurst uczynił to przede wszystkim z obawy o siebie samego.

Wozy Mirela dotarły do Szamotuł 2 grudnia (wtorek) w południe. Mirel na widok

Beniamina zaczął krzyczeć:

— Gdzie Siromini on jest?! Gdzie, signore?! U mnie już nie mieć połowa trupy, nie mieć Julia, nie mieć matka Rosa, nie mieć Chaco, nie mieć maestro Siromini! Co zrobił on do maestro Siromini ten marinaio?!²¹³ O Madonna, Madonna! Dlaczego ja się zgodził, po co ja pieniądze zabrał od signore?! Ja nie jadę dalsza droga z signore, basta, basta, ja sam jadę! Basta!²¹⁴

— Zostaniesz tak długo, jak ci każę! — warknął Bathurst.

— Nie zostanę, signore, basta! — pisał Mirel. — Bóg u Mirela świadkiem, że nie zostanie Mirel!

Beniamin pochylił się ku jego głowie, i powiedział cicho:

— Zostaniesz, Mirel, albo wyślę cię do boga zdrajców, tam, gdzie zamieszkał maestro Siromini! Powiedz to swoim ludziom, bo to ich również dotyczy. Musicie wytrzymać ze mną jeszcze kilka dni.

Już chciał się odwrócić i odejść, zostawiając Mirela sam na sam z przerażeniem, gdy nagle przypomniał sobie coś i dodał:

— Jeszcze jedno. Jeśli chcesz przeżyć te kilka dni, już nigdy na mnie nie krzycz, przyjacielu!

Był to już ten sam Bathurst, którego poznaliśmy w Londynie. Miłość do tancerki zmieniła go w kłębek nerwów, rozmiękczyła i rozstroiła. Ale Bathurst zakochany nie przestał być Bathurstem na tyle trzeźwym, by przekroczyć granicę instynktu samozachowawczego,

213 Marynarz.

214 Dość.

czyli bezpieczeństwa. Zrozumiał w porę, że jeśli nie oddali od siebie tej kobiety, będzie popełniał coraz więcej błędów, będzie się stawał coraz bardziej miękki i zdekoncentrowany, i w rezultacie przegra swoją partię szachów. A, co najgorsze, w podłym stylu. Wiadomość o Schulmeistrze była ostatnim dzwonkiem alarmowym i dlatego rozkaz zabicia iluzjonisty wydał Bathurst Tomowi już wówczas, gdy zabierał do Poznania dziecko i matkę Rosę. Słusznie zauważył Maurice Drouon: „Cechą ludzi silnych nie jest to, że nie znają wahań i wątpliwości, lecz to, że szybciej je przewyciężają”. Dialogiem Beniamina z Mirelem dokonaliśmy skoku w chronologii wydarzeń — o jedną dobę. Cofnijmy się więc.

Po przybyciu do Szamotuł (poniedziałek, 1 grudnia 1806) Bathurst najpierw rozejrzał się po mieście. Było małe i brudne. Wśród kilkuset domów zaledwie kilkanaście murowanych, reszta z drewna krytego słomą lub gontem. Za to główne ulice posiadały bruk. Ulice te wydawały się martwe. Z rzadka przemknął pod ścianą pojedynczy człek, częściej psy przebiegały koniowi drogę. Wiatr hulał nad wątłym lustrem rzeczki Samy i w nagich krzakach pod zewnętrznym murem zamku. Cmentarnie — pomyślał Beniamin. Wieczorem w kolegiacie spotkał się z Robertsonem. Wchodził co dwie godziny do gotyckiej nawy i za każdym razem czekał w renesansowej i barokowej scenerii ołtarzy. Doczekał się o osiemnastej.

— Święty Patryku, dzięki! — krzyknął Robertson, nie zważając na dudnienie głosu pod gwieździstym sklepieniem. — Już myślałem, że wasza miłość przepadł gdzieś w tej zawierusze. Byłem tu rano, o dziesiątej.

— Więc powinieneś być także o dwunastej, czternastej i szesnastej.

— Tak jest, sir, ale Johann, znaczy mój krewniak, też Robertson, chociaż zniemczył taki bratek imię rodowe na Robersohn, poczęstował mnie akuratnie takim piwem, sir, że sam święty Patryk nie...

— A ty się spileś tym piwem, świniu!

— Skądże znowu, sir! Jeny krzynę się zdrzemnąłem, bom nieprzywykły do konia i takie zmęczenie w sobie poczułem akuratnie...

— Będzie cię to kosztowało przy wypłacie, wieprzu, a wcześniej, jeśli się powtórzy,

dostaniesz po prostu dziesięć kijów na goły tyłek! Zapamiętaj sobie, a teraz prowadź.

— Nie trzeba, sir, bo przybyliśmy akuratnie razem. Johann czeka przed kościołem, zaraz go...

Za ich plecami rozległo się ciche:

— Gelobt sei Jesus Christus²¹⁵.

— Ooo, to właśnie Johann! — ucieszył się Robertson.

— Czy tu mamy rozmawiać? — spytał Bathurst, przyjrzawszy się uprzednio bacznie pomarszczonemu niczym suszona śliwka człowiekowi w okularach.

— Nie, Herr O'Leary, pójdziemy do mnie. To blisko stąd. Za chwilę, tylko się pomodłę.

Uklęknął, wpatrzony w drewniany krucyfiks na belce tęczowej, i szeptał do zbiedniałego gotyckiego Zbawiciela, a oni, gdy usłyszeli ciche: „In Namen des Vaters”²¹⁶, wyszli przed kościół i zaczęli pod grupą wiązów, przy których Bathurst zostawił konia.

Dom sukiennika Robersohna był jedną z rzadkich w mieście kamienic. Nieliczni już Szkoci szamotulscy²¹⁷, a dokładniej zniemczeni ich potomkowie, świetnie sobie radzili, czerpiąc zyski z handlu oraz produkcji piwa i wódki. Dostatek panujący w mieszkaniu mówił sam za siebie. Przywitał ich wrzask kilkorga dzieci i bezskuteczne prośby żony Robersohna: „Ruhe, ruhe!”²¹⁸. Sukiennik schwycił w salonie za ucho jednego ze swych synów i mruknął gniewnie:

— Klaus, warum bist du so unartig?! Fort mit dir!²¹⁹

— Taki z niego Szkot, jak ze mnie Murzyn — pomyślał Bathurst.

Gdy już milcząca, pokorna połowica wniosła dymiące mięso i piwo (Beniamin zachwyił się tym piwem) i zamknęła za sobą drzwi, przystąpili do jedzenia i rozmowy. Na pytanie, dlaczego ulice takie wymarłe, Robersohn wyjaśnił, że część Prusaków uciekła w obawie przed wojskami francuskimi, a młodzi Polacy pobiegli do Poznania, by zaciągnąć się w szeregi polsko-francuskie. W mieście chaos, Francuzi wpadają z rzadka i odjeżdżają,

215 Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

216 W imię Ojca...

217 Szkoccy protestanci zaczęli osiadać w Szamotułach w wieku XVI, w czasach, gdy północna część miasta przeszła w ręce magnackiej rodziny Górków. W znacznym stopniu przyczynili się do rozwoju miasta, zakładając w nim wielkie domy handlowe.

218 Cisza, cisza!

219 Klaus, dlaczego jesteś taki niegrzeczny? Wynoś się!

czasami przejedzie przez miasto jakiś oddział, brak funkcjonującej władzy, kompletny Unordnung²²⁰. To dobrze — pomyślał Bathurst.

— Co z właścicielami zamku?²²¹ — spytał. — Siedzą na miejscu?

— Gdzie tam — odparł Robersohn. — Jest zarządca, trochę służby...

— Jak się nazywa ten zarządca? Co to za człowiek?

— Pijaczyna i chciwiec, tyle wiem. Sam nie robiłem z nim interesów, ale znajomi tak.

Bierze łapówki od dostaw do zamku. A jak się nazywa? Bensick czy Bensack, coś takiego. Nie wiem dokładnie, miałem się zorientować tylko co do wieży.

— No właśnie. Potrzebuję mieć ją na wyłączność.

— Na jak długo, Herr O'Leary?

— Na dwa tygodnie licząc od dzisiaj.

— To się da zrobić, Herr O'Leary. Wieża jest chwilowo nie zamieszкана, służy za graciarnię zamkową. Ten Bensick, czy jak mu tam, ucieszy się nową okazją do zarobku.

— No dobrze, ale gdzie w kolegiacie znajduje się wylot tunelu?

— Nie mam pojęcia. O podziemnym przejściu między basztą czarnej księżniczki a kolegiatą mówi się tu, odkąd pamiętam cokolwiek, sam słyszałem to od ojca, kiedy byłem szczeniakiem, ale nie sposób wywieźć się dokładnie. Próbowałem pytać księży, ale ci zbywają człowieka. Nie mogłem być zbyt natarczywy, by nie wzbudzić podejrzeń. Myślę, że kiedy już zainstaluje się pan w wieży, wystarczy wejść do tunelu i sprawdzić.

Beniamin skończył jeść, otarł usta serwetą i pociągnął kilka łyków piwa.

— Wspaniale to wasze piwo!... Baszta tej więźniarki, to oczywiście ta po lewej stronie bramy? Bo po prawej widziałem drugą, mniejszą, i nie jestem pewien...

— Zgadza się, Herr O'Leary, to ta większa. W niej trzymał magnat czarną księżniczkę. Niezbyt wesoły miała los.

— Słyszałem coś o tym już w Londynie, ale chciałbym usłyszeć coś więcej. Dlaczego

220 Nieporządek, bałagan.

221 Autor Memoriału nie podaje nazwiska właścicieli. Z tego, co wiem — chyba rodzina Mycielskich, która weszła w posiadanie zamku w roku 1720. Kierownik Muzeum Ziemi Szamotulskiej, mgr Janusz Łopata, poinformował mnie co prawda, że w roku 1806 zamek był własnością rodziny niemieckiej, lecz skądinąd wiadomo, że dopiero w roku 1837 Szamotuły przeszły w ręce rodu von Sachsen-Gotha. Przy okazji chcę podziękować znanemu artyście fotografikowi szamotulskiemu, panu Marianowi Różańskiemu, za pomoc w poszukiwaniach na terenie Szamotuł.

nazwano tę kobietę czarną księżniczką?

— Są różne podania na ten temat, wszystko bajdy. Jedni mówią, że niegdysiejszemu dziedzicowi Szamotuł urodziła się córka o twarzy czarnej niby twarz Murzynki i że ojciec ze wstydu kazał ją na całe życie zamknąć w lochu. Inni powiadają, że to było jeszcze przed powstaniem miasta i całkiem inaczej. Miało to być tak: pan na okolicznych włościach zeźlił się, gdy mu doniesiono, że jego córka zakochała się w młodzieńcu niższego stanu. Dziewczyna uciekła z domu i tułała się długo w nędzy po wsiach aż ją tatuś zdybał i w masce z czarnego płótna zamknął w wieży na całe życie.

Według tego podania z polskiego słowa „tułać się” miała się wziąć nazwa miasta.²²²

— Słyszałem o żelaznej masce — zauważył Bathurst.

— I dobrze pan słyszał, bo w samej rzeczy była to żelazna maska²²³. Mówiłem już, Herr O'Leary, że tamto wszystko to bajdy. Prawda wyglądała tak: Tutejszy książę polski zamknął w baszcie swą żonę, która uciekła z innym. Dopadł ich, tamtego zabił, a ją uwięził w żelaznej masce na twarzy²²⁴. Podobno dla niej kazał zrobić podziemny krużganek, którym mogła przechodzić z wieży do kościoła, i w małej niszy za kratami słuchać mszy świętej, prosząc Pana Boga o przebaczenie za to, że złamała przysięgę

222 Od samotula (tuła się sama) — Szamotuły. O legendzie tej, głośniejszej w okolicy w XVIII i XIX wieku, napomyka hrabia Edward Raczyński we Wspomnieniach Wielkopolski. W rzeczywistości nazwa Szamotuły wzięła się od rodziny Nałęczów-Szamotulskich, właścicieli (w XIII wieku) osady targowej, która później rozrosła się w miasto.

223 W przypadku najslawniejszej „żelaznej maski”, brata-bliźniaka Ludwika XIV, samo zakrycie twarzy nie było żelazne i tylko u dołu miało żelazną obrączkę na szyję. Być może podobnie było w przypadku szamotulskiej „żelaznej maski”.

224 Patrz przypis 38.

„Halszka była córką księcia Ilii Ostrońskiego i Beaty Kościeleckiej, naturalnej córki Zygmunta Starego. O rękę wcześniej osieroconej przez ojca Halszki ubiegali się panowie polscy, których prócz urody wabiły wielkie posiadłości księżniczki. Stryj Halszki, książę Wasyl Konstanty Sanguszko, będąc jej opiekunem, nie chciał, by majątki litewskie dostały się w ręce magnatów polskich, zgodził się więc na porwanie Halszki przez Dymitra Sanguszkę w roku 1553. Beata zaniósła skargę i w Knyszynie król oraz senatorowie polscy skazali Dymitra na infamię. Egzekutorem wyroku został Marcin Zborowski, który również pragnął ręki dziewczęcia dla swego syna. Za młodymi, uchodzącymi do Czech, popędził Zborowski i po zamordowaniu Dymitra, przywiózł Halszkę z powrotem do Polski. Rozpoczęły się wówczas nowe targi o rękę nieszczęsnej wdowy. Król, jako prawny opiekun, wydaje Halszkę za grubo starszego od niej Łukasza Górkę (Łukasz Górka III — przyp. W. Ł.), wojewodę poznańskiego i pana na Szamotułach. Jednak Halszka, po wielkim weselu wyprawionym przez króla na zamku warszawskim, pozostała przy królowej Bonie, ponieważ nie chciała współżyć z narzuconym małżonkiem. Tłumaczyła takie postępowanie brakiem doświadczenia małżeńskiego. Halszka po roku miała udać się na zamek Górki. W czasie tego «urloupu małżeńskiego* Halszka wraz z matką uciekły do

małżeńską.

— Właśnie o ten krużganek mi chodzi! Jutro muszę się dostać do wieży.

— Dobrze, Herr O'Leary. Pójdziemy do zamku przed południem, bo wcześniej ten zapity knur się nie obudzi. Dam głowę, że teraz, jak co wieczór, pije z którąś z dziewczek folwarcznych.

— Jaka była, ładna? — spytał Beniamin.

— Kto taki, dziewczka zarządcy?

— Nie, ta żona księcia!

— Aaaa... Podobno była bardzo piękna. W wielkim ołtarzu kolegiaty jest figurka przedstawiająca jakąś damę. W mniemaniu gminu właśnie ją...

Beniamin podniósł się z krzesła, podziękował za wieczerzę i spytał:

— Gdzie będę spał?

— W izbie obok, Herr O'Leary, łóżko gotowe.

— Więc do jutra.

— Do jutra, Herr O'Leary, dobrej nocy.

Rankiem (2 grudnia) poszedł do kościoła. Rzeźbiona misternie twarz kobiety w niszy tryptykowego ołtarza była ciemna i martwa. Naprzeciwko niej widniał jakiś herb²²⁵ i tajemnicze litery M. B. P. S. Stał długo, a gdy usłyszawszy czyjeś kroki w bocznej nawie chciał odejść, promień słońca, który przedarł się przez okna w chmurach i w świątyni, musnął lico kobiety. Twarz drgnęła, jakby poruszyły się usta, i w tym samym mgnieniu czasu wydało mu się, że jest podobna do Julii. „Wycofaj się, jeszcze czas, błagam cię Beniaminie! Beniaminie...”

Dragająca plamka słońca zbladła i zgasła za sprawą chmury, a twarz na powrót zastygła

225Lwowa i tam zamieszkały w jednym z klasztorów. Król skłaniał Halszkę do powrotu do męża, wreszcie rozkazał staroście lwowskiemu choćby siłą sprowadzić ją na zamek Górki. Doszło nawet do oblężenia klasztoru, w czasie którego książę Siemion Olelkowicz, będący w zмовie z Beatą, przekradł się jako żebrak do klasztoru i ożenił się z Halszką. Górka uwięził niewierną żonę — po zabiciu rywala — w jednej z baszt przy zamku w Szamotułach, gdzie pozostała aż do śmierci Łukasza. Ciężkie przejścia wpłynęły na to, że Halszka w kilka lat później zmarła w obłąkaniu. Podanie mówi, że Górka na twarz Halszki nałożył żelazną maskę, której nie zdjęła do końca życia” (Romuald Krygier, Ziemia Szamotulska, Poznań 1972 .

Hrabia Raczyński podaje, że był to herb Róża.

w swej martwocie i stała się niema. Dotknął jej ręką — była zimna jak lód.

O jedenastej wysłał Robertsona na trakt z Otorowa ku Pniewom, naprzeciw Mirelowi, sam zaś wraz z Robersohnem udał się do zarządcy.

W kilka minut dotarli do zamku²²⁶. Zawierające wrota przedbramie w niewielkim tylko stopniu przypominało dawną świetność założenia, poobtlukiwane, obrośnięte liszajami, pełne wodnych zacieków, z jednym pozostałym skrzydłem wieży, oberwanym i trzymającym się tylko na dolnej zawiasie²²⁷. Bramę flankowały dwie wieże, z których mniejsza przypominała człowieka w agonii, pozbawiona szczytu, chyląca się ku ruinie, tak jak i mur obronny, biegnący od obu baszt po niskiej skarpie wzdłuż wypełnionej wodą fosy. Jego blanki czas i niedbalstwo ludzkie wyszczerbiły tak, jak twarda pięść przerzedza uderzone zęby²²⁸. Wewnątrz znajdował się obszerny prostokątny dziedziniec, którego skraj zajmował gmach rezydencjalny zamku, jednopiętrowy budynek z ostrospadzistym dachem, zakrzywiony w literę L i wyposażony w maleńką basztę przyklepioną do lica ściany. Do muru okalającego dziedziniec tuliły się rzędy drewnianych budynków, szop i pustych stajni. Przed nimi stały dwa drabiniaste wozy i czterokołowa duża bryczka z budą. Od północy za rezydencją rozciągał się przyzamkowy folwark. Na spotkanie wybiegło im stado zgłodniałego ptactwa, rozgdakane kury i gęsi syczące z wyciągniętymi ku butom dziobami. Odszukali parobka i przez niego dotarli do zarządcy, który chrapał donośnie w pustym zmiętoszonym łożu. Musieli poczekać, aż tłusty (Gdzie mu tam do Mirela! — pomyślał Beniamin) nie ogolony typ, wzbudzający wstręt samym swym wyglądem, niechlujstwem i zapachem, włoży brudne spodnie, koszulę i kabat, aż

226 Zamek wzniesli w XV wieku Szamotulscy na przedmieściu Wronieckim miasta. W roku 1511 (lub 1513) stał się on, jako wiano Katarzyny Szamotulskiej, własnością kasztelana poznańskiego Łukasza Górki. Górkowie mocno rozbudowali zamek w XVI wieku, przekształcając go w renesansową rezydencje magnacką.

227 Autor Memoriału bardzo pobieżnie opisuje wygląd bramy, wszelako wiemy z XVIII-wiecznych „wizji” zamku (Archiwum Państwowe Miasta Poznania i Województwa Poznańskiego) z roku 1719 i 1720, że przedbramie było bogato rozbudowane architektonicznie. Był to — jak wykazują badania archeologiczne (patrz przypis 228) długi murowany wjazd.

228 Pierwotnie zamek był otoczony murem kurtynowym z czterema basztami na narożach, z których do dzisiaj dotrwała jedynie baszta Halszki. Relikty muru kurtynowego odsłonięto w trakcie badań archeologicznych, prowadzonych w latach 1971—72 pod kierunkiem mgr Janusza Łopaty. Z nieprecyzyjnego opisu zawartego w Memoriale trudno się zorientować jak duże fragmenty muru kurtynowego istniały jeszcze w roku 1806. Pewne jest, że zachowany był on wówczas od strony Południowej i zachodniej, we fragmentach idących od narożnika, w którym stała baszta Halszki.

napije się ze stojącego obok łóżka sagana i zawrzaśnie w głąb korytarza o żarcie. Dopiero potem przystąpili do rzeczy. Robersohn wyjaśnił, że trupa komediantów chce po długiej podróży zamieszkać przez kilkanaście dni na zamku i przygotować nowy program, z którym wystąpi w Poznaniu, na co tamten odparł, że w pałacu nie ma miejsca.

— A w wieży księżniczki? — spytał Robersohn. Zarządca czknął i odpowiedział wrzaskiem:

— W wieży też nie ma! Ja tu rządzę, wynocha! Bathursta świerzbila ręką na widok tej wyszczerbionej japy, ale uczynił to, co powinien był uczynić — użył ręki do wydobycia sakiewki ze złotem i potrząsnął nią, patrząc znacząco na grubasa. Ten wytrzeszczył oczy, zrobił krok do przodu i nagle na sinym worku jego twarzy rozlał się szeroki, odsłaniający żółte zęby uśmiech. W kilka minut później, po krótkim targu, wieża została wynajęta. Za dodatkowych kilka sztuk złota wynajął Beniamin dwie szopy stojące obok wieży, pod murem, na wozy Mirela.

Otrzymałszy klucze od zarządcy, który przestał się nimi interesować i znikł, by ukryć swój skarb, udali się do baszty Halszki. Była to potężna, wsparta na narożach skarpami, prostokątna w planie budowla z cegły²²⁹. Na wysokim podpiwniczeniu wspierały się trzy kondygnacje. Górna, zwieńczona stromym dwuspadowym dachem, który panował nad okolicą, była lekko nadwieszona, wyodrębniał ją od spodu arkadowy fryz kryjący machikuły²³⁰. Od ściany południowej wyrastał na całą wysokość wieży kamienny ryzalit, a od północy cylindryczna przybudówka zawierająca schody.

Otworzyli skrzypiące, zardzewiałe drzwi i poczęli wspinać się ślimakiem schodów. Dotarli do najwyższego piętra i przez drzwiczki na wprost ostatniego stopnia weszli do wąskiej sieni, a stamtąd do obszernej komnaty. Ze ścian i stropu zwisała płatanina pajęczyn.

Zapylone okna ocieniały wnętrze niczym gęste firanki. Kilka wytłuczonych szyb wpuszczało do środka chłód, zbyt słaby jednak, by mógł zneutralizować wszechobecną stęchliznę. Na podłodze wały się połamane sprzęty i jakieś trudne do zidentyfikowania

229 8,25 na 10,75 metra.

230 Średniowieczny system rażenia przeciwnika z góry poprzez otwór (machi-kułę) w nadwieszonym fragmencie budowli, np. w podłodze wykusza. W baszcie szamotulskiej skośne machikuły istniały w samym murze wieży.

przedmioty. Pod ścianą stały dwie stare kanapy i fotel, jedyny mebel cały, choć z przetartą prawie na wylot tapicerką. Jedna z nie zasłoniętych rupieciami machikuł okazała się na domiar nie zatkana szmatami. Bathurst spojrzął przez otwór w dół, lustrując promień rażenia u podnóża wieży. Potem wycofali się.

Dwa niższe piętra niczym się prawie nie różniły. W jedno-przestrzennej piwnicy, nasyconej wilgotnym mrokiem, którego nie mogło rozproszyć światło wpadające przez okrągłe okienka strzelnicze, spoczywały ciężkie kufry, stare włócznie i cztery armaty bez lawet. Bathurst po raz piąty już obchodził pomieszczenie wokół, gdy z zewnątrz dobiegło wołanie:

— Jesteśmy na miejscu, sir!... Hej! Przyjechali akuratnie, już są!... Na świętego Patryka, sir! Przyjechali!

Po awanturze z Mirelem Benjamin kazał komediantom wprowadzić wozy do szop i oddał im do dyspozycji dwie najwyższe kondygnacje wieży. Gdy wzięli się za ich porządkowanie, on zabrał komandosów do piwnicy i rozkazał poprzesuwać skrzynie oraz armaty. Szło im ciężko, sam musiał pomagać przy dźwiganiu masywnych luf. Tom „Rope” powtarzał co chwila:

— Przydałby się Rufus, do stu beczek solonych śledzi! — aż go Bathurst uciszył gniewnie. Kopali też w ziemi pod ścianami. Trwało to kilka godzin i przyniosło kompletne fiasko. Zryli łopatami ubity grunt, narobili dziur w ścianach i nie znaleźli ani śladu wylotu tunelu²³¹. Benjamin spojrzął na Robersohna, a ten wzruszył ramionami.

— Nie gwarantowałem, że tunel istnieje, Herr O'Leary. Mówiłem tylko, że słyszałem o nim, mówi się o nim na mieście.

„Mówi się”! Jeszcze jeden wesoły numer d'Antraiguesa i Castlereagha — gnojki, nawet nie potrafili dobrze zbadać terenu! Bathurst poczuł, jak znowu ogarnia go pasja na wspomnienie rozmów w Londynie. Inna sprawa, że Castlereagha tłumaczy niepewność co do miejsca — Szamotuły były brane pod uwagę jako jedna z wersji. Ale przecież

231 Mgr Janusz Łopata, który przeprowadził badania archeologiczne wokół wieży, zapewniał mnie (wrzesień 1975, że nie znalazł śladów tunelu i że jego zdaniem tunel taki nie mógł istnieć. Niewykluczone jednak, że tunel biegł bardzo głęboko, a jego wylot w klepisku piwnicy został zasypany dawno i zatarty przez czas tak, iż Bathurst nie mógł go odnaleźć. Potrzebne są tutaj dokładniejsze badania, także w kolegiacie i obok niej.

najpoważniejsza! A d'Antraigues przywiózł im to, co „mówi się”, gminną bajdę, podając ją za pewną wiadomość! Porozmawia się z nim po powrocie!...

Chciał ustawić „Turka” w centrum komnaty parterowej, nad otworem przebitym w beczkowym sklepieniu piwnicy, i przez dziurę dokonać zamiany, a następnie wynieść zdobycz podziemnym lochem do kolegiaty, pod którą czekałyby już konie. Teraz zrozumiał, że może się pożegnać z tym planem. Mógłby, co prawda, przetrzymać Napoleona w piwnicy do momentu, gdy fałszywy cesarz odjedzie z eskortą, ale zdawał sobie sprawę z tego, że cała akcja jest takim wariactwem, iż nawet w przypadku udanego porwania, potem, na trasie Szamotuły—Kołobrzeg, decydować mogą nie minuty, lecz sekundy. Nie może sobie pozwolić na stratę nawet jednej, bo ta jedna mogłaby się okazać decydującą. Musi wywieźć łup natychmiast i bezzwłocznie puścić konie w galop. Co robić?!

Przebiegł w pamięci wszystkie kondygnacje, które obejrzeni z Robersohnem, i raptownie olśniło go. Pociągnął Robersohna za sobą, reszta podążyła za nimi. Na parterze skierował się wprost ze schodów w lewy narożnik. Zza pogruchotanej komody wystawał górny fragment jakichś drzwi.

— Gdzie prowadzą te drzwi? — zapytał Robersohna.

— Gdzie prowadzą? Chyba... chyba na bramę, Herr O'Leary, tak mi się wydaje.

Bathurstowi wydawało się podobnie. Rozkazał odsunąć mebel i wyważyć drzwi.

Prowadziły na biegnący u szczytu murów i nad sklepieniem bramnym ganek straży, który komunikował obie baszty flankujące wjazd. Można było tym gankiem przejść na mniejszą wieżę i podążyć dalej za zasłoną przedpiersia i drewnianej, mocno już zmurszałej nadbudowy z daszkiem. Miał to, czego chciał, i narysował sobie w wyobraźni cały plan działania.

— Heyter!

— Yes, sir!

— Durniu! Nie wolno wam odzywać się do mnie „sir” przy obcych.

— Ale tu nie ma obcych, sir.

— Nie drzyj się! W ogóle unikajcie głośnych rozmów, a już szczególnie po angielsku.

Mamy dobre paszporty, ale...

— Ale strzeżonego święty Patryk strzeże — dokończył Robertson.

Raczej diabeł — pomyślał Bathurst i zwrócił się do mechanika:

— Słuchaj, Brian. W tym właśnie miejscu stanie pudło automatycznego szachisty, na styk z tymi drzwiami, a raczej z otworem drzwiowym, a jeszcze dokładniej — z boazerią, która przykryje górną część otworu.

— Obawiam się, sir, że nie wniesiemy skrzyneczki tymi schodami, zwłaszcza przez drzwi wejściowe u dołu.

— Wiem, myślałem o tym. Trzeba będzie rozmontować „Turka” i złożyć go tu na powrót. Zrobisz to z Manuelem, a do pomocy masz każdego, kogo zechcesz... Co z Manuelem?

— zwrócił się do Józefa.

— Z Diazem? Zdrów jak ryba! — wycedził Polak ponuro.

— To dlaczego leży w wozie?

— Bo mu dobrze słabować. Diana go leczy.

— Właśnie, a nie ciebie, bratku, bo się już tobą znudziła akuratnie. Zazdrość cię gryzie, ot co! — wtrącił z uśmiechem Robertson.

— Juan — krzyknął Bathurst — biegnij po brata i powiedz mu, że albo się zaraz podniesie z betów, albo ja go podniosę!

Młodszy Diaz wyleciał jak oparzony, a Beniamin zwrócił się do Robertsona:

— Ty, Allan, zostaniesz tu z Sijem i uporządkujesz ten lamus, bo będziemy w nim mieszkać. Pomoże wam Juan. Jak przyjdzie Manuel, odeślij mi go do tamtej wieży. Panu już dziękuję, Robersohn, w razie potrzeby wezwę pana. Do widzenia. Za mną, chłopcy. Przeszli gankiem do mniejszej baszty. Górna partia była zrujnowana, strzelnice pozatykane deskami, dach w dziurach. Dwa niższe pomieszczenia znajdowały się w lepszym stanie. W jednym z nich, w którym Bathurst kazał urządzić sobie sypialnię, rozsiedli się na stertach worków i skrzyniach.

— Uważajcie, dowiecie się teraz, o co gramy — powiedział Beniamin, a słowa te zasiały kamienną, głodną ciszę. — Naszym zadaniem jest porwanie zdrajcy, oficera francuskiego wywiadu, który pracuje dla obu stron.

— To już drugi — mruknął Tom.

— Jaki drugi?

— No, drugi Francuz, sir, bo jednego już porwaliśmy.

— Tamten był tylko ćwiczeniem, a że zdałeś ten egzamin, więc i tym razem odegrasz pierwszoplanową rolę w naszej grze.

— Czuję się zaszczycony, sir — odpowiedział marynarz wesoło, wkładając do ust kolejną prymkę tytoniu.

Wszedł Cygan. Bathurst gestem ręki kazał mu usiąść i kontynuował:

— Ten oficer to zapalony szachista. Ściągnę go tu i pokażę mu automat, po czym wyjawię, że to fałszywy android, i odsłonię wnętrze. Nie ulega wątpliwości, że będzie chciał sam się pobawić „Turkiem” i wejdzie do środka. Ale już stamtąd nie wyjdzie.

— Czy on tu przyjedzie sam? — spytał Polak.

— Nie, z obstawą.

— Więc to ktoś ważny...

— Zgadza się, to wysoki oficer, zawsze porusza się z eskortą.

— Więc w jaki sposób...

— Dowiedzie się zaraz, tylko nie przerywajcie, jeszcze nie skończyłem. Zanim on się pojawi w Szamotułach, przywiozę tu jego sobowtóra i to właśnie sobowtór wyjdzie ze skrzyni. Chodzi o to, by obstawa nie spostrzegła zamiany. Kim jest sobowtór i jak go znalazłem, nie wasza sprawa. Ubranie i inne detale też biorę na siebie. Wy musicie przygotować pułapkę.. Słuchaj uważnie, Brian. Skrzynię ustawisz boczną ścianką na styk z drzwiami, ale drzwi nie mogą być widoczne. Przykryjecie ścianę, w której się znajdują, boazerią.

— Całą ścianę? — spytał Heyter.

— Całą, aż do stropu.

— Przepraszam, że przerywam, sir, ale pomyślałem sobie o czymś...

— Więc mów, jeśli to ważne.

— Chyba ważne, sir. Wszystko jest stare i zmurszałe. Nowo położona boazeria będzie się odróżniać...

— Heyter! — przerwał mu ze złością Benjamin. — Jesteś idiotą czy udajesz idiotę? To już twoja głowa, by zrobić to tak, aby się nie odróżniało. Dasz stare, brudne deski... Zresztą nie mam zamiaru cię uczyć. Niedługo przyjdiesz zapytać, jak masz dłużyć w nosie, co?! Słuchaj dalej. Boazeria będzie miała u dołu otwór odpowiadający otworowi w bocznej ścianie skrzyni. Przez tę dziurę wyciągniemy Francuza. Większą część wyposażenia skrzyni, prawie wszystkie te kółka i dźwignie, trzeba będzie usunąć, tak by skrzynia stała się wewnątrz prawie pusta.

— Wówczas „Turek” nie będzie funkcjonował — zauważył Manuel.

— To jasne, pomyślałem już o tym. Początkowo chciałem pozwolić Francuzowi na zagranie, a dopiero po wyjawieniu mu tajemnicy usunąć mechanizmy. Ale nad tym musielibyście się dobrze pogłowić i nie wiem, czy byłoby to wykonalne. Mamy zbyt mało czasu, najwyżej dwa tygodnie, a chyba mniej. Zdecydowałem więc, że gry nie będzie i tylko kiedy on wejdzie do środka, kilka ruchów...

— Przepraszam, senor — wtrącił jeszcze raz Manuel — ale w jaki sposób zainteresujemy go wnętrzem, nie dając mu uprzednio możliwości gry?

— Nie musimy mu dawać tej możliwości, bo on już grał z „Turkiem” i sądził, że gra z maszyną. Wystarczy mu tylko powiedzieć, że został oszukany. Czy już wszystko jasne?

— Jasne, sir — odpowiedział Heyter. — Postaramy się przytulić zabaweczkę do ściany jak policzek do policzka. Ile mamy czasu?

— Tydzień.

— Powinno starczyć, sir.

— Musi starczyć, Brian!... Aha, jeszcze jeno. Nie wolno wam wyjawiać planu Robertsonowi, to papla. Każdy z was może opowiadać o planie, komu chce, ale niech nie zapomni przedtem napisać testamentu. Czy jasno się wyraziłem?

— Jasno i zupełnie niepotrzebnie, sir — odparł za wszystkich Tom, głosem, w którym tkwiła uraza.

— Dobrze. Jutro rano wyjeżdżam. Nie wiem, kiedy wrócę. Jeśli nie wrócę za dwa tygodnie, zwijajcie manatki i wiejcie do Kołobrzegu. Tam skontaktujecie się z piwiarzem Nettelbeckiem, i wsiadziecie na „Mewę”. Zapamiętajcie to nazwisko, Nettelbeck,

właściciel browaru. Hasło: „Czarny”, odzew: „Jak orzeł”, odzew na odzew: „I jak krzyż”.

Zapamiętacie? Dowództwo obejmuje Józef. Znasz już zarządcę?

Polak, do którego skierowane było to pytanie, potrząsnął przecząco głową.

— Więc zaraz poznasz. Będzie ci się łatwo porozumieć, bo on mówi po polsku. Chodźmy tam, musimy kupić od niego mięso, drób, jarzyny i co tylko będzie trzeba do żarcia. I jeszcze jakieś kożuchy, bo robi się zimno. Gdyby nie miał kożuchów, Robertson załatwi to ze swoim krewniakiem.

Wczesnym świtem 3 grudnia (środa) Beniamin raz jeszcze przypomniał Józefowi o potrzebie zachowania ostrożności i czujności.

— Pilnuj bagaży w dzień i w nocy. Nie zapomnij o strażach. Nawet przez sekundę teren nie może pozostać nie pilnowany. Uważaj na Mirela i jego ludzi, nie wolno im wychodzić na miasto. Miej twardą rękę, nie patyczkuj się!

Po czym dosiadł konia i ruszył w kierunku Poznania. Ominął miasto od zachodu, wyskakując polną drogą na trakt do Stenszewa (Stęszew) i tym traktem przez Kosten (Kościan) osiągnął bez żadnych kłopotów po drodze Gosteen (Gostyń)²³². Było blade, bezsłoneczne przedpołudnie, gdy dotarł do klasztoru. O drogę nie musiał pytać — zielonkawa kopuła najdokładniejszej w Europie kopii weneckiego kościoła Santa Maria delia Salute²³³ widoczna była z odległości wielu mil. Kierując się na święte wzgórze²³⁴, którego barok królował nad wielohektarową połacią ziemi zamkniętą w kole widnokregu, objechał miasteczko płytkim parowem i zaczął się wspinać ścieżką wśród pól spadających ku coraz to odleglejszym w dole dachom domów. Ścieżka była zryta dziesiątkami kopyt i wojskowych butów. Zastanowiło go to. Wyobrażał sobie, że znajdzie

232 W tym przypadku autor Memoriału nie użył nazwy niemieckiej, lecz po prostu angielskiej transkrypcji fonetycznej nazwy polskiej.

233 Budowę kościoła filipinów (Kongregacja Oratorium Świętego Filipa Neri) w Gostyniu rozpoczęto w roku 1677 z polecenia fundatorki, Zofii z Opaliriskich Konarzewskiej, która tuż przedtem zwiedzała Włochy i rozkochała się w świątyni Santa Maria delia Salute. Korpus został wzniesiony przez braci Jana i zwłaszcza Jerzego Catenaccich według planów twórcy weneckiego obiektu, Baltazara Longheny. W latach 1726—28 Pompeo Ferrari dobudował kopułę i ukończył prezbiterium, a następnie, w latach 1732—36, wznosił obok klasztor, ukończony ostatecznie w roku 1748.

234 Wzgórze pod Gostyniem, na którym wzniesiono barokowy kompleks kościelno-klasztorny, już w średniowieczu otoczone było kultem Maryjnym (istniała tu w XV wieku drewniana kaplica) i zwane Świętą Górą. Nazwa ta przetrwała do dzisiaj.

się w oazie ciszy i spokoju, w nasyconym rozmodleniem i kadzidłami sanktuarium. Skąd mógł wiedzieć, że zbliża się do piekła?

Z odległości stu jardów wiatr przyniósł mu do uszu dzikie wrzaski i chóralne śpiewy.

Zastanowił się, czy nie lepiej będzie zawrócić, lecz gdy minęła go, nie zwracając nań uwagi, grupa kawalerzystów w dziwnych mundurach, jakich nie widział do tej pory, zdecydował nie wycofywać się. Żołnierze, którzy go minęli, rozmawiali po niemiecku i to też było dziwne. Nic z tego nie rozumiał i chcąc nie chcąc powierzył się losowi, ten zaś, jak wiadomo, nie zawsze okazuje się optymalnym powiernikiem.

Przy wysokim murze otaczającym świątynię i klasztor księży filipinów stały pod drzewami liczne namioty, jaszczce, wózki i karabiny w kozłach, suszyły się na sznurach koszule i gacie żołnierskie, dookoła dudniła kaskada przekleństw i sprośnych dowcipów, z namiotów dobiegały chutliwe śpiewy i popiskiwanie gamratek, a nad tym wszystkim unosił się jedyny w swoim rodzaju obozowy zapaszek — konglomerat potu, moczu, pleśniejących sucharów, brudnej lub parującej bielizny, prochu, alkoholu, smarów do osi i gorącej wody, w której moczy się kureę, by ją łatwiej oskubać przed wbiciem na rożen. Beniamin rozejrzał się z wysokości siodła i stwierdził, że przy bramie prowadzącej na dziedziniec klasztoru stoi wartownik, a brama na dziedziniec kościoła jest wolna. W dalszym ciągu nie zwracano nań uwagi. Wjechał w nie strzeżoną bramę i zorientował się, że dziedziniec kościelny oddzielony jest od klasztornej murem wewnętrznym z furką również pilnowaną przez straż. Pokłusował na drugą stronę świątyni, zdjął torbę podróżną i uwiązawszy konia u nisko zwisającej gałęzi drzewa wstąpił na schody kościoła.

Znalazł się w ośmiobocznej nawie, pełnej światła i gigantycznych form, które miażdżyły, jeśli nie trzymało się wzroku na poziomie oczu. Stojąc w przejściu między dwoma rzędami ław, podniósł głowę. Ośmioboczna powłoka czaszy wydała mu się kolorowym niebem i zdawała się wirować, aż zakręciło mu się w głowie²³⁵. Przekroczył jedną z sześciu arkad wspartych na olbrzymich kolumnach i rozpoczął wędrówkę wzdłuż bocznych kaplic i misternie rzeźbionych konfesjonałów. W jednym z nich ujrzał kapłana

235 Wewnętrzna powłoka gostyńskiej kopuły ozdobiona jest ośmioma freskami Wilhelma Jerzego Neunhertza z roku 1746, przedstawiającymi życie św. Filipa Neri.

czytającego książeczkę oprawioną w purpurowy safian. Uklęknął na bocznym stopniu i zapukał. Ksiądz odwrócił twarz i zapytał o coś po polsku, a wówczas Bathurst rzucił się na los szczęścia:

— Vingt et un... Vingt et un jours!²³⁶

Tamten wytrzeszczył oczy przez roślinne zwoje zastępujące kratki i po chwili odezwał się niepewnie po niemiecku:

— Nie znam francuskiego, synu, ale może...

— A ojca Stephena ksiądz zna?

— Stifen? Aaaa, ojciec Stefan!

— Ten, co był w Paryżu.

— Tak, tak, wiem. Znajdziesz go, synu, w klasztorze. Idź i zwróć się do...

— Ojczy, mam prośbę. Czy ojciec nie mógłby przyprowadzić tu do mnie ojca Stephena? Jeśli będę się tu szwendał sam, to...

— Grozi ci coś z ich strony, synu?

— Ciagle nam coś grozi w życiu, ojczy.

— Masz rację, synu, zwłaszcza ze strony takich jak oni! Ostatnie słowa ksiądz wypowiedział znaczącym tonem, tak poufałym, jakby się znali od lat. Potem podniósł się ciężko, otworzył drzwiczki, wyszedł z konfesjonału, rzucił baczne spojrzenie na twarz Beniamina i podreptał w kierunku głównego ołtarza, by zniknąć za filarem.

W kwadrans później zza tego samego filara wyłoniła się sylwetka brodatego mnicha. Pierwszym spojrzeniem Beniamin poszukał w jego twarzy podobieństwa do cesarskiej. Było, i nawet gęsty zarost nie niweczył go ze szczętem, ale oczywiste było tylko dla kogoś takiego jak on, wtajemniczonego — dla obcych i nie uprzedzonych nie do wychwycenia. Bathurst miał wyobraźnię plastyczną — namalował sobie pod czaszką kosmyk, lśniący ogolony podbródek, groźniejsze, bardziej ostre spojrzenie, uniform na miejsce habitu. Wspaniały okaz jego cesarskiej mości, przynajmniej tutaj d'Antraigues nie blagował.

Podszedł do zakonnika i przywitał go szeptem:

236 Dwadzieścia... dwadzieścia jeden dni!

— Bonjour... Je suis O'Leary, de Londres²³⁷.

Zakonnik spojrział nań spod przymrużonych powiek i mruknął:

— De Londres?... Cest une longue route...²³⁸

Bathurst chciał powiedzieć hasło, lecz usłyszał jakieś kroki za plecami i nie otworzył ust.

Przeszedł obok nich ksiądz zatopiony w modlitwie. Zakonnik pogłaskał ręką brodę i spytał:

— Pourriez-vous m'expliquer, monsieur, pour quelle raison vous êtes arrive ici?²³⁹

— Pour me rencontrer avec vous...²⁴⁰

— Je ne vous connais pas!²⁴¹ — wszedł mu w słowo mnich.

— ... et pour vous dire deux mots²⁴².

— Et quoi donc?²⁴³

— Vingt et un!

Zakonnik drgnął, rozejrzył się wokół i cofnął o krok, w ciemną niszę. Bathurst postąpił za nim.

— Jak mam się do ciebie zwracać, księżu? — spytał.

— Mówią na mnie Stefan, brat Stefan, ojciec Stefan.

— Więc i ja tak będę mówił. Ale nie będziemy chyba stać, jestem zdrożony, usiądźmy.

— Nie tutaj, synu. Za chwilę przyjdą tu bracia przygotowywać świątynię na uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. To już za kilka dni. Przejdziemy do klasztoru.

— Tam są strażę!

— Przejdziemy przez kościół. Wewnątrz, w korytarzu, nie pilnują... Pełno ich tu, po kościele też łążą, ale nie baczą tak pilnie jak przy bramie. Klasztor zajął sztab, ale myślę, że przy studni będzie bezpiecznie.

Studnia okupowała sam środek obszernego wirydarza wewnątrz klasztoru, stanowiła

237 Dzień dobry... Jestem O'Leary, z Londynu.

238 Z Londynu?... To daleka droga.

239 Może mi pan wyjaśnić, po co pan tu przyjechał?

240 Żeby się z panem spotkać...

241 Nie znam pana...

242 ... i żeby powiedzieć dwa słowa.

243 Co mianowicie?

więc pępek całego kompleksu. Nie była to zwykła studnia. Nad niewielką górną cembrowiną wyrastała drewniana świątynka kilkunastometrowej wysokości z cebulastą kopułą iście bizantyjskiego chowu, wspartą na kołnierзовym daszku i ośmiu słupach, wokół których biegly nisko poprzeczne belki łącznikowe, mogące służyć jako siedzenie²⁴⁴. Wokół piętrzyły się wysokie krzewy, stanowiące parawan dla niepożądanych oczu, lecz nie dla hałasu, którym rozbrzmiewał klasztor. Przez okna, regularnie rozmieszczone między pilastrami, dobiegały krzyki, rzadziej francuskie, częściej niemieckie.

— Co to za wojsko? — spytał Bathurst.

— Wojsko szatana, mój synu. Bawarczycy! Tydzień temu raczył zawitać do nas i obrać sobie w klasztorze kwaterę jego cesarska wysokość prince Jérôme, brat jego cesarskiej mości Napoleona²⁴⁵.

Mnich mówił to z głęboką nienawiścią w głosie. Wymówiwszy imię Napoleona, obejrzał się trwożliwie do tyłu i dopiero potem wyrzucił z siebie gwałtownie:

— Jeśli antychryst chodzi po ziemi, mój synu, to wybrał sobie ciało tego księcia i otoczył go zastępem sług piekielnych. W pierwszą już noc zmienili klasztor w cuchnący zamtuz! Nasprawdzali dziewczek sprośnych i poczęli plugawić nasz dom, który jest domem Bożym, a teraz i tego im nie dość, porywają niewiasty z miasteczka i gwałty po celach czynią! Książę pan pierwszy w tych sprośnych uciechach, z trzema gamratkami sypia, dniem i nocą Panu Bogu ubliżając²⁴⁶. Piją od samego przybycia, jednej godziny

244 Studnia istnieje do dzisiaj w postaci, jak mnie zapewniano w klasztorze, nie zmienionej. Szpic cebulastej kopuły wieńczy iglica z chorągiewką, na której widnieje data: 1657. Widać z tego, że studnia jest jedyną pozostałością wcześniejszego od obecnego, drewnianego klasztoru. Data na chorągiewce wskazuje również, że studnia istniała jeszcze przed powstaniem Kongregacji Oratorium (1668), musiała więc pierwotnie służyć drewnianemu kościołowi NM Panny, wzniesionemu w roku 1512 przez kasztelana śremskiego Macieja Borka Gostyńskiego.

245 W klasztorze gostyńskim książę Hieronim Bonaparte (1784—1869), późniejszy król Westfalii, stanął wraz ze swoim sztabem i kilkoma kompaniami Bawarczyków w dniu 26 listopada 1806 roku. Klasztor był okupowany przez wojsko w ciągu ponad dwóch miesięcy.

246 Gdy podczas mojej wędrówki tropem „Szachisty” dotarłem do Gostynia, uprzejmi księża, ugościwszy mnie uprzednio pysznym obiadem, udostępni mi archiwum klasztorne. W znajdującym się tam manuskrypcie, swego rodzaju pamiętniku, pisany przez księdza Kaspra Dominikowskiego (Zbiór wiadomości o świętej Górze pod Gostyniem osiadłej przez Kongregację Oratorii Świętego Filipa Neriusza, ukończony w czterech częściach we wrześniu 1836), w części III, na stronie 297, znalazłem następujący zapis na temat Hieronima:

„Sam ten Książę pozostanie powszechnie na zawsze słynnym ze swego niegodziwego postępowania. Sztab jego byli to wszyscy synowie okropnej Rewolucji Francuskiej (...) Wojsko ich zdawało się być z

trzeźwi jeszcze nie byli, ściany pomazali ohydnyimi słowy i rysunkami, o których grzech myśleć! Do loszku z winem mszalnym wdarli się siłą, brata klucznika pobiwszy okrutnie, potem zaś księżę pan w kadzi winem tym po brzegi wypełnionej kapał się z gamratką, nagi na podobieństwo Adama²⁴⁷. Nie dość tego, niszczą, co pod rękę wejdzie, okna tłuką, sprzęty łamią, wota rozkradają, nawet butelkom nie darowali, paląc je na dziedzińcu nocą i tańcząc wokół jak czarownice na sabacie!²⁴⁸ Istny to sabat, synu!

Wzniósł oczy ku górze i jęknął:

— Boże mój, Najświętsza Panienko, zmiłujcie się nad nami, uwolnijcie święty przybytek od tej plagi biblijnej, od tej szarańczy opisanej w Objawieniu świętego Jana, od tych Lucyferów i Belzebubów, od...

— Ciszzej, ojcze!! — syknął Bathurst.

Mnich zakrył twarz rękami i zamilkł.

— Posłuchaj, ojcze. Wyjeżdżamy do Poznania, nadszedł czas. Musisz jak najszybciej postarać się o cywilne ubranie. Umiesz jeździć konno?

— Umieję, synu, uczyłem się wraz z młodym hrabią Potockim.

— To dobrze. Kiedy będziesz gotowy, ojcze?

— Zaraz, nie tak szybko, synu, to nie takie proste. Muszę najpierw poprosić o zezwolenie ojca przełożonego, a w ogóle nie wiem nawet, o co chodzi.

— Dowiesz się na miejscu, księżę! Chodzi o walkę przeciw tym antychrystom. A teraz idź i porozmawiaj z przeorem. Musimy wyruszyć najpóźniej jutro, czas nagli!

— Ależ, synu...

kraju, któren żadnej nie ma cywilizacji, głównymi przymiotami tegoż były grubijaństwo, niesubordynacja i rozwiążłość”.

247 Zawarta w Memoriale relacja na ten temat, chociaż szokująca, jest niewątpliwie autentyczna. Kąpiele, często codzienne, w winie, mleku i wodzie kolońskiej należały do ulubionych, rytualnych wręcz upodobań rozpasanego księcia. Podczas jego pobytu w Warszawie w kwietniu 1812 roku sensację wywołała wiadomość, że wino, które Hieronim ściągnął od władz miejskich nieomal jak kontrybucję wojenną, jest po kąpielach odkupywane przez kupców od służby dworskiej, na nowo beczkowane i sprzedawane. W rezultacie popyt na wino spadł wówczas w stolicy prawie do zera.

248 Niektóre z faktów podanych w Memoriale znajdują swoje potwierdzenie we wspomnianym manuskrypcie księdza Dominikowskiego. Na stronie 298 (część III) jest tam opis napadu, jakiego dokonali żołnierze na „sklep z winem francuskim”. Brat nim zarządzający zabarykadował się, wezwano oficera, ale ten zgodził się z żołnierzami i ci wdarli się do środka, by potem pić na umór. Na koniec palili puste butelki na dziedzińcu przez dwa dni i dwie noce, aż szkło stopiło się na płynną masę.

— To rozkaz, księżu.

Mnich pokiwał głową z rezygnacją i schowawszy dłonie w szerokie rękawy habitu poczłapał do klasztoru. Beniamin został sam, lecz nie na długo. Usłyszał kroki i sądził, że to zakonnik powraca. Zobaczył oficera w zielonym mundurze. Tamten, ujrawszy go, stanął jak wryty. Bathurst podniósł się z belki i niepotrzebnie, odruchowo, zrobił krok wstecz.

— Halt!²⁴⁹ — krzyknął oficer.

Beniamin zatrzymał się i wzbudził teatralne zdziwienie w swoich oczach. Oficer przyskoczył ku niemu.

— Kim jesteś?! Co tu robisz?!

— Zwiedzam klasztor, panie majorze.

— Nie jestem majorem, choć już dawno powinienem nim być. A ty kim jesteś?!

— Jestem kupcem.

— Kupcem? Od kiedy to kupcy zwiedzają klasztory? Zwłaszcza zajęte przez wojsko? Jak tu wszedłeś?

— Przez bramę.

— To ciekawe, bo strażę nie wpuszczają cywilów. A dalej?

— Dalej przez kościół, korytarzem, na ten dziedziniec — odparł Bathurst, przy czym zrobił kilka kroków do przodu i jednocześnie lekkim kopnięciem wepchnął głębiej za słup swą sakwę.

— Przez kościół? To jeszcze bardziej ciekawe. Bardzo ci widać na tym zależało. A najciekawszy jest twój akcent, bardzo dziwny, jak na mój gust.

— Bo jestem Irlandczykiem.

— Ooooo! So ein englischer Spion!²⁵⁰

— Nie jestem angielskim szpiegiem, jestem uczciwym Irlandczykiem.

— Englischer, irischer, das ist mir egal! Wenn das so ist, dann...²⁵¹

— Protestuję! — krzyknął Beniamin z oburzeniem.

249 Stój!

250 A więc angielski szpieg!

251 Angielski, irlandzki, to dla mnie wszystko jedno!... Jeśli tak, to.

— Milczeć! — usłyszał w odpowiedzi.

Oficer wpatrywał się w niego spod przymrużonych powiek, ważąc coś w myślach.

Bathurst zrobił jeszcze krok do przodu, lecz tamten wyszarpnął pistolet i skierowawszy lufę w pierś Anglika warknął:

— Łapy w górę! Ruszaj przodem, Irlandczyku, i nie próbuj uciekać! Nie prześcigniesz kuli!

Bawarczyk zaprowadził go na piętro, do obszernej komnaty, w której rezydował francuski kapitan.

— Panie kapitanie! — szczechnął, zwracając uwagę na siebie i więźnia.

— Czego chcesz, Lothar? — zdziwił się kapitan.

— Melduję, że przyprowadziłem gagatka, panie kapitanie. Oszukał nasze straże i wszedł do klasztoru przez kościół. Mówi, że zwiedza. W czasie wojny!

— Pewnie chciał zwiedzić nasz sztab — zadrwił kapitan.

— Tak właśnie sobie pomyślałem, panie kapitanie. Dlatego wziąłem na siebie rolę przewodnika i od razu przyprowadziłem go tutaj, żeby za bardzo nie błądził i nie zmęczył się biedaczek.

— Dobrze zrobiłeś, Lothar, udało ci się wreszcie zrobić dobry uczynek. Co prawda to twój pierwszy dobry uczynek w życiu, ale lepiej późno niż wcale.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Kapitan wypił szklankę wina i spytał:

— Czy nasz gość się przedstawił?

— Tak jest, panie kapitanie. Powiedział, że jest Irlandczykiem.

— Tak powiedział? Że też mu się chciało wędrować tak daleko od ojczyzny! Czego to ludzie nie zrobią, żeby umrzeć.

Kapitan podniósł się z fotela i podszedł bliżej. Bawił się srebrną figurką wyobrażającą świętego.

— Irlandczyk... To pięknie, brawo, Lothar! Obszukaj go.

W chwilę później dokumenty Bathursta znalazły się w ręku kapitana.

— O, są i papierki!

Kapitan rzucił na nie okiem i zapytał Beniamina:

— Nazwisko?

— O'Leary.

— Zgadza się. To dowodzi, że Irlandczycy mają dobrą pamięć, nie zapominają swoich nazwisk. Co tu dalej stoi?... Kupiec, kilka lat przebywał we Francji.

— Pewnie tam szpiegował! — wtrącił Bawarczyk.

— Nic podobnego! — zaprotestował Beniamin. — Jestem Irlandczykiem, emigrantem, uciekłem do Francji po...

— Stul pysk! Będziesz mówił, jak cię pytają! Poszukaj dokładnie, Lothar, niczego więcej tam nie ma? Żadnych pieniędzy?... Mille tonneres!²⁵² Kto cię tu wprowadził, Irlandczyku, jeden z księży, prawda?

Bathurst nie odpowiedział.

— Nie drażnij mnie, Irlandczyku! Pokażesz nam tego kleryka, który cię wprowadził!

— Nikt mnie nie wprowadzał, sam wszedłem. Chodziłem po kościele, nagle natrafiłem na jakieś drzwi i korytarz, poszedłem nim i znalazłem się przy studni.

— A jak tu przyjechałeś?

— Powozem jakiegoś oficera, który mnie zabrał po drodze.

— Więc jesteś kupcem, który wędruje po kraju pieszo i bez grosza w kieszeni? Masz nas za durniów?!

— A czy szpiedzy chodzą pieszo i bez grosza w kieszeni, kapitanie? Wczoraj zostałem napadnięty koło Priment²⁵³ i doszczętnie obrabowany. Dobrze chociaż, że zostawili mi gacie! Jechałem w interesach do Głogowa, a teraz wstąpiłem tu, by wyprosić u Boga odmianę złego losu. Ot, co mi zostało, ubranie!

— No, zostawili ci nawet laskę z tak piękną gałką. Dziwni musieli to być zbóje!

— To byli żołnierze.

— Jacy żołnierze?

— Nie wiem, nie znam się na mundurach. Mówili po niemiecku.

— Nie znasz się? Ale my się znamy na takich ptaszkach! Staniesz przed sądem wojskowym. Lothar, weź go do lochu i każ dobrze pilnować. Wieczorem będzie sądzony.

252 Do stu piorunów.

253 Przemęt? Trudno zidentyfikować tę miejscowość.

— Jeszcze raz protestuję — obruszył się Beniamin — nie jestem szpiegiem!

— Gównu mnie obchodzą twoje protesty. Jeśli nie potrafisz udowodnić swej tożsamości i zamiarów czymś innym niż te świstki, jeszcze tej nocy będziesz mógł zaprotestować u władzy najwyższej.

Francuz wskazał palcem w górę i znowu obaj z kompanem wybuchnęli śmiechem.

Beniamin zrozumiał, że nie żartują i że jest już bardzo blisko grobu. Wpadł na jeszcze jeden pomysł.

— Potrafię udowodnić swą tożsamość inaczej — oświadczył zdecydowanie. —

Poświadczy ją szef żandarmerii we Frankfurcie. To mój znajomy, oddałem mu cenne usługi. On dobrze wie, że byłem irlandzkim powstańcem, walczyłem przeciw Londynowi i w dziewięćdziesiątym ósmym musiałem uciekać do Francji. Jeśli mnie zamordujecie, panowie, będzie was to kosztowało drogo, bardzo drogo.

Kapitan już otworzył usta, by krzyknąć na niego, lecz zaniechał. Najwyraźniej słowa Bathursta stropiły go.

— Słuchaj, Lothar — powiedział niepewnie do Niemca — cholera wie. Może lepiej poczekać, aż major wróci z Poznania? Wreszcie takie sprawy należą do niego...

— A może zameldować pułkownikowi? — podsunął Bawarczyk.

— Pułkownik pije z Ingrid. Jak wejdiesz w nieodpowiedniej chwili, rozwali ci łeb.

Szpiegostwo należy do majora, nie będziemy brać odpowiedzialności na siebie.

Zamkniemy gagatka i poczekamy. A te drzwi do kościoła trzeba będzie obstawić, żeby się tu nie szwendał każdy, komu tylko przyjdzie ochota!

W chwili, gdy Bathursta ciśnięto do ciemnicy, zakonnik znalazł się z powrotem przy studni. Wiedział już, co zaszło, słyszał, jak żołnierze mówili w korytarzu o „kupcu schwytanym przez Lothara”. Odnalazł sakwę, zaniósł do swej celi i przeszukał. Znalazł rewolwer, kilkanaście naboji, woreczek ze złotem, pobrudzoną książkę z notatkami na marginesach, kilka przyborów podróży i medalik z Matką Boską. Następnie odszukał i ukrył w szopie przy cmentarzu konia Bathursta, po czym udał się ponownie do przełożonego²⁵⁴.

254 W latach 1800—1827 przełożonym Kongregacji był ksiądz Kasper Szpetkowski.

— Wybacz, ojcze, że znów cię niepokoję, ale stała się rzecz straszna. Aresztowano tego człowieka, z którym miałem jechać!

— Kto go aresztował?

— Ten kapitan, który zrabował wino! Najgorszy ze wszystkich!

— A za co, bracie Stefanie?

— Oskarżyli go o szpiegostwo. Pomóż, ojcze!

— W czym mogę tu pomóc, bracie? Czy oni słuchają kogoś?

— Proszę o radę, ojcze. W sakwie tego gościa znalazłem dużo złota, może uda się...

— Broń cię Panie Boże, ojcze Stefanie! Już i tak dość nieszczęść spadło na Kongregację! Jeśli będziesz chciał wykupić więźnia, na wszystkich braci padnie podejrzenie o współpracę ze szpiegiem. Ci piekielnicy tylko czekają na pretekst, by nas do ostatka pognębić.

— Więc co robić, ojcze? Zlituj się, poradź! Szpetkowski zamyślił się i długo trwało milczenie. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Bracie Stefanie, nieczysty to sposób, ale niech na mnie spadnie kara Boża, innej rady nie widzę. Musisz iść do miasta i porozmawiać z arendarzem Szmerlem.

— Ojcze przełożony! Z tym lichwiarzem, tym przecherà, tym bezbożnym zdziercą?! I co ten Żyd pomoże?

— Jeśli zarobi na tym, pomoże. Czy tego złota starczy, nie wiem, ale wiem, że tylko przez niego można to załatwić, to ostatnia nadzieja. Od pierwszego dnia, jak tu stanęło wojsko, major, przełożony kapitana, robi interesy ze Szmerlem. Widują się prawie codziennie. To jemu sprzedał wota, które nam zrabowali.

— Jemu?!

— Nie wiedziałeś o tym, bracie Stefanie? Jemu, za gotówkę i za córkę Szmerla, Łaję. To ta ładna dziewczyna, która przychodzi do niego wieczorami ubrana jak papuga. Musisz przekupić arendarza, żeby powiedział majorowi, iż zna tego Irlandczyka jako kupca, że robił z nim interesy. Słowem niech poręczy za niego, a wówczas może go puszczać. Majorowi zależy na dobrych stosunkach ze Szmerlem, dużo na tym zarabia...

— Ale mojora nie ma w Gostyniu, wyjechał do Poznania!

— Na długo?

— Nie wiem, ojciec przełożony, chyba na kilka dni.

— Więc musisz uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż on wróci. Innej rady, jako rzekłem, nie widzę, bracie Stefanie.

Rada była dobra. Bathurst został uwolniony po trzech dobach, w nocy z 6 na 7 grudnia 1806 roku. Oddano mu laskę i dokumenty, i kazano wynosić się precz²⁵⁵.

Tej samej nocy Beniamin i zakonnik dosiedli koni (wierzchowca dla mnicha dostarczył arendarz) i oddalili się od miasta tak szybko, jak tylko było można. Ale nocą nie sposób było ujechać daleko. Przenocowali w chłopskiej chacie. Rankiem w niedzielę (7 grudnia) wyruszyli do Poznania drogą obsypaną szybko topniejącym śniegiem. Poczekali w mieście kilka godzin, gdyż nieustanne nabożeństwa nie pozwoliły Anglikowi od razu zostawić kartki-wezwania („Będę we wtorek”). Do Szamotuł dotarli wieczorem. Na spotkanie wyszedł im Józef.

— Wszystko w porządku? — spytał Beniamin.

— Prawie, sir. Tylko kazałem zamknąć w piwnicy Robertsona.

— Co zrobił?

— Spiał się, mogą być kłopoty.

— Jakie kłopoty? Że się spiał, to normalne, oberwie za to.

— On się spiał z zarządcą, sir!

— Wypaplał coś?!

— Nie wiemy. Ale gadał z nim, a po pijanemu...

— Nie wiedział zbyt dużo — pocieszył się bezsensownie Beniamin.

— Wystarczy, że napomknął o Londynie, sir — wtrącił stojący obok Heyter.

— Masz rację, wystarczy. Miejmy nadzieję, że nie był aż takim kretyńcem. Załatwię to rano.

Odwrócił się w stronę mnicha, który stał w milczeniu za jego plecami.

— Józefie, to jest ksiądz Stefan. Przygotuj mu łóżko, będzie spał obok Sija.

255 W tym miejscu brakuje w Memoriale prawie połowy kartki, urwanej od góry. W pierwszej wersji książki wypełniłem tę lukę rozmową mnicha z arenda-rzem, zrezygnowałem z tego wszakże, gdyż była to czysta fantazja literacka, niezbyt istotna dla rozwoju wydarzeń.

— Tak jest, sir.

Oddalili się, zakonnik i mnich, a Bathurst zwrócił się do Heytera:

— Niepokojono was?

— Nie, sir.

— Żadnych Francuzów, żołnierzy...

— Na zamku było dwóch Polaków, ale nic nie wzbudziło ich podejrzeń.

— Jakich Polaków? Po co tu przyszli?

— Nie wiem, po co, sir, ale to nie ma związku z nami. Polacy organizują teraz jakąś swoją władzę w mieście, to dlatego.

— A więc wszystko w porządku?

— Prawie w porządku, sir!

— Myślisz o Robertsonie? Ukarzę go tak, jak mu obiecałem, ale nie sądzę, żeby...

— Myślę o Józefie, sir!

— O Józefie?

— Tak, sir. Dziwnie się zmienił. To nie on zamknął Robertsona, to ja z Tomem i Manuelem zmusiliśmy go do tego.

— Zwariowałeś, Brian? O co ci chodzi?!

— Rozmawialiśmy o tym, sir. Ja, Manuel i Tom. Oni też to zauważyli...

— Co zauważyli, do pioruna?!

— Trudno to wytłumaczyć, sir, ale proszę mu się przyjrzeć. Chodzi ponury, zezuje, warczy albo zamyśla się na całe godziny i wtedy jakby był głuchy.

— Przekłete dziewczki! — pomyślał Beniamin i powiedział:

— Wiem chyba, o co chodzi, zauważyłem już wcześniej. To dlatego, że Manuel odbił mu dziewczynę.

— Ona teraz jest z Tomem, sir.

— Coooo?! Niech to diabli, szybka jest. Kiedy twoja kolej?

— Sir, to nie są żarty i nie chodzi o Dianę. Z Józefem dzieje się coś niedobrego, a o Dianie już zapomniał. Jak na niego patrzę, ogarnia mnie strach, sam nie wiem, dlaczego.

— Ja ci powiem, dlaczego, Heyter. Szlag was trafia, że to właśnie jego uczyniłem moim

zastępcą i kiedy mnie tu nie ma, musicie go słuchać. Zwiewaj spać, jutro pokażesz mi swoją robotę.

Rano wszedł do piwnicy wraz z Tomem i Manuelem. Obudzili Robertsona.

— Oooo, dzień dobry, sir! Ten bratek Józef źle mnie potraktował, sir. Tak nie można! — jęknął żałośnie Szkot, gramoląc się spod derek, którymi był przykryty.

— Cóż takiego ci zrobił Józef? — soytał Beniamin.

— Zamknął mnie jak zwierzę i trzymał w tej ciemnicy, sir!

— Czyli zrobił to, co do niego należało. Teraz ja ci akurat-n i e zrobię, bratku, coś gorszego. Pamiętasz, co ci obiecałem za kolejne pijaństwo?

— Na świętego Patryka, sir! Piłem z tym bratkiem, żeby się rozgrzać, bo zimno takie, że kostnieję! I jeszcze dlatego, żeby go akuratnie zjednać dla nas, bo on wilkiem patrzy, a jak sobie popije, to dusza człowiek.

— Tom! — rozkazał Bathurst.

Tom „Rope” i starszy Diaz schwycili Robertsona za ręce, rzucili na skrzynię, zatkali szmatą usta, nim zdołał wydać krzyk, i ściągnęli spodnie mimo rozpaczliwego oporu. Marynarz usiadł na nim i trzymał, a Cygan wymierzył dziesięć niezbyt mocnych uderzeń kijem. Kiedy go puścili i wyjęli szmatę z ust, pozostał w tej samej pozycji i płakał cicho. Bathurst podniósł go, posadził i powiedział:

— Następnym razem, Robertson, wiesz?... To, co wyprawiasz, grozi nam wszystkim śmiercią, bo człowiek pijany nie wie, co mówi. Lubię cię, draniu, ale wolę, żebyś był martwy niż pijany. Jeszcze tylko kilka dni, zbliżamy się do końca, potem będziesz mógł przepić cały swój zarobek. Im bliżej końca, tym niebezpieczniej, i dlatego z zimną krwią zabiję każdego, kto popełni błąd nawet mimowolnie, bo nam już nie wolno popełniać błędów, nawet małych! Ogarnij się i trzymaj w garści!

Z piwnicy poszedł na parter obejrzeć robotę Heytera i Diaza. Kąt, w którym pracowali, zasłonięty był szafą i kotarą. Boazeria była już prawie gotowa, lecz „Turek” jeszcze w proszku.

— Brian, jak się będziesz tak ślimaczył, to nie zdążysz!

— Są kłopoty, sir. Brakowało mi kleju, ale już zdobyłem. Dzisiaj skończymy ścianę.

— Co z automatem?

— Rozłożyć zabaweczkę nie było trudno, ale złożyć! Prawie nie śpimy z Manuelem.

Potrzebuję też farby...

— Jaki kolor?

— Brązowy.

— Powiedz Robertsonowi, żeby jeszcze dzisiaj załatwił to ze swoim krewniakiem. Za trzy dni musisz skończyć, albo wszystko przegramy!

— Już za trzy dni, sir?

— Nie wiem, może za tydzień, ale musimy być gotowi, bo może lada moment. Nie tylko ode mnie to zależy. Spieszcie się!

Zostawił Heytera i Diaza i udał się z Tomem na dziedziniec. Kiedy stanęli obok wozów Mirela, z pałacu wyszedł mężczyzna w kożuchu z wielkim kołnierzem i w potężnej futrzanej czapce na głowie. Rzucił na Bathursta krótkie spojrzenie i pomaszerował ku bramie.

— Co to za typ?

— Nie mam pojęcia, sir.

— Kiedy się pojawił?

— Wczoraj. Ma chyba jakieś interesy z zarządcą.

— Zbyt wielu nieznajomych tu się kręci!

— Przecież nie możemy zatrzymywać i rewidować każdego faceta, który się tu szwenda, sir!

— Nie możemy, ale gdy ktoś się szwenda, wy nie wyląźcie na dziedziniec! —

odpowiedział Bathurst, patrząc na sylwetkę ginącą w świetle bramy.

Zaraz potem zamknął się z księdzem i rozmawiał z nim przez kilka godzin. Filipin nie był zaskoczony tym, czego od niego żądano. Bez cienia afektacji kiwnął potakująco głową i słuchał w skupieniu objaśnień Bathursta, rzadko wtrącając jakąś uwagę lub pytanie.

Uzgodnili wiele szczegółów i tylko jedno martwiło Beniamina — że ten człowiek jest za miękki, nie ma odpowiednio władczego tonu i niezbędnej królewskiej wyniosłości. Kazał mu wygłosić kilka fraz takim tonem i wyszło to nader mizernie. Ten problem trzeba

koniecznie rozwiązać! — pomyślał. Zachwyciła go natomiast pamięć mnicha. Raz usłyszawszy nazwisko, jakiś detal, czyjś opis, liczbę czy powiedzonko, ksiądz Stefan zapamiętywał je bezbłędnie i mógł powtórzyć w każdej chwili, bez zastanowienia.

Bathurst wydobyl z bagażu plik papierów i podał księdzu, mówiąc:

— Oto kod Napoleona. Czytaj go wciąż, księżę, i śpij z nim, by każdy szczegół wrył ci się w pamięć niczym własne imię.

Zakonnik pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Czy to wystarczy, synu? Jak można wcielić się dobrze w drugiego człowieka czytając tylko o nim, a nie widząc go nawet raz, nie podglądając?

— Masz słuszość, ojciec, myślałem o tym... Zamyślił się i uśmiechnął do wspomnienia:

Rozważmy rzecz dalej,

Jakimi wreszcie środkami, i kiedy

Cel nasz osiągnąć; jeśli plan zawiedzie...

Gdybyśmy mieli chybić, zdradzić się,

To lepiej nie próbować. Trzeba jeszcze

Obmyślić coś, co da gwarancję skutku...

— Czyje to są słowa, synu, których nie rozumiem, a które tak pięknie brzmią? — spytał ksiądz.

— Szekspira, księżę... Boga też nie rozumiemy w pełni, ani jego słów, chociaż tak pięknie dla nas brzmią... Szekspir jest moim bogiem ponad innych ziemskich bożków, a syn jego, Hamlet, jest moim jedynym bratem. Jakże ja go kocham, księżę! Przychodzi do mnie, kiedy mam kłopoty albo kiedy jest mi źle, i sprawia, że jest mi mniej źle, lub też pomaga usunąć kłopoty, przeciwności...

— Wierszem, synu, usuwasz przeciwności?

— Wierszem się karmię, ojciec, zyskując odeń radę lub siłę, a przeciwności usuwam kopniakami. Bywa, że jest to kopniak w sumienie, ale też bywa, że nie ma innego sposobu. Tak jest ze mną teraz.

Zamilkł, wpadając w jedno ze swoich zamyśleń. Po chwili odezwał się znowu do księdza:

— A więc trzeba obmyślić coś, co da gwarancję skutku. Nie wystarczy, księżę, iż

będziesz znał tę pisaninę na pamięć, choćbyś nawet zapamiętał ją tak dobrze, jak ja każde słowo z „Hamleta”. Ale ja już wiem, co trzeba uczynić. Przygotuj się do wyjazdu, ojciec Stefanie. Wkrótce pojedziemy do Poznania.

Rankiem 9 grudnia (wtorek), obudzony wcześniej przez Sija, Beniamin popędził sam do Poznania. Szaser już czekał, a obu ich czekała niespodzianka — drzwi do kościoła karmelitów były zamknięte. Pomaszerowali razem w dół i usadowili się u bernardynów, w kościele obok klasztoru, pod którego murami zaczęły się już rozsiadać hałaśliwe przekupki. Szaser rozejrzał się raz jeszcze i wyjął zza pazuchy zwitek papierów.

— Niech się pan z tym zapozna i jak najszybciej zniszczy — powiedział. — Jest to lista osób, z których składa się najbliższe otoczenie uzurpatora. Służba, sekretarze, ochrona, ministrowie, sztab, dowódcy wojskowi przebywający aktualnie w Poznaniu, z opisami twarzy i cech charakterystycznych. Nie sądzę, by to było potrzebne sobowótowi na dłużej niż kilka godzin, bo potem my przejmujemy nici i będziemy nimi poruszać. Tutaj zaś dossier Schulmeistra...

Podczas gdy tamten mówił, Bathurst przeglądał poszczególne kartki. Usłyszawszy nazwisko Schulmeistra, mruknął:

— Ubogie to dossier...

— To wszystko, co zdążyliśmy zebrać.

— ... ale ciekawe... No proszę, syn pastora, więc to tak... Chciał powiedzieć: „tak jak ja”, ale powstrzymał się w porę.

Przerzucał kartki jedna za drugą i niektóre informacje czytał cichym głosem, jakby mówił sam do siebie:

— Pseuda: „Pan Karol”, „Rudy Karol”, „Poczmistrz”... Mania wielkości... To jasne, bez niej byłby chłopcem na posyłki, jak każdy, kto jest jej pozbawiony... Szczęściarz! Wielokrotnie wydostawał się z łap austrackich. Okrutny i bezwzględny. Znaczący — mądry... Oooo, kocha teatr! I jeszcze... co tu jest napisane?... Kocha dzieci! Pięknie, co za mieszanka!²⁵⁶

²⁵⁶ Informacje podane Bathurstowi przez agenta filadelfów dają się zweryfikować. Schulmeister był identycznie jak Bathurst synem protestanckiego duchownego. Jego ucieczki z więzień były majstersztykami w swoim rodzaju. Adoptował dwie dziewczynki sieroty i wychował je. Z jego inicjatywy wystawiono w Wiedniu sztukę inflancką Anachoreci.

Zafascynowany bliźniactwem swoim i Schulmeistra, wpadł w rodzaj transu, czytał i komentował półgłosem, ciągle w stylu rozmowy z samym sobą, aż zniecierpliwiony szaser przerwał:

— Szkoda czasu, przeczyta pan to sobie później! W ogóle nie rozumiem, jakie to wszystko może mieć znaczenie! Nie dopadniemy Schulmeistra sami, w każdym razie nie dlatego, iż wiemy, że lubi teatr! On nas też nie ruszy, bo nie ma o nas pojęcia!

— Tego nigdy nie można być pewnym — rzekł Bathurst.

— My jesteśmy tego pewni. Dowodem jest to, że jeszcze żyjemy. Gdyby cokolwiek o nas wiedział, mielibyśmy już wspólny grób! Ale na razie on nic nie wie. Dowie się, jak będzie stał przed plutonem egzekucyjnym! Dlatego nie rozumiem, po co to wszystko...

Nie musisz — pomyślał Beniamin. Nawet gdyby chciał, nie wytłumaczyłby temu człowiekowi, że sprawia mu fizyczną rozkosz mieć takiego przeciwnika jak Schulmeister, sól tej gry, brata-bliźniaka po drugiej stronie barykady, i móc go oszukać kombinacją piękną jak symfonia Beethovena, że chce wiedzieć o nim wszystko, tak jak mężczyzna chce poznać kobietę, którą kocha. Jak mógłby to wytłumaczyć?

— Ile mamy czasu? — spytał.

— Nie wiem — odparł szaser. — Kilka dni na pewno. Wcześniej niż pod koniec tygodnia on się stąd nie ruszy. Wszystko uległo przyspieszeniu...

— Od czego to zależy?

— Od zdobycia trwałych przepraw na Wiśle, Bugu i Narwi. Nasze wojska przechodzące Wisłę dostają się w ciasny kąt między granicą austriacką a Narwią i Wisłą. Żeby zdobyć swobodę manewru, trzeba opanować przeprawy na Narwi lub Bugu, a tego jeszcze nie udało się dokonać²⁵⁷. Rosjanie Bennigsena trzymają twardo dominujący przeciwległy brzeg, a od Białegostoku nadciąga nowa armia rosyjska Buxhówdena. Rozwój wydarzeń na tym froncie zadecyduje w znaczym stopniu, ale w największym most na Wiśle, który odbudowuje Murat. Jest prawie pewne, że gdy tylko most będzie gotowy, Buonaparte opuści Poznań w dwadzieścia cztery godziny.

257 Piechota marszałka Davouta sforsowała Narew w kilkanaście godzin po rozmowie Bathursta z filadelfem, w nocy z 9 na 10 grudnia 1806.

— Czy są jakieś meldunki, na podstawie których można się zorientować, ile czasu zabierze budowa tego mostu?

— Tak jak powiedziałem, najmniej jeszcze ze cztery, pięć dni, 1 to jest nasz czas. Na więcej lepiej nie liczyć, bo możemy się poślizgnąć. Tam, w Warszawie, wypruwają z siebie żyły, pracują dzień i noc... Jest pan gotowy, O'Leary?

— Prawie. Pojutrze będę na pewno.

— Więc w najgorszym przypadku to będzie tuż przed planowanym odjazdem. Ale myślę, że nie będzie tak źle, na moje wyczucie jest jeszcze pięć dni. Kiedy my mamy przystąpić do działania?

— Pojutrze. Musicie mu przypomnieć o „żelaznej masce”, a jeśli będzie za mało, wspomnijcie też o automatycznym szachiście von Kempelena.

— Dobrze, to nie będzie trudne. Nie ma prawie dnia, by nie wyjechał gdzieś w teren. Całymi godzinami pęta się po okolicy.

— W mundurze pułkownika szaserów?

— Zawsze. Plus płaszcz i kapelusz.

— Z jaką obstawą?

— Około trzydziestu ludzi. Głównie polscy gwardziści, a od nas po kilku ludzi. Ale dwa razy był tylko z nami i trzema Polakami, razem było nas dwunastu. Nigdy nie wiadomo²⁵⁸.

— O której wyrusza?

— Rano lub przed południem. Rzadko później niż o jedenastej. Dokładnej godziny nie sposób podać, jest nieobliczalny. Kilka dni temu bawił się w Harun-al-Raszyda. Włóczył się po mieście wieczorem w cywilnym przebraniu i obserwował. Towarzyszyło mu trzech naszych i jeden Polak, tłumacz. On to uwielbia, w Paryżu ciągle to robi.

— Po co?

— Mówi, że w ten sposób, incognito, może słuchać głosu ludu bez pośredników.

— Kiedy mnie zawiadomicie? — spytał Bathurst.

— O czym?

258 Te rajdy Napoleona po okolicach Poznania opisał ciekawie w swych wspomnieniach (Szlakiem Legionów) generał Dezydery Chłapowski, który trzykrotnie sam w nich uczestniczył! i zyskał sobie sympatię cesarza.

— O dniu przyjazdu cesarza do Szamotuł.

— Trudno mi powiedzieć, z jakim wyprzedzeniem. Może na godzinę wcześniej, może na trzy doby. Przyślemy kogoś. Od godziny zero, którą poda wam wysłannik, musicie być gotowi bez przerwy aż do przyjazdu Korsykanina.

— Kto będzie z waszej strony kontrolerem zamiany, pan?

— Ja. Postaram się być w obstawie. Ale to mało. Abyśmy uwierzyli, to znaczy abym uzyskał pewność i mógł donieść szefowi, iż zamiana została dokonana, ktoś z naszych będzie także przy was i będzie obserwował operację od waszej strony. I jeszcze jedno: wcześniej musimy zobaczyć sobowtóra.

— To się dobrze składa — powiedział Beniamin — bo właśnie chciałem prosić, żebyście wprowadzili sobowtóra na dwór, na godzinę, dwie, jak najdłużej. Chodzi o to, by dobrze przyjrzał się Napoleonowi.

— Co takiego?! — krzyknął szaser. — To niemożliwe!

— To konieczne.

— Powtarzam, to niemożliwe!

— Ach, tak? To jest dla was niemożliwe?... Obawiam się, mój panie, że jest rzeczą niemożliwą, by organizacja, dla której taki drobiazg jest niemożliwy do zrealizowania, była zdolna do przejęcia władzy! I proszę nie robić miny obrażonego, bo albo to jest komedia i wówczas ja się wyłączam, albo gramy poważnie i wiem, że mam mocnych partnerów, którzy współdziałają ze mną i nie spaprają tego, co ja zrobię, już w godzinę po moim odjeździe!... Więc jak?! Podobno kontrolujecie i sztab, i dwór!

Szaser milczał, a na twarzy malowała mu się wściekłość.

— Proszę zrozumieć — ciągnął Bathurst — to jest konieczne, jeśli sobowtór ma się nie zdradzić, zanim przejmiecie władzę! On musi widzieć cesarza z bliska, podpatrzeć, jak Buonaparte mówi, jak się porusza, jak trzyma ręce, jak patrzy na ludzi, jak wymawia sylaby. Tego się nie da zastąpić opisem!

Długo czekał na odpowiedź. Szaser zasepił się i zamilkł, wpatrzony w malowidło na ołtarzu. Potem odwrócił się i powiedział, cedząc wyrazy:

— Słuchaj, Angliku. Rzucasz słowa, za które w moim kraju...

Beniamin o mało nie warknął: Nie strasz, gówniarzu! Powstrzymał się jednak, tamten zaś kontynuował:

— ... Ale jesteś nam potrzebny, wiesz o tym i dlatego jesteś taki bezczelny! Jesteśmy silniejsi, niż myślisz, a odmówiłem tylko z obawy przez zepsuciem wszystkiego.

Wprowadzić sobowtóra na dwór to dla nas rzeczywiście drobiazg, ale co będzie, jeśli przypadkiem go rozpoznają?

— Nosi brodę i może włożyć habit. Nie ma mowy, by go rozpoznali.

— Dobrze, sam chciałeś. W tych dniach będzie audyencja zbiorowa, wprowadzimy go na nią. Przyjedzie po niego człowiek, który się przedstawi: „przyjaciół Maurice”. Ten sam człowiek odwiezie go wam i już zostanie, by nadzorować zamianę. Czy jest jeszcze jakiś problem, którego nie omówiliśmy?

— Na razie to wszystko — powiedział Bathurst. Szaser wstał i oddalił się bez pożegnania.

Pracujący po dwadzieścia godzin na dobę Heyter był gotowy 11 grudnia (czwartek) nad ranem. Mechanizm pułapki funkcjonował prawidłowo: człowieka znajdującego się w skrzyni szachowej można było wyciągnąć na platformie poruszającej się na rolkach, jednym szarpnięciem, do sąsiedniego pomieszczenia, konkretnie na ganek straży nad bramą, gdzie Tom miał zarzucić pętlę. Mechanik, chociaż padał z nóg, dostał natychmiast nowe zadanie: zrobić dla porwanego „kołyskę” z takim zawieszeniem, by mogły ją nieść między sobą dwa konie.

Brakowało im koni. Robersohn kupił dla nich sześć, razem więc mieli tylko dziewięć wierzchowców, a Bathurst chciał, by każdy dysponował luzakiem.

— Herr O'Leary — tłumaczył Robersohn — niech pan zrozumie, jest wojna, wszyscy Polacy zwariowali, bo dla nich wojna to jak piękna dziewczyna w łóżku. Wszyscy pobiegli do Napoleona. Generał Dąbrowski tworzy polskie legiony posiłkowe dla Francuzów, a do tego jeszcze rekwizycje! Bonaparte szykuje jakąś nową ofensywę i potrzebuje uzupełnień. Oni się nie patyczkują, biorą konia, dają kwit i szlus. Radzę panu dobrze schować swoje. Naprawdę nic więcej nie mogę zrobić, w całej okolicy nie został jeden przyzwoity koń, same zdechłe szkapy. A jeśli nawet został, to właściciel nie sprzeda go

za nic na świecie. Rozpytywałem się, gdzie mogłem.

Bathurst spojrział mu w oczy i wymówił sylaba po sylabie:

— Robersohn. Muszę mieć więcej koni. Możesz je wydobyć spod ziemi, urodzić, stworzyć, rób, co chcesz, ale musisz mi je dostarczyć. To twoje ostatnie zadanie.

Tamten wzruszył ramionami.

— Herr O'Leary, mówiłem już...

— Do diabła z twoim mówieniem! Nie wierzę, iż w całej okolicy nie ma już żadnych zdalnych koni!

— No... są dwa, ale kradzione.

— Jeśli dobre, wezmę!

— Nie radzę, Herr O'Leary. Ma je pewien uciekinier, Prusak, który ukrywa się w folwarku niedaleko Obornick (Oborniki), ale niewątpliwie szuka go policja i żandarmeria. To niebezpieczne....²⁵⁹

— Proszę wziąć te konie! — zdecydował Bathurst. — Tylko ostrożnie, najlepiej nocą. Tego samego ranka zjawił się w wieży „przyjaciół Maurice”, stary sierżant o głupekowatej gębie, w której tkwiły nader sprytne ślepie, i oznajmił, że następnego dnia po południu zabierze sobowtóra na audiencję i odwiezie wieczorem oraz że godzina zero to szósta rano w sobotę 13 grudnia. Wówczas pojawił się nowy problem...

Beniamin przypuszczał, że między audiencją a godziną zero będzie większy przedział czasowy. Tymczasem okazało się, że to tylko kilkanaście godzin. Problem polegał na tym, że ksiądz nie powinien golić brody i ścinać włosów w ostatniej chwili, gdyż rzucałoby się to jaskrawo w oczy. Skóra musi przywyknąć, miejsca świeżo ogolone będą jaśniejsze. Z kolei wcześniej nie można było likwidować zarostu, gdyż broda była niezbędną dla kamuflażu podczas audiencji. Po namyśle Beniamin poprosił wysłannika, by ten zatrzymał się u nich przez godzinę, po czym udali się do ojca Stefana. Zastali go przy

259 Wszystko wskazuje na to, że chodziło o Fryderyka Omera, lokaja, który ukradł dwa konie. Co prawda poznańskie Dyrektorium Policji opublikowało list gończy w sprawie Omera dopiero w dniu 20 grudnia 1806 roku (w „Gazecie Poznańskiej” nr 108 — list nosił datę 17 grudnia), lecz była to zwykła praktyka. Policja zwracała się publicznie o pomoc dopiero wówczas, gdy sama nie potrafiła znaleźć przestępcy. Tak na przykład ogłoszenie o zniknięciu jedenastoletniego Józefa Seidla, który uciekł z domu 1 grudnia, wydrukowano dopiero 27 grudnia.

wertowaniu otrzymanych papierów.

— Jutro pojedzie ksiądz do Poznania, by przyjrzeć się Napoleonowi — oznajmił Bathurst.

— Ale już nie ze swoją brodą, lecz ze sztuczną. Tę trzeba natychmiast zgolić, włosy zaś ściąć.

Operacja fryzjerska zajęła Manuelowi i sierżantowi prawie godzinę. „Przyjaciel Maurice” prawidłowo ustawił sławny kosmyk Bonapartego, po czym krzyknął:

— Mon Dieu! Cest vraiment lui!²⁶⁰

Ukontentowany tym zachwytem Bathurst pożegnał sierżanta,

a następnie wybrał ze swego zapasu odpowiednią brodę i perukę dla księdza.

Wczesnym przedpołudniem 12 grudnia (piątek) obejrzał „kołyskę” zrobioną przez Heytera i Manuela, omówił z komandosami ostatnie szczegóły akcji, ustalił, gdzie mają stać rano konie, do których pilnowania przeznaczył Juana, i kazał wszystkim stawić się u niego zaraz po kolacji, o osiemnastej. Jadł sam, potem raz jeszcze przejrzał mapy. W końcu położył się na łóżku i zdrzemnął. Sij obudził go po południu, gdy „przyjaciel Maurice” przyjechał po księdza.

Punktualnie o osiemnastej wszyscy zjawili się w komnacie Bathursta. Zaczął bez wstępów.

— Tak jak mówiłem, jutro o piątej rano pełna gotowość bojowa. Jeśli wszystko się uda, zostaniecie bogaczami, dostaniecie o wiele więcej, niż wam obiecano. Jeśli tylko uda się nam dowieźć do Londynu... Cesarza Napoleona Bonapartego, chłopcy!

Zerwali się z miejsc, wytrzeszczając oczy. Ktoś krzyknął: — Chryste! — i zapanowała cisza. Przerwał ją:

— Musiałem wam o tym powiedzieć, byście nie zachowali się podobnie jutro, kiedy go zobaczycie. Nie trzęście się jak stare baby! Obstawa nie zauważy zamiany, bo nasz księżulo jest jego kopią, są podobni niczym dwie krople wody. W kilka godzin później władza będzie już w innych rękach. Zostaniecie bohaterami narodowymi, i to bohaterami siedzącymi na workach złota!

— Sir — powiedział Heyter — mnie tam wszystko jedno. Jak nas złapią, to czy za

²⁶⁰ Na Boga! To naprawdę on!

oficera, czy za cesarza ta sama śmierć. Ale mi jakoś głupio, że tak samego Napoleona za łeb, jak królika... Niech to!

— Cała nasza chwała z tego, że to nie królik, lecz cesarz. Heyter pokiwał głową i uśmiechnął się.

— To mi się nawet zaczyna podobać, sir. Moja mała dopiero mnie zacznie kochać, jak się dowie, że ucapiłem cesarza Napoleona!

Tom „Rope” i Manuel Diaz wybuchli śmiechem i atmosfera rozładowała się do stanu normalnego napięcia przed akcją. Po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnął się też Robertson i powiedział:

— A ty, bratku, powiesz jej, że to ty sam, własnymi rękami ucapiłeś go akuratnie! Znam cię, jakbym to widział!

O dwunastej z minutami „przyjaciół Maurice” przywiózł księdza. Ojciec Stefan wszedł do komnaty mocnym krokiem, jakby wybijał rytm butami, zerwał brodę i perukę, odgarnął włosy, założył jedną rękę za plecy, a drugą położył z odgiętym kciukiem na styku brzucha i klatki piersiowej, udając, że wciska ją w rozpięcie kamizelki, po czym zaczął przechadzać się miarowo od ściany do ściany.

— Superbe!²⁶¹ — szepnął sierżant, nie mogąc oderwać wzroku. Bathurst roześmiał się.

— Widzę, księżo, że jesteś dobrym aktorem. Kiedy już będziesz cesarzem, nie zapomnij o swoim pokornym słudze, któremu marzy się stanowisko marszałka.

Mnich przystanął, zrobił gwałtowny zwrot, whił przenikliwe spojrzenie w twarz Anglika i wycedził dobitnie:

— Soit!²⁶²

— Brawo! — skomentował Beniamin. — A teraz kładźcie się spać, panowie.

Zwrócił się do sierżanta:

— Pański siennik leży obok łóżka księdza. Proszę spać spokojnie, mój służący was obudzi.

Sam nie mógł zasnąć przez kilka godzin. Leżał i myślał. O Julii, o całej drodze, jaką przebył, znowu o Julii i jeszcze o człowieku, który nosi nazwisko Schulmeister i nie ma

261 Wspaniały!

262 Zgoda, załatwione, niech tak będzie (ulubiony sposób wyrażania zgody przez Napoleona).

pojęcia, że jutro zostanie skompromitowany, a najpóźniej pojutrze rozstrzelany. Jutro jest 13 grudnia 1806 roku. Będzie to data historyczna, jak dzień zwycięstwa pod La Hougue. Dzieci będą ją wkuwać w szkołach na pamięć... Trzynasty. Przypomniał sobie, że wylosował trzynastkę z talii, którą podsunęła mu Julia. „Na szczęście czy na nieszczęście?... Dla jednych tak, dla innych nie... Wierzysz w te bzdury?... Nie, ale czasami one wierzą w nas. I dlatego nie zawsze można od nich uciec”. Nie można uciec, nie można, nie można...

O północy zmorzył go niespokojny sen. Śnił mu się puciołowaty mężczyzna o mądrym, złośliwym spojrzeniu. Człowiek ten miał gładkie czerwone włosy i śmiał się całym gardłem i wyszczerzonymi zębami: ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!!!... Śmiech jego nabierał mocy i echa jak w nawie katedry, dudnił i potężniał, aż przerodził się w grzmot.

Rozdział VII
KRÓLEWSKI GAMBIT

Ocknął się nagle pod wpływem gwałtownego wstrząsu. Leżał na ziemi, cały spocony.

Zobaczył nad sobą, w blasku świecy, niespokojną twarz Sija.

— Która godzina?... Poświeć mi... Po trzeciej... Wracaj do siebie, tylko cicho, nie obudź księdza.

Mieszaniec wykonał ruch głową i wolną ręką.

— Co? Klecha nie spał?

Zeszli piętro niżej.

— Źle, że nie śpisz, księżę — szepnął Beniamin.

— Trochę spałem — wymamrotał ksiądz.

— Za mało. Jesteś blady i zachrypnięty. Nie przeziębilesz się?

— Nie, chociaż nie jest zbyt ciepło.

— Spróbuj jeszcze pospać kilka godzin. Ty też się połóż, Sij! Wrócił do siebie, lecz sam również nie mógł zasnąć. Ubrał się,

wziął laskę i szedł na dziedziniec. Było granatowo i mroźno. Nad ziemią do wysokości łydek leżał mglisty opar. Księżyc i gwiazdy rzucały bladą poświatę na oszronione mury i drzewa. Przeszedł obok dużej baszty i skierował się ku szopom, przed którymi majaczyły widma wozów. Dotarł do stajni i chciał już zawrócić, gdy nagle uświadomił sobie, że nie ma strażnika! Czyja teraz zmiana? Toma albo Manuela, chyba że Józef zdecydował inaczej. Ale przecież ktoś powinien być!

Usłyszał jakiś ruch wewnątrz stajni i przytknął oko do szpary w deskach. W głębi migotało światełko. Zrobił kilka kroków do wejścia i zobaczył, że drzwi są otwarte.

Wszedł. Widok człowieka siodłającego pośpiesznie konia zaskoczył go. W półmroku, którego nie zwalczal skutecznie płomyk olejnej lampki, nie mógł dostrzec, czyje plecy ma przed sobą.

— Wybierasz się gdzieś? — spytał.

Tamten odwrócił się błyskawicznie, z rewolwerem w dłoni.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie, Józefie.

— Tak, sir, wyjeżdżam do Poznania.

Beniamin postąpił krok do przodu i usłyszał:

— Proszę stać w miejscu, sir, i trzymać obie ręce na lasce! O, tak. Ostrzegam pana, sir, że jeśli zdejmie pan którąś z nich z laski, zabiję pana.

Beniamin pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Nieładnie ze mną postępujesz, przyjacielu. Bywałeś uprzejmiejszy.

— Teraz też jestem uprzejmy, sir. Nie kazałem panu trzymać rąk w górze, bo to męczące.

— Jeśli już jesteś tak uprzejmy, pozwól mi usiąść na tej beczulce, bo stanie też jest męczące.

— Proszę usiąść, sir.

Bathurst strzepnął dłonią pył z wieka beczki i usiadł.

— Tak więc opuszczasz nas, Józefie?

— Tak, sir.

— Można wiedzieć, dlaczego?

— Powiem panu, sir. Cieszę się nawet, że mam okazję. Wtedy, we Frankfurcie, powiedział pan, sir, że każdy ma jakiś narkotyk, jakieś ziele, które go upaja, jakiś głód, który musi koniecznie zaspokoić. Zapamiętałem to sobie, sir. I to była prawda. Powiedział pan też, że i ja mam coś takiego, że muszę mieć. To też była prawda. We mnie, sir, to jest miłość do ojczyzny. Nie wiem, czy pan to rozumie, ale coś takiego, kiedy jest w człowieku, to jest, i choćby długo spało, kiedyś się obudzi. Ta wojna była mi obojętna, a poszedłem z panem, żeby się wyżyć i zarobić. Nie wiedziałem, sir, że to będzie wojna o wolność Polski i dlatego...

— O ile dobrze pamiętam, Józefie, powiedziałaś, że idziesz ze mną nie dla pieniędzy, lecz dla mnie, bo mi się sprzedałaś całą duszą.

— Powiedziałem tak, sir, ale mam trochę lepszą pamięć, bo pamiętam, jak dokładnie powiedziałem. Powiedziałem, iż sprzedałem się panu jak grzesznik diabłu. I chociaż wówczas były to tylko słowa, potem zrozumiałem, że należy je rozumieć dosłownie.

— Ach tak? — uśmiechnął się Bathurst. — Więc jestem diabłem?

— Dla mnie tak, sir, i dla wszystkich Polaków. Chcesz unicestwić jedyne człowieka, który może nam przywrócić wolność i niepodległość, człowieka, który właśnie chce to zrobić! Dowiedziałem się o tym od urzędników z Poznania, którzy byli w Szamotułach tydzień temu. Mówili o odezwie do narodu²⁶³.

— O jakiej odezwie?

— O odezwie podpisanej przez generałów Dąbrowskiego i Wybickiego²⁶⁴. Stoi w niej, że Napoleon wskrzesza Polskę! Kiedyś nienawidziłem Bonapartego, bo zaprzepaścił nasze legiony za oceanem, ale teraz... Jak mógłbym go nienawidzić i nastawać na niego? Byłbym zdrajcą i plunąłbym na matkę, bo w Polsce, sir, na ojczyznę mówi się matka! Nie pozwolę ci go tknąć!

— Czy to znaczy, że chcesz mnie zabić, przyjacielu?

— Nie, sir. Myślałem o tym, ale nie potrafię, nie mogę. Nie kłamałem mówiąc we Frankfurcie, że czuję do pana coś, czego sam nie rozumiem. Czuję to nadal, jest we mnie podziw i nienawiść razem. Ogłuszę pana tylko, zaknebluję i zwiążę. O piątej przyjdzie Manuel na zmianę i uwolnią pana, sir. Wówczas niech pan natychmiast ucieka, bo ja już będę w Poznaniu i dokładnie o szóstej, obiecuję, że nie wcześniej, powiadomię o wszystkim Francuzów. Nie dam panu dotknąć cesarza, sir, bo to tak, jakbym oddał własny honor za kupkę srebrników!

— To co robisz teraz, też jest zdradą! Składałeś przysięgę!

— Proszę nie podnosić głosu, sir! Wiem, że chce pan ściągnąć w ten sposób pomoc, ale jeśli ktoś tu się zjawi, zacznę strzelać i pan zginie pierwszy. Lepiej więc rozmawiajmy cicho. Zresztą nie mam już czasu. Pamiętam, sir, o tamtej przysiędze, ale czasami trzeba dokonać małej zdrady, żeby się uchronić przed dużą. Mam, na szczęście, wystarczająco dobrą pamięć, by pamiętać o tym, o czym przede wszystkim należy mi pamiętać jako Polakowi!

Bathurst pochylony, z rękami na główce laski, spojrział mu w oczy i powiedział cicho:

— Masz złą pamięć, przyjacielu. Powiedziałem ci we Frankfurcie, że moim narkotykiem jest zemsta.

263 Chodzi o sławną odezwę berlińską Wybickiego i Dąbrowskiego z 3 listopada 1806 roku.

264 Błąd autora Memoriału — Wybicki nie był generałem.

— Nie obawiam się pańskiej zemsty, sir. Będzie pan miał szczęście, jeśli w ogóle uda się panu dotrzeć do Londynu. A teraz proszę się odwrócić! No! Proszę mnie nie zmuszać do tego, bym...

— A jednak masz złą pamięć, przyjacielu! — powtórzył z politowaniem w głosie Bathurst.

— Jeszcze o czymś zapomniałeś!

W tym samym momencie, gdy Polak był już o dwa kroki od niego, Anglik szybkim ruchem przekręcił rączkę i gwałtownie nacisnął. Rozległ się suchy trzask i Bathurst, miast ujrzeć Józefa trafionego w brzuch, poczuł straszliwy ból. Nabój rozsadził rączkę i poszarpał mu dłoń. Spojrzał na nią przerażony i w tej samej chwili spadła mu na głowę kolba rewolweru.

Ocknął się pod wpływem wody chluśniętej mu na twarz. Stał nad nim Sij. Bathurst wziął głęboki oddech i próbował wstać. Mieszaniec pochylił się i podniósł go z ziemi.

Dłoń krwawiła mocno. Beniamin rozejrzał się — nie było Polaka ani jego wierzchowca. Koniec! — pomyślał z rozpaczą. Trzeba wiać! Sięgnął zdrową ręką po zegarek i oniemiał, była za dwadzieścia czwarta, a więc to wszystko dopiero co się zdarzyło, był nieprzytomny tylko przez kilka minut. Może jeszcze uda się dogonić tamtego, trzeba obudzić Toma!

Skoczył do wyjścia i potknął się o leżące na ziemi ciało. Polak leżał na wznak, z rozrzuconymi bezwładnie rękami. Obok stał koń, podrzucając niespokojnie łbem. W ciemności oczy trupa świeciły wywróconymi białkami. Bathurst poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Uklęknął i zamknął zabitemu powieki, a potem, nie zdejmując dłoni z jego twarzy, przesunął po ciepłym jeszcze policzku, powoli, delikatnie, jakby bał się urazić.

— Żegnaj, przyjacielu — szepnął z jakąś niewysłowioną do końca czułością — obaj mieliśmy złą pamięć. Zapomnieliśmy o Siju.

Obudził komandosów wcześniej, niż zamierzał. W dwóch słowach opisał im zdarzenie i kazał pogrzebać Polaka. Zakopali go obok muru, pod drzewem, na którym Tom wyciął mały krzyż. Było jeszcze ciemno, choć niebo traciło już swój soczysty granat i szarzało.

Rozeszli się w milczeniu i Bathurst pozostał sam pod drzewem, zamyślony i ponury.

Kiedy się odwrócił, ujrzał Heytera z laską w dłoni.

— To nie moja wina, sir! Wylot lufy był zatłoczony ziemią.

— Wiem, Brianie, to moja wina. Odebrano mi tę laskę na kilka dni, a ja potem sprawdziłem tylko, czy nabój jest w komorze, a nie sprawdziłem lufy. Oddaj.

O wpół do piątej Bathurst i „przyjaciel Maurice” ubrali księdza w mundur pułkownika szaserów gwardii i dokonali charakterystyki twarzy. Przed szóstą Mirelowi i jego ludziom kazano przenieść się do wozów i nie wychylać z nich nosa, uprzątnięto komnaty dużej baszty i zajęto wyznaczone miejsca. Konie zgrupowano pod opieką Juana za narożnikiem muru, od strony małego jeziora. Potem pozostało im już tylko czekanie. Kwadrans po ósmej ujrzeli konny orszak nadjeżdżający od strony miasta. Bathurst rozpoznał filadelfa, który się z nim kontaktował. Na czele kłusował człowiek w szarym płaszczu i kapeluszu znanym od Atlantyku po Ural.

Jeźdźcy zatrzymali konie u bramy. W chwilę później rozległy się kroki po schodach i głos dobiegający z piwnicy:

— To tutaj, sire, trzymano tę kobietę w żelaznej masce.

W kilka minut później Napoleon stał już przed automatycznym szachistą barona von Kempelena.

— Skąd on się tu wziął? — spytał Bonaparte. — Dopiero co był w Berlinie!

Beniamin precyzyjnie przeszedł przez grupę żołnierzy otaczających monarchę.

— Wykonano trzy egzemplarze, sire. Jeden spłonął, drugi zachował dla siebie Kempelen, trzeci otrzymała w prezencie od niego Maria Teresa²⁶⁵. To właśnie ten.

Bonaparte przewiercił go wzrokiem i zapytał:

— A pan kim jesteś?

— Kupcem, sire, i po trochu opiekunem trupy cyrkowej. Krótko mówiąc, człowiekiem interesu. „Turek” służy nam jako rekwizyt.

— Jak wszedłeś w jego posiadanie?

— Kupiłem go od uciekającego do Królewca pruskiego generała, sire.

Napoleon kiwnął głową i przestał się interesować Bathurstem. Podeszedł do skrzyni i

265 Wyjaśnienia Bathursta, dobrze zorientowanego w dziejach fałszywego androidu, brzmiały wiarygodnie, von Kempelen bowiem zaprezentował swój wynalazek w roku 1770 na dworze cesarskim w Wiedniu, wzbudzając żywe zainteresowanie Marii Teresy.

położył rękę na blacie.

— Z chęcią zagram z nim, to zabawne. Czy on funkcjonuje?

— Tak, sire — odparł Beniamin.

— To proszę go nakręcić.

— Jedną chwilę, sire, zaraz wejdę do środka, tylko się przebiorę.

— Po co? — zdziwił się cesarz. — Proszę go po prostu nakręcić, żeby grał.

— To nic nie da, sire. Muszę wejść do środka.

— Po co, u diabła?!

— Żeby grać, sire. Sam nie zagra.

— Co?!

— Jak to? To wasza cesarska mość nie wie?

— O czym mam wiedzieć?!

Nagle Bonaparte pojął i otworzył szeroko oczy.

— Co takiego?! Czyżby...

— Nie powiedziano o tym waszej cesarskiej mości w Berlinie? — zdziwił się Bathurst.

— Więc to fałszywy android?!

— Oczywiście, sire. Dowiedziałem się o tym od tego pruskiego generała. Przecież maszyna nie może myśleć!

Zapanowało milczenie, dudniące kilkunastoma oddechami.

— Oszukali mnie, nicponie! — mruknął Napoleon. — Oszukali mnie! Ha, ha, ha, ha, ha!

Kilkanaście gąb zawtórowało śmiechem. Przez kilka minut Beniamin tłumaczył monarsze zasady tajemnego posługiwania się „Turkiem”

— Fantastyczne! — wybuchnął cesarz. — Ten von Kempelen to jednak genialny człowiek, dałbym mu Legię Honorową! Nie poznałem się na tym.

Przypatrywał się „Turkowi” z jeszcze większą uwagą niż przedtem. W końcu spytał:

— Ciężko się gra w środku?

— Skądże, sire, to wielka przyjemność. Proszę spróbować, sire!

— Co? Spróbować? To niezły pomysł. Rustam! Napoleon rzucił płaszcz na ręce mameluka i pochylił się ku otwartym drzwiczkom. Beniamina zatkało — nie przypuszczał,

że wszystko pójdzie tak gładko. Starał się opanować radosne drżenie.

— Proszę niżej schylić głowę, sire — doradził — i podciągnąć kolana. O tak, teraz dobrze. Lewą rękę proszę włożyć w ramię figury muzułmanina. Ale nie teraz! Dopiero potem! Dopiero potem, gdy zamknę drzwiczki i dam znak. Teraz zapalimy świeczkę. Czy wygodnie?

— Znośnie — odburknął cesarz.

— Można zamknąć, sire?

— Proszę.

— Kiedy zamknę, wasza cesarska mość wygodnie się usadowi. I proszę pamiętać o linkach z guzikami. Chodzi o to, by ich nie poplątać. Kiedy wasza cesarska mość będzie gotowa, proszę zapukać w ściankę dwukrotnie, a kiedy zechce wyjść, trzykrotnie.

Zamykam!

W chwilę po zamknięciu drzwiczek rozległy się w skrzyni głuchoe odgłosy przesuwania, po czym wszystko ucichło. Gromada szaserów i cała reszta świty wpatrywała się z napięciem w figurę muzułmanina. Bathurst poczuł ciarki na grzbiecie. Uda się czy nie?! Mają go już chyba. Teraz Tom uspił go tamponem z mikstura, matki Rosy. Teraz powinni go już przenosić gankiem nad bramą i dalej, wzdłuż korony muru, ku koniom. Dlaczego zakonnik jeszcze nie daje znaku?! Powinien już być w skrzyni! Psiakrew! Heyter chyba zauważył, że krzyż Legii Honorowej wisiał wyżej i odpowiednio zmienił, to też zabrało kilkanaście sekund. Ach, i buty! Musieli je zdjąć i włożyć księdzu. Za długo to trwa, za długo, za chwilę jego fagasy zaczną warczeć.

Kiedy struny nerwów napięły się już do krańca, usłyszał podwójne uderzenie w ściankę i odetchnął. Zasiadł do gry i wykonał pierwszy ruch. Po piątym rozległy się trzy uderzenia. Mnich przebrany za Napoleona wygramolił się ze skrzyni.

— Do pioruna, można się udusić! — warknął. — Nie jestem szczurem! Rustam!

Mameluk podał „cesarzowi” płaszcz i kapelusz. „Bonaparte” ubrał się i cisnął na stół sakiewkę, po czym zwrócił się do Beniamina:

— To dla ciebie i dla twojej trupy. Bawcie się tym sami! Żałuję, że wiem. Tajemnica ma w sobie wszystkie uroki świata, poznać jej sekret, to tak jak posiąść kobietę, której się

pragnie, a której się nie kocha. Staje się ona wówczas czymś pospolitym i więcej nie nęci. Idziemy!

Cudownie gra! — pomyślał Beniamin i spojrzął na filadelfa. Ich oczy spotkały się i powiedziały sobie: Victoire!²⁶⁶ I zaraz dodały: Adieu et bonne chance!²⁶⁷

Wszystko trwało zaledwie dwadzieścia sześć minut, od przyjazdu do wyjazdu. Spojrzął na zegarek. Była ósma czterdzieści trzy. Zaczekał, aż jeźdźcy oddalą się od baszty o kilkadziesiąt jardów, i wybiegł na dziedziniec.

— Mirel! — krzyknął do grubasa. — Jesteście wolni. Weź tę sakiewkę i zmykaj! A trzymaj język za zębami, bym nie musiał cię szukać i wrywać ozora!

Sij czekał nań z trzema wierzchowcami. Popędzili na północ i dogнали komandosów koło Wronek, w chwili gdy niebo zaczęło sypać pierwszymi białymi płatkami.

— Jak poszło?! — wrzasnął w ucho Tomowi, galopującemu obok pary rumaków, między którymi zawieszona była „kolebka” z tiumokiem zawierającym władcę połowy Europy.

— Zmienialiśmy buty, sir! — odkrzyknął marynarz.

— Wiem!

— Ani zipnął!

— Mam nadzieję, że nie uszkodziliście go!

— Nie, sir! Usnął jak dziecko, obudzi się za kilkanaście godzin!

— Skręcaj! Zatrzymamy się w tym lesie i przebierzemy go, póki nie rozpada się na dobre!

Na leśnej, pokrytej świeżym śniegiem polanie, między Filehne (Wieleń) a Gr. Kothen (Kocień Wielki), rozebrali Bonapartego do gaci i koszuli, przebrali go w cywilny strój, brodę i perukę, po czym ruszyli dalej galopem, rzucając od czasu do czasu niespokojne spojrzenia za plecy. Co pół godziny przesiadali się na luzaki i forsowali tempo ostrym klusem przechodzącym w galop, aż bryzgi zmieszanego ze śniegiem błota osiadały na pniach przydrożnych drzew. Unikali większych traktów, zdając się na boczne polne drogi, lecz ta ostrożność nie na wiele się zdała.

Zatrzymano ich między Callies (Kalisz Pomorski) a Markisch (Miroslawice), we wsi Alt

266 Zwycięstwo!

267 Żegnaj i powodzenia

Lobitz (Łowicz Wałecki), prawie dokładnie w połowie drogi. Francuzi, którzy stacjonowali we wsi byli pierwszymi, jakich napotkali od opuszczenia Szamotuł²⁶⁸. Bathurst przez chwilę zastanawiał się, czy nie wypalić w łeb oficerowi, który schwycił jego konia za uzdę, ale pohamował się.

— Kim jesteście? — padło pytanie.

— Kupcami — padła odpowiedź.

Oficer podszedł do „kolebki” i rozwinął szmaty. Napotkał wewnątrz zrolowany dywan. Zajrzał przez otwór na krańcu i wsadził weń rękę.

— Handlujecie ludźmi? — spytał ze złym błyskiem w oczach.

— Nie, to nasz chory towarzysz, wieziemy go do lekarza. W dywanie, bo zimno i ten śnieg...

— Świetnie — powiedział oficer. — Nie musicie dalej jechać, zbada go nasz lekarz pułkowy. Złazić z koni!

— Czy ten lekarz potrafi czynić cuda? — spytał Beniamin.

— Co takiego? — zdziwił się oficer.

— Czy potrafi ożywiać trupy! Na przykład ciebie...

Już wcześniej, mówiąc te wszystkie brednie, wiedział, co nastąpi, i pożałował swej początkowej wstrzeźliwości. Wymawiając ostatnie zdanie sięgnął po rewolwer. Oficer otworzył usta do krzyku. Nie zdążył krzyknąć. Strzał w oko rozniósł mu czaszkę. W ułamek sekundy później padło dwóch stojących obok żołnierzy. Inni pojawili się w drzwiach chałupy, a wtedy o próg uderzył granat rzucony wysokim łukiem przez Heytera. Wybuch ochlapał konie i ubrania krwawymi strzępami.

Gdy poderwali rumaki do biegu, Heyter rzucił dwa kolejne granaty za siebie, w kierunku stodoły, z której wysypywali się żołnierze. Waląc konie obcasami przelecieli przez wieś w mgnieniu oka. Na krańcu zastąpiło im drogę czterech żołnierzy. Ci czterej rozstawili się równo, na całą szerokość drogi, niczym pluton egzekucyjny, i mierzyli z karabinów. Salwa gwizdnęła Bathurstowi koło uszu. Usłyszał za sobą rozpaczliwe: „Święty Patryyyy...”,

268 Nic sposób stwierdzić, co to był za oddział. Na owym terenie nie operowały w dniu 13 grudnia żadne większe ugrupowania francuskie. Najprawdopodobniej był to oddziałek z najbardziej wysuniętego wówczas na północ VI korpusu francuskiego marszałka Ney'a.

wypróżnił bębenek w odskakujące na boki sylwetki i dopiero wówczas odwrócił głowę. Zobaczył, jak Sij przeszywa swoim nożykiem plecy uciekającego żołnierza, jak Tom i Manuel walą za siebie z rewolwerów, jak Juan kieruje końmi z „kołyską”, a Robertson... Robertson, jeszcze w siodle, wygięty na zad konia, z rozrzuconymi rękami i z głową odrzuconą do tyłu, że widać było tylko podrodek, konał lub już nie żył.

Pogoń, którą dostrzegli koło Jacobsdorf (Studnica, Siennica?), utrzymywała się przez pewien czas w odległości trzystu jardów. Potem ten dystans zmniejszył się o połowę i rozległy się strzały. Gnali wzdłuż brzegów zamarzającego jeziora²⁶⁹, coraz wolniej, nie mając nawet czasu przesiąść się na luzaki, z których dwa i tak przepadły w Alt Lobitz. Bathurst zrozumiał, że nie pociągną długo w ten sposób. Obejrzał się za Heyterem, którego konie, obciążone granatami, galopowały na końcu. Zobaczył mechanika z czołem opartym o grzywę konia, który wytracał tempo. Nie było już przy nim luzaka. Krzyknął do marynarza:

— Tom!... Tum!!!

— Tak, sir?

— Pędźcie, tak jak mówiłem, do Kołobrzegu, do Nettelbecka! Hasło znasz! Wsiądź na „Mewę” i oddaj cesarza lordowi Castlereaghowi albo memu kuzynowi, Henrykowi Bathurstowi! Zapamiętaj, Bathurstowi!

Wstrzymał konia i zawrócił. Po chwili był już przy Heyterze.

— Brian, co z tobą?!

Heyter podniósł głowę z trudem. Miał zasypiające oczy.

— Źle, sir. Dostałem. Oba konie też.

— Wytrzymasz?

— Wytrzymam, sir, ale kim...

— Staniemy tam za zakrętem, o tam, koło tych drzew, i zatrzymamy ich.

Zeskoczyli z koni za zasłoną z kilku wierzb. Heyter zaczął szczepiać ostatnie granaty w wiązkę, a Beniamin oparł lufę strzelby o zagięcie pnia i przytulił się do kolby. Lewa obandażowana dłoń drżała. Bolało, gdy zmusił ją do bezruchu. Trzy razy nacisnął spust i

269 Jezioro Lubić.

dwóch żołnierzy, którzy wysforowali się przed resztą, zleciało z koni na ziemię. Boże, daj nam te konie! — westchnął w duchu, lecz konie tamtych zaczęły kołować wokół trupów. Dwóch następnych żołnierzy rozłożyło ręce i wywinęło kozła z siodła. Jeden z koni, wlokący za strzemień zabitego oficera, przeleciał obok Bathursta w takim pędzie, że nie sposób było go zatrzymać.

Żołnierze z następnej grupy pościgowej, która nadbiegła, zeskoczyli z koni przy zwłokach towarzyszy i skryli się za drzewa. Czekali na resztę oddziału, około dwudziestu ludzi, którzy nadjechali galopem. Tę minutową, a może dwuminutową przerwę między połączeniem się grup pościgowych Benjamin chciał wykorzystać na odskok. Dosiadł konia i krzyknął:

— Brian!

Ale Heyter siedział oparty o drzewo, oddychał ciężko, a z ust sączyła mu się strużynka krwi, skapując na piersi i w śnieg. Jego koń klęczał na przednich kolanach i usiłował wstać, aż zwałił się na bok.

— Brian — powtórzył Bathurst — wskakuj mi za plecy, dotrzemy do tego lasu!

— Dziękuję, sir, ale ja... ja już tu zostanę.

— Zwariowałeś?!

— Sir, w Nottingham mam kobietę... Sara Luton, szwaczka... Żegnaj, sir!

— Brian, na miłość boską, chodź! — ryknął Benjamin.

Chciał zeskoczyć z konia, lecz Heyter przygwoździł go do siodła spojrzeniem, które na tę jedną chwilę odzyskało ostrość, i warknięciem tak odważnym, że tylko miłość i śmierć razem mogły je z niego wydrzeć:

— Sp.....j, ale już! Na co czekasz, durniu?! Chcesz, żeby rozwalili nas obydwu?! Jedź!!!

Benjamin poderwał konia do biegu i usłyszał zza pleców głos Heytera, jeszcze nie zagłuszony nasilającym się tętentem wielu kopyt:

— Sara Luton!... Nottingham!!... Pamiętaaaaj!!!

Dopadając lasu obejrzał się. Zobaczył Heytera leżącego na środku drogi, wokół niego kilku żołnierzy, którzy zsiadli z koni i innych, którzy chcieli przelecieć obok. Nie zdołali. Heyter podniósł nagle do góry dłoń obciążoną ciężką czarną kisią, z której rozkwitł na

kształt gigantycznego słońca potworny błysk. Oślepiło Bathursta na moment. Uderzony grzmotem koń stanął dęba i naraz wszystko ucichło, tylko skowyt rozerwanego człowieka śpiewał jeszcze pieśń masakry. W miejscu, gdzie przed chwilą leżał Heyter, kłębił się stos koni i ludzi tak zmieszanych w krwawej, drgającej pulpie, że nie dało się z tej odległości odróżnić jednego całego ramienia, nogi lub głowy.

Długo gonił swoich ludzi. Dopadł ich dopiero koło wsi Vólzkow (Wilczków?) koło Schiefelbein (Świdwin).

Do Kołobrzegu dotarli wieczorem, kompletnie wyczerpani, od strony Vorstadt Geldern. Zatrzymano ich w bramie i chciano rewidować, lecz gdy Bathurst powołał się na Nettelbecka, Prusacy natychmiast zgrzecznieli²⁷⁰. Nazwisko Nettelbecka, chociaż jeszcze nie gięło karków jak w kilka miesięcy później, miało już swoją moc i tym razem Beniamin ciepiej pomyślał o Castlereaghu i d'Antraiguesie. Człowiek, którego wybrali w tym mieście, był rzeczywiście „the rightest man in the right place”²⁷¹

Czekając na odwachu na przybycie Nettelbecka, zastanawiał się nad sytuacją w Poznaniu. Czy filadelfowie przejęli już władzę? A jeśli tak, to na jak długo? Na godzinę, dwie, tydzień? Szaleńcy! A Schulmeister? Może już nie żyje? Szkoda, nie zamieniliśmy nawet dwóch słów. Jeśli go rozwalili, to czy w ogóle dowiedział się o mnie przed egzekucją? Jeśli nawet nie powiedzieli mu, to przecież musiał zrozumieć, że jest ktoś taki, kto go wymanewrował,

I zapewne nie znając mnie, myślał o mnie. Jak? Z nienawiścią czy z podziwem? Pewnie z jednym i z drugim. A może żyje?... Piekło, człowiek nic nie wie! Ważne, że tu, za tymi murami, już mnie nie dopadną. Mogą to zrobić jeszcze tylko na morzu, ale to mało prawdopodobne. Wygrałem! — uświadomił sobie nagle, bo przedtem nie docierało to doń przez napięcie i zmęczenie. Mam go, naprawdę wygrałem!

Płomień świecy zbliżył się do jego policzka i żółty błysk skoczył mu pod powieki. Odchylił głowę i ujrzał przed sobą baczne, zmrużone oczy niepozornego starca o twarzy dobrze

270 Joachim Nettelbeck (patrz przypis 49) był wówczas najbardziej wpływowym mieszczaninem w Kołobrzegu. Wkrótce po opisanych wydarzeniach potrafił jednym listem do króla pozbawić dowództwa garnizonu pułkownika Lucadou, z którym się swarzył.

271 Najwłaściwszy człowiek na właściwym miejscu.

zoranej życiem, z głębokimi bruzdami zmarszczek, w których cienie zyskiwały pełne natężenie czerni.

— Jestem Nettelbeck — wyszeptał stary, zawieszając głos pytająco.

— A ja O'Leary.

— Bardziej od pańskiego nazwiska interesuje mnie to, czy pan zna hasło — powiedział Nettelbeck.

— Czarny.

— Jak orzeł.

— I jak krzyż.

Nettelbeck zrobił ręką aprobujący gest.

— Dobrze. Proszę pójść ze mną.

Wyszli z odwachu. Nettelbeckowi towarzyszyło pięciu ponurych drabów, których ubrania załamywały się na twardych przedmiotach za pazuchami w okolicy pasów.

— Dokąd idziemy? — spytał Bathurst, ciągnąc konia za uzdę.

— Do chałupy za Kirchofs Schanze. Możecie tam siedzieć i nocować tak długo, jak się wam podoba.

— Jeśli kapitan Storman czeka na mnie, to jutro o świcie odpłynę — rzekł Beniamin.

— Czekaj. „Mewa” kotwicz blisko ujścia rzeki, pod osłoną dział z Fort Miinde. Jeszcze tej nocy dostaniecie świeże zaprowiantowanie.

— Chciałbym się zaraz zobaczyć ze Stormanem.

— Już po niego posłałem, Herr O'Leary. Udała się pańska akcja?

— Udała.

— To dobrze, chociaż nam to niewiele pomoże. Nasza armia się cofa, pełno w niej zdrajców i defetystów. Wkrótce Kołobrzeg zostanie oblężony, chyba że Rosjanie...

— Herr Nettelbeck — przerwał mu Beniamin — jeśli udała się także akcja moich partnerów w Poznaniu, to wówczas Rosjanie nie będą wam już potrzebni, bo Kołobrzeg nie zostanie oblężony. Nie mogę tego zagwarantować, ale to możliwe. I niech pan nie pyta, o co tu chodzi.

O północy, najedzony i wypoczęty, miał już za sobą rozmowę z kapitanem i chciał się

położyć w schludnej, niskiej izbie chaty, kuszącej dawno nie zaznanym ciepłem i pierzyną, gdy Tom doniósł mu, że porwanemu wróciła przytomność. Udał się natychmiast do komory, w której na rozwiniętym dywanie siedział zmiętoszony Bonaparte. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

— Witam waszą cesarską mość — powiedział Bathurst z szacunkiem. — Przegrał pan tę partię, sire, co jest doprawdy ewenementem i co mi pochlebia, bo ja to sprawiłem, a wiem, że nie przegrał pan dotąd z nikim, sire, i że ci, którzy do tej pory zajmowali miejsce w skrzyni, też nigdy nie przegrali.

Odpowiedziało mu milczenie i jakiś łagodny spokój w zmęczonych oczach monarchy.

Beniamin poczuł się nieswojo i nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, spytał:

— Może jest pan głodny, sire?

Napoleon skinął głową.

— Za chwilę przyniosą waszej cesarskiej mości jedzenie i poduszkę. Proszę się wyspać, bo czeka nas daleka droga przez morze.

Wyszedł z komory i natknął się na Juana.

— Idź do Toma — rozkazał — niech weźmie od gospodyni jedzenie i picie i niech tu przyniesie!

— Ja przyniosę, seńor!

— Dobrze, ale pospiesz się!

— To jest prawdziwy Napoleon, prawda, seńor?

— Prawda, chłopcze.

— Prawdziwy cesarz?

— Prawdziwy.

— I myśmy go porwali?

— Tak, synu, udało się nam. Ty też masz w tym swój udział, dzielnie się spisałeś.

— Eeee, co tam! Nic takiego nie zrobiłem, seńor. Jak dorosnę, chciałbym być taki jak pan, seńor!

— Biegnij po to żarcie, bo nam cesarz zemrze z głodu.

— Zawsze sobie wyobrażałem, seńor, że cesarz to jest taki wielki jak góra i wszyscy się

go boją. A kiedy go przebieraliśmy, to wyglądał w gaciach tak śmiesznie, zupełnie tak samo jak przedtem ksiądz.

— Bo są do siebie podobni. No, idź już!

— Już idę, señor. W życiu nie widziałem dwóch tak do siebie podobnych, nawet krostę za uchem mają w tym samym miejscu, hi, hi, hi!

Chłopiec pobiegł przez sień, lecz w połowie drogi dogonił go ryk Bathursta:

— Wróóóó!!!

Stanął w miejscu jak wryty i struchlał. Zawrócił wolno, na uginających się nogach, przerażony tym krzykiem, w którym było coś rozpaczliwego, czego nigdy dotąd nie słyszał w głosie swego idola.

— Słucham... słucham, señor... Czy coś się stało?

Bathurst startł z czoła kropelki zimnego potu i spytał:

— O jakiej kroście mówisz, chłopcze?!

— No, za uchem, chyba lewym... Tamten miał i ten ma taką samą, señor. Zauważyłem to w lesie, kiedy go przebieraliśmy.

— Bożeeeee!

Bathurst zgiał się wpół jak uderzony w żołądek i osunął na ścianę. Palce wczepił we włosy i jęczał.

— Bożeee mój! Bożeee!!!

— Señor! — krzyknął mały Diaz. — Señor, co panu jest?! Señor!... Manuel!... Manuel, na pomoc!

Tom, Sij i starszy Diaz nadbiegli z bronią w rękę i ujrzeli Bathursta trzymającego się za głowę, zataczającego od ściany do ściany i dławiącego ponurym, zgrzytliwym śmiechem szaleńca. Bathurst wodził oczami po suficie i śmiał się jak opętany, bez chwili przerwy, zdawało się, że bez zaczerpnięcia oddechu, jedną rzeką chichotu o tej samej wibrującej tonacji, jakby ktoś puścił w ruch straszliwe „perpetuum mobile” śmiechu. Sij doskoczył do niego, chwycił w ramiona, ratując przed upadkiem, i szarpnął mocno dwa razy, a wówczas śmiech zgasł raptownie, ustępując ciężkiemu oddechowi. Bathurst spojrzał przytomniej.

— Co się stało, sir?! — spytał marynarz.

— Nic... nic się nie stało... już nic. Idźcie spać... Juan, przynieś to jedzenie!... Już nic... nic!

Ruszyli się z miejsca, dopiero gdy popędził ich krzykiem:

— Na co czekacie?!... Wynoście się do diabła, bo łby porozwalam! Wszyscy!!

Odeszli, spoglądając na siebie z posępnym niepokojem. Został sam. Oparł się o ścianę, patrzył przed siebie jak ślepy i milczał. Na zewnątrz i wewnątrz niego było całkowicie pusto. Nogi miał z ołowiu i czuł się senny, bezwładny, wykończony. Uświadamiał sobie, że to jest załamanie, w które nigdy nie wierzył, lecz docierało to do niego z daleka, przez zamgloną barierę płaczących się obrazów i słów. Czuł się tak potwornie zmęczony, jakby przez trzy doby z rzędu dźwigał ciężary. Wszystko naraz straciło sens... Tylu ludzi posłał do grobu po to, żeby dać się wykiwać jak ostatni głupiec! Wszystkie deklaracje, że nie cel go obchodzi, tylko sama gra, jej rytm i ruch, jej napięcie i mistyka, że to jedynie jest ważne — stały się teraz głupie i nieprawdziwe. Trzeba było przegrać, by zrozumieć, że tylko cel liczył się naprawdę, tylko on mógł, mu przynieść satysfakcję i napełnić ciało zadowoleniem. Ale wyjął z talii feralną kartę i nie osiągnął swego celu. I tak całe misterium utaplało się w bezsensie, niesmaku, żalu i bezradnej wściekłości zarozumiałego impotentą. Przegrał! Cóż z tego, że po pięknej grze, jeśli tą grą dyrygował ktoś inny i ktoś inny modelował owo piękno? Piękno zwycięstwa, bo tylko triumf jest piękny. I już nic nie mógł na to poradzić, niczego odwrócić, nie można było tego zmienić żadnymi, najmądrzejszymi słowami. Przegrał w grze bez rewanzu. Przegrał!

Zamknął oczy i usłyszał, jak Hamlet mówi do Rosencrantza i Guildensterna:

... tak się czuję przygnębiony, że ziemia, ta piękna budowa, wydaje mi się jałowym przyładkiem; powietrze, ten cudny baldachim, ten oto wspaniały wiszący firmament, majestatyczny dach, ukraszony złotym ogniem — ależ wydaje mi się niczym innym, jak wstrętną i zjadliwą gęstwą oparów...

Nawiedziła go obłąkana myśl: wrócić, odnaleźć sprawcę swej klęski, kimkolwiek by nie był, marszałkiem czy szefem francuskiego kontrwywiadu, Schulmeisterem czy bogiem, i zapłacić! Idiotyzm, samobójstwo, jeszcze bardziej bezsensowne niż ta klęska... Boisz się

śmierci — zadrwił w duchu — przeklęty wykiwany głupcze! Szekspir miał rację. Być —
oto czego się chce, kiedy się przegrywa. Już tylko być, jak zwierzę! Sięgnął pamięcią:
*Lecz oto właśnie lęk czegoś po śmierci,
Nie znanej bliżej krainy, lecz takiej,
Z której nie wraca się, intencję skrzywia,
I raczej każe znosić zła wiadome,
Niżli podążać ku innym, nieznanym.
A więc sumienie czyni nas tchórzami,
I popędliwa, krwista dufność nasza
W niepokój blady lacno się rozplywa.
I przedsięwzięcia pychy już napięte,
Z tego powodu kierunek odmienia,
I stracą rozgłos czynu...*

Przemawiał do siebie myślą pełną zjadliwej goryczy: Littleford, powiedział, że jesteś
szczęśliwym głupcem. Uwierzyłeś, że prawdą jest to pierwsze, a teraz zostało tylko
drugie! I nawet nie umiesz przyjąć kieski tak jak on, bez drgnięcia powieki. Odstawiasz
żałosny cyrk przed własnymi ludźmi! Pajac! Pajac z Hamletem w gębie! Uspokój się,
zmuś się, dość skamlania!

Uspokajał się z wolna. Nadszedł Juan z tacą pełną jedzenia. Wyjął mu ją z rąk, odprawił
chłopca i otworzył drzwi do komory. Stojąc w progu powiedział:

— Wstań, księżu, pójdziemy do mnie.

Czekał, aż zakonnik skończy się posilać, bez jednego słowa, wpatrując się w twarz
jedzącego z ciekawością taką, jakby go po raz pierwszy ujrzał. Filipin ledwo naruszył
zawartość talerzy, otarł czoło serwetą i wciąż z tym samym niezmaconym spokojem, z
jakąś przerażającą w jego sytuacji pogodą ducha, rozsiadł się wygodniej i czekał.

Bathurst przygotował sobie kilka pytań, lecz teraz, gdy miał je zadać, uciekły mu i
powiedział tylko:

— Wygrałeś, mnichu.

— To nie ja, synu, to sprawiedliwość, która jest sługą Opatrzności. Ja byłem tylko

marnym przedmiotem, narzędziem tej służby.

— Łżesz! Byłeś narzędziem Francuzów. Od kiedy to Francja znaczy sprawiedliwość?

Zakonnik nic nie odpowiedział. Beniamin przysunął się do niego i spytał:

— Nie boisz się śmierci?

— Dlaczego miałbym się jej bać? Narodzin też się nie bałem. Czemu ma człowiek bać się wyroków Zbawiciela?

— Ach, prawda! Tobie się marzy męczeństwo! — zadrwił Bathurst.

— Nie, mój synu, nie ma we mnie aż tyle pychy.

— Kto nas zdradził? Ty?

— Ja.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— By nie zdradzić samego siebie.

Beniamin przypomniał sobie słowa Józefa: „Czasami trzeba dokonać małej zdrady, by się uchronić przed dużą”. Zapytał:

— Chodziło ci o Polskę, której Francuzi rzekomo przynoszą wolność? Ci, którzy zdewastowali wasz klasztor?! Sam powiedziałeś, że to źli ludzie. Powiedziałeś: wojsko szatana...

— To nie byli Francuzi, synu, lecz Bawarczycy. Nie w tym jednak rzecz. Wielu jest złych ludzi, ja sam nie należę do dobrych. Ci najgorsi, którzy chcą mordować niewinne dzieci dla swego zysku. Człowiek, który mnie najął do współpracy z wami, zagroził śmiercią mej siostrzenicy, jeśli nie będę wam powolny. Jakże więc mogłem być wam wierny?

Beniamin pomyślał z nienawiścią o głupocie Castlereagha i d'Antraiguesa.

— Odkąd grałeś przeciwko nam? — spytał. — Od chwili mojego przybycia do klasztoru?...

— Dużo wcześniej, synu.

— Za ile kupili cię Francuzi?

— Nie kupili mnie. Sam do nich dotarłem i pozwoliłem się użyć przeciw wam.

— A więc to dlatego uratowałeś mnie w Gostyniu, byłem wam potrzebny. Do czego, na Boga? Przecież mieliście mnie w ręku, byłem aresztowany.

Zakonnik rozłożył ręce, sygnalizując swą niewiedzę.

— To nie są moje sprawy, synu, ale może wyjaśni ci to list, który mi dano dla ciebie.

— List? Od kogo?

— Od pana Schulmeistra. Prosił, bym ci go oddał, zanim mnie zabijesz.

Bathurst, oszołomiony wiadomością, bezwiednie powtórzył ostatnie słowa:

— Zanim cię zabiję... Gdzie masz ten list?

— O tutaj, zaszyty w kołnierzu koszuli.

Rozpruli kołnierz nożem do krajania mięsa i Benjamin rozprostował zwitek papieru, szczelnie wypełniony drobnym, starannym pismem. Część liter rozmyła wilgoć, zapewne podczas styczności kołnierza ze śniegiem, ale całość dawała się odczytać bez trudu:

„Witaj Angliku. Nie znam twego nazwiska, ale znam rasę, którą reprezentujesz, gdyż sam do niej należę. I to pozwala mi zwracać się do ciebie per ty. Widzieliśmy się już.

Pamiętasz ten ranek, kiedy wróciłeś z Gostynia? Minęliśmy się na dziedzińcu, miałem na sobie szubę futrzaną i taką śmieszoną polską czapę na mrozy.

Nie wstydź się przegranej. Wszyscy kiedyś przegrywamy, czyż mogłoby być inaczej wśród poetów tajemnicy, jakimi jesteśmy? Poeta, co winno ci być wiadomym, to człowiek, który nieustannie spiskuje, zwłaszcza przeciw sobie, i tym samym jest skazany. Jak twój Hamlet. Od tych wyroków nie ma odwołania, miesiąc wcześniej, miesiąc później...

Przegrałeś na szachownicy i to też normalne, gdyż w szachach, jak w każdej grze, na ogół ktoś przegrywa. Mniej normalne jest to, że użyłeś maszyny szachowej. Uczyniłeś to, by wyprowadzić mnie w pole, a oszukałeś się sam. Przyznaję, sprawiło mi to przyjemność, gdyż było zabawne. Podobno cytujesz z pamięci Hamleta? Pamiętasz, co powiedział do królowej matki? «Bo w tym zabawa, aby machinator od własnej zginął machiny.» Wszelako nie o moją satysfakcję szło w tej grze i nawet nie najbardziej o głowę cesarza, choć jego bezpieczeństwo jest moim obowiązkiem, więcej, powołaniem²⁷². Nie mogłem dopuścić i nie dopuszczę, póki żyję, by go obalono!

Teraz dowiesz się, jak przegrałeś. Chciałeś mi wetknąć mnicha za monarchę, piona za

272 Schulmeister wielokrotnie udaremniał w ostatniej chwili zamachy na Napoleona (np. zamach snajpera Wolfa w Abensbergu). M. in. dlatego powierzono mu w roku 1809 kierownictwo służby bezpieczeństwa zjazdu monarchów w Erfurcie. Udaremnił wówczas zamach Arnolda Apfela należącego do organizacji Tugendbund.

króla. Swoisty gambit. Odwróciłem ten układ — oddałeś króla za piona. Przez ostatnią noc miałeś w rękach Napoleona. Wiem, że było to szaleństwo, ale w żaden sposób nie mogłem przełamać uporczywości cesarza. Postanowił, że osobiście weźmie udział w tej grze, choć miałem pod ręką dwóch sobowtórów. Zamienił się z mnichem tuż po audiencji, nie bez trudu, gdyż musiałem odwrócić uwagę zdrajców pilnujących zakonnika. Tak więc w piątek wieczorem do Szamotuł przyjechał cesarz, zaś w sobotę rano, w otoczeniu eskorty, twój mnich, którego wzięłeś za cesarza²⁷³. To był mój gambit, Anglika. Dałem pod bicie piona, by w efekcie zabrać króla. Gambit królewski. Potrafisz to lepiej nazwać? Nie dziw się, że nie kazałem cię aresztować. Gdybym to uczynił, ja bym przegrał. Byłeś moją najsilniejszą figurą na szachownicy, figurą bezcenną, jedyną, za pomocą której mogłem osiągnąć swój cel podstawowy, rozszyfrowanie organizacji. W chwili, kiedy to piszę, jeszcze nie znam jej możliwości, wpływów i siły, wiem mało, znam zaledwie kilka plotek i tylko to wiem, że ona istnieje i działa. W chwili, kiedy to czytasz, mam ją już! Dzięki tobie! Od kilku miesięcy cały swój wysiłek poświęciłem na jej rozpracowanie i było to bicie głową o mur. Aż naraz spadłeś mi z nieba i otworzyłeś drzwi, przez które przejdę na drugą stronę po dywanie. Gdy czytasz ten list, już przeszedłem!

Pierwszym śladem był d'Antraigues. D'Antraigues to pyszałek i głupiec, jak mogliście wykorzystywać takich ludzi?! Nie zdradził was, on po prostu nie umie konspirować jak artysta. Twój Szekspir napisał: „Lis, kiedy chce ukraść jagnię, nie szczeka”. D'Antraigues od dawna śledził w Dreźnie nasz człowieka, który zorientował się, że coś się szykuje²⁷⁴. Zacząłem się domyślać, co, gdy d'Antraigues naszczekał na mnicha, grożąc mu. To był błąd. Mnich oddał się nam i wówczas zacząłem czekać na ciebie, marzyłem o tobie, byłeś mi niezbędnie potrzebny. Od Gostynia znajdowałeś się już pod stałą obserwacją.

273 Ciekawe, czy Schulmeister napisał prawdę. Hazard tego rodzaju był w stylu Napoleona. Co prawda z pamiętników Chłapowskiego (Szlakiem Legionów) wiadomo, że 13 grudnia 1806 roku Bonaparte odbył ze sporą świtą przejażdżkę do Winiar, Radojewa i Owirisk, lecz takie „oficjalne” rajdy nigdy nie rozpoczynały się wcześniej niż koło godziny dziesiątej, do tego zaś czasu Napoleon (jeśli rzeczywiście był w Szamotułach) zdążył wrócić do Poznania. Jednakże o wiele bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że Schulmeister zblefował, by pogłębić gorzkość porażki przeciwnika. Sądzę, że do operacji w Szamotułach kontrwywiad francuski użył jednego z sobowtórów, którymi dysponował, może znajdującego się wówczas na terenie Wielkopolski kapitana Achillesa de Touches.

274 Znowu z oczywistych przyczyn nic sposób stwierdzić bezspornie, kim był ten agent. Mógł to być pułkownik Sagot, który z polecenia Fouchego śledził d'Antraigues w Dreźnie już w końcu roku 1804, a może Polak Zabiello, znajomy Sagota, może ktoś inny.

Przypadkowe aresztowanie w klasztorze mogło nam pomieszać szyki, lecz nim zdążyłem zareagować, mnich wykazał godną pochwałą inicjatywę i uwolnił cię sam. Był to przypadek bardzo korzystny, albowiem w jego efekcie uwierzyłeś, iż masz w mnichu przyjaciela. Wszelako na tym pysznym świecie tak już jest, że na ogół ten z naszych wrogów jest najniebezpieczniejszy, który jest naszym przyjacielem. Nie wiesz o tym? Po zamianie też nie mogłem cię aresztować, gdyż spłoszyłbym kanalie, które konspirowały w najbliższym otoczeniu cesarza. Sprawi mi rozkosz patrzeć na ich egzekucje...”

Beniamin odłożył papier i zamknął oczy. Mógł sobie wyobrazić tę scenę: do Poznania wraca fałszywy Napoleon, powiadomione o zamianie dowództwo filadelfów ujawnia się, chcąc przystąpić do akcji, i wówczas dowiaduje się z przerażeniem, że ma przed sobą prawdziwego cesarza! Czyjeś ręce spadają im na ramiona, wiążą, odstawiają do lochu i tam zadają ból, który wydobywa z gardła najtajniejszą prawdę, nazwiska, pseudonimy, schemat organizacji, wszystko²⁷⁵. I to on, Bathurst, posłużył Schulmeistrowi za klucz do otwarcia tych drzwi! Gdzie jest kres upokorzeń w tej klęsce?! Powrócił do czytania: „Między innymi dlatego odjedziesz wolny. Mogłem oczywiście wysłać pogoń i zabić cię cichcem, gdzieś w lesie lub na drodze. Nie podjąłem takiej próby, i nawet nie dlatego, że prosił mnie o to ojciec Stefan. To romantyk, fanatyczm katolik, widział u ciebie medalik z Matką Boską. Kupiłeś go tym. Ale nie posłuchałbym go, gdybym chciał cię zabić. Nie chciałem, bo kupiłeś i mnie. Za ciebie jednego oddałbym wielu moich ludzi. A poza tym nie zabija się członków rodziny. Tacy jak ty i jak ja rodzą się w kilku egzemplarzach na stulecie i tworzą rodzaj klanu, który szerzy śmierć, lecz którego członkowie winni oszczędzać się nawzajem, by gatunek nie wygasł przedwcześnie. Lecz mimo to proszę, nie wchodź mi po raz drugi w drogę, bo wówczas będę musiał cię zabić albo ty mnie zabijesz, co byłoby mi równie nieprzyjemne.

Wreszcie rzecz ostatnia, dla której przede wszystkim piszę ten list. Gra już skończona, więc jaki sens zabijać jeszcze? Jeśli już to uczyniłeś, gardzę tobą i cofam wszystko, co o tobie napisałem. Widać pomyliłem się, a ty nie jesteś członkiem klanu. Jeśli jednak nie

²⁷⁵ Wcale nie jest pewne, czy filadelfowie zostali rozbici w wyniku operacji „Szachista” — w tej sprawie odsyłam Czytelnika do komentarzy.

zrobiłeś tego, a mniemam, że nie, gdyż on ma pokazać ci ten list, nim zapragniesz się zemścić, to powstrzymaj się. Przegrałeś, ale walczyłeś pięknie i mądrze, więc nie niszczy tego. Chociażby po to, by kiedyś zabrać do trumny piękne wspomnienia, bo cóż innego można do niej zabrać?

«Forsitan et haec olim meminisse iuvabit»²⁷⁶.

PS. Uważaj, gdy wrócisz do domu. Ci, którzy cię wysłali, nie podziękują ci za porażkę. Postaraj się usunąć ślady, a zwłaszcza świadków i narzędzia. Mam w tym względzie trochę doświadczenia i dlatego proszę: strzeż się!”

Złożył list i wsunął do kieszeni. Zapomniał o księdzu, może obaj zapomnieli o sobie. Ocknął się, gdy zgasła świeca, i spojrzał na filipina. Ten nie spał. Za oknem robiło się szaro.

— Ubierz się ciepłej, ojcie — powiedział — wychodzimy. Przedtem cię ucharakteryzuję, włóż perukę i brodę.

Poszli razem do domu Nettelbecka. Musieli czekać, aż obudzony przez nich gospodarz ubierze się i zejdzie do komnaty na parterze. Był zaspany i zły.

— O co chodzi, Herr O'Leary, jakieś kłopoty!? Wy, Brytyjczycy, macie zwyczaj załatwiania spraw po nocy! Dziwny ten wasz zwyczaj, ale to pewnie przywilej wczesnej młodości, bardzo wczesnej. Czy Londyn nie ma agentów starszych niż dwudziestolatki? Proszę się nie gniewać, Herr O'Leary, ale pan jest równie młody jak poprzedni emisariusz, zupełnie dzieci! U nas ludziom w tym wieku nie powierza się tajnych misji, lecz, bez obrazy, tylko pilnowanie koni.

Poprzedni emisariusz? Beniamin, gdy usłyszał o tym, zapomniał odwarknąć Niemcowi, że inteligencja i przedsiębiorczość od pewnego wieku zmniejszają się z roku na rok, aż schodzą do zera... O kim mówił ten staruch? I jaki to ma związek z operacją „Chess-player”? Czyżby Castlereagh wysłał tu kontrolera? A może to po prostu łącznik, za pomocą którego kontaktował się z Nettelbeckiem?²⁷⁷ Zapytał:

²⁷⁶ „Być może kiedyś i te wspomnienia będą nam mile” (z 1 księgi Eneidy Wergiliusza).

²⁷⁷ Bardzo prawdopodobne, że agentem, o którym wspomniał Nettelbeck, był sir George Jackson (1785—1861), o półtora roku młodszy od Beniamina Bathursta i już w wieku szesnastu lat przyjęty do

— O jakim emisariuszu pan mówi, Herr Nettelbeck?

— To nie pańska sprawa, Herr O'Leary. A z czym pan przychodzi?

— Z prośbą i poleceniem. Tego człowieka — wskazał na księdza — należy bezzwłocznie wyekspediować do Poznania z takimi papierami, by nie miał żadnych kłopotów po drodze. To mój łącznik, musi przewieźć ważną informację. W tym celu potrzebne mi są papier, pióro i atrament, chcę napisać list.

— Za dwie godziny wszystko będzie gotowe — odparł Nettelbeck. — Potrzebujecie konia?

— Dziękuję, mam własne. Zostawię je panu, Herr Nettelbeck, nie będą mi już potrzebne. Co z papierem?

— Już przynoszę, proszę zaczekać. Jesteście głodni?

— Z chęcią coś zjemy.

Po śniadaniu Benjamin zasiadł do sekretarzyka i napisał:

„Uzurpujesz sobie, Francuzie, prawo sądenia, kto należy do klanu, a kto nie należy, jakbyś był jego patriarchą. Gdybyś rzeczywiście nim był, nie ubliżałbyś mi przypuszczeniem, że inogę zabić tego księdza, bliska by ci bowiem była mądrość przynależna wodzom plemiennym, ta mianowicie, że w naszym fachu, który jest naszą religią, nie zabija się bezproduktywnie, chyba że dla zemsty. A jakaż to zemsta na bezbronny narzędziu, które ma się w rękach, i to już po opadnięciu kurtyny? Nie jestem katem. Gdybym mógł dosięgnąć ciebie, wówczas nasza rasa zmniejszyłaby się o jednego osobnika i ta zemsta sprawiłaby mi satysfakcję, gdyż posiadałaby godny mnie wymiar. Nic obawiaj się, nie będę próbował, jestem zmęczony.

Różnica między mną a tobą, Francuzie, jest tylko jedna, ale nie zniwelujesz jej żadnym sukcesem, nawet tak wielkim jak ten. Ty jesteś sługą, chodzisz w uprzęży. Ja nie. Ja

służby dyplomatycznej. W drugiej połowie 1806 roku Jackson został wysłany z tajną misją do północnych Prus i w grudniu operował na wybrzeżach Bałtyku (m. in. w Memlu). Formalnie misja jego polegała na zbieraniu informacji, a w jego korespondencji (zbiory w Public Record Office) nie ma słowa o kontaktach z Nettelbeckiem bądź o udziale w operacji „Szachista”, ale przecież o takiej akcji nie ma słowa w żadnym ze znanych historykom dokumentów. Można by było przyjąć za prawie pewne, że Jackson był łącznikiem lub kontrolerem z ramienia Castlereagha, gdyby nie fakt, iż dożył on sędziwego wieku, co przy założeniu, że wiedział on o operacji „Szachista”, jest — jak przekona się Czytelnik z komentarzy — nader dziwne.

nawet wówczas, gdy otoczony zastępem pomocników realizuję czyjś plan, walczę sam i na własny rachunek. Ty miałeś za sobą całą maszynę imperium, którego trybem jesteś, ja tylko mój mózg i moją wolę, a odpowiedzialny byłem przed sobą samym. Ci, którzy mnie najęli, nie mają nade mną władzy. Jeśli podjąłem się realizacji ich planu, to dlatego, że fascynuje mnie człowiek wyzywający żywioł, człowiek zdany na samego siebie w obliczu molocho, jak morderca, który popełniwszy zbrodnię, staje sam wobec społeczeństwa, jak dowódca okrętu, który mimo załogi jest sam wobec oceanu, wielki samotnik w rodzaju Hamleta. Pojmujesz? Wyzwałem wywiad, kontrwywiad i policję cesarstwa! I przegrałem, ale dlaczego? Sam przyznałeś — przez podłość i głupotę tych, którzy mnie najęli. Gdyby nie urazili mnicha, niczego byś się nie dowiedział, a teraz gryzłbyś z wściekłości własne ręce, jeśli nie związano by ci ich na plecach. Nie popełniłem ani jednego błędu, to oni wysłali mnie z błędem w kieszeni!

Francuzie, przyznaję, że jesteś niezłym adeptem naszej religii. Wielu moich ludzi oddałbym za ciebie jednego. Jeśli kiedyś jeszcze raz podejmę taką grę, zwrócę się do ciebie. Masz u mnie zarezerwowane miejsce, jako sługa jesteś genialny. Sam jednak nie wchodź mi w drogę, bo, jak już powiedziałem, nasza rasa zmniejszy się wówczas o jednego zwycięzcę. Powtarzam to, gdyż szkoda byłaby trudna do naprawienia, nie ma wśród nas wielu czerwono włosów. A to podobno kolor szczęścia.

O'Leary

PS. Twoja karta to walet kier. Dowiedziałem się o tym przez przypadek, gdy mi wróżono. Trzymaj ją w rękawie, bo rzucając na obcy stół narażasz się na bicie waletem karo. To moja karta. A na mojej ziemi nie będziesz miał za sobą imperium kierowego króla!"
Przeczytał to, co napisał, i przekreślił dwoma krzyżowymi pociągnięciami pióra, aż pękło. Wziął drugie i zaczął od nowa²⁷⁸.

Wychodząc zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na księdza, a w spojrzeniu tym był uśmiech. I byłoby to pożegnanie bez słów, gdyby filipin nie powiedział:

— Niech Bóg miłosierny ulituje się nad tobą, synu, i wyprostuje ścieżki twego życia!

278 Tekstu listu nie ma w Memoriale. Wykorzystałem przekreśloną wersję pierwotną, która zachowała się w zbiorze dokumentów dołączonych do Memoriału. Przypuszczam, że Bathurst w wersji wysłanej złagodził ton, rezygnując z niektórych złośliwości. Równie dobrze mogło być jednak na odwrót.

— Którego, księżu? Podobno mam mieć dwa! — odparł Beniamin i zamknął za sobą drzwi.

W chacie czekał już na niego Storman. Bathurst zwrócił się do niego bez przywitania:

— Wyruszamy natychmiast, kapitanie! Jest pan gotowy?

— Tak jak mówiłem, najzupełniej.

— Jak wygląda sytuacja na szlaku?

— Trudno mieć pewność, ale droga jest chyba bezpieczna. Francuzów wymiotło z mórz. Słyszałem, że nasze liniowce pojawiły się na Bałtyku²⁷⁹.

— Więc w drogę!

Droga powrotna okazała się trudniejsza, niż przypuszczali. Pogoda była fatalna, nękały ich sztormy. Dopiero 16 grudnia (wtorek) wieczorem wyszli z Sundu na Kattegat, kierując się na latarnię morską Anholt. Przy wyjściu ze Skagerraku zaatakował ich francuski korsarz, lecz dał im spokój, gdy Bathurst celnym strzałem położył kapitana. Był to ostatni strzał z wiatrówki Heytera w operacji „Chess-player”.

Do Great Yarmouth dotarli w poniedziałek 29 grudnia wczesnym przedpołudniem. Tego samego dnia wieczorem, po dwóch miesiącach nieobecności w Londynie, stanęli w domu pani Gibson przed Castlereaghem, Henrykiem Bathurstem i Percevałem. Gdy ci trzej ludzie usłyszeli o klęsce, pobledli i Beniamin ujrzał strach w ich oczach. Wyjaśnił krótko, że kontrwywiad francuski, który już wcześniej musiał wiedzieć o całej akcji, podsunął im sobowtóra.

— Co z nim zrobiłeś? — spytał Castlereagh drżącym głosem.

— Zabiłem — odparł Bathurst.

— To dobrze.

Castlereagh wziął do ręki mały dzwoneczek i zadzwonił. Rozsunęły się bezszelestnie dwie płaszczyzny boazerii i w odsłoniętym otworze w bocznej ścianie stanęli d'Antraigues i jakiś inny, nie znany Beniaminowi człowiek. Obaj trzymali w dłoniach po parze pistoletów. D'Antraigues strzelił z dwóch luf równocześnie, kładąc trupem Toma i Juana.

Drugi osobnik wypalił o ułamek sekundy później do Sija i zawył z bólu, wypuszczając

²⁷⁹ 2 grudnia 1806 roku roku dziesięć liniowców brytyjskich i siedem statków bombardujących wyszło na Morze Północne i Bałtyk.

pistolety z rąk i chwytając się za ramię, w którym utkwiał japoński nożyk. Pierwszy raz chybiłeś, Sij — przemknęło Benjaminowi przez głowę — i ostatni. W momencie gdy broczący krwią Sij osuwał się na kolana, starszy Diaz skoczył w zamknięte okno, przebił je łokciami osłaniającymi głowę i zniknął. Castlereagh podbiegł do okna z pistoletem w dłoni, wyrżał i krzyknął:

— Goddam! Skoczył z piętra i nie zabił się!

Benjamin stał przez cały czas nieporuszony. Obserwował skok Manuela, ruchów Castlereagha już nie, spoglądał wówczas w gasnące oczy Sija. Trwało to kilkanaście sekund. Dopiero gdy mieszaniec przewrócił się na bok i znieruchomiał, Benjamin spytał Castlereagha:

— Mnie też, milordzie?

— Nie żartuj, chłopcze, nie czas na to! Ty jesteś nasz, a tamtych trzeba było zabić, by nie dowiedziano się o tej nieszczęsnej akcji.

— Oczywiście, milordzie, sam o tym myślałem.

— Trzeba koniecznie odnaleźć tego ostatniego, koniecznie! I to jak najszybciej! Zajmiesz się tym, Benjaminie?

— Natychmiast, milordzie. Odnajdę go, choćby się schował pod ziemię. Wiem zresztą, gdzie go szukać.

Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na skręconego jak poczwarka Sija, potem na Juana, z którego twarzy śmierć nie zdmuchnęła wyrazu dziecięcej łagodności, i poczuł, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, to albo się rozbeczy jak kobieta, albo zrobi coś, czego będzie żałował. Ukłonił się i opuścił komnatę, obiecując, że wkrótce da znać o przebiegu poszukiwań.

Na schodach zatrzymał się i zawrócił.

— Milordzie — rzekł — proszę nie zakopywać ciała chłopca. Będzie mi potrzebne na wabia. Jutro przyślę po nie.

Znalazł Manuela po niespełna dwóch dniach. Sowiec płacąc nawiązał kontakt przez Cyganów, którzy umówili się z nim za miastem i zawieźli z zawiązanymi oczami w nieznane miejsce pod Londynem. Zabrał ze sobą trumnę z ciałem chłopca.

Gdy zdjęto mu opaskę, ujrzał obskurne wnętrze jakiejś szopy z nie heblowanych desek, pełne zapachu wędzonego mięsiwa i serów. Z belek pod pułapem zwisały szynki i pęki suszonych ryb, pod ścianami piętrzyły się kosze i gliniane misy. Mrok rozświetlały dwa łuczywa. Wokół glinianego klepiska siedziało kilkunastu Cyganów, wpatrując się w Bathursta zimnymi oczami. Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia wykuśtykał Manuel. Rękę miał na temblaku, głowę obwiązaną bandażem. Drugą ręką wspierał się na kuli. Patrzył na Beniamina wzrokiem pełnym nienawiści.

— Buenos dias, seńor! Teraz na mnie kolej? Proszę się nie krępować, seńor, proszę strzelać! No, czemu pan nie strzela, seńor?!

Mówił to zjadliwie, wyzywająco, szczerząc białe zęby i zbliżając się do Bathursta szarpnięciami kuli. Otworzyły się drzwi i dwóch ludzi wniosło trumnę. Diaz podskoczył do niej, uklęknął i otworzył wieko. Patrzył oniemiały, jakby dopiero teraz dotarło doń, że brat nie żyje, po czym zwałił się na pierś zabitego, objął, przytulił twarz do twarzy i ryknął straszliwym płaczem, który po pewnym czasie przeszedł w jękliwe zawodzenie. Bathurst podszedł doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie obudzisz go, Manuel. Nie przywrócimy mu życia. Nic już nie możemy zrobić.

Możemy tylko zapłacić im!

Cygan podniósł załzawione oczy.

— Ja to sam wiem, seńor! I ja to zrobię! Jutro moi bracta przyjdą do jego lordowskiej wysokości i zapłacą! La vida co-mienza mañana, seńor!²⁸⁰

Bathurst potrząsnął przecząco głową.

— Słuchaj, Manuel, zrobimy to razem. Ale nie jutro...

— Pan już nie może mi rozkazywać, seńor, nie może pan! Będzie dobrze, jak pan wyjdzie stąd żywy!

Beniamin szarpnął go mocno za ramiona.

— Czy nie rozumiesz, durniu, że to, co chcesz zrobić, to samobójstwo?! Osaczono by was w mieście i wystrzelano! A jeśli nawet udałoby się wam zabić Castlereagha, to wy, Cyganie, musielibyście chyba poprzemieniać się potem w duchy, bo w odwecie

280 Życie zacznie się jutro, panie!

eksterminowano by was wszystkich! W żadnym taborze w promieniu pięćdziesięciu mil od Londynu nie zostałaby żywa noga! Tego pragniesz?

Diaz patrzył na niego i słuchał osłupiały. W końcu widać zrozumiał, bo ukrył twarz w dłoniach i zapłakał bezgłośnie całym drgającym ciałem. Beniamin objął go ramieniem.

— Nie płacz, Manuel, nie trzeba...

— Ja nie płaczę... nie płaczę, seńor! To moje serce... ono, seńor, ono wylewa ostatnie krople dobroci! O Jezusie! Ja... ja nie płaczę!... Nie płaczę!!!

— Czy myślisz, że ja nie cierpię i nie pragnę zemsty? — spytał Bathurst, chwytając dłonie tamtego i odkrywając mu twarz. — Ale to trzeba zrobić inaczej, spokojnie i nie teraz. Przysięgam ci, na co chcesz, na krzyż, na rany Zbawiciela, że mu zapłacę za Juana, za Toma i za Sija! Jeszcze nie wiem jak, wiem tylko, że potrzeba będzie na to czasu, może nawet dużo czasu, ale nie umrę spokojnie, jeśli tego nie zrobię! Zostaw to mnie i miej zaufanie. Wiesz, jaka jest dewiza mojego herbu? „Tien ta foy” to znaczy „Keep the faith”²⁸¹. Nie zawiedziesz się na mnie!

Mówił już bardziej do siebie niż do Cygana:

— Rozegram jeszcze jedną partię szachów, powoli i na zimno. I nie zabiję go, bo to byłoby mało, ale zaszczuję, doprowadzę do takiego piekła, że będzie przeklinał dzień, w którym jego ojciec wlał w jego matkę nasienie, a życie odbierze sobie sam i zdechnie jak parszywy pies, w hańbie! Przysięgam ci to, Manuelu!

Wstał i otrzepał ubranie z kurzu.

— Pochowajcie Juana, a ty się połóż i kuruj. Skontaktuję się z tobą za kilka dni i powiem, co dalej robić. Do zobaczenia!

Spotkali się ponownie 2 stycznia 1807 roku.

— Musisz wiać — powiedział Bathurst. — Castlereagh uwierzył, że cię wykończyłem, ale d'Antraigues chyba nie. Musisz wynieść się na Kontynent i to jak najszybciej, bo tutaj prędzej czy później wpadłbyś w ich łapy. Wykańczają wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z akcją, a mnie chroni chyba tylko to, że jestem kuzynem Henryka. Wcale jednak nie jestem pewien, czy i mnie nie zechcą zabić. Oczywiście odczekają jakiś czas.

281 Bądź wierny, dochowaj wiary.

— Kto, seńor! Castlereagh i d'Antraigues?

— I jeszcze de Tilly. To ten drugi, który zabił Sija.

— A ci, którzy siedzieli obok Castlereagha?

— Henryk i Perceval? Oni nie wiedzieli, że tak się stanie. Castlereagh, zabijając Juana, Toma i Sija, postawił ich przed faktem dokonanym. Teraz, jako współudziałowcy, muszą milczeć. Na ich miejscu również bym uważał na siebie, bo Castlereagh nie żartuje.

Dowiedziałem się, że zaczął zabijać jeszcze przed naszym powrotem. Pierwszy poszedł do ziemi Bonnet de Martanges²⁸². Otruli go, gdy przestał już być użyteczny. Wczoraj zniknęli Stapleton, pani Gibson i jej córka. Podobno chcą również załatwić Baringa, który finansował operację. Spieszą się. Tak, seńor Diaz, wokół robi się cmentarz! Będą zamykać usta wszystkim, którzy coś wiedzą, nie da się tego powstrzymać. I dlatego musisz zniknąć.

— Dobrze, seńor.

— Masz gdzie wyjechać?

— Mam, seńor. Wyjadę do Andaluzji, do swoich. Tylko jak?

— O to się nie martw, zorganizuję ci przerzut. Bądź gotowy za tydzień i przyjdź w to samo miejsce. A do tej pory nie wychylaj nosa ze swojej jamy!

Żegnali się w piątek 9 stycznia 1807 roku, na nadbrzeżu w Portsmouth.

— Czekaj na wiadomość, Manuelu. I nie wspominaj mnie źle!

— Jamas, seńor!²⁸³

— Tam, w Andaluzji, też uważaj na siebie, bo to niebezpieczeństwo ma długie łapy. Dla nas świat jest mały!

— A co z panem? Panu grozi większe niebezpieczeństwo, pan tu zostaje! Oni nie zapomną, seńor...

— Ja też nie zapomnę! Nie martw się o mnie, będę ostrożny. Chyba mam już pomysł, ale nie chcę działać pośpiesznie. Uzbrój się w cierpliwość. To potrwa, ale to nastąpi, dożyjesz.

282 Patrz przypis 151. Księżę de Castries w swojej pracy o emigracji burbońskiej w Anglii napisał krótko: „Podjąwszy służbę tajnego agenta de Martanges zmarł w Londynie w roku 1806”.

283 Nigdy, panie!

— Co pan teraz będzie robił, señor?

— Na razie zejdę im z oczu. Chyba wyjadę na jakąś placówkę dyplomatyczną, możliwie daleko. Henryk mi to załatwi. Ale przedtem odbędę wycieczkę na Sardinie, jak tylko się ociepli.

— La mujer?²⁸⁴ — Diaz uśmiechnął się, pierwszy raz od śmierci brata.

— Obiecałem jej. Muszę wypocząć, nim zacznę porachunki z naszym przyjacielem. Muszę się uspokoić, a ona mi w tym pomoże. Wczoraj mi się śniło, że trzymam ją za rękę i idziemy plażą, boso, w samych koszulach, w wodzie, po gorącym piasku i skorupach muszel²⁸⁵. Śmieszne, co? Takiego

mnie jeszcze nie znałeś, ale po tym, co przeżyliśmy tam w Niemczech i w Polsce, potrzebuję takiej plaży. Rozumiesz?

— Tak, señor.

— Czas na ciebie. Bywaj, amigo!

Uściskali się i Diaz pomaszerował w kierunku trapu.

284 Kobieta?

285 Jest to dosłowny cytat z Memoriału. Czy Bathurst pojechał na Sardinie i czy odnalazł Julię tego nie wiem, gdyż Memoriał urywa się w tym miejscu.

LIST

W teczce zawierającej Memoriał znajdowało się także kilka listów, z których ważniejsze zacytowałem w tekście książki. Pozostał już tylko jeden, list Beniamina Bathursta do Manuela Diaza, ostatni chronologicznie dokument dotyczący operacji „Szachista”²⁸⁶.

„Drogi Manuelu.

Dopiero co przyjechałem do Wiednia, a już muszę wyjeżdżać. Austria pada na kolana przed Francją, czas więc zwijać manatki. Tym razem zwijam je ostatecznie. Mam znakomitą okazję — będę jechał przez tereny okupowane, a ponadto w Wiedniu spotkałem starego przyjaciela, który zaofiarował mi pomoc i który jest w tych sprawach potężniejszy od obu cesarzy i cara razem wziętych. Wiem, że ta wiadomość cię zaskoczy, musiałem jednak przyspieszyć realizację naszego planu, bo w sytuacji, jaka się wytworzyła, nie byłbym w Londynie pewien jednej godziny, Pisałem ci już, że wykończyli Gimela²⁸⁷. To samo zrobili z kilkoma innymi, w tym z Robersohnem i ze starym Niemcem²⁸⁸. Wiem, że szukają «Jean-Barta»²⁸⁹. Baring zaniemógł ciężko i zdycha. Będzie cudem, jeśli przeżyje jeszcze pół roku, najprawdopodobniej trują go systematycznie²⁹⁰. Pittówna wie już, co jej grozi²⁹¹. Poinformowałem ją i poradziłem, by jak najszybciej wyniosła się precz i to nie tylko z Anglii, ale z Europy, najlepiej na kraniec świata.

Dla siebie zarezerwowałem najlepszy pomysł, ucieczkę w wieczność. Mogą osiągnąć każdego, nawet na wyżynach Tybetu, ale nie w grobie. Jeśli mi się to uda, będziesz

286 List ten, napisany w Wiedniu, nie jest datowany, można jednak przyjąć, że napisano go w ciągu tygodnia poprzedzającego 14 października 1809 roku, kiedy podpisany został w Schönbrunn pokój między Francją i Austrią.

287 W Pamiętnikach Bourrienne'a, w tomie VII, znajduje się jedno lapidarne zdanie: „Po krótkiej podróży do Anglii zmarł on (Gimel — przyp. W. Ł.) w początkach roku 1807”.

288 Chodzi zapewne o współpracownika von Kempelena, owego starca, który nauczył Heytera obchodzenia się z automatem.

289 Patrz przypis 144.

290 Systematyczne trucie metodą markizy de Brinvilliers, którego technologię opisałem w Empiowym pasjansie, było w owym czasie nader popularną metodą pozbywania się ludzi. W ten sposób zamordowano m. in. Napoleona.

291 Patrz przypis 12. Matka Estery Stanhope, również Estera, była z domu Pitt, stąd sformułowanie Bathursta. W roku 1809 lady Stanhope ukrywała się w Builth (Walia), by w roku 1810 uciec na zawsze do Arabii.

musiał przyznać, że Julia jest najlepszą wróżką świata. Przed laty wywróżyła mi dwa życia. Jeśli mi się nie uda, żegnaj i działaj sam. Pomoże ci Wilson. Mam nadzieję, że go pamiętasz, to ten, któremu dostarczyłeś wydrążone figurki słoniowe²⁹². Kontaktuj się z nim przez Colqhouna Granta²⁹³. Z Grantem z kolei skontaktuje cię «Kalif»²⁹⁴. O ile wiem, «Kalif» jest w tej chwili w Segovii i pobędzie tam jeszcze przez kilka miesięcy. Gdyby «Kalif» i Grant zginęli, szukaj kontaktu w Londynie u właściciela zielonej gospody. Hasło «Późny wschód słońca».

Pakiet, który ci przesyłam, przechowaj z całą ostrożnością, gdyby zaś groziło ci niebezpieczeństwo, przekaż go jednemu z wymienionej dwójki, Grantowi lub Wilsonowi. Najlepiej temu drugiemu, on będzie wiedział, jak wykorzystać zawartość. Składa się na nią kilka dokumentów i mój pamiętnik z naszej wyprawy, który wolno ci przeczytać²⁹⁵.

292 O Wilsonie patrz przypis 42. Po upadku Cesarstwa Wilson uczestniczył w spiskach mających na celu uwalnianie oficerów napoleońskich więzionych przez Burbonów. Największym jego sukcesem było zorganizowanie ucieczki eks-ministra poczt Napoleona, Lavalette'a, natomiast nie udało mu się, mimo starań, uwolnić marszałka Ney'a. Domniemywano udział Wilsona w próbach uwolnienia Napoleona ze Świętej Heleny.

W przypadku „słoniowych figurek” chodzi zapewne o wydrążone w środku figury szachowe z kości słoniowej, służące do przemykania tajnej korespondencji. Być może ten sam komplet szachowy został w kilka lat później użyty przy próbie uwolnienia Napoleona ze Świętej Heleny. Wiadomo, iż konspiratorzy, zamierzający oswojzić Bonapartego, posłali mu na wyspę wykonany z kości słoniowej i masy perłowej komplet szachów. We wnętrzu wydrążonych figur znajdowały się zwitki bardzo cienkiego papieru, na którym nakreślono precyzyjny plan ucieczki. Powierzono tę przesyłkę zaufanemu oficerowi, który miał ją wręczyć Napoleonowi w formie prezentu i objaśnić wszystkie szczegóły. Oficer ten jednak zmarł w tajemniczy sposób na pokładzie statku płynącego na Świętą Helenę. Szachy dostarczył cesarzowi jego kolega, który jednak nie był wtajemniczony. Napoleon grał tymi szachami, nie wiedząc, co zawierają. Przed śmiercią miał je przeznaczyć dla swego syna. Ich losy nie są dokładnie znane. Przez dłuższy czas znajdowały się w posiadaniu księżnej Paleologue w Atenach. W roku 1933 księżna oddała je do dyspozycji zarządu wystawy napoleońskiej w Austerlitz.

293 Było w armii angielskiej tej doby dwóch oficerów o nazwisku Colqhoun (Colquhoun) Grant. W tym przypadku chodzi niewątpliwie o majora (późniejszego pułkownika) Colqhouna Granta, oficera wywiadu działającej na półwyspie Pirenejskim armii ekspedycyjnej Wellingtona. Człowiek ten brał udział w wielu tajnych operacjach i otoczony był swego rodzaju robinhoodowską legendą.

294 Mowa o jednym z najbardziej tajemniczych szpiegów swego czasu, Katalończyku związanym z wywiadami hiszpańskim i francuskim, Badii Castillo y Leblach (1766—1818). W latach 1803—1805 odbył on z ramienia Hiszpanii poważną misję dywersyjno-szpiegowską do Maroka, podając się za potomka Abbassydów Ali-beja z rodu kalifów pochodzących od Mahometa (stąd pseudonim). Badia, świetnie znający języki i obyczaje wschodnie, występował również pod nazwiskiem Hadż Ali-Abu Othman. Od 26 września 1809 roku pełnił funkcję intendenta w Segovii z ramienia brata Napoleona, króla Hiszpanii Józefa Bonaparte. Według generała Spillmanna (Napoleon et VIslam, Paris 1969) powierzono mu tę funkcję, by mieć go pod ręką na wypadek nagłej szpiegowskiej potrzeby i w obawie, by będąc bezrobotny nie zaproponował swych usług wywiadowi angielskiemu. Było to następstwem spostrzeżenia jakichś jego kontaktów z Anglikami, najprawdopodobniej kontaktów z Colqhounem Grantem.

295 Czytelnik oczywiście domyślił się w trakcie lektury, że autorem Memoriału był Benjamin Bathurst. Uznałem za stosowne nie zdradzać tego na początku książki. Trudno określić, czy Bathurst

Znajdziesz tam wiele szczegółów, o których dotychczas nie miałeś pojęcia, choćby o Parvisie, każdy nasz krok, nasze rozmowy i nawet moje myśli. Wysłałam to wszystko przez pana de Azara, posła Junty, który również lada dzień opuści Wiedeń, gdyż i on staje się tu persona non grata²⁹⁶. Jest to człowiek godny zaufania. Ułatwiłem mu zdobycie i transport do Hiszpanii partii karabinów dla waszych powstańców, jest mi więc oddany i z radością zgodził się wyświadczyć mi przysługę²⁹⁷.

Żegnaj, Manuelu, a raczej do zobaczenia. Mam nadzieję, że do zobaczenia.

Beniamin.

PS. Jeśli mnie wykończą, nie bawcie się już w żadne kombinacje. Po prostu strzelcie mu w łeb przy pierwszej nadarzającej się okazji, a potem d'Antraiguesowi i de Tilly'emu, jeśli on sam nie wykończy tych dwóch wcześniej. I uważajcie! Zaraz po rozszyfrowaniu tego listu spal i oryginał, i odcyfrowanie²⁹⁸.

Byłbym zapomniał! Poinformuj Wilsona i Granta, że dwaj panowie S²⁹⁹ skorzystali z Wagram, by ostatecznie porachować się z filadelfami. Wyrżnięto cały ich sztab w trakcie bitwy”.

prowadził podczas operacji „Chess-player” dziennik, czy też później opisał wyprawę z pamięci. Prawdopodobniejsze jest to drugie, z tym że niewątpliwie jakimiś notatkami z roku 1806 musiał dysponować, gdyż z samej pamięci nie odtworzyłby tylu nazw, nazwisk, dat i innych szczegółów.

296 Kawaler de Bardaxi Azara był posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym w Austrii z ramienia walczącej z Józefem Bonaparte i wojskami napoleońskimi, powstańczej Najwyższej Centralnej Junty Rządzącej i jego królewskiej katolickiej mości Ferdynanda VII. Po złożeniu Metternichowi listu pożegnalnego w dniu 30 października 1809 roku de Bardaxi Azara opuścił Austrię, udając się w drogę powrotną do Hiszpanii.

297 De Bardaxi Azara miał z tym ogromne kłopoty. Wiadomo, iż w liście z 22 sierpnia 1809 roku zaklinał Hudelista (współpracownika ministra spraw zagranicznych Austrii Stadion) na Boga, by mu wyjednał pozwolenie na transport przez Fiume kilku tysięcy sztuk broni palnej i otrzymał w tej sprawie odmowę.

298 Z tego oraz z innego charakteru pisma wynika, że cytowany dokument jest dokonany przez Diaza odszyfrowaniem listu Bathursta, nie zniszczonym przez Cygana z nieznanego przyczyny.

299 Schulmeister i Savary.

KOMENTARZE

Urodzony 14 marca (w astrologii Ryby) 1784 roku Beniamin Bathurst zaginął w tajemniczych okolicznościach w listopadzie 1809 roku w okolicach Perleberga, dlatego w encyklopediach podaje się tę datę jako datę jego śmierci. Sprawę jego zaginięcia uznano za jedną z dwóch największych zagadek pierwszej połowy XIX stulecia, równą aferze tajemniczego znajdy i rzekomego nieprawego potomka Bonapartych, Kacpra Hausera. Wydaje mi się, że w świetle Memoriału, a zwłaszcza listu do Diaza, z którego treścią zapoznałem Czytelników, sprawa zniknięcia Bathursta przestaje być tak bardzo tajemnicza i daje się w logiczny sposób wytłumaczyć.

Wbrew oficjalnej wersji historiograficznej twierdzą, że Beniamin Bathurst nie poniósł śmierci w roku 1809, tylko w bardzo sprytny sposób „zmienił skórę”, by uniknąć ciosu z rąk siepaczy Castle-reagha, dokonać zemsty i prowadzić inne, bardziej odpowiadające mu życie³⁰⁰. Zanim jednak przejdę do szczegółów zniknięcia Bathursta, winien jestem Czytelnikowi wyjaśnienia i komentarze odnośnie kilku innych spraw mających związek z operacją „Szachista”.

1. SOBOWTÓR Z GOSTYNIA

Rzecz prosta, po zapoznaniu się z relacjami Pircha, Berntropa i treścią Memoriału, odbyłem w trakcie pisania książki, w czerwcu 1975 roku, wyprawę do gostyńskiego klasztoru w celu zidentyfikowania sobowtóra w habicie, owego „mnicha Stephena”. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem, a to przede wszystkim za sprawą bajecznie wprost gościnnych i uprzejmych ojców filipinów. Goszcząc mnie po staropolsku (takiej zupy grzybowej, że „nie wspomnę” o cielęciny, to ja jeszcze w życiu nie jadłem), udostępnili mi specjalny gabinet do pracy, całe swoje archiwum i bezcenne

300 Być może z Julią, nie posiadam wszakże na to dowodów

manuskrypty³⁰¹. Dwa okazały się szczególnie cenne dla mnie³⁰². Na ich podstawie ustaliłem, że „pion Schulmeistra” nazywał się Stefan Błażewski.

Stefan Błażewski urodził się we wsi Zajączkowo niedaleko Humania 3 sierpnia 1773 roku, był więc o cztery lata młodszy od Napoleona. Pierwsze nauki pobierał w szkole ojców bazylianów w Szarogrodzie, w guberni podolskiej. Kończył edukację u ojców pijarów w Niemrawicach.

Z relacji Pircha wiedziałem, że Błażewski przebywał w Paryżu jako delegat kleru polskiego do Napoleona, dziwne jednak mi się wydawało, że już po jednym pobycie „dokładnie język francuski posiadał” (Pirch). Dopiero przeglądając archiwum gostyńskie dowiedziałem się, że Błażewski był już w Paryżu wcześniej, podczas podróży do zachodniej Europy. Wyjechał z Franciszkiem Potockim i jego matką Anną z Mycielskich, podkomorzyną Potocką, jako guwerner młodego hrabicy.

W Paryżu Błażewski musiał przeżyć jakiś poważny wstrząs, albowiem po którejś nocy, pełnej wewnętrznej walki („Czy to jest koniec żywota ludzkiego — mówił sam do siebie — aby się bawić, a potem co?...”)³⁰³, oznajmił rano, że bezzwłocznie opuszcza Francję. Do kongregacji gostyńskiej przyjęto go w

Stanie świeckim dnia 18 listopada 1801 roku. Na kapłana wyświęcił Błażewskiego biskup poznański Ignacy Raczyński 21 stycznia 1804 roku.

Było dla mnie rzeczą oczywistą, że po zakończeniu operacji „Chess-player” i uwolnieniu przez Bathursta ksiądz Błażewski, zgłosiwszy się z listem Beniamina do Schulmeistra, zostanie przez niego ukryty. W każdym razie as i jeden z kierowników francuskiego wywiadu i kontrwywiadu powinien był, w następstwie swej sugestii wyrażonej w postscriptum listu do Bathursta, nakłonić Błażewskiego do usunięcia się na pewien czas z klasztoru, tak by nie dosięgły go ręce mszczących się za zdradę organizatorów operacji

301 Chcę w tym miejscu serdecznie podziękować wszystkim ojcom filipinom, którzy mi pomagali, a zwłaszcza gorąco księdzu ministrowi Marianowi Gosie i archiwście, księdzu Zbigniewowi Starczewskiemu.

302 Liber Defunctori — księga zmarłych Zgromadzenia Świętogórskiego, prowadzona nieprzerwanie od założenia Kongregacji (1668) do dzisiaj, oraz Zbiór wiadomości o Świętej Górze... księdza Dominikowskiego.

303 Cytuję za księdzem Antonim Brzezińskim z jego Pamiątki jubileuszu dwóchsetletniego Zgromadzenia XX. Filipinów na Górze Świętej Gostyńskiej, Poznań 1869. W cytacie tym słowo koniec należy rozumieć jako sens.

„Szachista”. Przypuszczenia te znalazły pełne potwierdzenie. Na przeciąg kilku lat ojciec Stefan usunął się za zezwoleniem kongregacji z klasztoru i osiadł w Chocieszewicach, gdzie nauczał synów starosty Mycielskiego.

W roku 1811 powrócił do Gostynia, jednakże w dalszym ciągu był bardzo ostrożny, „dwa czy trzy razy przez całe życie widziano go o trzysta kroków za bramą, a zaraz wracał; z celi nie wychodził, chyba do kościoła i refektarza” (ksiądz Brzeziński). Zamieszkiwał Błażewski do śmierci w celi na pierwszym piętrze, z oknem od północy i z widokiem na przyklasztorny cmentarz. Zajmował się czytaniem „ksiąg kościelnych i ascetycznych”, pełniąc w końcu funkcję Seniora i Sekretarza Kongregacji. „Wielce łaskawy dla ubogich, w cichości znaczne czynił jałmużny, dobry przewodnik młodszych księży i nowicjuszków, wpajał w nich ducha ascetycznego” (Pirch zarzucił mu nawet fanatyzm, gdyż pokłócili się o Lutra).

Ciężka choroba piersi, zapewne gruźlica, którą Pirch zaobserwował u niego już w roku 1826, zmusiła księdza Błażewskiego pod koniec życia do rezygnacji z funkcji kapłańskich. Uwolniony przez zgromadzenie od obowiązków, oddał się pracy naukowej i przetłumaczył z łaciny dzieło „Paedagogus Christiansus”³⁰⁴. Zmarł 2 marca 1849 roku, a imię jego jeszcze przez długie lata wymawiano z głębokim szacunkiem.

Chociaż hrabia Edward Raczyński w swoich „Wspomnieniach Wielkopolski...”³⁰⁵, cytując relację oficera pruskiego, którego zaintrygowała twarz zakonnika, nie podał roku, z jakiego relacja pochodziła, napisałem we wstępie, że z lat dwudziestych XIX wieku. Nie byłem tego pewien, ale posłużyłem się logiką. W latach bowiem trzydziestych i czterdziestych twarz Błażewskiego byłaby już zbyt stara, by mogła nasuwać skojarzenia z twarzą Napoleona, który zmarł w wieku 52 lat, w roku 1821. Dopiero z materiałów archiwum klasztornego dowiedziałem się, że praca Ottona Pircha, z której Raczyński skorzystał, nosiła tytuł „Wspomnienia z podróży roku 1826”. W ten sposób uzyskałem kolejne potwierdzenie.

304 Wydano to tłumaczenie w Lesznie w roku 1848.

305 Patrz przypis 1.

2. FILADELFOWIE

Rosjanin Jefim Czerniak, w swojej poświęconej pojedynek wywiadów na przestrzeni dziejów pracy pod tytułem „Pięć stuleci tajnej wojny”, napisał:

„Gdy Napoleon upadł i rozpoczął się okres Restauracji burbońskiej, wielki rozgłos zyskała sobie mistyfikacja popularnego francuskiego pisarza, Charlesa Nodiera, zawarta w książce „Historia tajnych sprzysiężeń i spisków wojskowych mających na celu obalenie Bonapartego” (Paryż 1815). Nodier podał do publicznej wiadomości, że w armii Napoleona istniała silna konspiracja rojalistowska, filadelfowie, składająca się z oficerów-herosów, romantycznych rycerzy słusznej sprawy burbońskiej. Relacja Nodiera zawierała tylko jeden, ale za to istotny błąd. Otóż takiego podziemia, jakie przedstawił autor, w ogóle nie było. Prawdziwi filadelfowie byli niewielką grupą młodzieży, do której przyłączyło się kilku oficerów...”

Powyzsze stwierdzenie zawiera tylko jeden, ale za to istotny błąd. Jest nieprawdziwe.

Czerniak przedstawił w nim opinię pokutującą niegdyś przez kilkadziesiąt lat, lecz dzisiaj już zupełnie nieaktualną.

W minionym stuleciu na ogół wierzono Nodierowi i pisano o filadelfach jako o fakcie. Gdy jednak ukazało się kilka prac³⁰⁶ dowodzących, że Nodier to bajarz, który na zamówienie dworskie skomponował mistyfikację w celu podretuszowania twarzy mało aktywnych w dobie napoleońskiej rojalistów — w encyklopediach pojawił się nowy ton: filadelfowie byli mało znaczącą organizacją o charakterze masońskim³⁰⁷ bądź reformatorskim w duchu naiwnego romantyzmu, nie mającą nic wspólnego z konspiracją wewnątrzarmijną przeciw cesarzowi. Tę właśnie opinię powtórzył Czerniak i to w momencie, gdy była ona już uznana przez poważną historiografię za błędną. Czerniak po prostu skorzystał z przestarzałych źródeł³⁰⁸.

306 Ukoronowaniem była książka E. Guillon Les cotnplots militaires sous Le Consulat et L'Empire (Spiski wojskowe w dobie Konsulatu i Cesarstwa), Paris 1894. Guillon wprost zarzucił Nodierowi łgarstwo.

307 Na przykład L. Pingaud, Lajeunesse de Ch. Nodier. Lesphiladelphes, Paris 1919.

308 Sprawę Czerniaka wyjaśniam tak dokładnie, gdyż jego książka jest bardzo popularna, a nie chcę, by zawarty w niej błędny sąd o filadelfach spowodował u Czytelników wątpliwości na temat różnicy zdań.

Że Nodier był w pewnym stopniu bajaranem i mitomanem — nie ulega wątpliwości. Swoją książkę nafaszerował on ozdobnikami wyolbrzymiającymi rolę filadelfów i przyczepił im nazwiska oraz zdarzenia, z którymi raczej nie mogli mieć nic wspólnego. Wszelako nie ulega dzisiaj wątpliwości, że filadelfowie działali wewnątrz Wielkiej Armii jako groźna organizacja antynapoleońska, a dramatyczny pojedynek między nią a kontrwywiadem francuskim zakończył się niezwykle krwawo. Uznali to za fakt najwybitniejsi historycy francuscy, z takimi tuzami na czele, jak profesorowie Louis Madelin³⁰⁹ czy Georges Lefebvre³¹⁰, autor jednej z najlepszych biografii Napoleona. Lecz chociaż oparli się oni na źródłach dokumentalnych³¹¹ oraz na przekazach pamiętnikarskich³¹², nie byli w stanie dokładnie sprecyzować genezy i działalności filadelfów. Pozostają one do dzisiaj w znacznym stopniu zagadką. Zasób informacji, które znajdzie Czytelnik poniżej, to właściwie wszystko (oczywiście w dużym skrócie), co można ustalić; jest to bardzo niewiele. Właściwa wojskowa konspiracja o nazwie Philadelphes powstała z połączenia kilku wcześniejszych sekretnych organizacji. Jedną z nich byli olimpijczycy (Olimpiens). Poświęcił im rozdział w swoich pamiętnikach pierwszy detektyw w dziejach, eks-galer-nik, a następnie twórca francuskiej policji kryminalnej (Surete), Franciszek Eugeniusz Vidocq³¹³. Organizacja ta, składająca się z oficerów (najpierw tylko marynarki, a potem także piechoty), powstała w roku 1804 w Boulogne-sur-Mer³¹⁴ z inicjatywy młodego Crombeta de Namur i głosiła hasła równości, braterstwa i nienawiści do tyrana. O jakiego tyrana chodziło, wskazywał symbol-herb olimpijczyków. Było to wyłaniające się z obłoków ramię wznoszące sztylet nad popiersiem Cezara. Przed rokiem 1806 przeniknęły do olimpijczyków idee filadelfijskie.

Geneza pierwszych filadelfów jest wcześniejsza i bardzo zagmatwana. Nazwa

309 Louis Madelin, Fouche, Paris.

310 G. Lefebvre, Napoleon, Paris 1969. Gwoli prawdy trzeba jednak przyznać, że do dzisiaj niektórzy kiepsko zorientowani w sprawie historycy powtarzają wersję o „bardziej masońskim niż politycznym charakterze filadelfów” (cytat z J. P. Bertaud, Bonaparte et le duc d'Enghien, le duel des deux France, Paris 1972).

311 Dokumenty w Archives Nationales, F. 7. D. 6331, 6499 i inne.

312 Dzieje filadelfów opisał m. in. nadworny farmaceuta Napoleona, Cadet-Gassicourt, w Voyage en Moravie 1809.

313 Memoires de Vidocq, Paris 1828—29.

314 Punktem zbornym i kontaktowym była kawiarnia niejakiego Hervieuxa w Boulogne.

pochodziła od przyjaciela Robespierre'a, Filipa Buonarroiego, demagoga i kłamcy, który podawał się za potomka Michała Anioła. W dobie Rewolucji Konwent dał mu tytuł obywatela francuskiego i mianował komisarzem rządowym. Za wykroczenia na tym stanowisku Buonarroiti dostał się do więzienia, gdzie poznał terrorystę jakobińskiego (a zarazem idealistę), Franciszka Babeufa, późniejszego redaktora gazety „Trybun Ludu”. Za udział w spisku Babeufa Dyrektoriat skazał Włocha na wygnanie. Wówczas Buonarroiti, rzekomo zainspirowany pełną miłości do ludu i nienawiści do klas posiadających filozofią swego zabitego przyjaciela³¹⁵, począł tworzyć nowe konspiracje, nie ma jednak pewności, czy miał coś wspólnego z założeniem filadelfów. Za Dyrektoriatu istniało już we Francji kilka organizacji (bądź komórek regionalnych) filadelfów, głównie we Franche-Comte i w Bretanii. Za Konsulatu doszło do pierwszych kontaktów filadelfów z olimpijczykami. W niedługim czasie policja i wywiad miały już pierwsze dane i jakieś takie rozeznanie w działalności tych stowarzyszeń, podjęto także pierwsze kroki represyjne³¹⁶. Cesarz i rząd lekceważyli jednak doniesienia, traktując je jak podobne im o najróżniejszych anemicznych grupkach mniej lub bardziej naiwnej opozycji. Do roku 1806 stosunek taki był usprawiedliwiony, gdyż tak olimpijczycy, jak i filadelfowie, przesiąknięci naiwnym idealizmem i masonizmem, nie byli groźni i warci pojedynku (ramię ze sztyletem u olimpijczyków stanowiło buńczuczny symbol i nic więcej). Jednakże skutek tego lekceważenia przegapiono moment ich przemiany w zdecydowaną na wszystko organizację podziemną wewnątrz Wielkiej Armii. Według Nodiera i Vidocqa motorem tej przemiany był pułkownik Jakub Oudet. Czy doprowadził on do połączenia obu organizacji, tego nie wiadomo. Bardziej prawdopodobne jest, że wojskową konspirację filadelfów utworzyły grupy zdesperowanych oficerów z wcześniejszych organizacji, pozostawiając swych towarzyszy teoretyków w dawnych związkach o pierwotnych nazwach i programach. Natomiast program filadelfów wewnątrzarmijnych był jeden: obalić Bonapartego czynem zbrojnym. Miało to przynajmniej w tym sensie ręce i nogi, że pustą gadaniną obalić go nie było można.

315 Babeufa zgilotynowano 27 maja 1797 roku.

316 Aresztowano m. in. eks-deputowanego do Konwentu z okręgu Var, dziennikarza Jakuba Rigomera Bazin (1771—1820) z Mans.

Niełatwo też zorientować się, czy rzeczywiście, jak twierdził Castlereagh (pokrywa się to z przekazem Nodiera), filadelfowie posiadali orientację rojalistowską czy też republikańską. Osobiście, mając na uwadze Memoriał, jestem przekonany, że filadelfowie byli sprzysiężeniem rojalistowskim, aczkolwiek nie odrzucam całkowicie możliwości, że w ich szeregach krzyżowały się różne przeciwstawne nurty, związane nienawiścią do Napoleona. Sam Oudet, syn zamożnego wieśniaka z Jury i zażarty rewolucjonista roku 1793, uchodził za jakobina. Niczego to jednak nie zmienia, wiadomo bowiem, iż wielu jakobinów w dobie Cesarstwa zażarcie pracowało dla Burbonów. Tak czy owak organizacja powstała i zaczęła przygotowywać się do zamachu i opanowania Wielkiej Armii. Według niektórych źródeł szefem sprzysiężenia był pułkownik Oudet (jego filadelfijski pseudonim brzmiał: „Filopojmen”, od nazwiska sławnego greckiego wodza, zwycięzcy Spartan). Czy jest jednak możliwe, by na czele tak potężnego spisku stała osobistość tak mało znacząca i w tak niskiej randze? Skłonny byłbym raczej przypuszczać, że za Oudetem, występującym wobec niższych członków sprzysiężenia jako szef, stał jakiś „mózg” lub grupa wpływowych dostojników, pragnących do czasu zwycięstwa ukrywać swą przynależność do filadelfów. Nodier wymienił generałów Moreau³¹⁷ i Maleta³¹⁸, napomykano także o Bernadocie³¹⁹, pewności jednak nie ma. Do dzisiaj nie wiemy, kim był autentyczny szef filadelfów³²⁰. Jeśli musiałbym wskazać kogoś, zdecydowałbym się na Maleta, który niezmordowanie spiskował przeciw cesarzowi i próbował dokonać zamachu stanu w roku 1812. Jeśli nawet nie stał on na samym czele, to z pewnością znajdował się w sztabie głównym filadelfów.

317 Jan Wiktor Moreau (1763—1813), zwycięzca spod Hohenlinden (1800), wieloletni rywal Bonapartego, skazany w roku 1804 na banicję za udział w spisku Cadoudal-Pichegru. Trudno przypuszczać, by kierował filadelfami ze Stanów Zjednoczonych.

318 Klaudiusz Franciszek de Malet (1754—1812), notoryczny spiskowiec. W roku 1812, podczas nieobecności Napoleona (kampania rosyjska), dokonał zamachu stanu i na krótko opanował kilka centralnych urzędów w Paryżu. Zamach skończył się niepowodzeniem i Savary bezzwłocznie rozstrzelał Maleta wraz z jego kompanami. Malet nosił w sprzysiężeniu filadelfów pseudonim „Leonidas”.

319 Jan Baptysta Bernadotte (1763—1844), marszałek Francji, ksiązę Ponte Corvo, od roku 1810 następca tronu szwedzkiego i wreszcie od roku 1828 król Szwecji. Chociaż Napoleon obsypywał go łaskami, Bernadotte nieustannie spiskował przeciw niemu. Był związany z konspiratorami Bretanii (być może z olimpijczykami) i ze swej kwatery głównej w Rennes rozsyłał do francuskich sztabów armijnych ulotki antynapoleońskie. Lecz czy zaryzykowałby dowodzenie sprzysiężeniem zbrojnym?

320 Wspomniani Madelin i Lefebvre przyjmują Oudeta za szefa filadelfów, ale to zdaje się z braku kogoś lepszego.

Wiemy natomiast, dlaczego filadelfowie nie zostali zniszczeni od razu, na początku swojej działalności, mimo że od roku 1806 wywiad był już informowany o ich tajnych zebraniach. Rzecz polegała na dwoistości wywiadu. W ówczesnej Francji funkcjonowały dwie konkurujące z sobą instytucje wywiadu i kontrwywiadu, jedna ministra policji Fouchego, druga szefa żandarmerii i ochrony cesarza, generała Savary'ego, którego zastępcą był Schulmeister. Człowiekiem, który pierwszy wpadł na trop, był Fouche³²¹. A Fouche nienawidził (z wzajemnością) Savary'ego i nie przepadał także za Napoleonem, chociaż formalnie mu służył. Nieformalnie pan minister współpracował z wywiadem angielskim i austriackim, będąc zarazem szeregowym agentem wywiadu rosyjskiego³²². W tej sytuacji trudno się dziwić, że Fouche, chociaż polecił inwigilować olimpijczyków hrabiemu de L..., a filadelfów innym swoim agentom, nie wyrządził konspiratorom krzywdy. Natomiast Savary i Schulmeister wpadli na trop później, i to, jak wskazuje Memoriał, dopiero w związku z operacją „Szachistą”.

Kolejne pytanie: czy „królewski gambit” Schulmeistra pozwolił mu zidentyfikować i zlikwidować sztab filadelfów w grudniu 1806 roku? Z przebiegu operacji „Chess-player” wynika, że tak powinno być. Widocznie jednak nie wszystko udało się Schulmeisterowi tak, jak zamierzał, gdyż filadelfowie przetrwali przynajmniej do roku 1809, a Malet działał jeszcze w roku 1812. Oficjalnie przyjmuje się, że eksterminowano członków organizacji w roku 1809, po bitwie lub w trakcie bitwy pod Wagram. Wiąże się to ze śmiercią pułkownika Oudeta.

Bitwa pod Wagram, w której Napoleon rozgromił Austriaków, zakończyła się 6 lipca 1809 roku. Według Guillon'a szef 9 pułku piechoty, pułkownik Jakub Józef Oudet (1773—1809), został w niej po prostu raniony kulą nieprzyjacielską i zmarł 8 lipca na przedmieściu Wiednia, w domu, do którego go przetransportowano³²³. Guillon, nie wierzący w ogóle w wojskowe sprzysiężenie filadelfów, nie przyjął do wiadomości innej wersji wydarzeń. Ta druga wersja została jednak uznana (vide Madelin) za prawdziwą. Z

321 Według Vidocq'a Fouche otrzymał informacje na temat olimpijczyków od generalnego komisarza policji w Boulogne Devilliersa.

322 W wywiadzie rosyjskim Fouche nosił pseudo „Natasza”.

323 O Oudecie patrz B. d'Aussy, Le colonel Oudet, Vannes 1889 i Ch. Thurict, Le colonel Oudet, Besancon 1901.

wielu drukowanych źródeł francuskich (np. Delandine de Saint-Esprit, „Histoire de L'Empire”, Paris 1863) wiadomo, iż egzekucje zdekonspirowanych filadelfów przeprowadzano w bardzo szczególny sposób. Wielka Armia wstydziła się, że wewnątrz niej działali zdrajcy i sabotażyści, toteż ich likwidowaniu nie chciano nadawać rozgłosu. Zamiast stawiać ich przed plutonami egzekucyjnymi, wystawiano ich na pierwszą linię podczas ataku na pozycje wroga. Po bitwie nikt nie sprawdzał, czy otrzymali śmiertelne kule z przodu, czy z tyłu. Jak było z hierarchią filadelfów, w szczegółach nie wiadomo. Przyjmuje się, że wieczorem po bitwie pod Wagram pułkownik Oudet i jego kilkudziesięciu towarzyszy z organizacji zostali wciągnięci przez francuski kontrwywiad w zasadzkę i wystrzelani co do jednego, a śmierć ich zapisano na konto bitwy. Ten ostateczny cios zadał filadelfom cesarski „Agent nr 1”, Karol Schulmeister, z pewnością nie bez pomocy Savary'ego i być może Davouta.

Reasumując: nie sposób odpowiedzieć na pytanie, czy wielka wpadka z roku 1806 pociągnęła za sobą (i w jakim stopniu) klęskę organizacji, a w roku 1809 tylko dorżnięto tych, którzy przetrwali, czy też w roku 1806 filadelfowie jakimś cudem uniknęli pogromu i dopiero w trzy lata później poszli pod nóż. Jedno wydaje się pewne: eksterminować członków stowarzyszenia zaczęto w roku 1806, w wyniku operacji „Chess-player”, a sfinalizowano rzecz po Wagram rzezią, którą Benjamin Bathurst nazwał w szyfrowanym liście do Diaza „ostatecznym porachunkiem”.

3. ANDROID VON KEMPELENA

Wyjaśnienia na temat początkowych losów automatycznego szachisty barona von Kempelena zamieściłem w rozdziale I, w postaci krótkiego „zwischenrede” rozmowy Castlereagha, Percevala i Henryka Bathursta. Reszty dowiedział się Czytelnik ze słów Castlereagha, wyjętych przeze mnie z Memoriału i wzbogaconych o pewne szczegóły.

Wypada jeszcze tylko wyjaśnić, jak potoczyły się losy „Turka” po szamotulskiej akcji Beniamina Bathursta.

Zacznijmy od cytatu ze wspomnień sławnego, chociaż niezbyt lotnego na umyśle pokojowca Napoleona, Constanta. Opisana scena miała miejsce we wrześniu 1809 roku: „W pałacu w Schönbrunnie można było spotkać wszystkich wybitnych uczonych niemieckich. Nie było takiego nowego dzieła czy wynalazku, żeby Cesarz nie kazał sobie przedstawić jego autora. Tak więc pan Malzl, słynny mechanik, wynalazca metronomu, miał zaszczyt zademonstrować Cesarzowi parę swoich wynalazków. Cesarz podziwiał sztuczne nogi, lepiej i wygodniej od drewnianych zastępujące prawdziwe, urwane armatnią kulą.

Pan Malzl zbudował także automat, znany w całej Europie pod nazwą «Szachisty». Przywiózł go do Schönbrunnu dla pokazania Cesarzowi i ustawił w apartamencie księcia Neufchatel (...)

Automat siedział przed stołem z szachownicą, na której były już ustawione figury. Cesarz wziął krzesło, siadł naprzeciwko automatu i rzekł śmiejąc się:

— No, kolego, kto mocniejszy?

Automat skłonił się i gestem ręki jakby zaprosił Cesarza do otwarcia partii. Po dwóch, trzech ruchach Cesarz umyślnie posunął jedną figurę na złe pole. Automat uklonił się, wziął figurę i postawił ją na właściwym miejscu. Cesarz oszukał po raz drugi. Automat znów się uklonił, ale tym razem zabrał figurę.

— Słusznie — rzekł Cesarz.

I po raz trzeci zrobił oszukańczy ruch. Wtedy automat potrząsnął głową i przesunawszy ręką po szachownicy przewrócił wszystkie figury. Cesarz gorąco pogratulował wynalazcy³²⁴.

Cytat powyższy potwierdza tylko to, co Czytelnik już wie — że Bonaparte w wyniku operacji „Szachista” doskonale znał tajemnicę wynalazku barona von Kempelena i wcale nie zamierzał grać z automatem (sprawdzać, „kto mocniejszy”), tylko sobie z niego drwił. Constant powypisywał oczywiste bzdury. Przede wszystkim wynalazcą „Turka” nie był

324 Louis Wairy Constant, Pamiętniki kamerdynera cesarza Napoleona I, Warszawa 1972, przekład Tadeusza Ewertka.

austriacki mechanik Johann Nepomucen Malzl (1772—1838). Automat zaprezentowany Napoleonowi w Wiedniu przez Malzla był tym samym fałszywym androidem von Kempelena, którego losy śledziliśmy od Berlina do Szamotuł. Historykom nieobcy jest fakt, że Malzl wszedł w posiadanie „Turka” (podobno kupił go) po roku 1806, przywrócił mu stan używalności i zarabiał nim na życie.

Drugi nonsens w relacji Constanta polega na tym, iż odnosi się z niej wrażenie, że cesarz po raz pierwszy w życiu zetknął się z „Turkiem” właśnie w Wiedniu 1809 roku.

Zadziwiająca rzecz — dlaczego kamerdyner, który od lat nie odstępował Napoleona, nie wiedział, iż cesarz interesował się automatem szachowym już w Berlinie jesienią 1806 roku i jak podają niektóre źródła, miał nawet wygrać z nim partię! Może Constant wypełniał akurat jakieś polecenie lub był chory? Ale z kolei dlaczego Bonaparte udał, że nie rozpoznaje znanego mu już wynalazku? I tu dochodzimy do sedna sprawy.

Gdyby automat von Kempelena nie był związany z jakąś tajną grą polityczną, to czy Napoleon odgrywałby komedię wobec swego otoczenia? W momencie, gdy Malzl zademonstrował mu „Turka”, mijały zaledwie dwa miesiące od rzezi filadelfów, w której padł Oudet. Być może tutaj należy szukać odpowiedzi? Najwidoczniej kontrwywiad francuski nie zamierzał z jakichś przyczyn ujawniać przebiegu operacji „Chess-player” i dlatego Bonaparte nie wspominał o Berlinie i o Szamotułach³²⁵.

Drugi istotny moment. Większość ludzi, którzy oglądali wówczas „Turka”, święcie wierzyła, iż jest to samogrająca maszyna, a więc klasyczny android. Constant również. Było to przekonanie tak silne, iż zaćmiło rozsądek u wszystkich nie wtajemniczonych obserwatorów prezentacji w Wiedniu. Albowiem wcale nie trzeba było znać kulis operacji „Szachista”, by pojąć, że z automatem coś jest nie w porządku. Wystarczyło obserwować zachowanie cesarza i wysuwać logiczne wnioski. Cesarz był zapalonym szachistą³²⁶, powinien więc z pasją zabrać się do gry i próbować wygrać. A co zrobił?

„Po dwóch, trzech ruchach” gra przestała go bawić, zaczął drażnić ukrytego wewnątrz

325 Nietrudno chyba rozszyfrować powód zasadniczy. Ujawnienie, że wewnątrz Wielkiej Armii istniała konspiracja przeciw cesarzowi, byłoby czymś wielce kompromitującym, obalałoby twierdzenie propagandy, iż wojsko francuskie jest w pełni oddane monarsze.

326 Patrz przypis 33 i akapit, do którego się on odnosi.

gracza, doprowadzając go do wściekłości³²⁷. Więcej, cesarz nie tylko robił „oszukańcze ruchy”, lecz także dał do zrozumienia (Malzlowi i graczowi), że doskonale zna wspomagany przez magnesy system orientowania się w przebiegu gry przez szachistę ukrytego w skrzyni — w pewnym momencie zaczął się bawić na szachownicy magnesem, „oślepiając” w ten sposób przeciwnika³²⁸. Nic dziwnego, że zamknięty w skrzyni austriacki mistrz szachów Allgaier zdenerwował się.

Istnieje również wersja, że Napoleon trzykrotnie przystępował w Wiedniu do gry z „Turkiem”. Do dzisiaj drukuje się w niektórych opracowaniach rzekomo autentyczny zapis partii, w której Bonaparte został zamatowany przez android w osiemnastym posunięciu. Czerpane to jest ze wspomnień Malzla, który na domiar twierdził, że to nie automat, lecz Napoleon w gniewie po przegranej stracił figury z szachownicy. Wiedząc, że Malzl był łgarzem (m. in. kłamliwie podawał się za wynalazcę automatycznego szachisty), i pamiętając, że Napoleon drwił sobie z niego w Wiedniu za pomocą magnesu, należy chyba włożyć między bajki relację Austriaka. Jeśli jednak nawet jest prawdą, że Bonaparte w Wiedniu rozegrał jakąś partię z automatem do końca, nie zmienia to faktu, iż swym zachowaniem w pierwszej grze wyraźnie zademonstrował znajomość tajemnicy. Constant nie zacytował słów „gratulacji”, ale nietrudno się domyśleć, że Bonaparte dał w nich Malzlowi, zapewne w dowcipny sposób, do zrozumienia, iż durniów może od tej pory robić z kamerdynerów, lecz nie z monarchy.

Wkrótce po prezentacji w Wiedniu Malzl sprzedał „Turka” wicekrólowi Włoch, pasierbowi Napoleona, Eugeniuszowi de Beauharnais za trzydzieści tysięcy franków. Było to sporo, ale mniej, niż można było zarobić androidem, który stanowił prawdziwą kurę znoszącą złote jajka. Bez wątplenia Austriak został zmuszony do odsprzedania maszyny rodzinie Bonaparte, a konkretnie Napoleonowi, który zapragnął posiadać tę pamiątkę po zamachu w Szamotulach. Z oczywistych przyczyn cesarz nie mógł wystąpić jako bezpośredni nabywca, podstawił więc syna swojej pierwszej żony³²⁹.

327 Graczem tym był znakomity austriacki szachista Allgaier.

328 Alex G. Bell, *The machine plays chess?*, Oxford. W pracy tej jest sporo błędów.

329 Eugeniusz de Beauharnais był synem cesarzowej Józefiny z jej pierwszego małżeństwa z generałem Aleksandrem de Beauharnais.

Po zakończeniu epopei napoleońskiej automat przebywał w Casa Buonaparte w Mediolanie, po czym przeniesiono go na bawarski dwór księżęcy³³⁰. Nie był już nikomu z książąt potrzebny (nie umieli oni posługiwać się nim, gdyż nie wiedzieli, że „Turek” jest fałszywym androidem), a najmniej zdetronizowanemu i osadzonemu na Świętej Helenie cesarzowi. Potrzebował go Malzł i w roku 1817 nie miał specjalnych kłopotów z odkupieniem „Turka”. Popisywał się nim następnie w stolicach europejskich, czerpiąc z tego spore zyski. Współpracowało z nim potajemnie kilku wybitnych szachistów, których pakował do skrzyni. Jeden z nich, znakomity Mouret, najęty w roku 1820, sprawił mu wiele kłopotu. W pewnym niemieckim miasteczku lokalny znachor, któremu powodzenie Malzła odebrało chwilowo klientelę, z zazdrości krzyknął podczas gry: „Pali się!”. Przerażony Mouret zaczął wyłazić ze skrzyni, ale przytomny Austriak wcześniej narzucił na nią ciężką kotarę i tajemnica „Turka” nie wyszła na jaw. Niewiele to jednak pomogło, bo w kilka lat później Mouret, zdymisjonowany wcześniej przez Malzła za nałogowy alkoholizm, wygadał się po pijanemu i dzięki temu w roku 1834 jedno z pism francuskich wyjawiało publiczności sekret, znany do tej pory tylko nielicznemu gronu wtajemniczonych. W ten sposób rewelacja została sprowadzona do roli sztuczki cyrkowej³³¹.

Malzła o tyle to nie obeszło, że już od roku 1826 przebywał z „Turkiem” w Ameryce, gdzie odnosił sukcesy za sprawą grającego w skrzyni wybitnego szachisty Wilhelma Schlumbergera. W roku 1836 rozszyfrował sekret automatu i ogłosił go publicznie sławny amerykański pisarz Edgar Allan Poe. W kilka miesięcy później Malzł zmarł, a „Turek” zaczął przechodzić z rąk do rąk (prywatnych), aż w końcu, 8 lipca 1854 roku, spłonął podczas pożaru w Filadelfii³³².

Istnieje w całej tej niesamowitej historii maszyny, która o mało nie odegrała kluczowej roli w historii kontynentu, jakaś „filadelfijska” konsekwencja. Pierwsze prawdziwe androidy w dziejach posiadał Ptolemeusz FILADELF. Najślawniejszy (cóż z tego że fałszywy)

330 Po upadku Napoleona Eugeniusz osiadł w gościnie u swego teścia, księcia bawarskiego.

331 Patrz przypis 32.

332 Po śmierci Malzła automat został nabyty z licytacji przez pewnego filadelfijczyka za 400 dolarów. W roku 1840 nabył go dr J. K. Mitchell. W końcu wyładował „Turek” jako ciekawostka techniczna w Chińskim Muzeum w Filadelfii i spłonął wraz z nim w wieku 85 lat. Udawał człowieka i żył nie dłużej niż człowiek.

android w dziejach stał się przyczyną eksterminacji sprzysiężenia FILADELFÓW. Jakby w rewanżu — w FILADELFII ów automatyczny szachista znalazł swoją płomienną śmierć.

4. „REINKARNACJA” BENIAMINA BATHURSTA

Powróćmy do naszego bohatera i do roku 1809. Wersja oficjalna (można ją znaleźć w prawie każdej encyklopedii) tajemniczego zniknięcia Bathursta brzmi: zamordowany w drodze między Berlinem a Hamburgiem. Ma ta wersja jeden drobny mankament — żadnych dowodów na poparcie, nie znaleziono bowiem ciała rzekomo zabitego, nie znaleziono zbrodniarzy etc. Wersja, którą wysuwam po zapoznaniu się z listem Beniamina do Diaza i którą uważam za jedyną prawdziwą: Bathurst dokonał swoistej „reinkarnacji”, zniknął i rozpoczął swoje drugie życie.

Bibliografia dotycząca sprawy zniknięcia Bathursta liczy niewiele pozycji³³³. Syntezy tych opracowań dokonali Thompson i Padover, zawierając wszystkie ustalenia w krótkim szkicu³³⁴. Zacytuję go w całości, przerywając w niektórych miejscach dla opatrzenia komentarzem lub polemiką.

„Afera Bathursta jest jedną z najbardziej zagmatwanych tajemnic, które pozostawiła nam historia. Przykuwała ona uwagę dwóch pokoleń szperaczy. Na krótko przed klęską Austriaków pod Wagram Benjamin Bathurst został mianowany ambasadorem Wielkiej Brytanii w Wiedniu³³⁵. W momencie jego przybycia na placówkę Francja zmusiła Austrię

333 Głównie: Baring-Gould, The disappearance of Mr Bathurst (Zniknięcie pana Bathursta) w „Cornhill Magazine” LV 1867; W. Cali, The search for the lost Mr Bathurst (Poszukiwania zaginionego pana Bathursta) w „Westminster Re-view” CXXXIV 1890; J. Hali, The strange story of Mr Bathurst (Dziwna historia pana Bathursta) w Four Famous Mysteries (Cztery sławne tajemnice); Mrs Thistlethwayet, Memoirs and Correspondence of Dr Henry Bathurst, 1853.

334 J. W. Thompson i S. K. Padover z Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii. Sekretne dyplomacja — szpiegostwo polityczne w Europie 1500—1815. Nie mając dostępu do oryginału, skorzystałem z francuskiego tłumaczenia Adriana F. Vochelle'a: La diplomatie secrete, L'espionnage polhique en Europe de 1500 a 1815, Paris 1938.

335 Swoją karierę polityczną rozpoczynał Bathurst jako sekretarz poselstwa w Leghorn. Według Thompsona i Padovera do Wiednia przybył w randze pułkownika.

do porzucenia brytyjskiego

alianta i sygnowania pokoju. Bathurstowi nie pozostawało w tej sytuacji nic innego, jak ponownie spakować manatki i wyjechać. Puścił się w drogę na północ, w stronę Prus³³⁶. Jechał w towarzystwie zaledwie jednego służącego oraz kuriera o nazwisku Krause, i przez cały czas demonstrował przerażenie sięgające granic paniki.”

Tu przerywam po raz pierwszy. Obraz Beniamina Bathursta trzęsącego się ze strachu niczym królik i zawodzącego przez całą drogę, może mnie tylko rozśmieszyć. Znajomość Memoriału nie ma tu nic do rzeczy, raczej logika. Od kiedy to Anglicy dawali stopnie pułkowników i stanowiska ambasadorów w stolicach mocarstw (i to na terenie wojennym!) ludziom o odporności znerwicowanych dziewczynek? Jeśli natomiast przyjmie się, że Bathurst zaplanował swoje nagłe zniknięcie, to już nic nie dziwi. Nie mógłby lepiej budować atmosfery zagrożenia, strachu przed czyhającym niebezpieczeństwem, niż niezbyt trudnymi aktorsko skowytami sterroryzowanego szczeniaka. Powracamy do Thompsona i Padovera:

„Ten jego stan ducha jest o tyle niezrozumiały, że Bathurst podróżował doskonale przebrany, jako kupiec z Hamburga Koch”.

Znowu przerwijmy, gdyż pojawił się element niezwykle ważny. Nie chodzi tu o przebranie (jak wiemy, umiał to robić doskonale) — było ono po prostu częścią „horroru”, który aranżował Benjamin. Za to sprawa fałszywego nazwiska ma tu znaczenie kapitalne. Człowiek, jeśli chce przybrać na jakiś czas nazwisko w obcym języku, nigdy nie komponuje go z literek, tylko bierze jakieś znane mu, usłyszane bądź przeczytane niegdyś nazwisko. Proszę Czytelników o przypomnienie sobie, jak nazywał się właściciel berlińskiej gospody, w której Bathurst zamieszkał w listopadzie 1806 roku.

Idźmy dalej:

„Nie wiadomo absolutnie nic o pierwszej części jego podróży, trwającej dwa, trzy tygodnie. 25 listopada po południu trzęsący się ze strachu Bathurst pojawił się na poczcie w Perlebergu, małym miasteczku meklemburskim, i zaczął błagać komendanta placu, kapitana von Klitzinga, o ochronę. Czy wyjawiał Klitzingowi powody swego

³³⁶ Bathurst posiadał pruski paszport i według źródeł brytyjskich wiozł ważne dokumenty.

przerażenia? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że otrzymał asystę w postaci dwóch strażników. Następnego ranka, na godzinę przed wyznaczonym terminem odjazdu, Bathurst odesłał swoich strażników i udał się do stajni obejrzeć konie. Więcej go nie ujrzano”.

Dziwne. Trzęsący się na każdym kroku ze strachu Bathurst odsyła nagle swoich „goryli”. Jeśli jednak przyjmie się wersję o zamierzonej „reinkarnacji”, rzecz przestaje być dziwna. Śledźmy dalej tekst Thompsona i Padovera.

„Dowiedziawszy się o zniknięciu Bathursta, Klitzing zatrzymał natychmiast służącego i kuriera. Czy był to wobec nich akt ochrony, czy represji? I tego nie wiemy. Następnego dnia von Klitzing wyjechał do Berlina, by skontaktować się z rządem; po powrocie wręczył kurierowi paszport na nazwisko Kruger i wizę berlińską. Podobnie jak jego pan, Kruger zniknął bez śladu. W trzy tygodnie później, 16 grudnia, dwie młode kobiety znalazły męskie spodnie w lasu w pobliżu Perlebergu; w kieszeni znajdował się list Bathursta do żony. W liście tym mówił o grożącym mu niebezpieczeństwie i za swą ewentualną śmierć czynił odpowiedzialnym francuskiego awanturnika mieszkającego w Londynie, hrabiego d'Antraiguesa. Przeszukano starannie cały las, lecz nie znaleziono innych śladów młodego ambasadora. Ze względu na trudności w komunikacji między kontynentem a Wielką Brytanią, informacja o jego zniknięciu dotarła do Londynu w początkach stycznia 1810 roku. «Morning Post» natychmiast podał do wiadomości, że Bathursta zamordowali Francuzi między Berlinem a Hamburgiem”³³⁷.

Powyższy akapit zawiera najbogatszy materiał dowodowy, czy, jak kto woli, przesłankowy. Po pierwsze, Bathurst wybrał drogę powrotną identyczną jak ta, którą poprowadził w roku 1806 swoich komandosów. Po drugie, zniknął w okolicach Perlebergu, a ślad po nim został w lesie, w którym — jak wiemy z Memoriału — zakopał w nocy z 9 na 10 listopada 1806 roku kufer ze złotem pruskim (chodzi o pasmo lasów między Lenzen a Perlebergiem). Nasuwa się tu od razu przypuszczenie, że nasz bohater wydobyl skarby, za pomocą którego zamierzał urządzić sobie nowe życie.

337 Konkretnie oskarżono francuskich dezertersów. Między prasą brytyjską a francuską wywiązała się wówczas zażarta polemika. Anglicy twierdzili, że Bathurst zginął z rąk francuskich rabusiów w mundurach, Francuzi zaś, że był szaleńcem i popełnił samobójstwo.

Teraz pytanie: co należy zrobić, jeśli się chce, by świat uwierzył, że zostało się zamordowanym, mimo że nie ma ciała zamordowanego? Oczywiście jednym ze sposobów jest podrzucenie w jakimś ustroniu pary zapasowych spodni, wyposażonych we wszystko mówiący list³³⁸. Listem tym Bathurst załatwił kilka spraw: pożegnał żonę (dżentelmenowi nie wypadło nie uczynić tego), skompromitował d'Antraiguesa i wmówił zainteresowanym swoją śmierć. Co prawda jako mordercę wskazał Francuza, ale związanego z Anglikami. W propagowaną przez „Morning Post” wersję o morderstwie dokonanym przez żołnierzy Wielkiej Armii nikt zresztą nie uwierzył, co znalazło swój wyraz w pracy Thompsona i Padovera:

„Hipoteza o morderstwie popełnionym przez Francuzów była całkowicie bezpodstawna, nie istniał cież dowodu na jej poparcie. Był to po prostu manewr polityczny. Chociaż rząd pruski wyznaczył dużą nagrodę za odnalezienie ciała, wszelkie poszukiwania zakończyły się fiaskiem.

Następnego roku pani Bathurst³³⁹, dysponując specjalnym paszportem otrzymanym od Napoleona, pojechała wraz z bratem Beniamina do Perlebergu. Ambasador francuski, Saint-Marsan, udzielił im jak najdalej posuniętej pomocy w poszukiwaniach, równie bezowocnych jak poprzednie. Wówczas pani Bathurst, sądząc, że Francuzi jednak coś wiedzą, udała się do Paryża i została przyjęta przez ministra spraw zagranicznych Champagny'ego oraz ministra policji Savary'ego, ci wszakże nic nie wiedzieli. Zwróciła się więc do samego cesarza, który dał jej słowo honoru, iż nie ma pojęcia o losie jej męża. Francuzi byli przekonani, że tylko rząd angielski może coś na ten temat powiedzieć, i wydaje się, że mieli rację”.

Mnie się wydaje coś innego. To mianowicie, iż żaden z rządów nie był zorientowany w sprawie, natomiast jedynym Francuzem, który mógłby coś powiedzieć na temat zniknięcia Beniamina Bathursta, był Karol Schulmeister. Kim bowiem był ów „stary przyjaciel”, o którym Beniamin wspomniał w liście do Diaza, że zaofiarował mu w

338 Swoją drogą Beniamin nie wysilił się zbytnio, mógł to chyba zorganizować trochę sprytniej. W owych czasach, podobnie jak dzisiaj, listów nic nosiło się w kieszeniach spodni. Widocznie spieszył się lub żał mu było górnej części garderoby bądź sakwy.

339 Patrz przypis. 57.

Wiedniu pomoc i że „w tych sprawach jest potężniejszy od obu cesarzy i cara razem wziętych”? Jedynym takim mocarnym człowiekiem był wówczas w Europie napoleoński „Agent nr 1”, który w roku 1809 pełnił w zdobytym przez Francuzów Wiedniu funkcję generalnego komisarza policji. Obaj „członkowie klanu”, chociaż rozegrali w roku 1806 zażarty pojedynek, a potem podocinali sobie listownie, czuli do siebie sympatię (czyta się to między wierszami tych listów), toteż nie byłoby nic dziwnego w ich wzajemnym porozumieniu, zwłaszcza, gdy było to porozumienie antycastlereaghowskie. Bez pomocy lub przynajmniej akceptacji Schulmeistra Bathurst miałby nader ograniczone możliwości poruszania się po kontynencie i przygotowywania zemsty na Castlereaghu. Znowu powracamy do Thompsona i Padovera: „W z górą czterdzieści lat później, w roku 1852, siostra Bathursta, pani Thistlethwayte, pojechała do Perlebergu i w fundamentach jednego ze starych domów odnalazła szkielet, który zidentyfikowała z całą stanowczością jako szczątki brata. Wziąwszy pod uwagę upływ czasu, prawdopodobieństwo, że się nie pomyliła, jest bardzo małe. Cóż więc przytrafiło się Bathurstowi? Zagadka ta najprawdopodobniej nigdy nie zostanie wyjaśniona, można jednak pozwolić sobie na pewne spekulacje. Zbrodnia polityczna — to pewne. Najprawdopodobniej zbrodnia popełniona przez patriotów pruskich.

Kulisy afery toną w mroku. Traktat tyłczycki praktycznie sprowadził Prusy do rangi prowincji francuskiej, toteż wielu patriotów pruskich postanowiło wzniecić walkę odwetową, wojnę o niepodległość. W roku 1809 pułkownik von Kleist przedłożył Canningowi plan powstania w północnych Niemczech i prosił o pomoc floty angielskiej przy ujściu Łaby. Londyn wysłał do Kleista pewnego Niemca o nazwisku Mainburg. Mainburg, który wiozł z sobą 30 tysięcy funtów, otrzymał polecenie wysondowania nastrojów rządu pruskiego. Gdy rząd ten wyraził aprobatę dla planów Kleista, Anglia była gotowa dać gwarancję «swej dobrej woli i pomocy*. Mainburg powiadomił Canninga, że Kleista popiera duże grono oficerów najwyższej rangi, takich jak Blucher i Gneisenau, a także król Fryderyk Wilhelm III, który jednak stara się nie manifestować tego.

Jednocześnie Mainburg wyraził swoje zastrzeżenia co do samego Kleista; według niego pułkownik był tylko kłótliwym i próżnym graczem.

W tym momencie wkroczył na scenę Bathurst. Po drodze do Wiednia nawiązał on w Berlinie kontakt z oficerami należącymi do spisku i od niego to właśnie Mainburg otrzymał uzupełnienie instrukcji. Tak więc nici afery Bathursta rozpięte były między Berlinem a Londynem. Należy przypuszczać, że Londyn wiedział dużo, jeśli nie wszystko, o losie Bathursta.

W czasie misji Mainburga, na jego sugestię, konsulem Wielkiej Brytanii w Berlinie mianowany został były członek Parlamentu, George Galway Mills. Jest rzeczą interesującą, że korespondencja Millsa z grudnia 1809 roku i stycznia 1810 roku, a więc z okresu bezpośredniego zniknięcia Bathursta, okresu pierwszych poszukiwań — zniknęła z archiwów brytyjskich!”.

Thompson i Padover tutaj mają rację. Rzeczą charakterystyczną dla dużego kalibru afer polityczno-szpiegowskich i dywersyjnych jest nie tylko znikanie dokumentów z archiwów, lecz także żonglowanie nimi w sposób sięgający wyżyn sztuczności³⁴⁰. A także kontynuacja tej gry w dziesiątki i nawet setki lat później, gdy już nawet trudno sobie wyobrazić dlaczego zamierzchnie sprawy wciąż budzą namiętności i strach. Tejada wiedział, że opublikuję treść Memoriału, inaczej mówiąc zdecydował się na to. Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie uczynił tego sam? Dlaczego zachował incognito? Dlaczego ani na moment nie zostawił mnie z dokumentami sam na sam?³⁴¹

Wracamy do tekstu Thompsona i Padovera:

„Pozostał tylko jeden prywatny list Millsa, zawierający istotne detale sprawy. Na pięć dni przed przybyciem do Perlebergu Bathurst spędził krótki czas w Berlinie, wszelako nie odwiedził Millsa, który oczekiwał na tę wizytę. Mills szukał usprawiedliwienia tego faktu w fatalnym stanie zdrowia i psychiki Bathursta”.

Ja szukałbym raczej usprawiedliwienia tego faktu w czymś innym. Jak już napisałem:

340 Majstersztukiem tego gatunku było takie spreparowanie przez Castlereagha, Percevala i Henryka Bathursta dokumentów dotyczących życia Beniamina Bathursta w okresie od października 1806 roku do stycznia 1807 roku, że nawet wywiad brytyjski nie miał pojęcia o jego misji i dzisiaj można by bez trudu „udowodnić”, że Beniamin w operacji „Chess-player” nie brał udziału, gdyż przebywał w owym czasie gdzie indziej.

341 Przepisywałem je w szalonym tempie, w ciągu kilku dni, po trzy, cztery godziny dziennie, obok Tejady, który siedząc przy tym samym stole przepisywał fragment jakichś XIX-wiecznych druków i książek.

powierzenie najważniejszych stanowisk dyplomatycznych chorym psychicznie, niezrównoważonym i tchórzliwym histerykom nie było w Anglii w modzie. Mills był dyplomata i człowiekiem inteligentnym, a poza tym najprawdopodobniej znał swego kolegę po fachu. Trudno byłoby więc, stanąwszy przed nim twarzą w twarz, nabrać go na komedię roztrzęsienia i zastraszenia. Bathurst wolał nie ryzykować takiej konfrontacji. Skąd Mills dowiedział się o „alarmującym” stanie zdrowia Bathursta, dowiadujemy się z dalszego ciągu szkicu Thompsona i Padovera:

„O fatalnym poczuciu swego pana poinformował Millsa oraz pewnego lekarza pruskiego Krause, który zniknął wkrótce po przybyciu do Berlina”.

Krause moim zdaniem był agentem Schulmeistra, przydzielonym Bathurstowi do pomocy. Odwiózł Anglika do Perlebergu, ułatwił zniknięcie, po czym wrócił do Berlina, naopowiadał bzdur o zastraszaniu i hysterii swego pana (wszystkie prawie informacje na ten temat pochodzą od Krausego!) i w tym momencie jego rola była już skończona.

Dlatego zniknął i dlatego więcej go nie ujrano.

„Wypytawszy Krausego Mills pojechał do Perlebergu i 20 grudnia wysłał Mainburga z raportem do Londynu. Dopiero po tym raporcie «Morning Post» poinformował o zamordowaniu Bathursta przez Francuzów³⁴². Z przyczyn znanych zapewne tylko Foreign Office ów raport, jak również zeznanie Krausego, zniknęły. Najprawdopodobniej rządu Anglii i Prus kryły kogoś w ten sposób. Gdy jeden z tajnych agentów brytyjskich, przyjaciel Bathursta, udał się do Perlebergu, by przeprowadzić prywatne śledztwo, Mills zabronił mu tego i kazał wracać.

Wątpliwe, czy Bathurst został zamordowany z powodu depeesz, które wiozł jego kurier Krause. Samobójstwo też należy odrzucić — nie znaleziono przecież ciała. To nie Francuzi brali udział w tej grze, gdyż to nie oni, lecz rząd brytyjski starał się stłumić aferę³⁴³. Nasuwa się tylko jedno wytłumaczenie: młody dyplomata został zamordowany

342 W styczniu 1810 roku.

343 Czuje się tu rękę Castlereagha, starszego Bathursta i Percevala. Co prawda w chwili, gdy „tłumiono aferę”, Castlereagha w rządzie już nie było (usunięto jego i Canninga za kompromitujący pojedynek na pistolety), lecz Perceval stawał wówczas na czele gabinetu, będąc pierwszą osobistością polityczną Wielkiej Brytanii. Rozdmuchiwanie afery Bathursta groziło nie tylko ujawnieniem operacji „Szachista”, ale także rzuceniem na jej organizatorów podejrzania o zlikwidowanie Beniamina.

na rozkaz pruskiego «Bundu» Kleista. Być może Bathurst był członkiem tego stowarzyszenia i uczestniczył w jego posiedzeniach? Spiskowcy, widząc jego stan fizyczny, mieli prawo obawiać się, że nie upilnuje języka i narazi ich na śmierć, zdradzając, tajemnicę. Było jasne, że dowiedziawszy się o sprzysiężeniu Napoleon każe Prusom drogo za nie zapłacić. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to nic dziwnego, że Berlin poprosił Londyn o zachowanie tajemnicy. Trudno znaleźć inne wytłumaczenie tej zagadki”.

Tyle Thompson i Padover. Na początku zrelacjonowali rzetelnie stan wiedzy na temat zniknięcia Bathursta, ale pod koniec puścili wodze fantazji i wpłynęli na mętne wody, chcąc koniecznie znaleźć jakieś rozwiązanie. Wysunęli hipotezę infantylną. Nie ma żadnych przesłanek pozwalających przypuszczać, że Bathurst należał do pruskiej konspiracji. Brytyjski ambasador w Wiedniu członkiem jednego z tych oficersko-młodzieżowych Bundów pruskich, przesiąkniętych nacjonalistyczno-idealistycznym romantyzmem i zwalczanych usilnie przez policję i kontrwywiad Cesarstwa?! Brzmi to jak dowcip z bardzo kiepskiego kabaretu!³⁴⁴

Sensowne są tylko dwie możliwości. Albo Bathursta zamordował Castlereagh w ramach likwidacji członków operacji „Szachista”, albo Bathurst dokonał „autoreinkarnacji” po to, by uspokoić Castlereagha i móc bez kłopotów konstruować mechanizm zemsty. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że prawdziwa jest ta druga wersja i ona jest odpowiedzią na wielki znak zapytania, którym historycy opatrzyli tajemnicę zniknięcia Bathursta. Zgadzam się z Napoleonem, że niszczenie tajemnicy jest niszczeniem piękna, nie mogłem jednak nie ujawnić treści Memoriału, gdy już dana mi została możliwość zapoznania się z nim. Thompson, Padover i wielu innych pomylili się pisząc: „Zagadka ta najprawdopodobniej nigdy się zostanie wyjaśniona”.

344 Natomiast jakieś kontakty z konspiratorami pruskimi Bathurst mógł mieć na polecenie Londynu. I niewykluczone, że Prusacy pragnęli go zabić zorientowawszy się, że łączy go kontakty z Schulmeisterem, najzacieklejszym prześladowcą i eksterminatorem Bundów. Można tu spekulować nawet dalej: Schulmeister zapewne nie za darmo pomógł Bathurstowi — czy w zamian nie zażądał od niego informacji na temat pruskich tajnych stowarzyszeń? Hipotezy wyrastające z jednego pnia same się tu multiplikują.

5. ŁAŃCUCH ŚMIERCI

Nie znamy wszystkich ogniw łańcucha śmierci, rozwiniętego przez Castlereagha w wyniku fiaska operacji „Chess-player”.

Kolejno usuwani byli ludzie, którzy cokolwiek wiedzieli na ten temat, dematerializowały się dokumenty autentyczne, rodziły fałszywe etc. Kolejno znikali Bonnet de Martanges, Stapleton, pani i panna Gibson, Gimel, Robersohn i inni, których nazwisk nie znamy.

Po zniknięciu Bathursta sytuacja stała się tak napięta, że nawet najbardziej naiwni zrozumieli, co im grozi. „Jean-Bart” uciekł do Szwecji. Nie wszyscy jednak zdążyli uciec lub obronić się. W roku 1810 zmarł Baring. W tym samym roku Estera Pitt-Stanhope posłuchała wreszcie rady Beniamina i uciekła „na kraniec świata”, do Syrii, gdzie osiadła na całe życie w warownym, strzeżonym dniem i nocą zamku na górze Sz kif (Dahr Dzun w górach Libanu). W roku 1812, w odstępie zaledwie dwóch miesięcy, zabici zostali w Londynie Perceval i d'Antraigues. Obie te śmierci wywołały, każda z osobna, kolosarzą sensację.

11 maja 1812 roku premier rządu brytyjskiego Spencer Perceval wchodząc do Izby Gmin został zabity na miejscu strzałem z pistoletu przez niejakiego Bellinghama, eks-urzędnika w administracji finansów. Zabójcę schwytano, osądzono i stracono, nigdy jednak nie wyjaśniono, dlaczego dokonał zbrodniczego czynu. Bellingham jako przyczynę podawał nienawiść do premiera, którego obarczał winą za swoje niepowodzenia. Był chyba także niezrównoważony psychicznie, łącznie więc był idealnym potencjalnym zabójcą, którym należało tylko umiejętnie pokierować. To jedyne, jak do tej pory, zabójstwo pierwszego ministra Albionu zostało uznane przez współczesnych i potomnych za „całkowicie bezsensowne”³⁴⁵. Gdy już się wie o operacji „Szachista”, opinia ta jest raczej trudna do utrzymania. Zabójstwo to było bardzo sensownym ogniwem łańcucha i nie ostatnim.

³⁴⁵ Cytat ze znakomitej pracy naukowej doktora Franklina L. Forda z Harvard University: *Europe 1780—1830*, London 1970.

Wyeliminowanie Percevala aranżował niewątpliwie d'Antraigues³⁴⁶. Nie zdążyłem dotychczas przedstawić tego człowieka.

Ludwik Emanuel de Launai, hrabia d'Antraigues, urodził się w roku 1753 jako urodzony szpieg i intrygant. Zasłynął w dobie Rewolucji i Cesarstwa niezliczoną ilością afer, w których wziął udział, pracując niezamordowanie dla kilku wywiadów. W Londynie osiadł, jak wiemy, w roku 1806 i przeżył nad Tamizą sześć lat, biorąc pieniądze od Canninga, Castlereagha, Rosjana i Austriaków, a więc z prawa i z lewa, od kogo tylko się dało.

Tajemnicy operacji „Chess-player” nie zdradził, gdyż wiedział, czym to grozi. Nie wywinął się jednak, gdyż nie można uciec przeznaczeniu.

W jednej z najlepszych biografii d'Antraiguesa czytamy, jak to podczas podróży hrabiego po Egipcie w roku 1779 jakiś wschodni wróż wyprorokował mu: „Będziesz zhańbiony na tym świecie, twoje kobiety będą ci niewierne, a twoi bękarci zamordują cię”³⁴⁷. Wersja tego proroctwa podana przez księcia de Castries brzmi krócej: „Będziesz zhańbiony na tym świecie, umrzesz zamordowany”³⁴⁸.

22 lipca 1812 roku państwo d'Antraigues wybierali się ze swego podmiejskiego Barnes Terrace do Londynu. Żona siedziała już w kabriolecie, hrabia zstępował ze schodów, by do niej dołączyć. W tym momencie przyjęty przed niespełna trzema miesiącami i zwolniony poprzedniego dnia przez d'Antraiguesa służący, Włoch imieniem Lorenzo, strzelił mu z odległości kilku kroków w głowę i chybił — kula musnęła włosy. Korzystając z szoku hrabiego, Lorenzo wbiegł do jego pokoju, wyrwał z panoplii sztylet, wrócił i wbił go w serce ofiary. Następnie zasztyletował panią d'Antraigues i popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę. D'Antraigues nie umarł od razu. Zdołał jeszcze dowlec się do swego gabinetu, by zniszczyć jakieś papiery, po czym zwałił się na łóżko i skonał po dwudziestu minutach.

I znowu jak w przypadku Percevala, wysunięto początkowo hipotezę: zabójstwo dokonane z zemsty przez szaleńca. Tylko że tym razem nikt w to nie uwierzył, nikt

346 Nietrudno się domyśleć, że d'Antraigues był macką Castlereagha na terenie Anglii, podczas gdy tę samą rolę na kontynencie grał de Tilly.

347 Leonce Pingaud, *Un agent secret sous la Retiolution el l'Empire — le contte d'Antraigues*, Paris 1894.

348 De castries, *I.a vie quotidienne des emigres*. Paris 1966.

bowiem nie chciał narazić się na śmieszność. Lorenza znaleziono z przestrzeloną głową i z pistoletem obok, toteż uznano go za samobójcę, tylko że nikt tego samobójstwa nie widział. Jak zaś powszechnie wiadomo, strzał w głowę nie zawsze jest dziełem właściciela owej głowy. Bywa, że strzela ktoś drugi.

Historiografia zna kilka przyjętych za prawdopodobne wersje przyczynowych śmierci d'Antraiguesa: odwet któregoś z oszukanych przezeń wywiadów (angielskiego, austriackiego, rosyjskiego lub francuskiego), akcja rojalistowskich emigrantów na rozkaz Ludwika XVIII, którego kompromitowały dawne związki z d'Antraiguesem, zemsta tajnej organizacji, może masońskiej, do której hrabia należał³⁴⁹, etc.

Dla mnie istnieje tylko jedno pytanie: Bathurst z zemsty, czy Castlereagh usuwający narzędzie, które zbyt wiele wiedziało?

Pierwsza wersja jest możliwa (Lorenzo był dezerterskim z armii francuskiej w Hiszpanii!), lecz wydaje mi się mało prawdopodobna. Sądzę, że morderstwo zorganizował Castlereagh, który niewątpliwie obawiał się „lojalności” hrabiego, a zwłaszcza tego, że d'Antraigues zostawi jakiś ślad operacji „Szachista” w swoich papierach. Ujawnienie tej tajemnicy mogło raz na zawsze złamać Castlereaghowi drabinę kariery politycznej. Kilkakrotnie „złodzieje” wdzierali się do domu d'Antraiguesa (jak podaje Pingaud, po raz pierwszy już w lipcu 1807 roku), szukając jakichś dokumentów. Podpalono mu także gabinet i tylko przez przypadek jego przyjaciel, dziennikarz Peltier, uratował znajdujące się tam papiery. Tyle o d'Antraiguesie.

„Jean-Bart”, ów „najniebezpieczniejszy awanturnik Europy”, którego nazwisko nawet nie jest znane, również nie uszedł swemu losowi. Ze Szwecji wyrzucił go Bernadotte za konspirowanie. Statek, którym uciekinier przekraczał Sund, został opanowany przez fregatę angielską. „Jean-Bart” zdołał jednak wymknąć się bądź uwolniono go, gdy udowodnił, że jest agentem rojalistowskim. Sam wszakże fakt, że go zidentyfikowano, wystarczył, by prześladowcy nie zeszli już z jego tropu. Po raz ostatni widziano go w sztabie pewnego szwedzkiego generała w Finlandii w roku 1813, po czym już nikt nie zobaczył go na oczy. Albo został zamordowany przez siepaczy Castlereagha, albo

349 W Pamiętnikach barona de Damas można przeczytać: „Jestem przekonany, że hrabia miał kontakty z podziemnymi stowarzyszeniami i że to one pokierowały zbrodnią”.

dokonał „autoreinkarnacji” w stylu Bathursta. Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale wcale by się nie dziwił, gdyby mi ktoś powiedział, iż „Jean-Bart” i Bathurst skomunikowali się z sobą (może za pośrednictwem Schulmeistra) i że ten pierwszy otrzymał od drugiego lekcję znikania bez śladu (nie licząc odpowiedniego listu w spodniach).

De Tilly³⁵⁰, po życiu pełnym najgorszych łotrstw, popełnił samobójstwo 23 grudnia 1816 roku w Brukseli, gdy udowodniono mu szulerkę. Tu już byłbym skłonny widzieć rękę Bathursta, który obiecał Diazowi, że będzie się mścił właśnie w ten sposób — zmuszając do samobójstwa.

Przedostatnia śmierć, będąca konsekwencją operacji „Szachista”, to zamordowanie „Kalifa”³⁵¹. Związany z Bathurstem i Diazem Badia Castillo y Lebllich musiał wiedzieć, co mu grozi, i dlatego między innymi usilnie się starał o misję poza granicami Europy. Otrzymał ją w roku 1817 od wywiadu burbońskiego i wyjechał do Arabii. W sierpniu 1818 roku, w drodze do Mekki, ciężko zachorował. Zmarł w nocy z 30 na 31 sierpnia w Kelaat el Belka na pustyni syryjskiej. Przed śmiercią spalił papiery, które miał z sobą, i oświadczył służbie, że został otruty. Z jego listu (z datą 23 sierpnia 1818) do francuskiego konsula Regnaulta wynika, że bezpośrednim trucicielem był „wielki hiszpański mnich”, przyjaciel „megiery”, czyli żony lekarza Chaboceau, który leczył Leblicha. Lady Stanhope, z którą był w kontakcie (niewątpliwie za sprawą Bathursta), przekonana, że otruli go Anglicy, próbowała to udowodnić³⁵². Bez skutku. Sprawa dlatego tak bardzo ją interesowała, że i jej groziła śmierć z tych samych rąk — to ona przecież wymyśliła porwanie Napoleona.

Nasuwa się jeszcze jedno pytanie: dlaczego ocalał z całej tej hekatomby trzeci współorganizator operacji „Chess-player”, Henryk Bathurst, w latach 1812—27 minister osad, a do roku 1830 prezes tajnej rady, zmarły w roku 1834? Castlereagh, zabijając Percevala, wykazał, że nie oszczędza nikogo. Odpowiedź może być tylko jedna: po śmierci Percevala Henryk Bathurst zrozumiał, co mu grozi, i przy pierwszej lepszej okazji

350 O de Tillym patrz przypis 150.

351 Patrz przypis 294.

352 Nie był to dla niej precedens. W roku 1816 agent angielski major Misset zamordował w Libanie rękami Aassassynów jej przyjaciela, najlepszego szpiega napoleońskiego na terenach Wschodu, pułkownika Boutina.

odezwał się do kompana w takie mniej więcej słowa:

— Drogi Robercie, gdyby mi się coś przytrafiło, no wiesz, jakiś wypadek, nagła choroba, pistolet szaleńca czy zwykła influenza, to w dwadzieścia cztery godziny po mojej śmierci opis naszej wielkiej konspiracji politycznej, przeprowadzonej bezprawnie, bo za plecami rządu jego królewskiej mości, trafi tu i tu, wzbogacony o różne przykre szczegóły na temat... Twoje zdrowie, Robercie!

Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, chyba że Castlereagh po prostu nie zdążył zlikwidować kolegi z gabinetu, gdyż w roku 1822 spadła na niego zemsta młodszego Bathursta.

Była to zemsta zaiste przerażająca, o znamionach vendetty charakterystycznej dla basenu Morza Śródziemnego, w tym także dla Sardynii, czyli okolic, z których pochodziła kochanka Beniamina. Strzelić do człowieka lub otruć jest bowiem łatwo, ale to, co zrobił Beniamin Bathurst, było arcydziełem okrutnego odwetu. Arcydziełem, którego przygotowanie musiało kosztować bardzo dużo czasu i wysiłku, ale którego finał był tak szatański, tak nieprawdopodobny, że gdybym nie powołał się na oficjalną publikację brytyjską, Czytelnik nie uwierzyłby mi.

6. LA VENDETTA

Przygotować i zrealizować swej zemsty Bathurst nie mógł sam. Była na to zbyt skomplikowana. Miał do dyspozycji Diaza, może „Jean-Barta” i Colqhouna Granta, bardzo prawdopodobne, że Wilsona³⁵³. Nie wykluczałbym też pomocy Schulmeistra, chociaż wszystko to są tylko spekulacje. I jak zwykle w takich sprawach najtrudniej musiało

353 Wiele mówiący jest fakt, że Castlereagh na rok przed śmiercią wyrzucił Wilsona z armii (rok 1821), nie dając mu możliwości odwoływania się bądź tłumaczenia. Było to m. in. spowodowane pronapoleońskimi sympatiami Wilsona, który w trakcie wojen napoleońskich był zaciekle wrogiem cesarza i nawet go szkalował, gdy jednak zobaczył, jaką kanalią (Świętym Przymierzem) zastąpiono Bonapartego w Europie, zmienił front i zaczął brać udział w najbardziej brawurowych spiskach probonapartystowskich.

być o pomysł, który w każdej ze sztuk, od literatury do władzy, jest najważniejszy. Długo myślał i szukał okazji, szesnaście lat! W tym czasie Robert Stewart, drugi markiz Londonderry, wykuwał sobie miejsce w historii jako wielki lord Castlereagh. Wkrótce po operacji „Szachista”, w roku 1807, torysi powrócili do władzy. Castlereagh otrzymał w rządzie księcia Portlandu tekę ministra wojny i kolonii. W roku 1809 ustąpił po pojedynku z Canningiem, by powrócić w roku 1812 i zająć w gabinecie hrabiego Liverpoolu fotel ministra spraw zagranicznych. Jednocześnie sprawował funkcję szefa swojej partii i zyskiwał coraz większe wpływy, stając się motorem całej polityki brytyjskiej. Herve tak go określił w swoim dziele o Irlandii: „Był przezorny, oględny, wytrwały, ale brakowało mu poglądów podniosłych i zacnych uczuć”³⁵⁴. Tak, o tym już wiemy. Castlereagh nienawidził Napoleona (o czym też już wiemy) i zrobił wszystko, by go ostatecznie pognębić. W znacznym stopniu jego inicjatywie zawdzięczał Bonaparte zsyłkę i dożywotnie uwięzienie na wyspie Świętej Heleny. Tam miało miejsce zadziwiające wydarzenie, które może dziś stanowić pożywkę dla wszelkiej maści okultystów i parapsychologów. Tuż przed swym zgonem w roku 1821 Napoleon wyznał angielskiemu lekarzowi, doktorowi Arnottowi, iż wie, że niebawem zostanie pomszczony, to jest, że jego oprawca, lord Castlereagh, zginie wkrótce gwałtowną śmiercią. W kilkanaście miesięcy później słowa te zamieniły się w ciało. Medyk wojskowy, generał i zarazem historyk, R. Brice, uznał to za jeden z dowodów jasnowidzenia Napoleona³⁵⁵. Dla mnie jest to raczej jeden z dowodów na wysuniętą przeze mnie hipotezę, że Wilson kontaktował się ze Świętą Heleną, biorąc udział w spiskach mających na celu uwolnienie cesarza. Prawdopodobnie to on i Bathurst poprzez pewną rodzinę angielską wysłali na wyspę plan ucieczki schowany w wydrążonych figurkach szachowych³⁵⁶. Takim samym kanałem mógł się Napoleon dowiedzieć czegoś o losie grożącym Castlereaghowi. Na Kongresie Wiedeńskim Castlereagh okazał się wrogiem małych państw oraz idei liberalnych, zmontował Święte Przymierze i w końcu — jak już wspomniałem — osadził cesarza w brudnej, zaszczurzonej klatce na oceanie, lekceważąc krytykę nawet we

354 Edward Herve, Irlandia od końca wieku osiemnastego do czasów najnowszych, Warszawa 1886.

355 R. Brice, Le secret de Napoleon, Paris 1936.

356 Patrz przypis 292.

własnym kraju. Tam też go nienawidzono. Za krwawe stłumienie powstania irlandzkiego (to Irlandczycy), za rzezie w Peterloo, za tzw. Six-acty, wprowadzające nad wyraz surowe rygory wobec klas niższych. Nic więc dziwnego, że gdy odebrał sobie życie, w jednym z kościołów londyńskich bito z radości w dzwony, a sprawców tej demonstracji sąd przysięgłych uwolnił.

Herve tak opisał śmierć Castlereagha:

„Na początku miesiąca sierpnia, w kilka dni po zamknięciu posiedzeń, wieść tragiczna rozeszła się w kołach londyńskich: Castlereagh w przystępie gorączki poderznął sobie gardło, chociaż rodzina, lekarz i przyjaciele, pilnie czuwający, usuwali spod jego ręki broń palną, noże i brzytwy. Na nieszczęście scyzoryk zapomniano na stole i dosyć było kilka minut samotności, żeby skończył życie najszczęśliwszy z mężów stanu angielskich, minister wszechmocny, który na Kongresie Wiedeńskim stał na równi prawie z cesarzem Wszechrosji”.

I taką wersję można znaleźć we wszystkich encyklopediach, w opracowaniach historycznych bądź podręcznikach szkolnych: pan minister spraw zagranicznych właśnie miał się udać na kongres do Weroni, gdy nagle w przystępie obłędu odebrał sobie życie. Mogłem zacytować którąkolwiek z tych identycznych relacji, lecz nie bez kozery wybrałem Hervego, gdyż jego książka traktuje o Irlandii. Chodzi o to, że zemsta Bathursta, do której zaraz dojdziemy, była jednocześnie zemstą przeznaczenia za Irlandię. Przejawiło się to w narzędziu samobójstwa, na wybór którego Bathurst nie mógł mieć żadnego wpływu. Otóż Castlereagh był Irlandczykiem, zdradził swą ojczyznę i odebrał jej niepodległość, co opisałem w rozdziale I. Przywódcą utopionego w morzu krwi powstania irlandzkiego w roku 1798 był Wolfe Tone³⁵⁷. Ujęty, poprosił w więzieniu o łaskę — o rozstrzelanie zamiast szubienicy. Gdy mu odmówiono, ze stoickim spokojem poderznął sobie gardło scyzorykiem, który przeoczono. Niektórzy twierdzą, że Historia nie potrafi być złośliwa. Potrafi, zwłaszcza wówczas, gdy się powtarza.

Wróćmy do Bathursta i do prawdziwej przyczyny śmierci Castlereagha. Przez dłuższy

357 Patrz przypis 177.

czas była ona znana tylko specjalistom, jego biografom itp., a tłumowi podawano spreparowaną papkę w rodzaju francuskiego: „Gwardia umiera, ale się nie poddaje!” zamiast „G...o!”. Ale czasy się zmieniają i w roku 1973 jedna z angielskich gazet wywaliła prawdę na stół. Nim zacytuję tę gazetę, spróbujmy odtworzyć kolejność działania Bathursta.

Na pomysł wpadł zapewne (on lub któryś z jego ludzi) przypomniawszy sobie słodką pannę Gibson i uroczę gniazdko między High Holborn a Oxford Street. Potem miesiące, a może lata obserwacji, która pozwoliła stwierdzić, że nieformalny przywódca rządu ma nadmierną słabość do panienek — bądźmy delikatni — nie najcięższego prowadzenia się, z ulicznymi włącznie. W dobie Regencji (1811—20) Castlereagh był stałym gościem uroczej brunetki Harrietty Wilson³⁵⁸. Ta tzw. „pozioma dama” była właścicielką i pierwszą gwiazdą najbardziej ekskluzywnego w Londynie domu publicznego, do którego uczęszczała sekretnie cała elita rządowa i parlamentarna Wielkiej Brytanii, w tym między innymi książę Wellington. To mu jednak nie wystarczało. Zacytuję teraz „The Observer” z 27 maja 1973 roku³⁵⁹:

„Harietta Wilson nie była jedyną <call-girl> cieszącą się względami ministra spraw zagranicznych. Wracając wieczorem z Izby Gmin, Castlereagh zabierał po drodze prostytutki, które zapraszał do domu na St. James Square”.

I to właśnie postanowił wykorzystać Bathurst. Tylko z pozoru sprawa była prosta. Musiał skompletować „bandę podłych szantażystów”, nauczyć ich ról, pobawić się w charakteryzatora (w tym, jak wiemy, miał wprawę), znaleźć odpowiednie miejsce, czas itd., itp. A potem... Oddajmy znowu głos „Observerowi”, który tak opisał koniec Castlereagha:

„Na nieszczęście jego słabostki nie uszły uwadze bandy szantażystów, która zastawiła na niego pułapkę — nakryła go z jakimś indywiduum, które Castlereagh wziął za kobietę,

358 Urodzona w roku 1789, Szwajcarka z pochodzenia. Osiadła w Londynie i prowadziła swój interes przy współpracy trzech sióstr. Zostawiła skandalizujący pamiętnik, bestseller, którego liczne wydania były rekordy popytu. Nie miała nic wspólnego z generałem Robertem Wilsonem (przypadkowa zbieżność nazwisk).

359 „The Observer” przypominał aferę Castlereagha w związku ze skandalem, jaki wybuchł, gdy wyszły na jaw erotyczne kontakty między pewną „call-girl” a torysowskim posłem do Izby Gmin, lordem Lambtonem oraz przywódcą Izby Lordów i Lordem Tajnej Pieczęci Jellicoe.

a które okazało się mężczyzną przebrany w kobiecy strój. Szantażyści zagrozili ministrowi denuncjacją i oskarżeniem o pederastię, która wówczas karana była śmiercią. Była to wstrętna intryga, ponieważ Castlereagh absolutnie nie był homoseksualistą. Wszystko skończyło się tragicznie, gdyż minister ugiął się przed szantażem, a ponieważ nie mógł już znieść tej sytuacji, wyjechał do swej wiejskiej posiadłości w Kent i tam podciął sobie gardło”.

Jeśli odrzucimy motyw zemsty, powyższa relacja w sposób jaskrawy uderza brakiem logiki. Nikomu nie jest obce, iż szantażyści mają to do siebie, że jeśli już organizują „wstrętą intrygę”, to dlatego, by zarobić, i po nic więcej. Castlereagh doskonale o tym wiedział, to znaczy wiedział, że zwykłym szantażystom mógłby zamknąć usta pieniędzmi i dalej kontynuować swą karierę. Dlaczego więc przestraszył się i załamał? Przecież było to człowiek twardy, nieustępliwy „fighter”, tak w sprawach politycznych, jak i osobistych — krwawy pojedynek na pistolety z Canningiem jest tego wystarczającym dowodem. Poza tym był tak potężny jak cesarz Wszechrosji i zwykli szantażyści musieliby być niespełna rozumu, by nie zdawać sobie sprawy, że wchodzenie temu człowiekowi w drogę ma coś z rzucania się z kijem na tygrysa. Sprawa wyglądała inaczej, jeśli nie byli to zwykli szantażyści, lecz tacy, którzy zamiast alternatywy: denuncjacja lub pieniądze, dali mu inną: denuncjacja lub śmierć! Kto mógł go postawić przed taką alternatywą? Tylko mściciel lub chcący go wyeliminować przeciwnik polityczny. A który przeciwnik polityczny byłby takim idiotą, by ryzykować taką aferę? Gdyby rzecz wyszła na jaw, o co nigdy nie trudno, sam musiałby popełnić samobójstwo. Pozostaje tylko mściciel. Wyjaśniliśmy sobie już prawie wszystko. Pozostaje jeszcze wyjaśnienie ostatniej w tej sprawie złośliwości historii. Castlereagh, najzacieklejszy wróg Napoleona, w decydujący sposób przyczynił się do brutalnego potraktowania „boga wojny” przez zwycięską koalicję. Dowcip zawiera się w tym, że właśnie Napoleon jako pierwszy prawodawca w dziejach zniósł w roku 1810 karalność pederastii, twierdząc, że anomalią tą winny się zajmować medycyna i psychologia, a nie prawo. W Anglii kara śmierci za homoseksualizm została zniesiona dopiero w roku 1861, dlatego w roku 1822 można było straszyć nią Castlereagha.

ZAKOŃCZENIE

Pierwsze czytanie Memoriału Beniamina Bathursta nie było dla mnie żadną przyjemnością, gdyż musiałem przepisywać tekst w niezwykle wyczerpującym tempie, nieomal „na oślep”, bez tłumaczenia. Przyjemność przyszła, gdy opracowywałem go literacko. Przeszedłem z moim „Szachistą” długą drogę od Londynu do Szamotuł, przepłynąłem „Mewą” i przejechało i wozem cyrkowym Mirela, kochałem się w Julii i spałem przy ognisku obok Toma, Sija, Józefa, Briana Heytera, Rufusa Browna, Rigby'ego i Diazów. Byłem bardziej tam, z nimi, niż przy biurku z odpisem Memoriału.

Jeśli już powróciliśmy do Memoriału, warto zastanowić się, dlaczego znajduje się on w rękach Hiszpana. Pierwszy trop wiedzie do Manuela Diaza i być może to jest wytłumaczenie. Może też stało się tak za sprawą Wilsona, który przed śmiercią, od roku 1842, był gubernatorem Gibraltaru? Wiele pozamachowych ścieżek operacji „Szachista” krzyżowało się na terenie Hiszpanii („Kalif, Colqhoun Grant, Bardaxi Azara etc). Tejada udzielił mi wymijającej odpowiedzi. Nie jest ona zresztą najistotniejsza.

O wiele więcej dałbym za odpowiedź na pytanie: jakie były dalsze (po roku 1809) losy Beniamina Bathursta? Gdzie żył, z kim żył, jak i kiedy umarł? Może po przeczytaniu tej książki odezwie się ktoś, kto wie cokolwiek na ten temat. Będę wdzięczny.

Chciałbym efektownie zakończyć. I nie potrafię lepiej, jak słowami Hamleta, którego Beniamin tak ukochał:

Niebo niech cię rozgrzeszy...

Ty żyjesz, wytłumaczysz, jak należy,

Całą rzecz o mnie i o mojej sprawie

tym, co nie rozumieją.

Powiedział to do mnie. A ja posłuchałem.

Warszawa 1975

KOMENTARZE

UZUPEŁNIAJĄCE

Minęło kilkanaście od chwili, gdy skończyłem pisać „Szachistę” i niespełna dziesięć lat od pierwszej edycji książkowej. W tym czasie nie zdobyłem żadnych nowych dokumentów bądź informacji, które mogłyby w zasadniczy sposób wzbogacić moją wiedzę o operacji „Chess-player”. Natomiast wpadło mi w ręce kilka książek, których podczas pisania „Szachisty” nie znałem (niektóre z nich nie były jeszcze wydane) — książek zawierających detale uzupełniające bądź wyjaśniające pewne aspekty tematu. Zaczerpnięte z tych prac szczegóły przedstawiam poniżej w formie aneksów do pierwotnych KOMENTARZY, zachowując ich kolejność i numerację.

1. SOBOWTÓR Z GOSTYNIA

Na temat Stefana Błażewskiego nie mam nic nowego do powiedzenia.

2. FILADELFOWIE

W pracy najwybitniejszego polskiego „masonologa” doby powojennej, Ludwika Hassa, „Wolnomularstwo w Europie środkowo-wschodniej w XVIII i XIX wieku” (Wrocław 1982) znalazłem interesującą uwagę na temat powiązań filadelfów z Rosjanami, głównie z kręgami oficerskimi caratu. Między innymi już w 1803 roku do paryskiego Centre Orientale des Philadelphes należał pracownik ambasady rosyjskiej, Piotr Diwow (notabene istniał też krąg antynapoleońskich oficerów polskich, spiskujących przeciw Bonapartemu w powiązaniu z filadelfami; czołową rolę grał tu płk Feliks Potocki). Ludwik Hass obstaje przy „radykalno-republikańskim” profilu spiskowców filadelfijskich, aczkolwiek dokumentom ideowym filadelfów przypisuje „wątki burżuazyjno-demokratyczne i burżuazyjno-narodowe”; w innej swojej pracy, „Sekta farmazonii warszawskiej” (Warszawa 1980), nazywa filadelfów wręcz „francuską antycesarską konspiracją lewicy wolnomularskiej”. Ja dalej będę obstawał przy rojalistowskiej orientacji spisku filadelfijskiego, co zresztą nie musi się kłócić z jakobińskimi korzeniami jego uczestników, gdyż — jak to już wcześniej podkreślałem — wielu byłych jakobinów

pracowało wówczas na rzecz emigracji burbońskiej i przez nią było finansowanych.

3. ANDROID VON KEMPELENA

W pracy Jerzego Giżyckiego „Z szachami przez wieki i kraje” (Warszawa 1972), obok ciekawostek zaczerpniętych z encyklopedii Larousse'a na temat schowanego w automacie polskiego uciekiniera (Woroński, Wnorowski, Worowski; wzmiankuje o nim w przypisie nr 138), który miał być oficerem regimentu zbuntowanego w Rydze w 1776 roku, znajduje się też informacja o kapitalnym znaczeniu:

„Przez wiele lat panowało przekonanie, iż nie zachował się nie tylko oryginalny egzemplarz automatu Kempelena-Maelzela, lecz także żadne z jego naśladownictw. Tymczasem w 1945 roku jeden z francuskich żołnierzy z alianckich oddziałów okupacyjnych, walęsając się z grupą kolegów po zniszczonych bombardowaniem rejonach Wiednia, natrafił przypadkowo w piwnicy starego domu na figurę Turka-szachisty wraz ze skrzynią z maszyną.

Automat był kompletnie zniszczony, brakowało wielu fragmentów konstrukcji, ubioru, nie zachowały się żadne rekwizyty uzupełniające. Znalazca przewiózł potem sztucznego Turka do Paryża, gdzie po gruntownej renowacji automat ukazał się na rynku antykwarycznym. W odświeżonej postaci Gracz w Szachy przypominał legendarną już wtedy przeszłość. Pochodzenie tej figury Turka nie zostało ściśle ustalone, lecz można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, iż był to jeden z wariantów automatu Kempelena, wykonany przez bliżej nie znanego imitatora”.

Z dużo większą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, iż była to replika autorstwa von Kempelena (o żadnych naśladownictwach czy imitacjach „Turka” nigdy nie słyszano). A zatem można przypuszczać, iż „Jean-Bart” sprzedał Bathurstowi w Berlinie właśnie tę kopię autorską, nie zaś oryginał (lub też vice versa; w sytuacji, gdy duplikat nie różnił się od pierwszego automatu, tylko von Kempelen mógłby stwierdzić, który z egzemplarzy ma pierwszeństwo czyli prawo do nazwy oryginał). Wszystko to zresztą jest mało istotne w porównaniu z czymś innym:

Otóż czytając Memoriał miałem spore wątpliwości co do wzmiankowanego tam wykradzenia automatu przez „Jeana-Barta” z królewskiego pałacu w Berlinie po tym jak „Bonaparte nasycił się «Turkiem»„ (słowa Gimela), lecz musiałem przyjąć rzecz za dobrą monetę, tak jak i cały Memoriał, którego licznych fragmentów nie mogłem i wciąż nie mogę zweryfikować od strony detalicznej zgodności z prawdą. Ta rzecz wydała mi się o tyle wątpliwa, że nawet gdyby cesarz miał już dość berlińskich zabaw z androidem (a przecież „Turek” mógł się mu nie znudzić przez cały pobyt w pałacu), to mogli się jeszcze zabawiać „cudownym automatem” jego marszałkowie, adiutanci i dworzanie. W tej sytuacji wykradzenie, a więc zniknięcie automatu, musiałoby spowodować natychmiastowy wrzask — wielką aferę. Wątpliwość tę uciszyłem przy pisaniu „Szachisty” w następujący sposób: ponieważ Schulmeister za zgodą Napoleona kontrolował całą operację „Chess-player” i wprost pomagał Bathurstowi, Francuzi przymknęli oko na zabranie automatu przez „Jeana-Barta”, udając, że nie zauważyli tego. Jednakże zauważyć mogli to również niemieccy pracownicy służby pałacowej, których wielu zostało w pałacu po ucieczce z niego królewskiej rodziny pruskiej. Być może poczynania (w tym rekwizycje) Francuzów mało ich interesowały, przejmowali się ważniejszymi rzeczami niż „Turek”, żyli w strachu przed zwycięzcą, stąd nikt się nie przejął zniknięciem automatycznego szachisty — tak sobie to wyjaśniałem. Wszystkie te spekulacje stają się zupełnie niepotrzebne, jeśli informacja zaczerpnięta z książki Giżyckiego jest prawdziwa: widocznie „Jean-Bart” sprzedał Bathurstowi jeden, wcześniej zdobyty, egzemplarz „Turka”, a drugi egzemplarz pozostał w pałacu.

4. „REINKARNACJA”

„Reinkarnacja” Beniamina B. zaczęła się — jak pamiętamy — jego wyjazdem z Wiednia, gdzie przez krótki czas w roku 1809 pełnił rolę ambasadora brytyjskiego. Z rozdziału „Zamach na Napoleona w roku 1809” w „Studiach i szkicach historycznych” (Wrocław 1959) Emila Kipy, dowiedziałem się, iż właśnie wówczas Anglicy chcieli ponowić próbę porwania „boga wojny”. Korzystając z nie przebadanych wcześniej źródeł rękopisowych

w wiedeńskim Haus- Hof- und Staatsarchiv Kipa wydobył na światło dzienne aferę, o której historycy nie mieli pojęcia (tak jak nie mieli go o operacji „Chess-player”).

Zaangażowani w ten spisek byli Francuzi (opozycja wewnątrz-armijna, prawdopodobnie z kręgów filadelfijskich; przypuszczenie to nasuwa pojawiające się nazwisko generała Moreau, który, jak zaświadcza E. Guillon w *Les complots militaires sous le Consulat et l'Empire*, był jednym z szefów filadelfów), Austriacy (sztab cesarza Franciszka i wywiad) oraz jako pośrednicy kilka dwuznacznych indywiduali, podwójnych agentów, w tym Polacy, książę bielski Jan Sułkowski (współpracownik francuskiej police secreta i wywiadu austriackiego; Kipa słusznie nazywa go „ciemną i awanturniczą figurą” i Karol Glawe-Kolbielski (eks-doradca finansowy króla Stanisława Augusta, agent carski, łotrzyk spod ciemnych gwiazd;. Kipa przejrzał we wspomnianym archiwum papiery dotyczące Kolbielskiego i napisał:

„W myśl tych projektów porwany Napoleon miał być przewieziony przez Węgry do Fiume i wydany na Adriatyku Anglikom. Sprawa była posunięta już tak daleko, że Kolbielski rozmawiał nawet na ten temat u Sułkowskiego z jakimś generałem francuskim «spod znaku gen. Moreau». Cesarz Franciszek został przez Bubnę o planie tym poinformowany, a to celem ewentualnego uzyskania zgody cesarskiej na przewiezienie Napoleona przez terytorium Węgier”.

Rzecz spaliła na panewce. Kipa:

„Kolbielski z pewnością najmniej się temu dziwił wiedząc, że w Wiedniu działa sam Schulmeister, szef tajnej policji Napoleona, niedościgły geniusz wywiadu i informacji, z którym mierzyć się nie było ani proste, ani łatwe (...) Nie brakowało poza tym już od dawna zastanawiających poszlak terminowego informowania Francuzów o tym, co się rozgrywało w otoczeniu Franciszka (...) Było rzeczą jasną, że w otoczeniu cesarza Franciszka musiał być ktoś, i to w dodatku nie najniżej postawiony, kto mając dostęp do tajnych spraw poinformował sztab francuski...”

Schulmeister wszędzie posiadał swoich agentów i nie ulega wątpliwości, że tę grę również kontrolował od samego początku. Pytanie: czy Benjamin Bathurst miał z tą aferą jakąś styczność? Przypomnijmy sobie hiszpańskie ustępy listu Bathursta do Diaza („Kalif,

Azara i m.in. ten fragment: „ułatwiłem mu zdobycie i transport do Hiszpanii partii karabinów...”). Otóż u Kipy, na samym końcu jego szkicu, są dwa takie, nie rozwinięte (a szkoda!), zdania o Kolbielskim: „Właśnie co uwikłał się w afery hiszpańskie. Trzeba się go było pozbyć za wszelką cenę...”. Pozbyto się dożywotnio. Ale przedtem, gdy policja austriacka przesłuchiwała Kolbielskiego i doszła do owego spisku, przerwano spisywanie protokołu zeznań! „Inaczej być nie mogło” — skomentował to Kipa. To dlatego m.in. tak mało dzisiaj wiemy. Gąszcz pytań, a odpowiedzi prawie żadnych.

5. ŁAŃCUCH ŚMIERCI

W tym punkcie mam do dodania szczegół, dość charakterystyczny, na temat Estery Stanhope, którą Beniamin ostrzegł (z listu od Diaza: „Poinformowałem ją i poradziłem, by jak najszybciej wyniosła się precz i to nie tylko z Anglii, ale z Europy, najlepiej na kraniec świata”). Lady Stanhope uciekła do Arabii, gdzie ukrywała się w różnych trudno dostępnych pustelniach (patrz rozdział o niej w moim „Empirowym pasjansie”), i tam zmarła. Strzegła się tak pilnie, iż dostęp do niej był niesłychanie trudny; jako gości przyjmowała (i to nader rzadko) tylko ludzi, których знаła i do których miała pełne zaufanie, oraz ludzi z listami polecającymi wystawionymi przez jej zaufanych przyjaciół — nikogo więcej. Od tej reguły nie było żadnego wyjątku. W tomie I drukowanym w Warszawie „Rozmaitości Literackich z roku 1825” znalazłem relację angielskiego podróżnika, który przekonał się o tym na własnej skórze. Podróżując po Arabii, pragnął koniecznie zobaczyć lady Stanhope, która mieszkała wówczas w jednej ze swych „fortec”, w domu zbudowanym na gruzach i z gruzów starego klasztoru Mar-Elias (zangielszczona nazwa: Marilius). Ale mu się to nie udało, o czym tak wspominał: „Mając dwa listy z poleceniem do Lady, z których jeden przez najpoufalszego jej przyjaciela pisany, nie wątpiłem bynajmniej, iż ją samą będę mógł widzieć i z nią rozmawiać. Lecz na nieszczęście służący mój właśnie ten ważniejszy list zostawił w Sydonie w mieszkaniu moim, a drugi był bezskutecznym (...) Pani W..., jedyna Angielska, którą Lady sobie zatrzymała, przepraszała jak najgrzeczniej w imieniu Lady, i sama nad tym ubolewała, iż nie podobna zmienić raz przyjętej zasady w nieprzyjmowaniu odwiedzin wędrowników angielskich”.

7. LAVENDETTA

Jeśli chodzi o samobójstwo Castlereagha, to do dodania mam coś bardzo ciekawego, trzy „Epigramy” wielkiego brytyjskiego poety, Byrona, który należał do nielicznych przyzwoitych Anglików i tak skomentował na gorąco (1822) ową śmierć:

O, Castlereagh! Dziś wreszcie jesteś patriota

I Katonowej równa wielka twoja cnota:

On zmarł, bo dzikie plemię do Rzymu się wdarło,

Tyś — by Anglia żyć mogła — podciął sobie gardło.

Wreszcie gardło poderznął sobie! — Tylko czemu

Poderznął je, na Boga, nie sobie jednemu?

Więc podciął sobie gardło! — Kto? — Osoba sławna,

Co podcinała gardło ojczyzny od dawna

(tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski).

SPIS TREŚCI

Wstęp	4
Rozdział I. Plan	10
Rozdział II. Rekrutacja	50
Rozdział III. Szczęśliwy głupiec	96
Rozdział IV. Komedianci i komandosi	143
Rozdział V. Julia	193
Rozdział VI. Mnich	234
Rozdział VII. Królewski gambit	277
List	311
Komentarze	315
1. Sobowtór z Gostynia	315
2. Filadelfowie	318
3. Android von Kempelena	325
4. „Reinkarnacja” Beniamina Bathursta	330
5. Łańcuch śmierci	339
6. La vendetta	345
Zakończenie	351
Komentarze uzupełniające	352
1. Sobowtór z Gostynia	352
2. Filadelfowie	352
3. Android von Kempelena	353
4. „Reinkarnacja” Beniamina Bathursta	355
5. Łańcuch śmierci	357
6. La vendetta	358